

PIATA
EWANGELIA



PHILIPP
VANDENBERG

Porywająca, barwnie napisana historia jednego z najbardziej zagadkowych dokumentów z czasów Jezusa – *Piątej Ewangelii* Barabasa, której tajemnica jest do dziś zazdrośnie strzeżona przez Watykan.

„To nie książka przeciw wierze, to książka przeciw kościołowi jako instytucji”.

*fragment wypowiedzi pisarza dla
Alt-Neuöttinger Anzeiger*

Prasa o *Piątej ewangelii*:

„Vandenberg wyjawia kolejną tajemnicę Watykanu. Autor prosi Boga o przebaczenie”.

Ruhr Nachrichten

„*Piąta Ewangelia* to trzymający w ekstremalnym napięciu bestseller”.

Passauer Neue Presse

„Doskonale napisana *Piąta Ewangelia* nagle zaczęła królować na szczytach wszystkich listach bestsellerów. Na początku sierpnia 2006 zajęła pierwsze miejsce wśród najlepiej sprzedających się książek portalu AMAZON bijąc na głowę powieści Dana Browna”.

Journal International

ISBN 978-83-7508-029-2



9 788375 080292

Cena detaliczna 29,90 zł

PHILIPP
VANDENBERG
PIĄTA
EWANGELIA

Z języka niemieckiego przełożyła
Sława Lisiecka



WYDAWNICTWO
SOWA DRAGA

Tytuł oryginału: DAS FUNFTE EVANGELIUM

Copyright © 1993 by Verlagsgruppe Lubbe GmbH & Co. KG, Bergisch Gladbach

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: CORBIS

Redakcja:

KS&zespół Korekta: Magdalena Bargłowska, Barbara Meisner, Urszula Pawlik

Wydanie pierwsze: czerwiec 2008

Wydanie drugie: Upięć 2008

ISBN: 978-83-7508-029-2

Sprzedaż wysyłkowa:

www.soniadraga.pl

www.merlin.com.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie:

DT Studio s.c.

tel. (32) 720 28 78, e-mail: biuro@dtstudio.pl

Katowice 2008. Wydanie III

Drukarnia: Lega, Opole

Strzeżcie się kwasu, to znaczy obłądy faryzeuszów. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coście w izbie szeptali do ucha, głosić będą na dachach.

Łk 12,1-3

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA.....	11
ROZDZIAŁ I	
ORFEUSZ I EURYDYKA.....	15
ROZDZIAŁ II	
DANTE I LEONARDO.....	52
ROZDZIAŁ III	
SAINT VINCENT DE PAUL.....	75
ROZDZIAŁ IV	
LEIBETHRA.....	99
ROZDZIAŁ V	
PERGAMIN.....	118
ROZDZIAŁ VI	
KOŃSKIE KOPYTO DIABŁA.....	159
ROZDZIAŁ VII	
NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE.....	182
ROZDZIAŁ VIII	
ZAMACH.....	239
ROZDZIAŁ IX	
LOCHY INNOCENTEGO.....	262
ROZDZIAŁ X	
VIA BAULLARI 33.....	287
DODATEK I.....	308
DODATEK II.....	309
GŁOSA.....	310

PRZEDMOWA

W żadnym ze znanych mi miast nie ma tak interesujących cmentarzy jak w Paryżu. Są całkiem inne, niemalże radosne, i nie mają w sobie nic z rozpadu czy niesamowitości, do czego przyzwyczyli nas niemieckie cmentarze. Odnosi się wrażenie, że Francuzi po prostu lepiej pielęgowali swoich zmarłych. Każde dziecko wie na przykład, że Edgar Degas jest pochowany na Montmartrze, a Maupassant i Baudelaire na Montparnassie.

Największy i najpiękniejszy cmentarz Paryża leży przy Boulevard de Meilmontant. Cimetiere du Pere-Lachaise to niezwykła nazwa przypominająca ojca Lachaise, spowiednika Ludwika XIV. Obok miejsc spoczynku Edith Piaf, Jima Morrisona i Simone Signoret znajdziemy tu groby Moliera, Balzaka, Szopena, Bizeta i Oskara Wilde'a. W której alejce? Powie nam gardien, który za kilka franków sprzeda też plan cmentarza.

W piękne dni, zwłaszcza wiosną i jesienią, wielu ludzi pielgrzymuje do grobów swoich idoli, a przy tym spotykają się ci, którzy stąd zabierają ze sobą przelotne wrażenie z jednorazowego pobytu, i ci przychodzący tu regularnie, niektórzy nawet codziennie, przeważnie o tej samej porze, by odprawiać taki sam rytuał krótkotrwałych wspominków.

Żeby to zauważyć, trzeba samemu przez kilka dni o tej samej porze odwiedzać Cimetiere du Pere-Lachaise, na co się w pewnym momencie zdobyłem, początkowo bez żadnej intencji. W każdym razie z pewnością nie spodziewałem się, że natknę się tam na jedną z najbardziej ekscytujących historii, jakie kiedykolwiek poznałem.

Już drugiego dnia zwróciłem uwagę na przystojnego starszego mężczyznę stojącego przed grobem z prostą inskrypcją „Anna 1920-1971”. Patrząc wstecz, przyznaję teraz, że moją ciekawość pobudził egzotyczny pomarańczowo-błękitny kwiat w jego dłoni, a ponieważ z doświadczenia wiedziałem, że za niezwykłym kwiatem kryje się często niezwykła historia, poczułem, że po prostu muszę zagadnąć nieznanego.

Ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości, że to Niemiec mieszkający w Paryżu; był zresztą bardzo nieprzystępny, a zapytany o rajskiego ptaka, kwiat zwany też strelcją królewską, opryskliwy. Gdy nazajutrz spotkaliśmy się ponownie, sytuacja zmieniła się o tyle, że to ten mężczyzna zaczął mnie wypytywać. Długo trwało, zanim mi uwierzył, że zadałem to pytanie wyłącznie z pisarskiej ciekawości i nie mam żadnych współników spod ciemnej gwiazdy, którzy by mnie na niego nasłali.

Ale już sama nieufność owego człowieka wobec mojego niewinnego pytania umocniła mnie w przekonaniu, że za tą zwykłą codzienną ceremonią na Cimetiere du Pere-Lachaise kryje się zapewne znacznie więcej niż tylko wzruszający gest. Chociaż już dawno przedstawiłem się nieznanemu, sam nadal nie poznałem jego nazwiska, co nie przeszkodziło mi zaprosić go do mojego hotelu na kolację, jeśli tylko czas mu na to pozwoli. Ta uwaga wywołała uśmiech na jego ustach i usłyszałem, że człowiek w jego wieku ma dużo czasu, więc przyjdzie.

Muszę przyznać, że wówczas wcale nie byłem taki pewien, czy niezajomy dotrzyma obietnicy; przypuszczałem raczej, że zgodził się tylko dlatego, aby uwolnić się od mojej natarczywości. Tym większe było moje zdziwienie, gdy mężczyzna, zgodnie z umową, pojawił się w restauracji hotelu w *IX arrondissement*, gdzie mieszkałem, i położył na stole bardzo stary numer czasopisma, który natychmiast obudził moją ciekawość.

Jakby specjalnie chciał mnie w ten sposób poddać torturom, co człowieka tak wścibskiego jak ja doprowadzało niemal do szału, gawędził z rozkoszą (z mojego punktu widzenia był to czysty sadyzm) o urokach Paryża, i za każdym razem, gdy podejmowałem próbę skierowania rozmowy na właściwy temat, jemu przychodził na myśl kolejny zabytek, który obcy przybysz powinien z pożytkiem dla siebie zobaczyć. Dopiero później uzmysłowiłem sobie, że ten mężczyzna walczył ze sobą, zastanawiając się, czy może powierzyć mi swoją historię.

Już porzuciłem nadzieję, gdy niespodziewanie wziął gazetę do ręki, otworzył ją gdzieś na środkowych stronach i szurając nią po stole, podsunął mi ze słowami:

- To jestem ja. Albo raczej: to byłem ja. Albo jeszcze inaczej: to powinienem być ja.

Spojrzał na mnie badawczo.

Sekundy, w ciągu których zagłębiłem się w lekturze czasopisma, sprawiły nieznanemu wyraźną przyjemność; czułem jego wzrok na sobie, czułem, jak śledzi każde moje poruszenie, jakby oczekiwał okrzyku zdumienia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Artykuł opowiadał o reporterze czasopisma, który zginął na wojnie francusko-algierskiej, i był ilustrowany zdjęciem mężczyzny oraz fotografią jego straszliwie zbeczeszczonych zwłok. Byłem dość bezradny.

- Nie zrozumie pan tego - powiedział wreszcie. - Długo trwało, zanim sam to pojąłem. Z całą pewnością jest to najbardziej szalona opowieść, jaką zdarzyło się panu kiedykolwiek słyszeć.

Odpowiedziałem, że już nieraz spotykałem się z niepojętymi historiami i że zwyczajność jest niezwykle rzadko przedmiotem zainteresowania pisarza. Wówczas przybliżyłem mojemu gościowi sylwetkę sparaliżowanego mnicha w wózku inwalidzkim, który sam przed laty opowiedział mi swoje dzieje i dobitnie wyjaśnił, dlaczego z zamiarem popełnienia samobójstwa rzucił się z okna w Watykanie. Jego życie opisałem w książce *Spisek sykstyński*, ale jeszcze przed jej ukazaniem się zakonnik zniknął z klasztoru, przeor zaś twierdził potem stanowczo, że nigdy nie było tam żadnego mnicha na wózku inwalidzkim; a przecież, podkreśliłem, ów zakonnik i ja siedzieliśmy tam naprzeciw siebie przez kilka dni.

Byłoby lepiej, gdybym w ogóle o tym nie opowiadał, gdyż mężczyźni zaczęło się nagle spieszyć. Powiedział, że zanim zdecyduje się na zwierzenia, musi sobie wszystko jeszcze raz uporządkować w głowie, i zaproponował, abyśmy spotkali się w kawiarni La Flore na Boulevard Saint Germain, gdzie zresztą przesiadywało wielu pisarzy.

Aby uprzedzić fakty: kawę w La Flore wypilem sam i muszę przyznać, że nawet mnie to nie zaskoczyło. Najwyraźniej na myśl o tym, że jego losy mogłyby stać się kanwą książki, nieznanego opuściła odwaga. To jednak umocniło mnie w przekonaniu, że cały bagaż doświadczeń tego mężczyzny daleko wykracza poza osobiste losy jednego człowieka.

Wszystkie wielkie tajemnice ludzkości mają niepozorne początki. Podejrzewałem, że los nieznanego kryje taką tajemnicę. W tamtym momencie nie mogłem jednak przypuszczać, że będzie ona miała aż tak fundamentalne znaczenie. Nie mogłem też wiedzieć, że nieznanomy z rajskim ptakiem odegra w tym dramacie jedynie drugorzędną rolę. Główna, powiedzmy to z góry,

przypadnie spoczywającej na cmentarzu kobiecie, którą znałem jedynie z imienia - Annie.

Miałem jednak pewien ślad: artykuł w czasopiśmie. Jeden trop prowadził do Monachium, drugi z powrotem do Paryża, a później fakty w moich badaniach zaczęły się prześcigać. Kolejne stacje to Rzym, Grecja i San Diego. Stopniowo, bardzo powoli zacząłem rozumieć, dlaczego nieznajomy wahał się powierzyć mi swoją historię.

Jeszcze kilka razy zaszedłem na cmentarz, ale nigdy więcej nie spotkałem tam owego człowieka.

ROZDZIAŁ I

ORFEUSZ I EURYDYKA

Śmiercionośni

1

Wszystko wokół było białe, toteż Anna ukryła twarz w dłoniach, jakby białe ściany, biała podłoga, lśniące białe drzwi i jaskrawe neonówki u sufitu sprawiały ból. W ogóle nic nie rozumiała. Usłyszała tylko słowo „śpiączka” i że jego stan jest poważny. Bezpłciowa postać w białym fartuchu wcisnęła ją w to krzesło i wczuwając się w rolę niczym stewardessa, która zaznajamia pasażerów z przepisami na wypadek awarii, wyjaśniła że lekarze robią, co mogą, to jeszcze potrwa, więc niech ona wypełni formularz i go podpisze.

Kartka leżała obok na podłodze. Od czasu do czasu otwierały się jedne z lśniących drzwi. Gumowe zelówki piszczały na długim korytarzu i znikwały w innych drzwiach. Skądś dochodził rytm młota pneumatycznego, czuć było karbol, a upał wydawał się prawie nie do zniesienia.

Anna podniosła wzrok, odetchnęła głęboko, rozpięła cienki płaszcz, z zamkniętymi oczami odchyliła się na krzesle i skrzyżowała ręce. Wargi jej drżały i czuła ból, którego nie potrafiła umiejscowić. Podejrzewała, że jej życie się załamało, i przypomniała sobie życzenie z dzieciństwa: żeby czarodziejskie zaklęcie wymazało dane przeżycie z pamięci i wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Nigdy nie zastanawiała się, jak to będzie, jeśli jednemu z nich dwojga coś się przydarzy. Kochała Guida, a miłość nie pyta o kres. Teraz jednak zrozumiała absurdalność takiej postawy. Po prostu nie była przygotowana na informację telefoniczną o treści:

- Bardzo nam przykro, mamy dla pani smutną wiadomość. Pani mąż miał ciężki wypadek. Proszę przygotować się na najgorsze.

Jak we śnie Anna pognała do kliniki. Nie wiedziała, w jaki sposób tutaj dotarła ani gdzie zaparkowała samochód; niezdolna do żadnej klarownej myśli, w biegu rzuciła się w stronę dwóch czy trzech białych fartuchów: „oddział intensywnej terapii?”, i wreszcie wylądowała na tym jaskrawo oświetlonym korytarzu, gdzie wydawało się, że czas się zatrzymał.

Przeraziła się, przyłapawszy na myśli o tym, jak już na nowo urządza dom i sprzedaje sklep z antykami, jak podejmuje decyzję, że najpierw wybierze się w podróż dookoła świata, aby nabrać dystansu. Guido nigdy nie dał się namówić na taką przygodę. Nienawidził latania samolotami.

Mój Boże! Z powodu tych myśli Anna zerwała się zawstydzona i z rękami w kieszeniach płaszcza zaczęła niespokojnie chodzić tam i z powrotem. Nie dbała krzątania, z jaką osoby w fartuchach przemykały obok, nawet nie spoglądając w jej stronę, działała prowokująco i niewiele brakowało, żeby Anna ruszyła w stronę jednej z tych zaaferowanych sióstr i nakrzyczała na nią, że tu chodzi o życie jej męża, czy ona tego nie rozumie.

Jednak nie doszło do tego, gdyż w tym samym momencie wyszedł zza drzwi wychudzony mężczyzna w zabrudzonych szklach bez oprawek. Podchodząc do Anny, manipulował przy zielonej maseczce na usta, która wisiała na jego szyi, a potem otarł ręką czoło.

- Pani von Seydlitz? - zapytał bezbarwnym głosem.

Anna poczuła, jak rozszerzają się jej oczy, a krew uderza do głowy. W uszach dudniło. Twarz lekarza nie zdradzała żadnego wzruszenia.

- Tak - wydusiła z siebie cicho Anna. Czowała suchość i szorstkość w gardle.

Lekarz przedstawił się, ale już w chwili, gdy wymieniał swoje nazwisko, tembr jego głosu się zmienił i przeszedł w zaśpiew grabarza. W końcu już nieraz wygłaszał zdania w rodzaju:

- Bardzo mi przykro. Wszelka pomoc w przypadku pani męża okazała się zbyt późna. W tych okolicznościach będzie dla pani zapewne marną pociechą, jeśli powiem, że może nawet stało się lepiej. Pani mąż zapewne już nigdy nie doszedłby do siebie. Uszkodzenia mózgu były zbyt poważne.

Anna wprawdzie jeszcze zdołała dostrzec, że lekarz podaje jej rękę, ale w bezsilnej wściekłości odwróciła się i odeszła. Umarł. Po raz pierwszy zrozumiała ostateczność tego słowa.

W windzie czuć było kuchnię, jak we wszystkich windach szpitalnych. Ledwie otworzyły się drzwi, Anna z obrzydzeniem rzuciła się do ucieczki.

Do domu pojechała taksówką. Nie była w stanie usiąść za kierownicą. Bez słowa podała banknot taksówkarzowi, po czym zniknęła we wnętrzu willi. Wszystko wydało się jej naraz obce, zimne i odpychające. Zdjęła buty, szybko weszła po schodach do sypialni i padła na łóżko. Wtedy wreszcie się rozplakała.

Zdarzyło się to piętnastego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Trzy dni później Guido von Seydlitz został pochowany na cmentarzu Waldfriedhof. Nazajutrz zaczęły się dziać - powiedzmy sobie szczerze - dziwne rzeczy.

2

Aby Anna von Seydlitz nie jawiła się nam od początku w fałszywym świetle, co byłoby szkodliwe dla wiarygodności historii, należy wpierv powiedzieć o niej kilka słów. Nigdy nie używała szlacheckiego przyimka „von”, którym obdarzył ją po ślubie małżonek. Jemu jako marszandowi ten tytuł niekiedy się przydawał, Anna jednak raczej wyśmiewała się z tej uszlachconej w dziewiętnastym wieku warstwy rzemieślniczej. Wówczas z dnia na dzień przyjmowano do stanu szlacheckiego zasłużonych przedsiębiorców, a ten podejrzany proceder wyłonił później tak kuriozalne rody jak rodzina von Mullerów czy von Meyerów.

Anna miała wystarczająco dużo pewności siebie, aby kroczyć przez życie jako pani Seydlitz, gdyż wykształcenie i surowa uroda połączyły się w jej wypadku w tak fascynujący sposób, że gdziekolwiek się pojawiała, zawsze znajdowała się w centrum zainteresowania. Jak wszyscy, którzy nie cierpią z powodu własnej mądrości, tylko czerpią z niej korzyści, Anna miała poczucie humoru, a jej szelmostwa niejednokrotnie stawały się przedmiotem rozmów. Ukończywszy czterdzieści lat, lubiła głosić kokietyryjnie, że zaczyna już piąty krzyżyk.

Oczywiście śmierć Guida boleśnie ją dotknęła. Anna usiłowała właśnie uporać się rozumowo z cierpieniem, które spadło na nią tak niespodziewanie, gdy zadzwoniono z kliniki, żeby odebrała resztę rzeczy męża.

Chociaż nie przyszło jej to łatwo, jeszcze tego samego dnia pojechała do szpitala. Pielęgniarka wręczyła jej za pokwitowaniem zgrzewany plastikowy worek, który oprócz ubrania zawierał zegarek i portfel Guida. Przy okazji Anna

właściwie mimochodem dowiedziała się, że w chwili wypadku Guido nie był w aucie sam.

- Pasażerka odniosła lekkie obrażenia i właśnie dzisiaj została zwolniona do domu.

- Pasażerka?

Anna von Seydlitz zmarszczyła czoło, co było nieomylnym znakiem wewnętrznego wzburzenia.

Pielęgniarka zdumiała się, że żona zmarłego nie ma pojęcia o pasażerce, ba, stała się nawet nieufna i zanim wyjawiała nazwisko, poprosiła o radę ordynatora. Anna rozpoznała w nim doktora, którzy poinformował ją o śmierci męża, uznała więc za stosowne przeprosić za swoje wcześniejsze zachowanie.

Doktor powiedział, że jej zachowanie w tych okolicznościach nie było wcale niezwykle, określił je nawet jako dość normalne, mimo to jednak dopiero po żmudnych pertraktacjach udało się Annie uzyskać nazwisko i adres pasażerki męża.

Nie знаła tej kobiety. Początkowo chciała tylko dowiedzieć się więcej o okolicznościach wypadku. W tym celu skontaktowała się z policją. Tam dowiedziała się, że samochodem jechały dwie osoby, mężczyzna i kobieta, na ósmym kilometrze autostrady Monachium-Berlin samochód zjechał z pasa, kilkakrotnie koziółkując, stoczył się ze zbocza, dachował, a potem zatrzymał. Kobieta przeżyła ten wypadek najwyraźniej tylko dlatego, że została wyrzucona z pojazdu. W celu wyjaśnienia przyczyny wypadku wrak samochodu poddano badaniom, ale to może jeszcze potrwać.

Czy mogłaby zobaczyć auto?

Oczywiście, skoro chce zadać sobie taki ból.

W hali na północy miasta było miejsce tylko dla dwudziestu kilku samochodowych wraków, przynajmniej drugie tyle stało na wolnym powietrzu. Powyginane, połamane i spalone samochody, związane z losami jakichś ludzi.

Chociaż Anna postanowiła zachować stoicki spokój, na widok wraków cała zaczęła drżeć i dłuższą chwilę trwało, zanim odważyła się podejść bliżej. Deska rozdzielcza była pośrodku wklęsnięta. Po lewej stronie widać było ślady krwi. Na wybruszonych siedzeniach leżały rozbite w drobny mak szyby przednia i tylna. Można było zobaczyć zaledwie połowę chłodnicy. Otwarta kłapa bagażnika nie dawała się zamknąć. Cuchnęło benzyną, olejem i spalonym sztucznym tworzywem.

Anna niemal nabożnie obeszła dookoła pogruchotany pojazd i wtedy jej wzrok padł na aktówkę w bagażniku. Towarzyszący kobiecie policjant skinął głową i powiedział, że Anna może ją zabrać, po czym wyłowił z wraka skórzaną teczkę.

- Ale to nie jest teczka mojego męża! - wykrzyknęła Anna i cofnęła się o krok. Wykonała taki ruch, jakby mężczyzna podsunął jej pod nos jakieś obrzydliwe zwierzę.

- Wobec tego należy zapewne do pasażerki - powiedział uspokajająco policjant. Nie zrozumiał jej wzburzenia.

- Ale gdzie jest aktówka mojego męża? Miał ze sobą brązową aktówkę z monogramem G. v. S. na wierzchu.

Policjant wzruszył ramionami.

- Jest pani pewna?

- Całkiem pewna - odparła Anna, a po chwili namysłu dodała: - Proszę mi ją dać!

Położyła teczkę na dachu wraka, niezdarnie zaczęła majstrować przy zamkach i otworzyła ją. Zawartość: bielizna (nawiasem mówiąc, niezbyt elegancka), kosmetyki i papierosy - to wszystko bez wątpienia należało do kobiety.

- Czy mogę to zabrać? - zapytała Anna.

- Ależ oczywiście.

Zamknęła teczkę i wyszła.

3

Niewymowny smutek, ból i pustka, jakie wywołała u Anny śmierć Guida, zniknęły naraz jakby je ktoś wymiółł, ba, przeżyła najosobliwszą zmianę nastroju. Ból, który znika z reguły dopiero po latach, z godziny na godzinę przeobrażał się u niej w rozgoryczenie, tak, naraz poczuła nienawiść do tego mężczyzny, któremu dzień wcześniej oddała ostatnią usługę. Siedemnaście lat małżeństwa, rzekome szczęście, zapadły się nagle niczym dom do rozbiórki pod naporem buldożerów. Czuła się tak, jakby po dwakroć straciła męża, raz kilka dni temu i teraz ponownie.

Do domu wracała taksówką. W drodze ożyły wspomnienia, myśli, przeżycia, które nagle nabrały sensu. Lewą ręką Anna wzięła się w uchwyt tej

cudzej teczki, jakby zbierała siły na jakiś straszliwy atak. Drugą grzebała w kieszeni płaszcza, szukając kartki, którą dał jej lekarz w klinice: Hanna Luiza Donat, Hohenzollern-Ring 17.

Anna przygryzła dolną wargę. Robiła to zawsze, gdy ogarniała ją wściekłość. Podsunęła kartkę taksówkarzowi pod nos:

- Proszę mnie zawieźć na Hohenzollern-Ring 17.

Dom we wschodniej części miasta nie był najwytworniejszym miejscem[^] ile jednak dało się cokolwiek zobaczyć w ciemności, sprawiał wrażenie wypielęgnowanego i solidnego. Na pomalowanej na szaro żelaznej bramie w murze ogrodowym wisiała owalna mosiężna tabliczka bez nazwiska. Anna nie wahała się ani chwili. Nacisnęła dzwonek. Wewnątrz domu, który stał nieco w głębi, zapaliło się światło, a po pewnym czasie w drzwiach pojawił się niski, tęgawy mężczyzna.

—Czy zastałam panią Hannę Luizę Donat? — zawołała Anna w stronę mężczyzny, który nie udzieliwszy jej odpowiedzi, podszedł z kluczem do bramy, otworzył ją, wyciągnął rękę, u której brakowało koniuszka palca wskazującego, i kłaniając się z nieporadną uprzejmością, powiedział:

—Donat. Chce się pani zobaczyć z moją żoną. Proszę!

Skwapliwość, z jaką mężczyzna pozwolił jej wejść do środka, nie pytając w ogóle, czego sobie życzy, wprawiła ją w zdumienie, ale ogarnięta wściekłością przeszła nad tym do porządku, w tej chwili bowiem miała tylko jeden cel: chciała zobaczyć się z tą Hanną Luizą.

Donat poprowadził Annę do oszczędnie umeblowanego pokoju, w którym znajdowały się dwie szafy i napuszony obraz z przełomu wieków.

- Proszę o odrobinę cierpliwości!

Zniknął za jednymi z wysokich drzwi pomalowanych jasną farbą olejną. Po chwili wrócił, przytrzymał drzwi i zaprosił Annę do środka.

Oczywiście pani von Seydlitz, nie bez narastającej z każdą chwilą wściekłości, wyobrażała sobie kobietę, która będzie jej oczekiwać w tym pokoju. Spodziewała się wywłoki o wysoko upiętych, tapirowanych włosach i jaskrawo umalowanych ustach, pulchnej w typowych dla kobiet miejscach, czyli kogoś, kto nie jako symbolizuje kobietę zadającą się z żonatym mężczyzną. Niezwykle precyzyjnie odmalowała sobie w wyobraźni to spotkanie. Przede wszystkim postanowiła, że zachowa się spokojnie, demonstrując chłód i cynizm, gdyż tylko w ten sposób uda się jej zranić tę obcą kobietę. Zamierzała powiedzieć na wstępie: „Jestem Anna von Seydlitz, żona Guida”, i dodać, że już dawno

chciała poznać ładacznicę, z którą jej mąż spędzał swoje rzekome delegacje. Zamierzała zaproponować jej odebranie powalanych krwią ubrań męża, by tak rzec, na pamiątkę. Potem jednak wszystko przebiegło zupełnie inaczej.

W środku pokoju zastawionego zielonymi roślinami siedziała kobieta mniej więcej w jej wieku. Tkwiła nieruchomo niczym posąg, z nogami okrytymi pledem. Siedziała na wózku inwalidzkim. Wszystkie ruchy od szyi w dół, których wykonania najwyraźniej odmawiało jej ciało, odbijały się na jej pięknej twarzy.

- Jestem Hanna Luiza Donat - odezwała się i lekkim skinieniem głowy przyzwalała gościa, by podszedł bliżej.

Anna stała jak wryta. Jej, której zazwyczaj nic nie odbierało mowy, w tym nieprzewidzianym momencie zabrakło słów. Toteż sparaliżowana kobieta, najwyraźniej przyzwyczajona do podobnych sytuacji, dodała niezwykle spokojnym głosem:

- Proszę, niechże pani usiądzie! - A po chwili, ponieważ nic się nie wydarzyło, zapytała nieco bardziej natarczywym tonem:

- Nie zechciałaby mi pani powiedzieć, co panią do mnie sprowadza, pani...

- Seydlitz - uzupełniła Anna.

Nie potrafiła ukryć zdenerwowania, wygrzebała z kieszeni płaszczka kartkę i przeczytała, co w tej sytuacji wydało się trochę śmieszne:

- Hanna Luiza Donat, Hohenzollern-Ring 17.

- Zgadza się - skomentowała sparaliżowana kobieta, a mężczyzna stanął za nią i nieco przysunął wózek w stronę przybyłej.

Anna wybełkotała kilka słów usprawiedliwienia. Najwidoczniej zaszła jakaś pomyłka, ale w klinice podano jej takie dane, informując, że kobieta o tym nazwisku siedziała w samochodzie jej męża, kiedy uległ wypadkowi, i po trzech dniach pobytu w klinice została zwolniona do domu.

- Chyba pani mąż - stwierdził mężczyzna - z łatwością wyjaśni to nieporozumienie.

- Nie żyje - powiedziała sucho Anna.

- Przepraszam, bardzo mi przykro, nie wiedziałem.

Anna skinęła głową. Bez względu na to, jak to wszystko wyglądało, nie wydawało się prawdopodobne, aby ta kobieta mogła być pasażerką auta, a potem pacjentką kliniki. Chociaż cała ta sytuacja wydawała jej się zagadkowa, by nie powiedzieć, niesamowita, para domowników zdradzała niestychane

zainteresowanie wydarzeniami ostatnich dni. Ale zanim zdobili wyciągnąć z Anny obszerniejsze wyjaśnienia, wcisnęła mężczyźnie teczkę do ręki i pożegnała się szybciej niżby to nakazywało poczucie taktu.

4

Tej nocy Anna nie mogła zasnąć. Chodziła po dużym domu jak upiór nadaremnie szukający spokoju. Spowita w długi biały szlafrok usiadła na schodach prowadzących do sypialni i usiłowała wszystko uporządkować. Niekiedy wydawało się jej, że śni. Później wsłuchiwała się w dalekie odgłosy nocy. Była przygotowana na to, że w każdej chwili może usłyszeć zgrzyt klucza w zamku i że do domu wejdzie jak zawsze Guido, ale nic takiego się nie zdarzyło. Wkrótce jej delirium osiągnęło ów niebezpieczny stopień odurzenia, w którym niepodobna odróżnić ułudy od prawdy.

Anna przeraziła się, złapawszy się na tym, że stoi przed drzwiami sypialni Guida, uderza płaską dłonią o ramę drzwi i jakby mąż zamknął się w swoim pokoju, wyzywa go od skurwysynów i obrzuca innymi podobnymi przekleństwami.

Wydarzenia ostatnich dni niesamowicie ją wyczerpały. Płacząc jak dziecko, upadła pod drzwiami na kolana i dała upust złości. Tak, łązy Anny nie były łązami bólu z powodu straty męża, Anna płakała z wściekłości na niego, jego zuchwałość i swoją własną naiwność, na ślepą ufność wobec Guida, którą on tak haniebnie wykorzystał.

Z natury Anna była osobą bardzo odporną, stąd też nieznośna wydawała się jej myśl o własnej głupocie; Anna von Seydlitz była bowiem niezwykle mądrą kobietą, kobietą, która zawsze wiedziała, jak z sensem wykorzystywać tę swoją mądrość. Najbardziej nienawidziła głupoty, a teraz, kiedy sama padła jej ofiarą, nienawidziła siebie.

Łzy wściekłości obfitym strumieniem spływały po jej twarzy. Właściwie Annie było wstyd przed sobą. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek tak bardzo straciła panowanie nad nerwami. Nie zdarzało się to nawet w czasach, które jako dziecko spędziła w sierocińcu.

W łazience leżał plastikowy worek oddany jej w klinice. Poznała zegarek Guida, złotego hamiltona z roku 1921, roku urodzenia jej męża. Nabył go na aukcji. Na odwrocie wygrawerowano dedykację: Syd to Sam 1921.

Anna gwałtownie rozerwała worek, wyciągnęła z niego powalany krwią garnitur, po czym rozpostarła spodnie i marynarkę niczym postać pajaca. A kiedy ten garnitur, który Guido bardzo lubił nosić, leżał na podłodze, Anna zaczęła go deptać gołymi stopami, jakby chciała zrobić Guidowi krzywdę, jakby chciała wycisnąć z niego tajemnicę. Tupiała wściekle po posadzce łazienki, parskała i raz po raz krzyczała to samo słowo:

- Oszust! Oszust! Oszust!

Podczas tego orgiastycznego tańca poczuła, że marynarka stawia opór. Anna wyciągnęła nagle portfel Guida. Wyjmując zwitek banknotów, odychała gwałtownie. Pozostałą zawartość portfela знаła - karty kredytowe i dokumenty samochodowe. Kiedy jednak zaczęła mechanicznie liczyć banknoty, natknęła się na złoty bilet. Niemiecka Opera w Berlinie, środa 20 września, godzina 19.00. Wzięła bilet w palce obu rąk. Guido nie był, na Boga, miłośnikiem oper. Te kilka razy, gdy razem wybrali się do opery, mogła policzyć na palcach jednej ręki. Był to dla niej jeszcze jeden dowód na to, że Guido ją oszukiwał. A ona należała do kobiet, które umiały wybaczyć wszystko oprócz zdrady.

Rozpostarliszy przed sobą na podłodze zawartość portfela niczym puzzle albo pasjansa, Anna zaczęła porządkować myśli. Podwójne życie męża zaczęło ją tak intrygować, że nie mogła się już zatrzymać - nie spocznie, póki nie wyjaśni wszystkich szczegółów.

Słońce, które około siódmej rano zaczęło powoli zaglądać do okna, mieszając się z złotym kolorem lamp na ścianie, znacznie przyczyniło się do uspokojenia zmysłów Anny. To uspokojenie jednak w żadnej mierze nie stłumiło wściekłości, po prostu jaśniej ukazało cel działań.

Anna w ogóle nie była typem wężycielki, wiadomo jednak, że wiaromstwo wyzwała nieznane wcześniej cechy charakteru. W jej przypadku można by nawet powiedzieć, że to właściwie wściekłość ustrzegła ją przed całkowitym załamaniem.

Gdy rozmawiała przez telefon z kliniką, gdzie jak się spodziewała, poinformowano ją, że przedstawiająca się jako Hanna Luiza Donat kobieta, która wraz z jej mężem uległa wypadkowi, wygląda zupełnie inaczej niż ta siedząca na wózku inwalidzkim, jej wzrok padł na datę biletu do opery: dwudziesty września. Dzisiaj!

Anna strzeliła palcami i po raz pierwszy od wielu dni przemknął jej po twarzy uśmiezek, lekki, diabelski uśmiezek. Oczywiście, nadzieja była niewielka,

im dłużej jednak Anna trzymała bilet w ręce, tym bardziej wznagało się w niej przeczucie, że przedstawienie w operze naprowadzi ją na jakiś ślad. Nie mogła i zwyczajnie nie chciała przyjąć do wiadomości, że Guido tak nagle stał się miłośnikiem opery i wybierał się na spektakl w pojedynkę, w dodatku nie zdradzając się przed nią ani jednym słowem.

5

W samolocie lecącym do Berlina Anna wspominała czasy sprzed sześciu, siedmiu lat, kiedy to jej małżeństwo popadło w rutynę. Wspólne życie nie było zbyt uciążliwe, ale wydawało się, że w ich związku nie pojawią się już żadne emocje, żadne awantury, ale też nie będzie żadnych pojednań. Wszystko przebiegało jak to się mówi, całkiem gładko. Wówczas, właśnie przed sześciu, siedmiu laty, Anna całkiem poważnie zastanawiała się, czy nie nawiązać romansu z młodym wolontariuszem z firmy, którego wzrok czuła na sobie, ilekroć pojawiała się w jego pobliżu. Ta myśl nachodząca każdą kobietę, gdy tylko dożyje swoich najlepszych lat, dręczyła ją przez wiele miesięcy. Z jednej strony bowiem kusiło Annę, żeby wypróbować, jak ona, w wieku trzydziestu pięciu lat, działa na nieśmiałego, ale dość atrakcyjnego młodzieńca, po drugie chciała dać poczuć Guidowi, że jest jeszcze całkiem pociągająca dla innych, nawet młodszych mężczyzn.

Takimi okrężnymi drogami Anna miała nadzieję przypomnieć mężowi, że na małżeństwo składa się coś więcej niż tylko praca, kariera i urlop dwa razy do roku. Ale nagle olśnienie na zapleczu sklepu, na które pewnego spokojnego poniedziałkowego popołudnia wezwała Wigulause - tak miał na imię ów wykształcony chłopak - chcąc go uwieść (pamiętała nawet, że miała wtedy na sobie bieliznę w kolorze lila i dobrane kolorystycznie pończochy), przywróciło ją raptem do rzeczywistości i skierowało z powrotem na ścieżkę cnoty. W każdym razie gdy chłopak smukłymi rękoma o jasnej karnacji zaczął niczym piekarz w cieście grzebać pod jej kaszmirowym sweterkiem, zamachnęła się, wymierzyła mu siarczysty policzek i z udawanym zdecydowaniem przystającym zameżnej kobiecie wyjaśniła, żeby nigdy więcej tego nie robił, poza tym najlepiej puścić całą tę sprawę w niepamięć.

Dopiero znacznie później dotarło do niej, że to przeżycie było klasycznym zwycięstwem rozumu nad uczuciem, tym rzadkim rodzajem zwycięstwa,

do którego, jak się wydaje z perspektywy lat, nie warto dążyć zawsze i bezwarunkowo. W opisanym przypadku dokonany skok w bok - żeby uniknąć ohydneho wyrażenia spółkowanie płciowe - mógł spowodować naprawdę więcej przy założeniu, że mąż Anny zacząłby się czegoś domyślać i że doszłoby do stosownego pojednania. Tym bardziej musiało ją zranić, że Guido tak perfidnie nadużył jej wierności. Teraz jednak dopiero naprawdę żałuje, że nie oddała się młodemu Wigulausowi, tylko podtrzymywała istniejący układ, jak w całkiem normalnym małżeństwie.

Hotel Kempinsky, w którym zatrzymała się Anna von Seydlitz, nie odegra w tej opowieści żadnej roli, w przeciwieństwie do inscenizacji opery Orfeusz i Eurydyka Christopha Willibalda Glucka. O jednym i drugim wspominamy tu, by czytelnik miał pełny obraz. W każdym razie Anna dopiero w ostatniej chwili zajęła miejsce w operze, parter, rząd siódmy, i ze zdumieniem ujrzała po prawej ręce mężczyznę o gładko wygolonych czerwonych policzkach i w okularach bez oprawek, któremu brakowało jedynie sutanny, aby można go było wziąć za kaznodzieję. Po lewej ręce Anny siedziała natomiast starsza pani, którą można by nazwać czarującą, gdyby bez przerwy nie ssała cukierków eukaliptusowych.

„Błędny trop!”, przemknęło Annie przez myśl, podczas gdy na scenie smukły kastrat obdarzony altem trudził się jako Orfeusz rozpaczający po stracie ukochanej. Pani von Seydlitz pozwoliła się ukołysać muzyce Glucka; ba, ta muzyka była bardzo odpowiednia do jej nastroju, nie zauważyła więc, że wygolony mężczyzna siedzący po jej prawicy zaczął mierzyć ją ukradkowymi spojrzeniami.

Może nawet byłaby rada z tych spojrzeń. Niemniej jednak w czasie przerwy została na miejscu, zupełnie pogrążona w myślach, aż rząd się zapełnił i mężczyzna o czerwonych policzkach zajął miejsce po jej prawej ręce. Podczas gdy ceremonialnie sadowił się w fotelu, odwrócił głowę w stronę Anny i powiedział, ledwo poruszając wargami:

- Na tym miejscu spodziewałem się zastać Guida von Seydlitz. A kim pani jest?

Anna milczała, co wcale nie przychodziło jej z łatwością. Musiała zastanawiać się nad każdym słowem. Żeby teraz nie popełnić błędu! Nie umiała sobie wytłumaczyć słów nieznanego. Chyba znał Guida. Czego od niego chce tu, w operze? W jakim związku pozostaje z zagadkową kobietą z rozbitego samochodu?

Mogła się wyprzeć Guida, wymienić dowolne nazwisko i utrzymywać, że kupiła bilet od kogoś przed wejściem do teatru. To jednak oznaczałoby, że w ogóle pozbawiłaby się szansy na wyjaśnienie zagadki. A przecież teraz, gdy sytuacja wydawała się o wiele bardziej zagmatwana niż wcześniej, chciała wiedzieć jedno: co tu jest grane?

Kiedy już dość długo mierzyli się wyzywająco wzrokiem, Anna z wymuszonym spokojem odpowiedziała na zadane pytanie:

- Jestem Anna von Seydlitz, jego żona.

Zdaje się, że mężczyzna o czerwonych policzkach oczekiwał takiej odpowiedzi, w każdym razie nie sprawiał wrażenia osoby podenerwowanej, wręcz przeciwnie, wyglądał nawet na rozzłoszczonego, sapał przez nos, którego to nawyku Anna nie tolerowała, i wyzywająco zapytał jak nieuprzejmy urzędnik z okienka:

- I jaką ma pani wiadomość?

W tym momencie Anna zrozumiała, że dzieje się tu coś, o czym nie ma zielonego pojęcia. Oczywiście na całym świecie nie ma handlarza dziełami sztuki, który nie robiłby interesów na pograniczu legalności. Sama wiedziała nawet o jednej czy drugiej machlojce męża, które przyniosły znaczne zyski. Ale o nich wiedziała. Nadto tego rodzaju interesy robiło się zawsze podczas eleganckiej kolacji w jeszcze bardziej eleganckiej restauracji, a nie w siódmym rzędzie na przedstawieniu operowym.

Mogłaby teraz naturalnie powiedzieć prawdę, że nie ma o niczym pojęcia, ponieważ jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Uznała jednak, że byłby to błąd, dlatego też, póki się da, postanowiła udawać osobę wtajemniczoną. Do wyjątkowych cech Anny należało to, że w niezwykłych sytuacjach, a tę trudno było określić inaczej, potrafiła zachować chłodny umysł. Jeśli cokolwiek odbierało jej pewność siebie, to był to lodowaty chłód, niewrażliwość na jej wdzięk. W tym wypadku nie wywoływała żadnych emocji, czuła to dobrze. Czyżby w ostatnich dniach tak bardzo się postarzała? A może miała na twarzy wypisany jak u uryinii gniew? Nieznajomy nadal czekał na odpowiedź.

- Wiadomość? - zapytała Anna z udawanym zakłopotaniem.

I podczas gdy pozornie szukała słów jak dziecko, które przytapano na kłamstwie, wygolony mężczyzna wpadł jej w słowo:

- Umówiliśmy się na pół miliona. Niech pani nie przeciąga struny! A zatem, czego pani chce?

W tym momencie światło przygasło, dyrygent podszedł do pulpitu, publiczność uprzejmie zaklaskała, kurtyna się podniosła i Orfeusz (alt) przez dobre dwadzieścia minut wędrował przed Eurydyką (sopran), nie odwracając się, jak nakazywało libretto. Doszło jeszcze do jakichś prób samobójczych kastrata, który usiłował je uzasadnić, odśpiewując arię Ach, utraciłem ją, ale realizacja tych zamierzeń kazała na siebie czekać, zresztą Anny szczególnie to nie interesowało. Jej myśli krążyły wokół osobliwego człowieka siedzącego obok i czuła perliste krople potu na karku.

Akt trzeci włókł się w nieskończoność. Anna z trudem zachowywała spokój. To zakładała prawą nogę na lewą, to znów lewą na prawą, palcami wczepiła się mocno w czarną torebkę i wyobrażała sobie, jak zapewne będzie błyszczała się jej twarz, gdy zapala światło. „Na miłość boską”, pomyślała, musi się przecież coś wydarzyć, ale pytanie mężczyzny ciągle jeszcze wisiało w powietrzu. Zapędzona w ślepy zaułek, nie mając pojęcia, co dalej zrobić, powiedziała przez zęby do siedzącego obok mężczyzny:

- Myślę, że powinniśmy podjąć pertraktacje od nowa...

- Słucham?

- Myślę, że powinniśmy...

- Pssst! - doszło sykanie z ósmego rzędu, a wygolony sąsiad Anny, o ile można było dostrzec to w ciemności, machnął uspokajająco ręką, co zapewne miało znaczyć, że dobrze Annę zrozumiał, a „słucham?” wyszeptał tylko na znak wzburzenia.

Zauważyła jeszcze, podczas gdy Orfeusz i Eurydyka padli sobie w objęcia, co również w wypadku tej opery można uznać za niezawodny znak zbliżającego się zakończenia, że nieznajomy wyciągnął z marynarki kartę wizytową, na której zaczął coś bazgrać długopisem.

Po ostatnim akordzie kurtyna opadła, publiczność zaczęła bić brawo i właśnie w momencie gdy blask rozproszył mrok parkietu, mężczyzna siedzący obok niej zerwał się z miejsca, wcisnął jej wizytówkę do ręki i dość bezwzględnie zaczął przepychać się ze środka rzędu, zanim jeszcze Annie udało się pójść jego śladem.

Później, w foyer, Anna obejrzała wizytówkę, na której polecała swoje usługi wypożyczalnia samochodów VIS, Budapest Strasse 43, Europa-Center. Ale zapewne nie o tym chciał ją poinformować wygolony mężczyzna o czerwonych policzkach. Anna odwróciła wizytówkę i dostrzegła niezgrabną notatkę sporządzoną staroświeckim charakterem pisma. Po kilku podejściach

odszyfrowała w końcu jej treść: „Jutro o 13.00 — muzeum - Nefretete - nowa oferta!”.

Do diabła z tym facetem! Mężczyzna budził w niej niechęć. Znamy to: są ludzie, których spotyka się pierwszy raz, zamienia się z nimi zaledwie słowo, a mimo to budzą od razu naszą nieopisaną niechęć. Anna nienawidziła mężczyzn o czerwonych policzkach, nienawidziła mężczyzn świecących się jak słońca.

Mimo to nie wątpiła ani przez sekundę, że jutro pójdzie na to spotkanie.

6

Każdą inną kobietę takie miejsce spotkania wprawiłoby zapewne w stan głębokiej bezradności. W końcu Nefretete była egipską królową. Anna von Seydlitz wiedziała naturalnie, że światowej sławy wapienne popiersie Nefretete, wykopane na przełomie wieków przez Niemców, jest od zakończenia wojny wystawiane w muzeum w Dahlem. Miejsce spotkania potwierdziło podejrzenie, które żywiła od samego początku, że nieznajomy może być zainteresowany jakimś drogocennym antykiem.

Marszandzi poważają ludzi tego pokroju, ponieważ są oni gotowi zapłacić każdą cenę za obiekt swojego pożądanego. Spośród takiej klienteli Anna знаła więcej niż jednego kolekcjonera, który chociaż niestęchanie zamożny, zadłużył się niebezpiecznie tylko po to, żeby wejść w posiadanie jakiejś niedorzecznej kosztowności, która jak mu się wydawało, byłaby godna ukoronować jego zbiory.

Anna podejrzewała, że coś podobnego kryje również plan nieznajomego. Ponieważ jednak zaczęła żywić obawy, że wplącze się w jakąś kryminalną sprawę (mężczyzna, który zdradzał ją z inną, był również zdolny do ukrywania przed nią podejrzanych interesów) podjęła decyzję, że podczas jutrzejszego spotkania poinformuje nieznajomego o śmierci męża. Ten człowiek będzie wtedy musiał wyciągnąć kota z worka i wyjaśnić, co u diabła jest dla niego warte tyle pieniędzy i dlaczego wszystko to odbywa się w tak dziwny sposób. Tak myślała.

Około południa wszystkie muzea na świecie są prawie puste, a muzeum w Dahlem nie stanowiło wyjątku. Anna dostrzegła mężczyznę z opery,

zapatrzonego w mozaikę na podłodze. Rozpoznała go z daleka, chociaż teraz, w świetle dziennym, ubrany w jasny trencz, sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Stał z rękami splecionymi z tyłu.

Anna podeszła do niego z boku. Zdawało się wprawdzie, że mężczyzna ją dostrzegł, ale wcale nie śpieszył się, by podnieść na nią wzrok. Zatopiony w myślach zaczął naraz mówić:

- To jest Orfeusz z lirą, ktoś, kto znał tajemnice bóstwa - i uśmiechnął się prawie z zakłopotaniem. A potem ciągnął: - Istnieje wiele wersji na temat jego śmierci. Jedna mówi, że zabił go piorunem Zeus Gromowładny za karę, że przekazał ludziom boską mądrość. Proszę mi wierzyć, to jest jedyna słuszna wersja.

Anna stała jak wryta. Całkiem inaczej wyobrażała sobie to spotkanie, a ten ni stąd, ni zowąd zaczyna wykład o Orfeuszu. Orfeusz? Wszystko to nie może przecież być przypadkowe. Poprzedniego wieczoru Orfeusz Glucka, a teraz facet stoi przed tą mozaiką i bredzi o śmierci mitologicznego śpiewaka.

Po chwili mężczyzna podniósł głowę, spojrzał na Annę badawczo jak kupiec na towar, następnie skrzyżował ręce na piersi i w tej pozycji, prze-Stępując z nogi na nogę, zaczął mówić:

- No dobrze, jesteśmy gotowi podnieść naszą ofertę do trzech czwartych miliona...

Użycie zaimka osobowego „my” wprawiło Annę w zadumę. Żaden prawdziwy kolekcjoner nie używa słowa „my”. Prawdziwy kolekcjoner, za jakiego do tej pory uważała mężczyznę o czerwonych policzkach, zna wyłącznie słówko „ja”. Toteż w Annie zrodziło się podejrzenie, że mimowolnie może zostać wciągnięta w jakąś tajemniczą sprawę. Tajne służby to oprócz Kościoła jedyna instytucja, która zna tylko słowo „my”.

- Obawiam się - powiedziała Anna - że każde z nas mówi o czymś innym.

- Nie rozumiem. Czy zechciałaby pani wyrażać się jaśniej?

- To ja p a n a chciałam o to prosić!

Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze:

- Przecież pani jest panią von Seydlitz?

- Tak. A kim pan jest?

- To nie ma nic do rzeczy, jeśli chodzi o nasz interes. Skoro jednak ma pani to pomóc, proszę nazywać mnie Tales.

Nie pomogło, a Anna tak czy inaczej uważała by za idiotyczne zwracać się do obcego mężczyzny per Tales, chociaż to imię pasowało do niego.

- Interesuje mnie - zaczął Tales od nowa - interesuje mnie przede wszystkim jedno: gdzie obecnie znajduje się pergamin?

Anna zareagowała na to pytanie z udawanym spokojem, chociaż przez głowę przemykało jej tysiąc myśli. Jaki pergamin? Nie miała pojęcia. Co Guido przed nią ukrywał? Zazwyczaj Anna wiedziała o wszystkich interesach, przynajmniej o tych większych. Dlaczego zataił przed nią akurat ten? Pergamin za trzy czwarte miliona?

Zrozumiała naraz wszystkie powiązania i domyśliła się, dlaczego podczas wypadku zniknęła aktówka Guida. Nie odkryła jednak, jaką rolę mogła odegrać tamta kobieta.

Długie milczenie Anny najwyraźniej denerwowało Talesa. W każdym razie znów w ten ohydny sposób zaczął wydmuchiwać powietrze przez nos. Brzmiało to jak zamykanie drzwi w metrze.

- Gdzie jest von Seydlitz? — zadał kolejne pytanie.

- Mój mąż nie żyje - odparła Anna mocnym głosem, w którym trudno było usłyszeć choćby cień smutku, i spojrzała nieznanemu w oczy.

Zmarszczył czoło tak, że jego krzaczaste brwi wyłoniły się zza szkieł okularów. Nie można było powiedzieć, że ta odpowiedź dotknęła go tak jak wiadomość o śmierci kogoś znajomego; wyglądał raczej na całkowicie wytrąconego z równowagi i zatroskanego o dalszy przebieg rozmów handlowych. Stąd w jego płaczliwym głosie nie zabrzmiał smutek, lecz raczej współczucie dla samego siebie:

- Ale przecież rozmawialiśmy jeszcze w ubiegłym tygodniu. To niemożliwe!

- Owszem! - powiedziała Anna zdecydowanie.

- Zawał serca?

- Wypadek drogowy.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- W porządku - Anna spuściła wzrok. - A uprzedzając pańskie pytanie, tak, to ja będę nadal prowadziła firmę i w takim sensie jestem teraz pańską partnerką do rozmów.

- Rozumiem.

W głosie Talesa pobrzmiwała rezygnacja. Najwyraźniej Guido wydawał mu się miłszym kontrahentem. Możliwe, że mężczyzna o czerwonych

policzkach z zasady nie lubił kobiet. Można było się tego domyślić po jego wyglądzie. Niezależnie od wszystkiego umacniało to tylko pozycję Anny.

Tales usiłował na nowo podjąć rozmowę:

- Pani mąż i ja dobrze się rozumieliśmy. Był to naprawdę niezwykle sympatyczny kontrahent, naprawdę bardzo fair.

Lewą ręką zrobił zamaszty ruch niczym zły aktor, który chce dać do zrozumienia, że byłoby lepiej ruszyć się z tego miejsca. Chyba bardzo się starał, żeby ich spotkanie wyglądało na całkiem niepozorne.

- Znał pan mojego męża? - zapytała Anna, idąc i ze znużeniem oglądając egipskie eksponaty po obu stronach sali.

- Co to znaczy „znać”? - odpowiedział Tales. - Prowadziliśmy rozmowy handlowe.

Dlaczego Guido nigdy nie wspomniał jej o Talesie? Coś tu się nie zgadzało. Właściwie Anna zamierzała powiedzieć nieznanemu prawdę. Że w ogóle nie wie, o co chodzi i gdzie znajduje się pergamin, na który jest on gotów wydać taki majątek. Później jednak wszystko potoczyło się całkiem inaczej, ponieważ nieznanomy zaczął mówić, używając ponownie zaimka osobowego „my”.

- Zapewne zadaje sobie pani pytanie, dlaczego jesteśmy gotowi za płacić tyle pieniędzy za kawałek pergaminu z paroma starymi znakami pisma. Już suma mówi pani zapewne, że ten przedmiot jest dla nas nie zwykle cenny. Nie robimy z tego tajemnicy. I trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek zaproponował pani więcej. Ważne jest dla nas tylko to, by nikt nie dowiedział się o pergaminie, a zwłaszcza o jego sprzedaży. Żeby nie przysporzyć pani kłopotów, chcemy pozostać całkowicie anonimowi. Wy płacimy żadaną sumę gotówką, a więc cała transakcja nie musi pozostawić śladu w żadnym bilansie. Czy się rozumiemy?

Anna nic z tego nie rozumiała. Dotarło do niej jedynie, że dziwny /mężczyzna idący obok niej gotów jest zapłacić trzy czwarte miliona za rzecz, która podobno znajduje się w jej posiadaniu i która może pochodzi nawet z kradzieży, a o której ona nie ma zielonego pojęcia.

Całkiem niespodziewanie Tales zapytał:

- Czy przyniosła pani ten pergamin? To znaczy, mam na myśli, czy znajduje się on w Berlinie?

- Nie - odparła Anna bez namysłu i zgodnie z prawdą.

Ta odpowiedź bardzo rozczarowała mężczyznę o czerwonych policzkach.

- Rozumiem - powiedział speszony i z szybkością, która ją oszołomiła, skinął uprzejmie głową na pożegnanie. Odwracając się, dodał jeszcze:

- Zgłosimy się niebawem, do widzenia.

W odróżnieniu od wczorajszego wieczoru Anna mogła dzisiaj z łatwością pójść za nieznanym. Mogła go nawet zatrzymać, zadać mu dowolne pytania. Ale te myśli szybko się ulotniły, nie wiedziała bowiem, czego w ogóle mogłaby od niego chcieć.

7

Anna nie została w Berlinie ani dnia dłużej. Dręczyło ją niejasne przecucie, że lada moment wydarzy się coś niesamowitego. Zasnute mgłą ulice, cuchnące wyziewy dobywające się z rynsztoków i głośny ruch — wszystko to naraz wywoływało w niej poczucie zagrożenia. Nigdy jeszcze nie przeżywała czegoś podobnego, bo nie istniał ku temu żaden powód. W końcu była kobietą, która obiema nogami stoi na ziemi i którą mogą przerazić tylko ujemne bilanse i urząd skarbowy.

Teraz jednak przyłapała się na tym, że odskakuje w bok, gdy hamują obok niej auta, i szerokim łukiem omija zebraka tylko dlatego, że ten omiata ją pełnym nadziei wzrokiem. Odnosiła wrażenie, jakby wszystko obracało się wyłącznie wokół jej osoby, chociaż wydarzenia zarówno dawniejsze, jak i te obecne niewiele miały z nią wspólnego.

Podczas lotu do Monachium, który na długo miał zostać jej jedynym przyjemnym wspomnieniem, gdyż ponad chmurami świeciło słońce, a ona miała do swojej dyspozycji cały rząd foteli, usiłowała znaleźć jakieś wyjaśnienie wszystkich ostatnich zdarzeń. Ale go nie znalazła. Zadała sobie jednak pytanie, czy do śmiertelnego wypadku Guida doszło tylko przypadkowo, czy też ktoś w tym dopomógł.

Na drzwiach domu znalazła czerwoną kartkę ze stemplem policyjnym i odręcznym dopiskiem, aby jak najszybciej zgłosiła się na posterunek w swojej dzielnicy. Powód tego wezwania stał się dla niej całkiem jasny, gdy tylko otworzyła drzwi do mieszkania. Włamywacze przeszukali cały dom, pootwierali szafy i komody, wysypali ich zawartość, tak że ubrania i różne inne rzeczy

walały się bezładnie, porzucali książki z regałów i obrazy ze ścian, a nawet poodwracali dywany.

Ujrzawszy ten cały bałagan, Anna usiadła na krześle i rozplakała się. Ku jej zdumieniu nie skradziono ani cennych srebrnych naczyń ani kolekcji figur porcelanowych. Tak, po pierwszych oględzinach stwierdziła, że absolutnie niczego nie brakuje, nawet gotówki, kilkuset marek, które leżały na widocznym miejscu w barokowym sekretarzyku.

Wydawało się więc jasne, że tego dzieła zniszczenia nie dokonali zwykli złodzieje, tylko że miało związek z przeklętym pergaminem. Nie było żadnej wątpliwości, szukano tu tego dokumentu, ale włamywacze niczego nie znaleźli i musieli odejść z kwitkiem. Ludzie gotowi zapłacić trzy czwarte miliona nie kradną sreber.

Jednakże w swych rozważaniach Anna natrafiła na kilka niejasnych punktów. Choćby to, czemu ci ludzie włamali się do domu w Monachium, a pertraktowali z nią w Berlinie? Albo jak to się stało, że wiedzieli o jej nieobecności w domu, a nie mieli pojęcia o śmierci jej męża?

Na posterunku policji Anna dowiedziała się, że włamanie zgłosili sąsiedzi, gdy zauważyli w ogrodzie dwie podejrzone postacie z latarkami. Poinformowano ją także, że podczas badania samochodu nie stwierdzono w nim usterek technicznych ani udziału osób trzecich. Innymi słowy, Guido sam ponosił winę za wypadek, zawiódł człowiek - najbardziej obojętne określenie przyczyny ludzkiej śmierci.

Jakiś policjant wręczył Annie kopertę z kilkoma nieistotnymi przedmiotami znalezionymi podczas przeszukiwania samochodu. Wśród nich znajdował się kluczyk od skrzynki pocztowej, którego Anna i jej mąż szukali już od dawna, karta kredytowa o podobnej historii, połamane wieczne pióro, którego jak sięgała pamięcią, nigdy nie widziała u Guida, i nabój z atramentem do tegoż pióra. Brakowało aparatu fotograficznego leżącego zawsze w schowku na rękawiczki. Na pytanie Anna otrzymała odpowiedź, że we wraku samochodu nie znaleziono żadnego aparatu.

W takiej sytuacji bez wyjścia, która jak się zdawało miała nie tylko jedną przyczynę i nie tylko jeden motyw - Anna nadal chciała się dowiedzieć: a) z kim jej zmarły mąż spędzał czas w trakcie rzekomych delegacji służbowych, b) bardzo ją interesowało, gdzie obecnie znajduje się pergamin, gdyż trzy czwarte miliona to w końcu niebagatelna kwota, i c) chodziło jej o to, by lepiej naświetlić sytuację, w którą ona, nie mając o tym pojęcia, została uwikłana

bardziej niżby sobie tego życzyła - w takiej bez mała metafizycznej sytuacji człowiek chwyta się nawet źdźbła trawy. W skrytości ducha Anna miała nadzieję, że kiedy otrzyma z powrotem film, który dała do wywołania, odkryje na nim fotki kochanki męża; szukała wszakże potwierdzenia swoich przypuszczeń. Wtedy jej świat przynajmniej pod tym względem wróciłby do normy. Źle myślała o Guidzie i o mężczyznach w ogóle, a może nawet podjęła decyzję, że w ten czy inny sposób się na nich zemści.

Dlatego też początkowo była rozczarowana, gdy wręczono jej wywołany film i zamiast jakichś pikantnych ujęć zobaczyła serię potwornie nudnych fotografii, które jednak już w następnej chwili zelektryzowały ją niczym krótkie spięcie. Ujrzała bowiem zdjęcia jakiegoś postrzępionego dokumentu, trzydzieści sześć razy ten sam motyw.

Pergamin! Anna przycisnęła ręce do ust. Przy bliższym obejrzeniu negatywów dało się zauważyć, że zdjęcia zrobiono w największym pośpiechu na świeżym powietrzu, a ktoś trzymał ten cenny przedmiot odpowiednio ustawiony do kamery. Wigulaus, na którego natychmiast padło podejrzenie Anny, zaprzeczył, jakoby uczestniczył w robieniu tych zdjęć, potwierdził jednak, że zna oryginał, a przynajmniej widział go w sklepowym sejfie, co go zdziwiło, gdyż w sejfie były przechowywane wyłącznie przedmioty o ogromnej wartości, takie jak biżuteria lub wyroby ze złota. Na pytanie, czy Guido kiedykolwiek wspominał o pergaminie, młodzieniec odpowiedział, że nie, że o jego istnieniu dowiedział się wyłącznie przy okazji wpisu do księgi ewidencji towarów, w której zgodnie z poleceniem zaksięgował zakup na sumę tysiąca marek.

I rzeczywiście przedmiot ten został należycie zaksięgowany jako „pergamin koptyjski”. W rubryce „pochodzenie” Anna znalazła wpis „prywatne”. Wigulaus nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, kiedy po raz ostatni widział pergamin w sejfie, przypuszczalnie jednak w dzień śmierci Guida von Seydlitz, a na usprawiedliwienie powiedział, że po prostu pergamin nie wydawał mu się na tyle ważny, żeby się nim jakoś szczególnie interesować. Teraz jednak dokument zniknął.

Czy wie, jaką treść skrywa pergamin?

O nie, roześmiał się Wigulaus, wartością tego dokumentu nie jest z pewnością jego treść, tylko wiek. Poza tym linijki są w wielu miejscach nieczytelne. Już sam fakt, że ten pergamin trafił na rynek sztuki, pozwala wyciągnąć wnioski, że nie ma on dużego znaczenia historycznego.

Zatem i ta rozmowa skończyła się podobnie jak wszystkie inne, które Anna prowadziła od chwili śmierci Guida, czyli głęboką podejrzliwością i mocnym postanowieniem zgłębienia tajemnicy pergaminu na własną rękę. Teraz jednak miała przed sobą kilka odbitek fotograficznych różnej jakości, wszystkie mniej więcej standardowej wielkości połowy arkusza papieru listowego, które fachowcy z pewnością mogłyby wiele powiedzieć. W głębi duszy Anna zaczęła przypuszczać, czego w żaden sposób nie potrafiła dowieść, że śmierć Guida jakoś wiąże się z treścią pergaminu.

8

Była to taka osobliwa forma logiki, na którą osoby stojące z boku wyłącznie kręcą głową, jednak osobie zaangażowanej w daną sprawę wydaje się ona do tego stopnia oczywista, że nieufnie podchodzi do każdego sceptyka. Pełna wątpliwości Anna zaczęła szukać jakiegoś specjalisty, który mógłby wyjaśnić jej treść zapisu na pergaminie. Ponieważ jednak obawiała się nieprzyjemnych pytań o pochodzenie dokumentu i o to, gdzie on się znajduje, nie zwróciła się do żadnego znanego badacza sztuki i historii koptyjskiej, tylko skorzystała z usług renomowanego w mieście pośrednika, który za gotówkę znajdował specjalistę w dowolnej dziedzinie. Przeważnie byli to bardzo starzy, na pół ślepi emerytowani profesorowie albo rozpici, prowadzący badania na własną rękę uczeni o wiedzy godnej ogromnego szacunku i zawsze gotowi napisać eksperytyzy odpowiadające życzeniom zleceniodawcy.

Doktor Werner Rauschenbach należał do tych ostatnich. Mieszkał na mansardzie przy Kanalstrasse, gdzie kamienice były bardzo zaniedbane, ale za to mieszkania charakteryzowały się niskimi czynszami.

- Ostrożnie na klatce schodowej! - ostrzegł Annę przez telefon. -W stopniach są dziury, a poręcz też już niedługo wytrzyma.

Nie przesadzał.

Mieszkanie Rauschenbacha było pod wieloma względami godne uwagi, ale wyróżniało się przede wszystkim zbiorami dwóch rzeczy, których Anna jeszcze nigdy nie widziała w takich ilościach w jednym miejscu: książkami i butelkami, co wcale nie było aż tak rzadką kombinacją, ale w takim nagromadzeniu dość nieoczekiwaną. Książki leżały w stertach pod ścianami, większość

bez podpory półek, sięgające kolan stosy zadrukowanych kartek piętrzyły się w pozornym nieładzie na podłodze, między nimi stały kanciaste butelki po czerwonym winie. Jedyne wolne fragmenty ściany w ponurym gabinecie zajmowała wycięta z czasopisma ilustrowanego z lat czterdziestych fotografia Rity Hayworth.

Zdawało się, że czas Rauschenbacha właśnie wtedy się zatrzymał. Tu uczony wyciosał swój wymarzony świat z opilstwa i wiedzy, z czego tłumaczył się wszystkim odwiedzającym go gościom. Tak więc i Anna musiała wysłuchać całego życiorysu, zresztą nie bez współczucia, ponieważ historia uczonego pokazywała, że człowiek raz wyrzucony z utartego toru nie ma już właściwie szansy powrotu do normalnego życia. Przeważnie zaczyna się to od nieudanego małżeństwa. W wypadku Rauschenbacha również nie było inaczej. Z jego opowieści nie wynikało jednoznacznie, czy to alkohol spowodował tę porażkę czy też porażka doprowadziła do alkoholizmu.

Ojciec, musiała wysłuchać Anna, ambitnie przegrał wszystkie pieniądze, które zarobił jako handlarz sukna. On sam spędził dzieciństwo i młodość w pobożnym domu, co jest powodem tego, że jeszcze dzisiaj szerokim łukiem omija wszystkie kościoły i wszystkich klechów. Wcześniej, nazbyt wcześnie, poprawił się, poślubił starszą kobietę w białej sukni i w zielonym wianku mirtowym, ale to było właściwie wszystko, co przypominało małżeństwo. Żona wydawała więcej, niż on zarabiał - historycy sztuki nie są szczególnie dobrze opłacani. Długi, utrata pracy, rozwód, dzięki Bogu żadnych dzieci.

Podczas tej spowiedzi jakiś adapter odtwarzał chór niewolników z opery Nabucco, co byłoby do zniesienia, gdyby automat nie powtarzał ciągle tego samego fragmentu. Rauschenbach, z natury szczupły i bardzo wysoki, z ogromnymi oczyma, mówiąc siedział na bardzo starym, trzeszczącym krześle drewnianym i gdy wreszcie uporał się z opowieścią o swoim losie, zapytał:

- Ile jest dla pani warta ta ekspertyza, pani Seiler?
- Seydlitz - poprawiła go Anna uprzejmie i dodała: -To nieporozumienie.
- Wyciągnęła z koperty duże zdjęcie, po czym powiedziała: - Nie chcę od pana ekspertyzy. Proszę spojrzeć, mam tutaj fotografię pewnego pergaminu. Chciałabym się tylko od pana dowiedzieć, o co tu chodzi, jak brzmi zapisany na nim tekst i jaka byłaby pana zdaniem wartość oryginału?

Rauschenbach wziął do ręki kopię i oglądał ją, daleko wyciągając ramiona. Zrobił przy tym taką minę, jakby właśnie napił się octu.

- Tysiąc — powiedział, nie odwracając wzroku od zdjęcia - pięćset od razu, reszta przy odbiorze, bez rachunku.

- Zgoda — odparła Anna, która szybko zrozumiała, że takie biedaczysko jak Rauschenbach nie pracuje z zamiłowaniem do sztuki, ale jedynie po to, by przeżyć. Wyjęła z torebki pięć banknotów i położyła je na pomalowanym na czarno stole kuchennym służącym za biurko. - Ile czasu będzie pan potrzebował?

- To zależy—odparł chudzielec i podszedł do jedynej w mansardzie okna, które rozjaśniało pomieszczenie. - Wszystko zależy od tego, z czym mamy tu do czynienia. Czy nie dysponuje pani oryginałem, pani Seiler?

- Seydlitz. — Anna starała się zdradzić jak najmniej informacji o zagadkowym pergaminie. - Nie - odparła krótko.

- Rozumiem - warknął rozeźlony Rauschenbach. - Paserstwo?

Anna wybuchnęła gniewem:

- Doktorze Rauschenbach, wypraszam sobie! Zaproponowano mi kupno tego pergaminu, chciałabym się więc od pana dowiedzieć, czy jest wart tych pieniędzy, ale przede wszystkim, co to jest. Skoro jednak ma pan zastrzeżenia...

Anna uczyniła jedyną słuszną rzecz, jaką mogła zrobić w tej sytuacji. Udała, że chce schować pieniądze, czym natychmiast rozproszyła wszelkie wątpliwości mężczyzny.

- Nie, nie - zawołał - niech mnie pani źle nie zrozumie, ale jestem człowiekiem przezornym, nie chcę po prostu dopuścić się żadnego przestępstwa. Nie sądzi pani chyba, że nie wiem, iż ludzie, którzy do mnie przychodzą, mają do tego powody. W końcu to profesor Guthmann uchodzi za eksperta par excellence. Oczywiście również pani ma bardzo poważne powody, skoro przyszła pani akurat do mnie, ale to mi nie przeszkadza, dopóki wszystko pozostanie między nami, jeśli pani rozumie, co mam na myśli, pani... Seydlitz.

Przynajmniej zapamiętał wreszcie jej nazwisko, pomyślała Anna i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że ten jegomość, którego głównie odwiedzali ludzie mający coś do ukrycia, byłby dobrym obiektem do szantażowania. Na myśl o tym poczuła się nieswojo, zanim jednak zdążyła rozwinąć ten fatalny pomysł, Rauschenbach zagłębiany w zdjęcie niczym kryminolog zaczął powoli mówić:

- O ile dobrze widzę, mamy tu do czynienia z pergaminem koptyjskim, pismo jest jednak greckie, przetykane staroegipskim pismem ludowym, typowym dla koptyjskiego z pierwszych wieków naszej ery. Oznaczałoby to, zakładając prawdziwość pergaminu, co jednak zdołałbym stwierdzić jedynie na podstawie oryginału, że ten dokument ma mniej więcej półtora tysiąca lat.

Rauschenbach poczuł, że Anna wpatruje się w niego podekscytowana, toteż od początku usiłował stonować jej oczekiwania:

- Mam nadzieję, że pani nie zawiodę, jeśli powiem, że dokumenty tego rodzaju nie są wcale rzadkie, w związku z czym nie mają też szczególnej wartości. Całe ich mnóstwo znajdowano wcześniej w klasztorach i jaskiniach, przeważnie były to dokumenty bez znaczenia, ale natrafiano również na teksty biblijne i pisma gnostyckie. Jeśli takie pergaminy są dobrze zachowane, płaci się za nie tysiąc marek, ale w tym wypadku, o ile to dobrze widzę, nie mamy do czynienia z obiektem pierwszej klasy. Wie pani, pani...

- Seydlitz! - uzupełniła zdenerwowana Anna.

- Wie pani, pani Seydlitz, nie ma zbyt wielu kolekcjonerów rękopisów koptyjskich, a muzea i biblioteki są zainteresowane głównie spójnymi tekstami, które mogą posłużyć jako podstawa badań naukowych.

Anna skinęła potakująco głową:

- Rozumiem. Nie sądzi pan zatem, że ten pergamin, przy założeniu, że jest prawdziwy, mógłby być dla jakichś ludzi przedmiotem szczególnego pożądanego?

Rauschenbach spojrział Annie w oczy. Zdawało się, że to dziwne sformułowanie zrobiło na nim wrażenie. Uśmiechnął się nieśmiało.

- Kto to wie, co dla kogo może stać się przedmiotem pożądanego. Tysiąc marek - powiedział wreszcie, kręcąc głową - więcej bym za to nie dał.

Anna zastanawiała się, jak nie zdradzając się, dać Rauschenbachowi do zrozumienia, ile znaczy ten pergamin. Mogłaby oczywiście opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się do tej pory, ale wątpiła, czy w ogóle by jej uwierzył. Poza tym nie miała do niego zaufania, dlatego też poprosiła tylko, aby jak najdokładniej przetłumaczył ten tekst albo przynajmniej oddał jego treść.

Wtedy Rauschenbach wyciągnął spod stołu butelkę i nalał sobie pełen kieliszek.

- Czy pani też wypije łyżeczek? - zapytał nieobecny duchem i w nadziei, że Anna odmówi, po czym przesuwając nerwowo prawą ręką po zdjęciu, długo

wyjaśniał, jak trudno odszyfrować takie stare teksty. Zdjęcie, na dodatek kiepskie, jeszcze bardziej utrudnia to zadanie. Anna nie była pewna, czy Rauschenbach jest po prostu zbyt leniwy i dokonując powierzchownej ekspertyzy, chce tylko szybko zarobić pieniądze, czy też może ma inny powód, aby nie badać tego tekstu?

Zdawało się, że wino wyostrzyło jego zmysły i Rauschenbach odgadł myśli Anny, bo zatopiony w dokumencie powiedział:

- Myśli pani oczywiście, że chcę sobie ułatwić pracę, ale pragnę panią uspokoić, że dostarczę pani tłumaczenie, o ile tylko będzie to możliwe przy tym materiale. Jednak - pokiwał wyciągniętym palcem wskazującym - niech pani sobie zbyt wiele po tym nie obiecuje.

Anna spojrzała na Rauschenbacha.

- Proszę mi wierzyć - zapewnił uczony - istnieją już całe kodeksy z czasów koptyjskich, których nikt nie kupuje. Chcę powiedzieć, że w wypadku takich znalezisk nie wystarczy samo odkrycie, potrzeba też naukowego zaangażowania odkrywcy, który wszystko udokumentuje i umieści w historycznym kontekście. Wie pani, pergamin czy papirus nie jest mumią ani rzeźbą, ani też złotą maską, która ekscytuje ludzi. Jedno z najznamienitszych odkryć pod tym względem, tak zwany Kodeks Junga, błędził długo po świecie, zanim zainteresowała się nim nauka. To niewiarygodna historia... ale nie chcę pani nudzić.

- O nie - odparła Anna - w ogóle mnie pan nie nudzi.

Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że Rauschenbach usiłuje pomniejszyć znaczenie jej pergaminu. A kiedy dołał sobie wina i zaczął mówić, Anna zastanawiała się, jakie mogą być powody jego zachowania.

- Odkrycie Kodeksu Junga - wywodził Rauschenbach - przypada na rok 1945. W glinianych dzbanach złożonych w starym grobie egipscy fellachowie odkryli wówczas piętnaście koptyjskich rękopisów, ksiąg z nadgniętymi skórzanymi okładzinami, którymi nikt się nie interesował. Sprzedali je za kilka piastrow w Kairze, gdzie jedna z tych ksiąg trafiła do muzeum, a kolejna do pewnego antykwariusza. Jedenaście pozostałych, dwie tymczasem spalono, zniknęło na zawsze w jakichś mrocznych kanałach, stając się tylko tematem krążących plotek. Istniały zapewne różne powody braku zainteresowania tymi obszernymi rękopisami, jednym z nich była jednak niewątpliwie gnostycka treść ksiąg.

- Czy mógłby pan wyjaśnić to bliżej?

- Przez gnozę i gnostycyzm każdy rozumie co innego i ma to swoje przyczyny. W pierwszych stuleciach naszej ery żyli filozofowie i teologowie gnostycy, którzy udali się na poszukiwanie praźródeł i istoty człowieka. Oddani Kościołowi wyznawcy gnozy, jak Orygenes czy Klemens z Aleksandrii, chcieli wesprzeć wiarę chrześcijańską. Niepodlegający tej instytucji gnostycy w osobach Bazylidesa czy Walentyna stworzyli staroorientalny mistycyzm. Jasne, że jedni stali się wrogami drugich, twierdząc, że świat jest wątpliwym dziełem niedoskonałego złego ducha stwórczego. A więc nic o Bogu, który dobrodusznie unosi się nad wodami - Rauschenbach zachichotał pod nosem. - Ale wróćmy do znalezionych rękopisów. Kairski antykwariusz zawiózł swój Kodeks do Ameryki w nadziei, że znajdzie tam kupca i otrzyma godziwą cenę. Jak się okazało, na próżno. Zdawało się, że żadnego kolekcjonera ani muzeum nie interesuje ten stary rękopis. Wiele lat później przedmiot ów pojawił się w Brukseli. Zmienił tymczasem właściciela, który wystawił go na rynku sztuki. Pewien szwajcarski mecenas kupił Kodeks i podarował go Instytutowi Carla Gustawa Junga w Zurychu. Jest tam przechowywany jeszcze dzisiaj i nosi od tej pory nazwę Kodeksu Junga.

- A reszta znalezionych ksiąg?

- Zagadkowa historia. Po odkryciu uchodziły początkowo za zaginione i należało obawiać się najgorszego. Ale pewien koptolog francuski, któremu pokazano Kodeks przechowywany w muzeum, opowiedział członkom Paryskiej Akademii Nauk o rękopisie i jego prawdopodobnym znaczeniu. Relacja ukazała się w jednym z kairskich czasopism, w odpowiedzi na co pewna stara panna poinformowała, że odziedziczyła te jedenaście kodeksów po swoim ojcu, kairskim numizmatyku, i jest gotowa sprzedać je Muzeum Kairskiemu. Cena wynosiła pięćdziesiąt tysięcy funtów. To była spora kwota, ale całkowicie adekwatna do wartości przedmiotów, które wszakże zawierały mniej więcej tysiąc ciasno zapisanych stron w języku koptyjskim i co zdołał stwierdzić jeden z francuskich profesorów, nie mniej niż czterdzieści osiem różnych dokumentów gnostyckich. Stosowne instytucje miały zbyt mało pieniędzy, ale z chwilą, gdy księgi stały się znane, na całym świecie znalazło się wiele osób zainteresowanych tymi cennymi dokumentami. Ale rząd egipski, chociaż żadna instytucja nie była gotowa zapłacić wymaganej sumy, położył tamę wszelkim zakusom i zaryglował wszystkie jedenaście foliałów w skrzyni, po czym oddał je na przechowanie do muzeum. Leżały tam siedem lat, targowano się

o nie i handlowano, tymczasem wybuchła rewolucja i Egipcjanie stanęli przed innymi problemami. W końcu prawowita właścicielka musiała dochodzić swoich żądań w sądzie. Teraz wiadomo wprawdzie, gdzie można znaleźć kodeksy, ale ich treść jest znana tylko wrywkowo.

- Jak to możliwe?

- Jest ku temu wiele powodów, niektóre banalne, inne poważniejsze. Naukowcy to ludzie próżni. Ktoś, kto raz wgrzyzie się w daną materię, rzadko pozwala zajrzeć sobie w karty, toteż niektórzy dlatego właśnie pracują pół życia nad takim jednym obiektem. Koptycjczycy reprezentują w Egipcie znikomą mniejszość religijną: religią państwową jest islam, dlatego też zainteresowanie instytucji religijnych badaniem dziejów religii koptyjskiej jest niewielkie. Ale istnieje jeszcze jeden powód, dla którego takie teksty nie są publikowane, i jest on może najbardziej intrygujący.

- Umieram z ciekawości.

- No cóż, te stare dokumenty spisywali bardzo mądzy ludzie, którzy chcieli przekazać coś potomności i częstokroć wiedzieli o czymś, o czym my nie mamy pojęcia. Znali, by tak rzec, tajemnice ludzkości.

- Chce pan powiedzieć, że również jeszcze dzisiaj są takie tajemnice?

Rauschenbach skinął potakująco głową:

- Jestem nawet o tym przekonany.

Podniósł kieliszek z czerwonym winem, gulgocząc, wlał w siebie całą jego zawartość i wierzchem dłoni otarł usta.

Anna spojrzała na niego. Chciała go poprosić, żeby mówił dalej, ale milczała. Później, miała tego świadomość, będzie się złościć, że straciła taką okazję, ale w jakiś niewyjaśniony sposób krępowała się zadawać kolejne pytania. Czuła, że Rauschenbach nie ma już ochoty mówić dalej i z pewnością użyłby jakichś wybiegów. Dlatego też wróciła do zasadniczego powodu swojej wizyty i zapytała:

- Jak pan myśli, czy ten pergamin nie może pochodzić z opisanego przez pana wykopaliska?

- To niemożliwe! - odpowiedział Rauschenbach bez namysłu. I jakby chciał się jeszcze raz upewnić, podsunął sobie zdjęcie pod sam nos. - To naprawdę absolutnie niemożliwe.

- A dlaczego jest pan tego taki pewny?

- To bardzo proste. Bo ten dokument spisano na pergaminie.

- I co z tego?

- Dokumenty, o których opowiadałem, zostały spisane na papirusach. Ale nie musi się pani czuć rozczarowana. Istnieje wystarczająco dużo pergaminów, które ze względu na treść są o wiele cenniejsze niż rękopisy sporządzone na papirusie.

Na tym rozmowa się skończyła. Rauschenbach powiedział, żeby Anna przyszła za trzy dni, bo tyle czasu zajmie mu badanie tekstu.

W drodze powrotnej, którą Anna przebyła pieszo, rozmyślała nad dziwnym zachowaniem Rauschenbacha. Prawdę mówiąc, to spotkanie niewiele odbiegało od jej wyobrażeń, ale zdarzyło się tam coś, co jej przeszkadzało. Mądry doktor Rauschenbach powiedział sporo o tekstach koptyjskich, ale ani słowem nie zająknął się na temat treści jej pergaminu. Nie wyraził nawet żadnego przypuszczenia, co jak na tak elokwentnego pijaka było dosyć niezwykle.

Anna nie wiedziała, co myśleć o takim zachowaniu. Nie była też pewna, czy może zaufać ekspertyzie, której dokona doktor Rauschenbach. Ale nie widziała żadnego wyraźnego powodu, dla którego Rauschenbach miałby być wobec niej nieuczciwy. To, że jego marny sposób życia, za który nazbyt ochoczo obwinał swój ciężki los, nie przypadł jej do gustu, nie musiał w konsekwencji oznaczać, że Rauschenbach jest złym albo niedbałym naukowcem. Wszak większość geniuszy cechuje niezwykle styl życia.

9

Przez następne dni Anna usiłowała uporządkować wszystko w głowie i złapała się na tym, że tam, gdzie po prostu nie potrafiła zrozumieć ostatnich wydarzeń, zaczynała wymyślać różne historie, które ostatecznie przyprawiły ją o lęk, niewyjaśniony, straszliwy lęk. A to widziała oczyma duszy Rauschenbacha, który ją śledził, żeby wejść w posiadanie tajemniczego pergaminu, to znów Donata, męża sparaliżowanej kobiety, który Bóg wie dlaczego zaaranżował śmiertelny wypadek drogowy niczym w powieści kryminalnej.

W tych dniach Anna zaczęła wbrew wcześniejszym przyzwyczajeniom popijać głównie koniak, który początkowo jeszcze jej smakował, ale spożywany w nadmiernej ilości tak rozstroił jej żołądek, że musiała parę razy zwymiotować.

Nienawidziła się z tego powodu i sama nie umiała wyrazić, co się działo w jej duszy. Czuła się jak motyl w wirze powietrza, motyl, któremu jakaś wyższa moc uniemożliwia lot w pożądanym kierunku. Anna miała wrażenie, że wciągają prąd powietrzny jakiejś nieznannej konieczności, wklajając ją w coraz mniej jasne sytuacje, i po prostu nie była wystarczająco silna, by dokonać jakiegokolwiek wyboru. Myślała o tym, żeby spakować małą walizkę, tylko najpotrzebniejsze rzeczy, i polecieć następnym samolotem na Karaiby, nie zostawiając nikomu adresu. Ale już w następnej chwili oczyma wyobraźni widziała mężczyznę o czerwonych policzkach, który czekał na nią przy wyjściu z samolotu. Anna zaczęła cierpieć na manię prześladowczą, na chorobliwą obsesję każącą jej w każdej najbardziej banalnej wypowiedzi lub przypadkowym zajęciu dostrzegać akt skierowany zawsze przeciwko niej.

Gdzie należało szukać wyjścia z tego zakłętego kręgu? Kto mógł zaprzeczyć, że w tych dniach i tygodniach działy się rzeczy, pod wpływem których trudno jej było nie zwątpić we własny rozsądek? Guido nie żyje, zagadkowa kobieta z jego samochodu ginie bez śladu, nieznajomi ludzie śledzą ją i oferują majątek za przedmiot, który rzekomo nie jest wart więcej niż kilkaset marek. To są fakty, a nie majaki.

W każdym razie Anna nie czuła się dobrze, gdy zgodnie z umową w piątek około godziny siedemnastej odwiedziła Rauschenbacha. W jakiś sposób pasował do tego zapuszczonego domu. Z trudem wyobrażała go sobie w innym otoczeniu. Jeszcze zanim nacisnęła podniszczony dzwonek w lejowatym zagłębieniu, usłyszała muzykę. Dlatego też naciskała dłużej niż to wypada gościowi, aby Rauschenbach spowity muzyką i winem usłyszał jej dzwonicie.

Ale Rauschenbach nie reagował. Najwyraźniej nie usłyszał również ponownego, gwałtownego dzwonka. Anna uderzyła ręką w drzwi.

- Doktorze Rauschenbach! - zawołała zdenerwowana. - Doktorze Rauschenbach, niech pan otworzy!

Hałas, jaki spowodowała, zwabił dozorcę, cwaniaczkowatego Jugosłowianina ze sztywną nogą, która jednak nie przeszkadzała mu tą drugą, zdrową, przeskakiwać dwóch stopni naraz i nadzwyczaj szybko dotrzeć na najwyższe piętro.

- Doktor nie ma? - zapytał, uśmiechając się.

- Nie, musi być, niech pan tylko posłucha tej muzyki! - odparła Anna.

Jugosłowianin nadstawił ucha, przycisnął je do kanciastej futryny drzwi i, co nie było zaskoczeniem, stwierdził:

- Muzyka tylko jak doktor w domu. Ale może... - i zrobił przy tym gest jak ktoś, kto opróżnia kieliszek, po czym puścił Annie oczko.

Podczas gdy dozorca próbował swoją pantomimą dać do zrozumienia, że Rauschenbach znów się upił, w Annę uderzyły jak biczem dochodzące z wnętrza mieszkania słowa: „Ach, utraciłem ją...”- aria z Orfeusza i Eurydyki. Natychmiast sama przyłożyła ucho do drzwi. Poczowała, jak krew pulsuje jej w skroniach. Nie było wątpliwości - aria Orfeusza!

- Czy ma pan dodatkowy klucz? - zagadnęła Jugosłowianina.

Dozorca nie pojmował przyczyn jej zdenerwowania, sięgnął spokojnie do kieszeni, wyjął stary duży klucz i podsunął go kobiecie pod nos:

- Klucz dozorecy - powiedział, szczerząc zęby. - Pasuje na każde drzwi.

- No to niech pan otworzy! - poprosiła Anna.

Wzruszając ramionami, co miało zapewne znaczyć tyle co: „Nie wiem, czy dobrze robię, ale jeśli pani tak uważa...”, wsunął nieforemny klucz do zamka, a po chwili Anna wpadła do mieszkania.

Rauschenbach siedział przy biurku pochylony mocno do przodu, odwrócona na bok głowa spoczywała na blacie. Z wykrzywionych ust zwiślał poszarzały i niezwykle długi język. Uczony miał otwarte oczy, ale widać było tylko białka. Przyjrząwszy się bliżej, Anna dostrzegła ciemne znamiona na jego szyi. Rauschenbach został uduszony.

Z gramofonu nadal dobiegały dźwięki arii. Gdy się skończyła, dźwignia podniosła się jakby za sprawą ducha, ustawiła się ponownie i zaczęła znów odtwarzać nieskończenie smutną melodię.

- Nie! Nie! Nie! - zawołała Anna i załoniła uszy rękami, a później dopadła adaptera. Dał się słyszeć ohydny skrzek. Potem zaległa cisza.

10

Od tej pory Anna zaczęła źle sypiać.

Zdawało jej się, że zapada w sen tylko na kilka sekund, na kilka krótkich sekund wobec bezkresnych godzin nocnych. Usiłowała kurczowo wpatrywać się otwartymi oczyma w sufit, gdzie w nieregularnych odstępach pojawiały się

na krótko światła przejeżdżających samochodów, przepływały po stropie i znowu znikwały. Kiedy tylko zamykała oczy, atakowały ją różne obrazy, dając się we znaki niczym dokuczliwe robactwo. Jak pijawki wsysały się w jej pamięć, a wydawały się tak jasne i wyraźne, że wkrótce z trudem odróżniała majaki od rzeczywistości, aż wreszcie oba światy zlewały się w jedno. Anna kilkakrotnie zadawała sobie na jawie pytanie, czy oszalała, czyjej mózg przestał prawidłowo funkcjonować, czy to sny podsuwały jej te niewiarygodne urojenia, sny, które zniszczyły kontrolny aparat umysłu.

Może sama siedziałas w tym aucie podczas wypadku, Anna zaczęła na poważnie zadawać sobie takie pytanie, może uderzenie spowodowało paraliż mózgu i zniszczyło ci pamięć, może bez świadomości kroczysz przez życie i przeżywasz wszystko poza jakąkolwiek rzeczywistością, może stan, w jakim się znajdujesz, zwie się śmiercią?

W takich chwilach Anna próbowała niekiedy wstać, aby dowieść, że jeszcze nad sobą panuje, ale każda próba kończyła się niepowodzeniem. Annie brakowało sił, by wykonać swoją wolę. Czuła się tak, jakby ktoś nią zawładnął i zdominował każdy jej ruch i każdą myśl. Później zaczęła wymawiać różne słowa, a odbijający się od ścian dźwięk jej głosu działał uspokajająco, wybudzał ją z tej męki i otwierała oczy.

Muszę poznać prawdę, powtarzała sobie raz po raz.

Śmierć Rauschenbacha sprawiła, że Anna ponownie znalazła się w nieprzyjemnej sytuacji. Musiała poddać się przykrym przesłuchaniom. Z trudem udało się jej wyjaśnić funkcjonariuszom służby kryminalnej, że w ogóle nie знаła Rauschenbacha ani jego przyzwyczajzeń i że za jego życia spotkała go tylko raz. Poza tym nie widziała powodu, by zatajać przyczynę swojego spotkania z badaczem. Wyjaśniła policji, że dała Rauschenbachowi do oceny zdjęcie pewnego starego pergaminu.

To zeznanie okazało się naraz brzemienne w skutki błędem. Po pierwsze bowiem nie znaleziono tego zdjęcia u Rauschenbacha, po drugie zaś twierdzenie Anny, że oryginał pergaminu zaginął podczas wypadku samochodowego jej męża, wydawało się osobliwe i mało wiarygodne, tak że wprawdzie nie oskarżono Anny o popełnienie zbrodni, ale zarzucono, że jej rola w całej sprawie jest dość niejasna.

Chociaż Anna nie mogła dostrzec związku między gwałtowną śmiercią Rauschenbacha i pergaminem, nie można było wykluczyć takiej możliwości.

Wskazywało na to przynajmniej zniknięcie zdjęcia. Im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej nabierała podejrzeń, że Guido nie mógł umrzeć śmiercią naturalną. Aby jednak posunąć się dalej, powinna poznać znaczenie pergaminu, zbadać jego wartość.

W związku z tym Annie przyszedł na myśl mężczyzna, o którym mimochodem wspomniał Rauschenbach, a którego znała z nazwiska. Jednak nigdy wcześniej się z nim nie zetknęła. Jak to powiedział Rauschenbach? „W końcu to profesor Guthmann uchodzi za eksperta *par excellence!*”.

Zabrawszy z sobą drugie zdjęcie, Anna udała się na Meiserstrasse, do instytutu mieszczącego się w monumentalnej budowli z czasów nazistowskich, z kamiennymi schodami i marmurową poręczą, gdzie pracował ekspert. Na drugim piętrze znalazła dwuskrzydłowe, pomalowane na biało drzwi z nazwiskiem Guthmann, ale tabliczka surowo informowała, że wejście jest możliwe po uprzednim zgłoszeniu się w pokoju 233. Anna posłuchała tej wskazówki.

11

Profesorów pracujących w instytutach uniwersyteckich wyobrażamy sobie zazwyczaj jako czcigodnych, starszych i brzuchatych panów w ciemnych garniturach z kamizelkami. Guthmann w ogóle nie pasował do tego stereotypu. Miał półdługie jasne włosy, nosił dżinsy i sprawiał wrażenie raczej źle wynagradzanego asystenta aniżeli dyrektora instytutu. Pośrodku pokoju przynajmniej dwa razy wyższego niż standardowy stał bardzo stary stół, a na nim leżały otwarte książki, mnóstwo zapisanych kartek i stopy manuskryptów owiązanych wstążkami niczym opakowane prezenty.

Guthmann wyciągnął spod stołu podniszczone drewniane krzesło, poprosił Annę, żeby usiadła, i zapytał o powód wizyty. Anna powtórzyła tę samą historyjkę, którą wcześniej zaserwowała Rauschenbachowi: zaferowano jej kupno pergaminu, więc interesuje ją jego wartość i treść.

Guthmann wziął dokument do ręki i lustrował go, mrużąc oczy. Ściągnął usta i wykrzywił się, jakby go coś zabolało. Milczał.

Nagle zerwał się jakby dokonał jakiegoś przerażającego odkrycia, wygrzebał spod ksiąg i rękopisów dużą okrągłą lupę, opadł z powrotem na krzesło i poziomymi ruchami zaczął wodzić nią po dokumencie. Od czasu do

czasu kręcił gniewnie głową, ale chwilę potem w kącikach jego ust zagościł uśmiech i wydawało się, że profesor naraz coś zrozumiał.

- Skąd pani to ma? - zapytał.

Anna odpowiedziała zgodnie z prawdą:

- Nie mam tego - i dodała niepewnie: - Zaoferowano mi to jedynie.

- Rozumiem - odparł Guthmann, nie spuszczać kartki z oka. - Ile to ma kosztować, jeśli wolno zapytać?

Anna uniosła ramiona.

- To ja mam zaproponować jakąś cenę.

- Wie pani - zaczął profesor ceremonialnie - pergaminy koptyjskie nie są warte majątku, jest ich po prostu zbyt wiele na rynku. Wartość takiego dokumentu w mniejszym stopniu określa jego wiek czy stan, w jakim się zachował, w większym zaś treść. A ten tekst wydaje mi się dość interesujący. Tutaj - Guthmann wziął lupę i pokazał Annie konkretną linijkę - tu widzę imię „Barabasz”.

- Barabasz?

- Fantom historyczny. Straszy zarówno w tekstach koptyjskich, jak i żydowskich. W tekstach biblijnych mówi się o nim jako o buntowniku. Nawet w zwojach Pisma znad Morza Czarnego pojawia się to imię, chociaż nie ma tam wzmianki o jego znaczeniu. Kolega Marc Vossius, wykładający na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, zajmował się przez pół życia Barabaszem i dlatego niektórzy ludzie nawet uważają go za szaleńca.

Anna von Seydlitz stała się nagle niezwykle czujna.

- Profesorze, czy dobrze pana rozumiem? Istnieje tak doniosła osobistość historyczna o imieniu Barabasz, że jej imię pojawia się w najrozmaitszych przekazach, chociaż do dzisiaj nie udało się zanalizować znaczenia... tego fantomu.

- Otóż to.

- I na tym pergaminie znajduje się wzmianka o owym Barabaszu?

Guthmann ponownie wziął lupę do ręki, zerknął przez szkło i powiedział:

- Na to wygląda.

Anna drążyła dalej:

- Czy istnieje więcej takich historycznych fantomów?

- O tak - odparł profesor. - Nie każdy z nich był tak gadatliwy jak Juliusz Cezar, którego życie poznaliśmy dzięki niemu samemu; z drugiej

strony wiele dokumentów zaginęło. Na przykład prawie nic nie wiemy o Arystoksenosie, uczniu Arystotelesa, chociaż był jednym z najmądrzejszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi. Napisał czterysta pięćdziesiąt trzy księgi, ale nie zachowała się ani jedna. Jeśli chodzi o Barabasza, to znamy tylko jego imię i kilka wzmianek o nim.

Chwilę później Guthmann dał do zrozumienia, że ten pergamin bardzo go zainteresował. Do Anny dotarło, dlaczego profesor przez cały czas wzdragał się określić jego przypuszczalną wartość. Wreszcie oznajmił, że potrzebuje mniej więcej tygodnia na zbadanie treści dokumentu. Nie padło ani słowo na temat honorarium.

Po wizycie u profesora Guthmanna Anna poczuła pewną ulgę. Sama nie umiała powiedzieć dlaczego, ale potwierdziło to tylko jej przypuszczenia, że ten pergamin odgrywa główną rolę we wszystkich osobliwych wydarzeniach ostatnich dni.

Gdy przez duże drzwi wejściowe wyszła z instytutu na świeże powietrze, przemknął obok niej pewien mężczyzna, którego jak się jej zdawało, już kiedyś widziała, ale natychmiast porzuciła tę myśl. Zbyt wiele obrazów, zbyt wielu ludzi spotykała co noc, aby mieć odwagę wzbudzać w sobie jakiegokolwiek podejrzenie.

W drodze do domu wstąpiła do bistra na Theresienstrasse, gdzie przy wysokich marmurowych stolikach oferowano wyborne specjały z makaronu. Tam pogрузyła się w rozmyślaniach. Imię Barabasz nie mogło jej wyjść z głowy.

Nocą, gdy przewracała się na łóżku, a obrazy na suficie pojawiały się i znikwały podobnie jak w ciągu minionych nocy, zaczęła głośno mówić: „Barabasz, kim jesteś? Barabasz, czego ode mnie chcesz?” Trwożliwie nasłuchiwała, czy tajemna moc, która spowodowała już tyle strasznych rzeczy, odpowie jej, ale w samotnym domu nadal panowała cisza i tylko z parteru dało się słyszeć bicie starego zegara stojącego firmy Westminster.

Zwariowałaś, tak jest, zwariowałaś, szeptała do siebie zaspana Anna tylko po to, aby dodać sobie otuchy, a potem znów zapadła w dręczący półsen, który pobudza wyobraźnię i niczym narkotyk odurza umysł. Wydawało się Annie, że dzwonek telefonu, na który w pewnej chwili zerwała się z łóżka, to tylko senny majak, i wcisnęła poduszkę na głowę, żeby nic nie słyszeć.

Może, pomyślała Anna, gdy znów się uspokoiła, powinna raczej pójść do psychiatry, zamiast wędrować z tym zagadkowym pergaminem od jednego

koptologa do drugiego. Ale wtedy pewnie nigdy nie dowie się, dlaczego tak naprawdę zginął Guido i czemu wszędzie, gdzie pyta o rozwiązanie tej zagadki, napotyka mur milczenia.

Telefon zadzwonił znowu bezlitośnie, do czego zdolne jest takie urządzenie w porze nocnej. Jeszcze w chwili gdy Anna chowała głowę pod poduszką, zaczęła podejrzewać, że ten odgłos nie jest wcale jej urojeniem, nie, telefon naprawdę dzwonił.

W półmroku wymacała słuchawkę i odezwała się zasnętym głosem:

- Halo?

- Pani von Seydlitz? - usłyszała z drugiego końca przewodu.

- Tak.

- Niech pani zaniecha badania pergaminu - powiedział męski głos. - W swoim własnym interesie.

- Halo?! - zawołała wzburzona Anna. - Halo, kto mówi?

Połączenie zostało przerwane. Nieznajomy odłożył słuchawkę.

Annie wydawało się, że zna ten głos, ale nie była pewna, czy rzeczywiście należał do Guthmanna. A jeśli tak, to jaki powód miał profesor, żeby dzwonić o tej porze? Przed czym chciał ją ostrzec?

Nie wytrzymała dłużej w łóżku. Wstała, poszła do łazienki, zmoczyła twarz zimną wodą, ubrała się pośpiesznie i włączyła ekspres do kawy. Urządzenie wciągnęło głośno gorącą wodę do filtra niczym żaba przed tarłem. Zapach, jaki rozszedł się po domu, podziałał uspokajająco, toteż Anna, trzymając filiżankę oburącz, usiadła w fotelu.

- Barabasz - powiedziała cicho. - Barabasz - i pokręciła głową.

Siedziała, marznąc, i patrzyła nieruchomo przed siebie, aż zaczęło świtać, co przyjęła z ulgą.

12

W równie beznadziejnych sytuacjach zdarzają się chwile, kiedy napięcie ustępuje miejsca jakiejś wizji i nagle rozbłyska promyk nadziei, który niczym za sprawą czarów zdaje się przynosić rozwiązanie wszystkich problemów. Tak też było z Anną von Seydlitz. Guthmann wiedział więcej o pergaminie niż wyjawiał to podczas spotkania. Gdy Anna patrzyła wstecz, wydało jej się nawet, że profesor wie wszystko. Ten ekspert w dziedzinie koptologii znał

z pewnością nie tylko treść dokumentu, ale musiał wiedzieć o różnych odniesieniach, dzięki którym dokument ów był tak frapujący.

Złożenie profesorowi wizyty w instytucie i zażądanie od niego wyjaśnień wydało się Annie nieestosowne. Jeśli bowiem Guthmann wie więcej niż się do tego przyznał podczas ich pierwszego spotkania, to nie wypałe niczego również w trakcie drugiej wizyty. Skoro Anna chce mieć jakąkolwiek szansę, musi zniecka zaskoczyć profesora. Postanowiła, że spróbuje przekupić go jakąś większą sumką. Na oko wydawało jej się, że potrzebuje pieniędzy.

Około godziny siedemnastej Anna zaparkowała samochód naprzeciw instytutu, skąd mogła dobrze obserwować wejście. Jej plan zakładał, że złapie Guthmanna, poprosi go o rozmowę i podczas wspólnej kolacji złoży mu wspańiałomyślną ofertę, wystarczająco wspańiałomyślną, aby skłonić profesora do mówienia.

Po trzech i pół godzinach, około wpół do dziewiętej, przed drzwiami wyszedł dozorca i zaczął zamykać budynek. Anna wysiadła, przebiegła przez ulicę i zapytała portiera, czy pan Guthmann jest jeszcze w środku. Mężczyzna odpowiedział, że wszyscy już wyszli, upewnił się jednak, dzwoniąc do gabinetu profesora, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Nazajutrz, po kolejnej nieprzespanej nocy, Anna już o wpół do ósmej rano była na miejscu. Ale również tym razem czekała na próżno. Guthmann się nie pojawił. Nie widziała powodu, aby nie odwiedzić profesora w jego mieszkaniu. Adres wzięła z książki telefonicznej: Guthmann Werner, prof. dr.

Werner Guthmann mieszkał w szeregowcu na przedmieściu, w zachodniej części miasta, gdzie ceny nieruchomości przyprawiały o zawroty głowy. Na dźwięk dzwonka drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Zachowywała się nieuprzejmie. Anna wyłuszczyła dokładnie, co ją sprowadza. Jedyna nadzieja w profesorze. Ale zanim jeszcze, stojąc w progu, opowiedziała swoją historię, kobieta przerwała Annie w pół słowa, mówiąc, że bardzo jej przykro, ale nie może pomóc, albowiem mąż dwa dni temu zniknął bez śladu. Policja już go szuka.

Anna się przeraziła. Zdawało się, że do tego przekłętą pergaminu przyłąnęła jakaś klątwa, która prześladuje ją jak cień. Pożegnała się pośpiesznie, ale w drodze do samochodu po raz kolejny przemknęło jej przez myśl, że chyba całkiem zwariowała. Jednak już w następnej chwili górę wzięła świadomość,

że musi być przy zdrowych zmysłach, gdyż logicznie potrafi zanalizować swoją sytuację i okoliczności, które do niej doprowadziły. Mimo to wydawało się, że jakaś tajemnicza moc zawisła nad nią i jej życiem niczym ośmiornica wyciągająca macki nawet po odległy łup.

ROZDZIAŁ II

DANTE I LEONARDO

Zakodowane tajemnice

1

Do absurdalnych należy zaliczyć przekonanie, że ktoś, kto odbiera sobie życie, nie jest przy zdrowych zmysłach. Vossius zachował jasność widzenia. W myślach wciąż analizował jakieś liczby, które dla niego i sytuacji, w jakiej się znajdował, były w ogóle bez znaczenia. Zastanawiał się więc całkiem serio, czy rzeczywiście powinien wydać dwadzieścia franków na windę, która mogłaby zawieźć go na trzecią platformę, czy też raczej powinien zaoszczędzić te pieniądze i wdrapać się pieszo na pierwszą platformę. Z rysunku na schemacie obok kasy odczytał, że znajduje się ona na wysokości zaledwie pięćdziesięciu siedmiu metrów. To jednak wystarczało, żeby rzucić się stamtąd i ponieść śmierć na miejscu. Ale potem pomyślał sobie, że umiera się tylko raz, chciał więc jeszcze raz zobaczyć Paryż z góry, z wysokości trzystu metrów. Toteż ustawił się cierpliwie w kolejce przed jedną z kas z mocnym postanowieniem, że za cenę dwudziestu franków odbierze sobie życie, rzucając się z samego szczytu.

Turyści zwiedzający wieżę Eiffla są wystawieni na ciężką próbę cierpliwości, chcąc bowiem dostać się na szczyt tego symbolu Paryża, muszą zawsze stać w niekończących się kolejkach, nawet w tak brzydki jesienny dzień jak ten. Zaczynając od siebie, Vossius zajął się liczeniem osób czekających przed nim. Doszedł do dziewięćdziesięciu i obliczył, że proces wydawania biletów trwa zaledwie około dwudziestu sekund na osobę, co oznaczało, że będzie musiał czekać jakieś pół godziny.

Oczywiście, to są bezsensowne myśli w obliczu śmierci, ale zostają one tu oddane tylko po to, by opisać jasność umysłu Vossiusa, której ten czy ów mógłby mu może odmówić po jego śmierci. Posunął się nawet do tego,

że ukradkiem - a więc z tą wymowną dociekliwością, której niepodobna ukryć przed uważnym obserwatorem - mierzył wzrokiem ludzi stojących przed nim, czy aby nie dostrzegają osobliwego spokoju w jego zachowaniu, spokoju charakteryzującego człowieka, który ma przed oczami już t y l k o jeden cel. Złapał się nawet na tym, że głośno pokasłuje, chociaż wcale nie miał takiej potrzeby. Robił to wyłącznie po to, żeby ukryć swoje prawdziwe intencje.

W pewnej chwili podczas tych niekończących się minut oczekiwania przemknęły mu przez głowę informacje prasowe, które ukażą się po jego skoku z wieży Eiffla. Może w rubryce „Różne” albo - co będzie godne jeszcze większej wzdargi - jedna szpalta w rubryce „Lokalne”, między wiadomością o wypadku na rue de Rivoli i notką o włamaniu do mieszkania w Quartier Latin. A przecież to, co on zabierał z sobą do grobu, miało tak doniosłe znaczenie, że powinno nazajutrz zepchnąć na dalszy plan wszystkie nagłówki tego świata.

Nie odczuwał lęku przed tym, co zamierza, gdyż tak czy inaczej nie powinno się bać śmierci, tylko umierania, a to w jego wypadku nastąpi tak szybko, że nie zostanie czasu na lamenty. Przeczytał gdzieś, że przy skoku z wysokiej wieży człowiek w ogóle nie czuje bólu, gdyż tuż przed upadkiem traci świadomość.

Sceptycyzm wywoływała w nim tylko myśl: skąd to tak naprawdę wiadomo. Czy nie jest to tylko czysta teoria, bo przecież w praktyce nikt takiego upadku nie przeżył. Mimo to jednak jego wątpliwości się nie rozwiały, chociaż oczywiście miał świadomość, że decyzja o położeniu kresu własnemu życiu nie wynikała z jego własnej woli. Postanowienie to było jednak na tyle mocne, że nic nie mogło go od niego odwieść.

Wydawało się, że to mocne postanowienie spowodowało w nim nawet duchowy wzlot, tak że gwizdnął na elegancką blondynę, która przedefilowała obok. Trudno było inaczej nazwać ten pokaz jej nowego kostiumu. Wywrócił przy tym oczami jak barokowy święty. Nigdy wcześniej by się na to nie odważył, on, człowiek jego stanu i w jego wieku!

Do tej pory, co nagle sobie uświadomił, wiódł życie naznaczone poczuciem obowiązku i budzące społeczny podziw. Codziennie zachowywał się tak, jak tego oczekiwano od człowieka z jego pozycją. Nie bez dumy żył tym swoim życiem, życiem cenionego naukowca, profesora komparatystyki. Wyszukał sobie tę dziedzinę, ponieważ ze względu na znakomitą pamięć

szczególnie się do niej nadawał. Uważał ją nadto za ważną, chociaż co najwyżej jeden człowiek na tysiąc potrafi wyjaśnić, że chodzi o literaturoznawstwo porównawcze.

Muzom, a dokładniej projektowi badawczemu Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego poświęcił swoje małżeństwo. Co znaczy „poświęcić”? To czcigodne, przeciętne małżeństwo rozpadłoby się i tak bez jego postanowienia o wyjeździe do Leibethry. Dobrze się więc złożyło, że bez szczególnego poruszenia opinii publicznej udało się rozwiązać ów ustanowiony przez społeczeństwo wzorzec międzyludzkiego współżycia i zamienić przymus posiadania amerykańskiej katedry na wolność w międzynarodowym instytucie badawczym.

Vossius zrobił kilka powolnych kroków przybliżających go do kresu życia. Nie było to przyjemne, że ludzie stojący za nim natychmiast się przysunęli nieomal na wyciągnięcie ręki. Oczekiwanie zaczęło go stopniowo nużyć, kolejka wydała mu się uciążliwa, a w nim samym zaczęło się ukradkiem budzić niejasne uczucie typowe dla człowieka, który czuje się zapędzony w ślepią uliczkę.

Taki ścisk, uczucie swego rodzaju ciasnoty, powstrzymywał go przez całe życie od uczestnictwa w publicznych imprezach, które zgodnie z jego wiedzą należało określać tym mianem już wtedy, gdy przy stole zbiera się więcej niż sześć osób. Vossius przywykł rozwiązywać trudne problemy intelektualne nie na siedząco, ale w marszu, jak Arystoteles i jego uczniowie. Ciasnota ogłupia, tak brzmiało jedno z często cytowanych przezeń twierdzeń, które potrafił po deprzeć licznymi przykładami z historii.

Profesor miał w ogóle nawyki wykraczające poza zwyczajność, wskutek czego przylgnęła do niego etykieta człowieka niezwykłego. Dochodził do tego fakt, że w nieregularnych odstępach czasu od dwóch do czterech miesięcy ordynował sobie głodówkę, w trakcie której pił wyłącznie wodę mineralną. Powodem tego samobiczowania nie były bynajmniej problemy z wagą, jak można by przypuszczać. Vossius uważał, że w ten sposób uda mu się poprawić koncentrację i umiejętność myślenia. Podczas jednej z takich głodówek trafił również na ślad Barabasza.

Poszczenie brało się raczej z filozofii niż z dbałości o zdrowie, względem którego Vossius uprawiał właściwie gospodarkę rabunkową. Jego zawód nie wydawał mu się nigdy środkiem do zarabiania pieniędzy, czego wyrazem byłby czterdziestogodzinny tydzień pracy. Nie, jego zawód był potrzebą, można by

powiedzieć niemal nałogiem, który nie opuszczał go nawet w nocy. Nocne wyprawy w świat komparatystyki, podczas których aż do całkowitego wyczerpania śledził jakiś trop (cola i mocne papierosy robiły też swoje), prowadziły go często na skraj załamania. Nie, Vossius nigdy nie żył zdrowo. Jego zawód był jedną z takich namiętności, które zzerają człowieka, ale nigdy nie potrafią go zabić.

Gdyby przypuszczał, że pewnego dnia padnie ofiarą własnej wiedzy, nigdy nie wybrałby tej profesji. Jako skromny urzędnik lub rzemieślnik z żyłą artystyczną wiódłby przyzwoity żywot i nie musiałby nigdy uciekać przed sobą. Sokrates się mylił - i zapewne nie było to jedyny raz - gdy mówił, że wiedza jest wyłącznym dobrem człowieka, a niewiedza samym złem. Niewiedza może oznaczać ogromne szczęście, wiedza zaś straszne nieszczęście. Istnieje na to mnóstwo przykładów. I w ogóle nikt nie ma nic złego na myśli, mówiąc, że niewiedzący są szczęśliwi. Właśnie tacy są. Ich życie to raj, a ich praca jest zarabianiem na chleb, pozbawionym nieprzeniknionego gąszczu wątpliwości, który otacza ich wiedzę, ponieważ wiedza jest wyłącznie powracającą stale formą zwątpienia.

Co poza zwątpieniem przyniosło ludzkości najwyższe poznanie? A gdyby on, Vossius, nie wątpił, że Dante, Szekspir, Wolter i Goethe, ba, nawet Leonardo nie są kimś więcej niż tylko genialnymi opowiadaczami historii, wtajemniczonymi w niewyobrażalne misterium, pozostałby niewiedzący, ale szczęśliwy.

Ale teraz musiał lękać się sam siebie, swojej wiedzy i tych, którzy na nią nastają. (Vossius zepchnął w tej chwili w podświadomość fakt, że ucieka przed skutkami przestępstwa). Niedbale, nieomal obojętnie, co jednak, jak już wspomnieliśmy, w ogóle nie odpowiadało jego stanowi psychicznemu, wcisnął ręce do kieszeni spodni. Prawa ręka cofnęła się mimo woli, gdy wyczuła buteleczkę.

Nie buteleczka sama w sobie wprawiła profesora ponownie w stan podniecenia, lecz dzieło, jakie spowodowała jej żrąca zawartość, oleista, bez barwy i bez zapachu. H_2SO_4 Kwas siarkowy.

Gładząc palcami kanciaste szkło, Vossius ponownie rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył żadnego ruchu, z którego mógłby wywnioskować, że ktoś go śledzi.

Z pokrywy, na której stał, dobywał się obrzydliwy odór rozgrzanych ścieków i Vossius chciał już wyjść z kolejki, żeby uciec od tego smrodu,

ale wytrwał w nadziei, że nikomu nie rzuca się w oczy. Śmieszne, pomyślał, jak łatwo popełnić w tym mieście zbrodnię i jak łatwo zanurzyć się w tłumie.

Biorąc pod uwagę jego powierzchowność, nie było to takie trudne, bo chociaż profesor Vossius był tak niezwykle i genialny pod względem intelektualnym, to aparycję miał przeciętną. Bez wątplenia wyglądał na swoje pięćdziesiąt pięć lat. W owalu miękkiej twarzy dominował długi wąski nos i wysokie czoło, jak to się mówi, gdy włosy nie zaczynają się już tam, gdzie ongiś. Vossius był jednak daleki od tego, żeby cierpieć wskutek niedostatków swojej powierzchowności, jak choćby ze względu na bardzo długie uszy, z których niczym mocna trzcina ze stawu wyrastały kępki włosów. Gdy człowiek przyjrzał się bliżej, twarz ta miała w sobie coś harmonijnego, a z małych oczek wyzierała podstępna uprzejmość. Te oczy poruszały się bez przerwy, ba, już po krótkim spotkaniu można było odnieść wrażenie, że ciągle poszukują czegoś nowego. Profesor ubierał się zawsze nienagannie, ale w sposób daleki od modnego szyku. Tak było również tego pamiętnego dnia, kiedy pod pogniecionym beżowym trenczem miał na sobie rozpiętą koszulę i garnitur w kolorze khaki.

2

Od kiedy sięgał pamięcią, kochał Paryż. Studiował tutaj po wojnie, mieszkał w pobliżu Instytutu Pasteura na rue de Volontaires, na poddaszu u pewnej wdowy, której w kąciku ust ciągle tkwił papieros i która wynajmowała tę mansardę, żeby dołożyć trochę pieniędzy do wdowiej renty. Dwa okna wychodziły na podwórze, a umeblowanie widziało lepsze czasy, może nawet szturm na Bastylię; w każdym razie z twardej jak kość sofy, która w dzień służyła mu za miejsce do siedzenia, a w nocy do spania, wystawało końskie włosie i było czuć też koniem.

Zimą, gdy wiatr wył przez ramy okienne z łuszczącą się farbą, co przypominało skowyt bezpańskich psów włóczących się pod mostami Sekwany, czarny okrągły piecyk żelazny był i tak przeciążony, przede wszystkim jednak madame Marguery, jak nazywała się ta nałogowa palaczka, skąpiła dających ciepło brykietów i odmawiała, gdy proponował jej, że wniesie węgle sześć schodów na górę (w nadziei, że uszczknie dla siebie parę kawałków). Liczyła

brykiety ze skrupulatnością księgowej i przydzielała cztery sztuki na dzień, co Vossiusa jeszcze teraz, na samą myśl o tym, przyprawiało o dreszcze.

Ale potrzeba jest matką wynalazków, zwłaszcza gdy chodzi o całkiem zwyczajne potrzeby. Na pchlich targach wokół Porte de Clignancourt i u handlarzy starzyzną w Village Saint-Paul można było za kilka centymów dostać grube stare księgi w twardych kartonowych okładkach, księgi, którym z nieznanых powodów brakowało stron tytułowych albo innych kartek. Chociaż Vossius miał nieomal bogobojny stosunek do zadrukowanego papieru, wcale nie wahał się palić tymi książkami w swoim żelaznym piecyku - przynajmniej, że z wyrzutami sumienia.

Dla ocalenia jego honoru odnotujmy także, że przed spaleniem Vossius poddawał każdą książkę stosownym studiom - bynajmniej nie pod kątem łatwopalności, lecz jak przystało na początkującego naukowca sprawdzał jej zawartość intelektualną, która — o czym młody Vossius przekonał się już niebawem - pozostawała w sprzeczności z wartością opałową dzieł. Upraszczaając sprawę i sprowadzając ją do wspólnego mianownika, można powiedzieć, że cienkie książki wyróżniały się o wiele wyższym poziomem intelektualnym niż grube, ale te ostatnie paliły się dłużej.

W każdym razie sknerstwu madame Marguery należy przypisać, że pewnego dnia Vossius spośród ksiąg na opał wyłowił egzemplarz Boskiej komedii Dantego, wydrukowanej po włosku bez podania miejsca i roku. Różniła się ona od wszystkich innych, które spalił do tej pory, czymś niesamowitym. Jak wspomnieliśmy, wszystkie książki cierpiały na traumę niedoskonałości: były stare, niekompletne i dlatego praktycznie nie nadawały się na sprzedaż. Inaczej było z tym wydaniem Boskiej komedii, oprócz trzech znanych części głównych: Inferno (Piekło), Purgatorio (Czyściec) i Paradiso (Raj), zawierała bowiem jeszcze postowie Verità (Prawda), część, która dotychczas nie była znana, gdyż brakowało jej we wszystkich znanych wydaniach tego dzieła.

Później przeklinał się w skrytości duszy, że nie wrzucił tego dzieła do swojej czarnej żelaznej kozy. Wszystko bowiem zaczęło się od tej niepozornej, podniszczonej księgi, której ceny już nawet nie pamiętał, ale nie mogło to być więcej niż dwadzieścia pięć centymów. Ale oczywiście wtedy Vossius tego nie podejrzewał. Te dwadzieścia pięć centymów, których wcale nie wydał w celu duchowego podbudowania, tylko z godnej pogardy potrzeby ogrzania się,

miało zmienić jego życie. Gorzej, stały się one powodem tego, że teraz jedyne wyjście z sytuacji widział w skoku z wieży Eiffla.

Wracając do Dantego, każdy student literatury dowiaduje się w pierwszym semestrze o zagadkach, które spowijają jego główne dzieło niczym pajęczyna. Tak, ściśle biorąc, składa się ono wyłącznie z zagadek, które zaczynają się już od tytułu Boska Komedia. Jak wiadomo, Dante w ogóle nie nazwał swojego dzieła Boską Komedią, tylko po prostu Komedią, ale to podkreśla wyłącznie misterium tej książki; niewiele jest tam bowiem do śmiechu, szczerze mówiąc nic. A mimo to autor wybrał ten tytuł celowo.

Przez całe wieki ludzie wierzyli, że książka o piekle, czyśćcu i raju musi być pobożnym dziełem w rozumieniu Kościoła, naszej świętej matki. Ale habit nie czyni jeszcze świątobliwym, a idąc przez raj, Dante spotyka wprawdzie królów, poetów i pogańskich filozofów, lecz nie spotyka papieży, dla których ma w zanadru jedynie pogardliwe słowa. Nie mówmy więc o pobożności. Boże, bądź nam miłościw, nawet za postacią Przenajświętszej Marii Panny kryje się Beatrice, niespełniona miłość młodego serca.

Z pewnością Dante był przenikliwym umysłem, może nawet największym mędrcom swojej epoki, tak że często pozwalał sobie jedynie na aluzje sugerujące, iż posiadana przez niego wiedza jest głębsza niż to mogłoby wynikać z jego pism. Nie zachowała się ani jedna linijka napisana ręką poety, co daje powód do dalszych spekulacji i co skłoniło florentyńczyków do powołania już pół wieku po śmierci Dantego katedry poświęconej jego życiu i twórczości. Ale jak to często bywa, kiedy profesorowie zainteresują się losem człowieka, od razu zaczął się gwałtowny spór o to, co Dante chciał powiedzieć, a co ukryć. Policzyli wersy - czternaście tysięcy i odkryli w konstrukcji dzieła tajemniczą symbolikę liczb, pozwalającą wyciągnąć wniosek, że autor nie zdradził w Komedii całej swojej wiedzy. Każda z trzech głównych części dzieli się na trzydzieści trzy rozdziały, trzy razy trzydzieści trzy równa się dziewięćdziesiąt dziewięć, a dziewięćdziesiąt dziewięć uchodzi za liczbę doskonałą.

Liczby są często odzwierciedleniem kosmicznych albo ludzkich porządków, o czym wiedzieli już starożytni Grecy. Również Dante wykorzystywał tę symbolikę, skoro raj otula kulę ziemską dziewięcioma koncentrycznymi krążącymi wokół niej niebami albo skoro lej piekielny opada dziewięcioma kręgami aż do środka ziemi, siedziby Lucyfera. W każdym razie Dante znał magię liczb i ich symboliczne znaczenie, jak choćby kosmiczną

interpretację liczby „cztery”: (żywioty, pory roku, epoki świata) albo przenikanie się pierwiastka duchowego i materialnego z liczbą „sześć”. Ale wiedział jeszcze o wiele więcej.

Czy to był przypadek, że oficjalnie nie przetrwał ani jeden oryginał Komedii Dantego i że pierwsza kopia pojawiła się dopiero piętnaście lat po jego śmierci?

Jak się zdawało, Vossius przez przypadek znalazł wśród swoich materiałów opałowych egzemplarz pierwodruku zaginionego wydania dzieła Dantego, toteż poprosił o pomoc zaprzyjaźnionego romanistę, aby dowiedzieć się, co stanowi treść posłowania opatrzonego tytułem „Verita”. Ten pobożny młodzieniec o imieniu Jerome wziął z sobą książkę na noc i nazajutrz rzucił ją Vossiusowi pod nogi z informacją, że szkoda czasu na tłumaczenie takiej tandety, gdyż chodzi tu o fałszerstwo nie mające nic wspólnego z oryginałem, a tym bardziej z Dantem Alighieri. Vossius nie miał wówczas żadnego powodu wątpić w słowa Jeromego, ale ponieważ chodziło o bardzo starą książkę, o swego rodzaju kuriozum, zachował ją. Tak, przetrwała nawet kilka przeprowadzek, podczas których zawieruszyło się wiele innych rzeczy.

3

Stojący w kolejce Vossius dotarł tymczasem do kasy, gdzie zgodnie z wcześniejszym postanowieniem kupił bilet za dwadzieścia franków, który uprawniał go do skorzystania z windy wjeżdżającej na najwyższą platformę. Rozejrzał się jeszcze raz ukradkiem, czy ktoś go nie śledzi, nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego, udał się więc za dwiema starszymi paniami do olbrzymiej szklanej klatki, by tam poczekać na windę.

Nie czekał długo. Przesuwne drzwi otworzyły się z głośnym hukiem i turyści wpadli do niej niczym cyrkowe zwierzęta. Jedno szarpnięcie i winda ruszyła w górę. Jak we wszystkich windach na świecie ludzie skierowali wzrok na drzwi. Nikt nie śmiał patrzeć drugiemu w oczy. A Vossius tym bardziej, ponieważ bał się, że zostanie rozpoznany. Gapił się z udawaną obojętnością na to co wszyscy.

W ten sposób uszło jego uwagi, że w tylnej części windy stoją dwaj mężczyźni, którzy nie spuszczają z niego oka. Mieli na sobie ciemne skórzane

kurtki nadające im wojowniczy wygląd, co jeszcze bardziej podkreślało ich podobieństwo. Oni także udawali obojętnych, ale przyglądając się im bliżej, można było zauważyć, jak porozumiewają się oczami i prawie niezauważalnymi, nieregularnymi ruchami głów.

Winda zatrzymała się, powodując lekkie łaskotanie w brzuchu, zwłaszcza u Vossiusa, który czuł ogromną niechęć do wind. Drzwi otworzyły się z metalicznym odgłosem, a milczący dotąd nabożnie turyści hałaśliwie wylegli na platformę. Vossius rozmyślnie pozwolił wszystkim pójść przodem. Tak więc obaj mężczyźni w skórzanych kurtkach musieli z konieczności wysiąść przed inwigilowaną przez nich osobą, przy czym jeden zwrócił się w prawą, a drugi w lewą stronę.

Widok z pierwszej platformy wieży Eiffla jest pod pewnym względem lepszy w porównaniu z widokiem z wyższych poziomów, ponieważ okoliczne budynki i dzielnice widać stąd w jeszcze bardziej namacalnej bliskości. Jak na kogoś, kto za chwilę miał poważyć się na czyn samobójczy, Vossius zachowywał się niezwykle spokojnie. Ani przez sekundę nie zastanawiając się nad widokiem, jaki roztaczał się przed jego oczami, poszedł na przeciwną stronę platformy, oparł się o balustradę i spojrzał ponad Sekwaną na Palais de Chailot, gdzie ludzie wyglądali jak niesłychanie podekscytowane mrówki. Tam, na zielonych błoniach, w czasach studenckich często spędzał popołudnia z kilkoma książkami, których na ogół nie otwierał, bardziej zainteresowany mnóstwem spotykanych tam ładnych dziewcząt, jeżdżących zazwyczaj na rolkach.

Jedna z takich dziewczyn miała na imię Avril, z tym imieniem nie zetknął się już nigdy w życiu, nigdy więcej nie spotkał też więcej samej Avril. Była Irlandką i miała płomiennie rude włosy uczesane na chłopczycę, śnieżnobiłą skórę i piegi na nosie, a jej policzki lśniły w słońcu jak robaczki świętojańskie. W ponure dni jednak w ogóle się nie uwydatniały, co było osobliwą zagadką natury. Avril zwierzyła się, że chodzi do szkoły baletowej. Spędzili wspólnie wiele dni i nocy. Nigdy nie spełniła jego życzenia, by mógł zobaczyć, jak tańczy, chociaż niczego nie pragnął bardziej.

Nigdy też nie mówiła o tańcu klasycznym, pewnego dnia zdarzyło się więc to, co musiało nastąpić. Vossius poszedł za nią potajemnie od jej mieszkania na rue Chapon aż do dzielnicy, w której zniknęła w lokalu ze striptizerkami, noszącym nazwę Carnavalet, gdzie bywali przede wszystkim Algierczycy. Avril rzeczywiście tam tańczyła, ale nie w balecie, tylko całkiem nago na

stole - w każdym razie scena nie była od niego większa. Po tym gdy Vossius ją zaskoczył, nie robiąc zresztą żadnych scen, z dnia na dzień zniknęła z Paryża. Jak się później dowiedział, pojechała za pewnym Algierczykiem do Afryki.

Vossius uśmiechnął się, spoglądając na Palais de Chaillot; uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia, a przy tym naszała go myśl, że uśmiecha się może po raz ostatni w życiu.

W tej chwili, kiedy to dla Vossiusa nie istniał czas, kiedy rozwierała się przed nim tylko czarna dziura, do której miał wskoczyć, poczuł, jak ktoś gwałtownie wykręca mu ręce do tyłu i przyciska je do ciała - został obezwładniony.

- Nie ruszać się, monsieur!

Dwaj mężczyźni podeszli do niego z dwu stron i podczas gdy jeden przytrzymał mu ręce na plecach, drugi z ogromną wprawą obszukał jego ubranie, wyciągając z kurtki portfel, a ze spodni brązową kanciastą buteleczkę.

- Monsieur - powiedział niezwykle uprzejmie ten pierwszy - jest pan tymczasowo aresztowany. Proszę pójść z nami i nie stawiać oporu!

Wszystko to stało się tak szybko, tak niespodziewanie, że Vossius nie zdążył nawet zaprotestować i bez sprzeciwu pozwolił założyć sobie kajdanki, co okazało się bolesne. O największą udrękę przyprawił go jednak w tej chwili nie ten ból, lecz fakt, że obaj mężczyźni przeszkodzili mu skoczyć w wielką czarną dziurę, tak jak sobie to wymarzył.

4

Oczywiście Vossius dobrze wiedział, dlaczego został aresztowany. Domyślał się też, dokąd go zawiozą. Dlatego nie zadawał pytań i podążył za mężczyznami do starego niebieskiego peugeota, zaparkowanego przed postojem taksówek na Quai Brauly, po czym w dość niewygodnej pozycji zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

Prefektura policji na Boulevard du Palais, znajdująca się w odległości kilku kroków od Notre Dame na Ile-de-la-Cite, wygląda z zewnątrz całkiem miło, przypominając wszystkie publiczne budynki w mieście, które po przekroczeniu ich progów zmieniają oblicze i zamiast wdzięku ukazują coś wręcz

przeciwne. Tak też było i z prefekturą wyglądającą z zewnątrz niczym baśniowy pałac w stylu Luwru, wewnątrz zaś przywodzącą na myśl labirynt Minotaura, którego to wrażenia nie mogą zatrzeć kolumny, schody ani pełne ornamentów balustrady.

Vossiusa zaprowadzono do pokoju na drugim piętrze, gdzie przyjął go komisarz o nazwisku Gruss, który ceremonialnie wypytał go o nazwisko, miejsce i datę urodzenia, zawód oraz adres zamieszkania, podczas gdy obaj mężczyźni w skórzanych kurtkach siedzieli w milczeniu.

- Wie pan, monsieur - powiedział Gruss z udawaną uprzejmością — że jest pan oskarżony o popełnienie przestępstwa i dlatego może pan odmówić składania zeznań, ale - w tym momencie ton jego głosu zmienił się i zabrzmiał groźnie - tego bym panu nie radził, monsieur.

Gruss przywołał skinieniem głowy jednego z mężczyzn w skórzanych kurtkach. Ten podniósł się i otworzył boczne drzwi. Wkroczył strażnik z muzeum w Luwrze, rozpoznawalny po szarej liberii i czapce. Mężczyzna przedstawił się, po czym Gruss, wskazując ręką na Vossiusa, zapytał, czy strażnik go poznaje.

Strażnik skinął potakująco głową i oświadczył, że to właśnie ten mężczyzna podszedł do obrazu Leonarda, wyciągnął z kieszeni jakąś buteleczkę i całą jej zawartość wylał nie na twarz przedstawionej na malowidle damy, tylko na jej dekolt. Zanim jednak on, strażnik muzealny, zdążył zainterweniować i schwycić tego mężczyznę, ów zniknął, mój Boże, a ten cenny obraz...

Wyprowadzono strażnika, a Gruss zadał Vossiusowi pytanie:

- I co pan na to powie, monsieur?

- To prawda! - odparł Vossius.

Komisarz i dwaj pozostali mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Przyznaje pan więc, że używając kwasu, dokonał pan zamachu na Madonnę w ogrodzie różanym Leonarda da Vinci.

- Tak - potwierdził Vossius.

To niespodziewane wyznanie tak bardzo speszyło komisarza, że niespokojnie zaczął wiercić się na krześle, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Wreszcie odzyskał mowę, równocześnie jednak zmienił się ton jego głosu, stając się nienaturalnie miły. Gruss zapytał, jakby rozmawiał z dzieckiem:

- Czy mógłby nam pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił, monsieur? Chciałbym wiedzieć, czy istnieje powód, dla którego popełnił pan ten karzący czyn?

- Oczywiście, że istnieje. Myśli pan, że zrobiłbym coś takiego z nudów?

- To interesujące! - Gruss podniósł się zza budzącego respekt biurka, wsparł się na nim łokciem i odpowiedział z cynicznym uśmiechem: - Ach, profesorze, wobec tego jestem bardzo ciekaw!

Przy tym ponad miarę podkreślił słowo „profesor”, jakby obawiał się odpowiedzi tak uczonej, że nikt by jej nie potrafił zrozumieć.

- Obawiam się — zaczął Vossius powoli - że gdybym powiedział panu prawdę, uznałby mnie pan za obłąkańca...

- Istotnie tego się obawiam - przerwał Gruss. - Obawiam się nawet, monsieur, że będę pana uważał za wariata niezależnie od tego, jak będzie brzmiało pańskie wyjaśnienie.

- No właśnie - wymamrotał Vossius.

Nastąpiła długa pauza. Zadający pytanie i odpowiadający spoglądali na siebie bez słów, a każdy myślał o czym innym. Gruss był naprawdę ciekaw, jaki motyw poda ten szalenciec, Vossius natomiast czuł jakiś lęk i obawę, że bez względu na to, co powie na swoje usprawiedliwienie, i tak uznają go za człowieka niepczytalnego. Jak zatem powinien się zachować?

W nadziei, że sprowokuje tym Vossiusa i w ten sposób otrzyma odpowiedź na swoje pytanie, Gruss zauważył:

- Powiedziano mi, że w chwili aresztowania sprawiał pan wrażenie, jakby chciał pan skoczyć z wieży Eiffla.

- To prawda - odpowiedział Vossius, ale już w następnej chwili pożałował tego wyznania, gdyż nagłe uświadomił sobie, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się w ten sposób. Reakcja nastąpiła błyskawicznie.

- Czy pan się leczy? — zapytał chłodno Gruss. - To znaczy, czy cierpi pan na depresję? Może pan spokojnie o tym mówić. I tak się tego dowiemy.

Vossius pospieszył z odpowiedzią:

- Nie, na miłość boską, niech pan nie próbuje wpędzać mnie w tę ślepią uliczkę. Jestem całkiem normalny.

- Już dobrze, dobrze! - Gruss podniósł obie ręce. - Proszę nie robić sobie fałszywych nadziei. Niepczytalność mogłaby panu oszczędzić więzienia.

To słowo zawisło w pokoju jak obłok zimnego dymu papierosowego: niepczytalność. Vossius z trudem chwycił powietrze. Szyderczy uśmiech

komisarza, bezwstydnie, pogardliwie wydęta dolna warga z jednoczesnym podciągnięciem do góry kącików ust, wszystko to zdradzało jego zachwyty reakcją Vossiusa. Ten człowiek w ogóle nie pomyślał o tym, że można by go wziąć za szaleńca, przede wszystkim jednak, że ktoś mógłby go tak potraktować.

Jak Vossius miał na to zareagować? Jak to często bywa w życiu, również w tym wypadku prawda była najmniej prawdopodobna. Będą go słuchać, wyśmiewać się z niego i zanim jeszcze zdoła przedstawić jakiś dowód, zamkną go na klucz, jego, biednego idiotę, profesora od... jak nazywa się ta pańska dziedzina? Komparatystyka?

Z tego powodu Vossius starał się odpowiadać możliwie niezobowiązująco na wszystkie pytania, które kierował do niego Gruss. Chodziło mu o to, żeby nie sprawiać wyłącznie wrażenia, iż z jego głową coś istotnie jest nie w porządku. Prawdę mówiąc, całkiem inaczej wyobrażał sobie takie przesłuchanie, jako ostre i twarde, jak to bywało w znanych mu filmach kryminalnych. Ale tutaj, w tym pustym pokoju na drugim piętrze prefektury policji, wszystko przebiegało bardzo miło, nieomal nazbyt grzecznie, jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Zwróciło jego uwagę, że ani Gruss, ani żaden z obu pracowników wydziału kryminalnego nie robi notatek ani nie sporządza protokołu, choć przecież Vossius kilkakrotnie podawał daty i miejsca dotyczące jego przeszłości.

Profesor był nazbyt podenerwowany, by domyślić się powodów takiego zachowania. Jego całe myślenie, jego ostrożność, żeby tylko nie zdradzić się z niczym, co mogłoby obudzić najmniejsze podejrzenie o niepoczytalność, wytworzyło w nim napięcie, które uczyniło go ślepy i głuchy na oczywistości.

W tę pełną napięcia atmosferę wkroczyło nagle dwóch ubranych na biało mężczyzn. Jeden miał przy sobie walizkę, drugi niósł pod pachą szerokie rzemienie i sprzączki. Na skinienie komisarza obaj podeszli do Vossiusa, podnieśli go z krzesła jak człowieka ułomnego i powiedzieli, każdy dla siebie, ale obaj równocześnie:

- No, monsieur, teraz zrobimy sobie małą przejażdżkę. Proszę z nami!

Chociaż sytuacja nie mogła być bardziej jednoznaczna, trwało kilka sekund, zanim Vossius zrozumiał, co tu się właściwie dzieje, a gdy wreszcie zrozumiał beznadziejność swojego położenia, obaj faceci prowadzili go już,

trzymając mocno pod pachami, korytarzem na klatkę schodową. Pierwszą myślą Vossiusa było, że nie może sobie na to pozwolić, ba, rozważał nawet, jak się wyrwać i uciec co sił w nogach. Później jednak zwyciężyło opamiętanie i myśl, że taki postępek mógłby zostać oceniony tylko jako kolejny dowód paranoi. Poddał się więc swojemu losowi.

5

Pojazd, do którego obaj mężczyźni zaprowadzili go, komplementując infantylnymi słowami, miał okratowane okna i wysokie nadwozie przypominające skrzynię. Był raczej podobny do pomalowanej na biało furgonetki do przewozu warzyw. Vossius z niezadowoleniem przyjął do wiadomości, że ledwie usiadł na siedzeniu w tylnej części, przesuwane drzwi samochodu zostały zaryglowane od zewnątrz. Na pytanie, które rzucił w stronę również okratowanej kabiny kierowcy, chcąc poznać cel podróży, otrzymał odpowiedź, żeby się uspokoił, że wszyscy tutaj troszczą się o jego samopoczucie i wszystko dzieje się wyłącznie dla jego dobra. Te słowa tylko wprawiły profesora w stan jeszcze większego niepokoju, choć jak się zdaje, miały go ukoić.

W trakcie jazdy przez Boulevard Saint-Michael w kierunku Port-Royal Vossius ułożył sobie plan, jak zachowa się podczas czekającego go badania. W każdym razie postanowił, że z manifestacyjną uprzejmością będzie wypełniał wszystkie prośby, swoim zachowaniem nie stworzy sytuacji dla agresji i zwierzy się dopiero rzeczoznawcy, by tak rzec jak profesor przed profesorem.

Przy szpitalu Saint Vincent de Paul samochód skręcił w prawo. Na sygnał klaksonu otworzyła się ciężka żelazna brama, a po drodze Vossius dostrzegł białą tablicę z napisem „Psychiatria”. Teraz tylko nie strać opanowania, powiedział sam do siebie, nie poruszając wargami, i bez mruknięcia posłuchał wezwania pielęgniarzy, by zechciał towarzyszyć im do wnętrza jednego ze złączonych w długi ciąg budynków. Echo ich kroków na tym rozległym korytarzu mogło napędzić człowiekowi strachu.

Na drugim końcu jeden z pielęgniarzy zapukał do drzwi. Otworzył mu siwowłosey lekarz z ciemnymi krzaczastymi brwiami, skinął głową, jakby ich oczekiwał, i wyciągnął rękę do Vossiusa.

- Doktor Le Vaux.

- Vossius - odpowiedział profesor, próbując się uśmiechnąć, co mu się jednak zupełnie nie udało i natychmiast pożałował tej bolesnej próby robiąc minę, która tylko jeszcze podkreślała powagę sytuacji. - Profesor Marc Vossius.

- Ten zamachowiec z kwasem. Poza tym próba samobójstwa na wieży Eiffla - powiedział drugi pielęgniarz, podając Le Vaux jakiś dokument. Następnie obaj pielęgniarze opuścili pokój przez drzwi znajdujące się po drugiej stronie. Tymczasem doktor patrzył z wyciągniętą ręką na kartę z kartoteki, położył ją na białym biurku ze stalowych rurek i poprosił Vossiusa, aby usiadł na stołku z czarnym plastikowym obiciem, który jakoś dziwnie cuchnął śleziem.

- Doktorze Le Vaux - zaczął Vossius, postanawiając zachować jak największy spokój - muszę z panem porozmawiać.

- Później, mój drogi, później! - przerwał pacjentowi Le Vaux i naciskając oburącz jego ramiona, wbił go w taboret.

- Otóż sprawa wygląda następująco... - Vossius próbował ponownie nawiązać rozmowę, jednak Le Vaux nie pozwolił się zbliżyć z tropu i powtórzył, podnosząc wysoko powieki profesora:

- Później, mój drogi, później!

Z jednej strony jego słowa zabrzmiały tak, jakby powtarzał je po tyśiąckroć, z drugiej zaś jakby tak czy inaczej nie miał zamiaru poświęcać uwagi temu, co usłyszy.

Niczym mechanik, który zgodnie z ustalonym z góry planem kontroli sprawdza dany samochód, Le Vaux przycisnął mu kciuki do kości policzkowych, palcem wskazującym i środkowym zaczął wykonywać okrężne ruchy na jego skroniach, przy czym obojętnie pytał, w ogóle nie oczekując odpowiedzi:

- Czy to boli?

Zadając to samo pytanie z taką samą obojętnością, uderzył Vossiusa gumowym młotkiem w czoło, a potem w prawe kolano założone na lewe.

Vossius zaprzeczył. Nie potrafił sobie zresztą wyobrazić, co by się stało, gdyby powiedział, że go boli. Był do głębi zrozpaczony, przeczuwał bowiem, że wpadł w tryby mechanizmu, z których chyba nie będzie mu dane się wyzwolić.

Robiąc przy biurku notatki, Le Vaux ściągnął krzaczaste brwi, jakby mocno wyteżał umysł.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie - powiedział nagle.
- Pewnie miał pan ciężkie dzieciństwo? Jaki był pański stosunek do matki? Jaki ma pan stosunek do kobiet w ogóle? Co pana skłoniło do oblania kwasem piersi Madonny? Czy czuł pan przy tym, że oddaje pan mocz? Czy po dokonaniu tego czynu poczuł pan wyraźną ulgę?

Wtedy Vossius nie zdołał już nad sobą zapanować, zerwał się, zaczął tupać o podłogę, jakby niewiarygodne pytania doktora chciał rozdeptać niczym olbrzym Gargantua skałę i zaśmiał się jak miał w zwyczaju, szyderczo i triumfalnie:

- Dalej, doktorze, dalej, na pewno przyjdzie panu na myśl jeszcze znacznie więcej rzeczy! - zawołał, sapiąc z wściekłości, a jego twarz zaczerwieniła się jak pomidor. Była to właśnie ta reakcja, której za wszystkie skarby świata chciał uniknąć, ponieważ dostarczała jego adwersarzowi nieuczciwych argumentów. Prerażony spojrzał na doktora Le Vaux.

Dla psychiatry tego rodzaju wybuchy nie były niczym szczególnym. W każdym razie gdy jeden z pielęgniarzy wsunął głowę przez drzwi, oferując pomoc, machnął tylko odmownie ręką, jakby chciał powiedzieć: Dam sobie z nim sam radę. Ale powiedział jedynie:

- Proszę, niech się pan uspokoi. Zrobię panu teraz zastrzyk, po którym poczuje się pan znacznie lepiej.

- Tylko nie zastrzyk, tylko nie zastrzyk! - wybełkotał Vossius, podczas gdy Le Vaux z bezwstydnym spokojem napełniał strzykawkę. Wydawało się, że stan pacjenta w najmniejszym stopniu go nie wzrusza.

- To naprawdę całkiem bezpieczny zastrzyk - zapewnił z uśmiechem sadysty i dodał: - Rozumiem pańskie podekscytowanie.

Vossius drżał na całym ciele. Co miał zrobić? Kipiał z wściekłości i wzburzenia. Przez chwilę myślał o tym, żeby zaatakować nadętego psychiatrę i rzucić się do ucieczki, później jednak zwyciężył rozsądek i świadomość, że nie zbiegłby daleko. Oczami poszukał okna po swojej prawej stronie, ale spojrzenie zniweczyło jakąkolwiek myśl o ucieczce - wszystkie okna w tym budynku były zakratowane.

Trzymając strzykawkę niczym drogie cygaro hawańskie, między palcem wskazującym a środkowym, Le Vaux podszedł do Vossiusa, przysunął sobie krzesło i zapytał:

- Co sprawiło, że postanowił pan skoczyć z wieży Eiffla? Czy był to strach przed karą za wylanie kwasu na obraz? Czy może czuł się pan śledzony?

- Oczywiście że czuję się śledzony! - wyrwało się nieoczekiwanie Vossiusowi.

Natychmiast pożałował tej odpowiedzi, ale nie mógł jej już teraz cofnąć.

- Rozumiem.

Le Vaux udał, że bardzo mu współczuje.

- Nic pan nie rozumie - odpowiedział Vossius gwałtownie - nic a nic! Gdybym panu opowiedział, co zdarzyło się wcześniej, dopiero wtedy uznałby mnie pan za umysłowo chorego.

Le Vaux skinął potakująco głową i obserwował strzykawkę trzymaną między palcami z upodobaniem, jakie może czuć szantażysta z naładowaną bronią, trzymający swoją ofiarę na muszce.

- Niech mimo to ją pan opowie - powiedział protekcjonalnie.

- Ale niech pan odłoży tę strzykawkę! - zażądał Vossius.

Doktor postuchał, a Vossius zastanawiał się z wysiłkiem.

- W ogóle nie wiem, jak mam panu wytłumaczyć swoją sytuację - zaczął ceremonialnie. - Jeśli powiem prawdę, z pewnością uzna mnie pan za obłąkańca.

- Może powinniśmy porozmawiać o tym jutro? - wtrącił Le Vaux.

- O nie - zaprotestował gwałtownie profesor. Nadal miał nadzieję, iż psychiatra dostrzeże, iż on, Vossius, znalazł się tu omyłkowo i był równie normalny jak każdy inny człowiek, dodał więc: - Jutro moja sytuacja będzie taka sama jak dzisiaj.

Podobne reakcje były doskonale znane doktorowi Le Vaux. Zbyt dobrze uświadamiał sobie zahamowania, jakie ma człowiek z zaburzeniami umysłowymi, chcący uzasadnić swój czyn, a z doświadczenia lekarza wynikało nadto, że powściągliwość pacjenta rośnie wraz z poziomem jego inteligencji. Niewątpliwie w wypadku Vossiusa miał do czynienia z człowiekiem ponadprzeciętnie inteligentnym. Aby ułatwić mu mówienie, posłużył się starym trikiem psychiatrycznym: podszedł do okna, skrzyżował ręce na plecach i z pozornym znużeniem zaczął wyglądać przez okno, jakby chciał powiedzieć: Spokojnie, ma pan dużo czasu. I odniósł sukces.

- Myśli pan oczywiście, że oblałem obraz Leonarda kwasem w przy-
pływie zamroczenia umysłowego - zaczął Vossius z trudem - ale proszę mi
wierzyć, byłem w pełni świadomy. Równie świadomy jak teraz, kiedy do pana
mówię. Powody pojawiły się już wiele lat wcześniej i należy ich szukać w mo-
jej pracy w charakterze profesora literaturoznawstwa porównawczego.

Wielkie nieba! Le Vaux odwrócił się i spojrzął na Vossiusa. Złakł się, że
pacjent zrobi mu teraz wykład ze swojej dziedziny, to w każdym razie odpo-
wiadałoby typowym objawom schizofrenii, choroby w niewyjaśniony sposób
wybierającej ludzi, którym ponadprzeciętna inteligencja staje się ciężarem.

Wydawało się, że Vossius odgadł myśli doktora, co jest niezwykle w wy-
padku pacjenta. Na ogół jest bowiem tak, że to psychiatra odgaduje myśli
chorego. Uczony powiedział w każdym razie ku zdumieniu Le Vaux:

- Mniemam, że zastanawia się pan w tej chwili, czy powinien pan
stwierdzić u mnie przypadek zwykłej paranoi czy też schizofrenii paranoidal-
nej, trudno jest jednak udowodnić, że ani jedna, ani druga diagnoza nie
jest trafna. Proszę posłuchać, panie doktorze, jestem tak samo normalny
jak pan czy wszyscy inni ludzie.

Tymczasem Le Vaux, zająwszy z powrotem miejsce przy oknie, wyglądał
na dwór, chociaż zapadł zmrok i już od dawna nie było nic widać. Milczał, co
było dla Vossiusa znakiem, że go słucha.

- Osiem lat temu po raz pierwszy złożyłem w Luwrze wniosek o moż-
liwość poddania obrazu zatytułowanego Madonna w ogrodzie różanym
badaniu chemiczno-technicznemu i rentgenologicznemu. Ale wówczas
uznano mnie za równie szalonego jak dzisiaj, z tą tylko różnicą, że wtedy
puszczono mnie wolno. Udzielono mi następującej odpowiedzi: Z zain-
teresowaniem przyjęto do wiadomości moją teorię, ale nikt nie śmie wy-
próbować jej w praktyce. Cenne dzieło sztuki mogłoby doznać przy tym
uszczerbku. To była oczywiście bzdura. Albowiem powszechnie wiadomo,
że na całym świecie, również w Luwrze, poddaje się dzieła sztuki badaniom
fizykochemicznym. W ten sposób odkryto „rembrandty”, które nimi nie
były, w wypadku innych dzieł udało się z kolei dowieść autorstwa danego
artysty. A zatem nie była to żadna szczególna procedura. Nie, powodem
odmownej postawy Luwru była obawa, że to profesor literatury miał do
konać epokowego odkrycia, odkrycia, które przystoi historykowi sztuki.

Myślę, że rywalizacja wśród profesorów sztuk wszelakich nie różni się od rywalizacji wśród profesorów medycyny.

Było to trafne spostrzeżenie, z którym Le Vaux w skrytości ducha całkowicie się zgadzał, wobec czego Vossius, w ogóle tego nie podejrzewając, zjednął sobie sympatię psychiatry. Naraz bowiem Le Vaux całkiem innym tonem zadał pytanie:

- Proszę powiedzieć, monsieur le professeur, jaki sens miało to badanie? To znaczy, co pan sobie po nim obiecywał?

Vossius nabrał głęboko powietrza w płuca. Wiedział, że to, co za chwilę powie, zdecyduje o jego dalszych losach. Jeśli w ogóle chce mieć jakąkolwiek szansę, to właśnie teraz musi wyznać całą prawdę. Wyobrażenie, że będzie musiał spędzić w tych murach lata albo miesiące czy choćby nawet kilka tygodni wśród godnych pożałowania ludzi, którzy poruszają się poza własną świadomością, ta myśl kazała mu zapomnieć o wszelkich zastrzeżeniach. Musi wyjawić swoją wiedzę.

6

- Leonardo - zaczął Vossius swój wywód ab ovo - był jednym z największych geniuszy, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi. Wielu już za jego życia uważało go za szaleńca, gdyż zajmował się rzeczami całkiem niezrozumiałymi dla współczesnych. Wykonywał sekcje zwłok, aby zbadać anatomię człowieka, konstruował samoloty, koparki szuflowe, estakady i łodzie podwodne, które dopiero kilkaset lat później stały się rzeczywistością. Był wynalazcą, architektem, malarzem i badaczem. Dysponował wiedzą, która w ciągu tysiącleci stała się udziałem jedynie nielicznych. Wiedział również o rzeczach, o których właściwie w ogóle nie powinien wiedzieć, co było faktem mało znanym.

- Nie rozumiem - przerwał Le Vaux.

Zdawało się, że profesor obudził zainteresowanie psychiatry.

- Widzi pan - wyjaśnił Vossius - są na tym świecie mądry ludzie, nie ma ich zbyt wielu, ale jest to i tak dość szacowna liczba. Świątłych jednak, okropne słowo, ale nie znam lepszego, jest co najwyżej kilkunastu. To ludzie, którzy rozumieją wszelkie relacje i wiedzą, co spaja świat w samej jego istocie. Leonardo da Vinci był jednym z nich, ale tylko nieliczni o tym

wiedzieli. Większość uważała go z pewnością za mądry umysł i to wszystko. Jednym z tych, którzy wiedzieli, że w Leonardzie ukrywa się geniusz, był Rafael. Podziwiał artystę za jego talent malarski, ale ubóstwiał go za jego światłość. Rafael nie znał tajników wiedzy Leonarda, ale wiedział o ich istnieniu. Dlatego na obrazie zatytułowanym Szkoła ateńska namalował filozofa Platona, jednego z najmądrzejszych ludzi, którzy kiedykolwiek zamieszkiwali naszą planetę, z głową Leonarda da Vinci. Niektórzy dopatrywali się w tym komplementu, inni, nie znajdując wyjaśnienia tego faktu, ignorowali go. Prawdę znają jedynie nieliczni.

- Czy Leonardo kiedykolwiek wypowiadał się na temat swojej wiedzy?

- Nie jak wędrowny kaznodzieja czy kramarz na targu. W zapiskach zostawił pewne aluzje, zagadki dla krytyków literatury i sztuki. Używał dziwnych porównań i napisał, że ciało ziemi ma taką samą naturę jak ryba, oddycha wodą, a nie powietrzem, i przenikają je żyły przebiegające jak krew w ciele człowieka, pod powierzchnią. Zawierają one życiodajne soki dla planety. Nie słychanie naiwnie i bełkotliwie jak na kogoś, kto zajmował się lotnictwem.

Le Vaux przysunął sobie krzesło do Vossiusa i usiadł naprzeciw niego, opierając łokcie na kolanach. Ten mężczyzna, a zwłaszcza jego słowa, zaczęły go intrygować. Paranoicy są zdolni do najosobliwszych myśli, które wyróżniają się przede wszystkim tym, że są absurdalne, ale w konsekwencji logiczne, niekiedy nawet ściśle naukowe. Le Vaux obserwował każdy ruch swojego pacjenta, ale ani ruchy jego rąk, ani też motoryka oczu nie pozwalały domyślić się żadnych anomalii, na podstawie których można by wnioskować o stanie psychicznym tego człowieka.

- Wielki Leonardo - podjął Vossius swoją opowieść - uważał swoje malarstwo za mniej istotne od nauki. Przynajmniej w testamencie nie wspominał słowem o obrazach, za to rękopisy i księgi wyliczył każdą z osobna, tak jakby była to najważniejsza sprawa w jego życiu. Jedno z tych dzieł nosi tytuł Traktat o malarstwie i oprócz pouczającej wiedzy na temat sztuki zawiera zagadkowe aluzje dotyczące Boga i świata.

- Na przykład?

- Na przykład wskazówkę co do boskiego malowidła z natury, „gdzie sęp jest otoczony różami, z tajemnicą w sercu, ukrytą pod znaczną ilością minii i mogącą obalić tę palmę”. Pokolenia historyków sztuki próbowały odgadnąć,

co kryje się za tym opisem, po czym doszli do wniosku, że ten obraz zaginął.

- A pan? Proszę pozwolić mi zgadnąć, monsieur Pan go odnalazł, prawda?

- Prawda - odpowiedział Vossius, jakby to była oczywistość.

- Gdzie, jeśli wolno spytać?

Vossius się roześmiał.

- W Luwrze, doktorze. - W jego głosie można teraz było wyczuć ekscytację. - Wyglądał tylko całkiem inaczej niż panowie go sobie wyobrażali.

- Czyli jak?

- Tym rzekomo zaginionym obrazem Leonarda da Vinci była Madonna w ogrodzie różanym.

- Interesujące - zauważył doktor Le Vaux. Niewątpliwie miał do czynienia z typowym przypadkiem paranoi maniakalnej. Szkoda inteligencji tego człowieka. Lekarz nie miał już właściwie zamiaru zadawać kolejnych pytań i dalszych wyjaśnień Vossiusa słuchał jednym uchem.

- Od samego początku wydawało mi się jasne, że tego problemu nie rozwiążą historycy sztuki, tylko literaturoznawcy. Drogę wskazał mi Dante Alighieri.

O Boże! Le Vaux najwyraźniej z trudem zachowywał poważny wyraz twarzy. Miał w tym, by tak rzec, zawodową wprawę, ale Vossius doprawdy wymagał od niego zbyt wiele.

- Będę się streszczał - oznajmił Vossius, którego uwagi nie uszły oczy właścicieli wysiłki psychiatry, starającego się zapanować nad swoją mimiką. - Ale musi pan sobie wyobrazić, że wszystko to ciągnęło się latami. Napisałem bardzo cenioną w kręgach fachowców rozprawę o symbolice roślinnej i zwierzęcej w Boskiej Komедii Dantego. Odkryłem przy tym, że Dante podobnie jak Leonardo również posługuje się zagadkami, że używa obrazów i alegorii kryjących się za akcją jego dzieła, za pomocą których jednak chciał przekazać gromadce wtajemniczonych wiedzę doniosłą dla świata. U Dantego roi się wręcz od roślin i zwierząt, a jego drogę do piekła można zrozumieć jedynie wtedy, gdy zna się ich symboliczne znaczenie. I tak Dante mówi o lamparcie, lwie i wilczyca, a ma przy tym na myśli takie przywary jak rozpusta, duma i chciwość, a jeśli przywołuje orła, to można być pewnym, że chodzi o Jana Apostoła. Początkowo było to tylko przypuszczenie, im dłużej jednak

zajmowałem się pismami Leonarda, tym więcej wspólnych cech odkrywałem w sformułowaniach obu mężów, tak że w końcu wpadłem na pomysł, aby przeczytać zarówno Leonarda, jak i Dantego. Wracając do zagadkowej wskazówki w jego Traktacie o malarstwie, w wypadku boskiego malowidła, na którym sęp jest otoczony różami, chodzi w rzeczywistości o Madonnę w ogrodzie różanym, gdyż sęp należy do tak zwanej symboliki maryjnej. Podobnie jak w przypadku wielu symboli, również jego źródłem jest mitologia. Orygenes widzi w tym ptaku tajemnicę niepokalanego poczęcia, ponieważ zgodnie z legendą samiczkę sępa zapładnia wiatr wschodni.

Słowa Vossiusa wywarły wrażenie na psychiatrze, chociaż zdawały się tylko potwierdzać postawioną już przezeń diagnozę.

- Gdyby założyć, że pańska teoria jest słuszna - powiedział Le Vaux - jak należałoby wytłumaczyć tajemnicę, która kryje się za nią?

- Żeby to zbadać, zwróciłem się do Luwru z prośbą o możliwość prześwietlenia malowidła. Podejrzywałem, że Leonardo używał w swoich farbach minii i nie byłby on pierwszym ani ostatnim artystą, który pod ze wszech miar znanym obrazem zawarł przesłanie, w tym jednak wypadku o nieprzewidywalnych skutkach.

Le Vaux spojrzął na swojego pacjenta z napięciem i oczekiwaniem.

- Otóż - powiedział Vossius - Leonardo sformułował wszakże pogląd, że ta tajemnica mogłaby obalić palmę, nie, on powiedział: tę palmę!

- Tę palmę?

- Palma symbolizuje zwycięstwo, pokój i niewinność. Męczennicy często noszą w rękach gałązki palmowe. Ale ta palma to symbol Kościoła.

Nastąpiła długa pauza. Le Vaux rozmyślał.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Leonardo da Vinci...

- Tak - przerwał mu Vossius - twierzę, że Leonardo znał straszną tajemnicę, która mogłaby przywieść Kościół do upadku jak sięgający nieboskłonu pień palmy.

A gdy profesor to mówił, oczy mu lśniły.

- Ach, teraz rozumiem! - wykrzyknął nagle doktor Le Vaux. - Dokonując przy użyciu kwasu zamachu na obraz Leonarda, chciał pan udowodnić swoją teorię. Czy to się panu udało?

Vossius uniósł ramiona.

- Wszystko stało się tak szybko. Musiałem uciekać, zanim ktokolwiek mnie odkrył.

Le Vaux skinął potakująco głową i powiedział:

- Wie pan, monsieur le professeur, że ma pan tylko jedną szansę na uniknięcie wieszania. Muszę w swojej ekspertyzie poświadczyć, że cierpi pan na paranoję.

- Na paranoję? - Vossius zaczerpnął głęboko powietrza. - Ależ chyba sam pan w to nie wierzy!

Le Vaux uniósł krzaczaste brwi:

- Co by pan myślał na moim miejscu?

A potem poprosił pacjenta, aby odsłonił prawe ramię.

Vossius posłuchał go jak w transie. Nie mógł pojąć, że doktor mu nie uwierzył. Ten miękkimi palcami wymacał na jego przedramieniu dobrą żyłę, przytknął strzykawkę i wkłuł igłę:

- Na początek dobrze to panu zrobi - dodał jeszcze.

Nazajutrz w dzienniku „Le Figaro” można było przeczytać następującą notatkę:

„Zamach na Madonnę Leonarda. Paryż (AFP). - Pewien niemiecki profesor w przypływie zamroczenia umysłowego oblał kwasem siarkowym obraz Leonarda da Vinci Madonna w ogrodzie różanym. Zamach w Luwrze, podczas którego obraz został w znacznym stopniu uszkodzony, wydobył na światło dzienne zdumiewające odkrycie. Zgodnie z nim artysta najwyraźniej stworzył pierwotnie Madonnę w naszyjniku z ośmiu różnych kamieni szlachetnych, później jednak biżuteria ta została zamalowana z niewiadomych przyczyn. Wśród konserwatorów Luwru rozgorzał spór, czy Madonnie należy przywrócić pierwotną postać w naszyjniku, czy też na powrót powinno się go zamalować. Zamachowiec, który następnie podjął próbę samobójczą, został umieszczony na oddziale psychiatrycznym szpitala Saint Vincent de Paul”.

ROZDZIAŁ III

SAINT VINCENT DE PAUL

Psychiatria

1

Aż do dnia, kiedy mąż Anny von Seydlitz i jego pasażerka ulegli wypadkowi, żyła ona jak tysiące innych kobiet, do pewnego stopnia szczęśliwa, odczuwając zadowolenie, jakie bywa udziałem małżonki otoczonej opieką. To, że ich małżeństwo pozostawało bezdzietne, nie wywołało traumy ani u Guida, ani u niej, a gdyby ktoś zadał Annie pytanie, czy jeszcze raz poślubiłaby Guida, bez wahania odpowiedziałaby „tak”.

Jednakże od chwili wypadku wszystko się zmieniło. Annę dręczyło podejrzenie, że Guido ją zdradzał, ba, że prowadził podwójne życie, a ona o niczym nie wiedziała. Po omacku szukała teraz dróg, które pozwoliłyby wnieść trochę światła w mroki spowijające siedemnaście lat jej małżeństwa, ale jej odczucia były zmacone niczym wzburzona woda w stawie. Czuła się jak zbity pies i była jak przygnieciona do ziemi przez nieznaną siłę.

Dręczyła ją przede wszystkim niepewność i nie umiała trzymać się z dala od tego wszystkiego. Oczywiście, mogłaby powiedzieć: Było, minęło, co mnie obchodzi przeszłość, żyję terazniejszością. Jednak gdy tylko tak pomyślała, zaczynało ją dręczyć podejrzenie, że w ten sposób sama złoży głowę wprost pod nóż owych ciemnych mocy, które w ubiegłych tygodniach raz po raz dały o sobie znać.

Najgorsze w tym stanie niepokoju i podrażnienia emocjonalnego było to, że Anna utraciła zdolność jakiegokolwiek obiektywizmu i nie potrafiła już odróżnić przypadkowości zdarzeń i związanych z nimi osobliwości. Była na najlepszej drodze, żeby popaść w stan złowrogiej psychozy, ponieważ jej wszystkie myśli kręciły się w kółko, a ona coraz bardziej oddalała się od rozwiązania sprawy. Przede wszystkim zaś nie miała odwagi nikomu się zwierzyć,

nawet swojej najlepszej przyjaciółce, w obawie, że w ten sposób dowie się więcej o romansie Guida.

Sprawa przybrała niespodziewany obrót, gdy gazety poinformowały o zamachu w Luwrze i o sporze wynikłym z powodu koliai Madonny, która odsłoniła się na obrazie. Szczególne zainteresowanie wzbudził wtedy Vossius, zamachowiec cierpiący najwyraźniej na zaburzenia umysłowe, profesor niemieckiego pochodzenia z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego.

- Vossius? Vossius?

Anna dobrze wiedziała, że to nazwisko już kiedyś obilo się jej o uszy. Tak, dzień przed zniknięciem Guthmann wspomniał o tym Vossiusie, chociaż w całkiem innym kontekście. Ten naukowiec przez pół życia zajmował się Barabaszem. Właśnie w związku z tym Guthmann dał do zrozumienia, że są ludzie, którzy uważają Vossiusa za szaleńca.

Nie było takie proste połączyć zamach na obraz Leonarda da Vinci z zaginionym pergaminem, a jednak istniał pewien zdumiewający związek: Barabasz! Guthmann przeczytał słowo „Barabasz” na pergaminie, a Vossius badał fenomen Barabasza.

Ostatnie tygodnie nauczyły Annę, że sprawy przekraczające jej możliwości percepcji nie są wcale wystarczająco niezwykle, by nie mogły stać się rzeczywistością. Profesor, który rzuca się na obraz Leonarda, był niewątpliwie osobnikiem wystarczająco niezwykle. A że poza tym miał zajmować się badaniami nad Barabaszem, imieniem, które pojawiało się akurat na poszukiwanym przez nią pergaminie - to już zdawało się graniczyć z obłądem. Takie myśli sprawiły, że Anna von Seydlitz postanowiła nawiązać kontakt z szalonym profesorem.

2

Właśnie wtedy Anna odebrała telefon z Paryża od mężczyzny, który kiedyś odgrywał w jej życiu pewną rolę, chociaż było to dawno temu. Nazywał się Adrian Kleiber i był niezwykle utalentowanym fotografem pracującym jako fotoreporter w „Paris Match”. Anna poniekąd przyczyniła się do tego, że Adrian zrobił karierę w Paryżu. Był najlepszym przyjacielem Guida, aż kiedyś obaj skoczyli sobie do gardeł, próbując rozstrzygnąć spór o to, który z nich ma do niej większe prawo.

Wtedy, przed siedemnastu laty, Adrian i Guido całkiem na serio chcieli się pojedynkować, a do pojedynku nie doszło tylko dlatego, że Anna zagroziła, iż jeśli użyją broni, nie zwiąże się z żadnym z nich. Z przyczyn, które już wyleciały jej z pamięci, Adrian dobrowolnie ustąpił pola, by z bólem i wściekłością wyjechać do Paryża. Jeszcze sześć czy siedem lat temu przysłał jej, jak co roku, kwiaty na urodziny, co robił pewnie tylko po to, żeby rozżłościć Guida, ale od tamtej pory nie dawał znaku życia.

A teraz nagle zadzwonił. Jego głos brzmiał obco, w każdym razie Anna inaczej go zapamiętała. Ale ostatnią rozmowę przeprowadzili wieki temu. Teraz gadali już przez godzinę, a Annie z trudem udało się wyjaśnić Kleiberowi przyczynę śmierci męża i związane z nią tajemnicze okoliczności. Nie wymieniła początkowo nazwiska Vossiusa, powiedziała tylko, że chciałaby wszcząć w Paryżu pewne poszukiwania i spytała, czy mógłby jej w tym pomóc. Adrian Kleiber był w siódmym niebie, zaproponował gościnę i obiecał, że przyjedzie po nią na lotnisko.

Kleiber znał się trochę na kobietach, nikt, kto się z nim zetknął, nawet mężczyźni, nie mogli mieć co do tego wątpliwości. Wprawdzie w ogóle nie był przystojny, niezbyt wysoki, obdarzony niesamowicie bujną czupryną kręconych włosów, ale zaliczał się do ludzi inteligentnych, miał poczucie humoru i dobry gust - właśnie w tej kolejności. Na dodatek w wieku, w którym inni mężczyźni mają za sobą przynajmniej jeden rozwód, on nie był nawet raz żonaty, ale nie zdawał się cierpieć z tego powodu. Istotnie dysponował znaczną dawką miłości własnej, która uszczęśliwia człowieka, przy tym jednak nigdy nie przyjmował odpychającej postawy chorobliwego egoisty. Zdawało się, że dla Kleibera nie istnieją żadne przeszkody. W każdym razie zwrot: „nie ma problemu” należał do jego ulubionych, a jego częste użycie denerwowało ludzi, którzy go nie znali. Znajomi mu wierzyli.

Minęło siedemnaście lat z okładem, odkąd widzieli się po raz ostatni. W samolocie Anna zastanawiała się więc, jak Adrian może wyglądać po tak długim czasie.

AF731 wylądował punktualnie o godzinie 11.30 na lotnisku Le Bourget, a po przejściu różnych hal i pokonaniu kilku schodów Anna weszła z niewielką walizką przez szklane rozsuwane drzwi do głównego halu.

Adrian skinął jej olbrzymim bukietem róż i obejmując Annę, podniósł ją wysoko, po czym dwukrotnie obrócił wokół własnej osi. Jak dawniej. Otarła kilka łez, chociaż wcześniej postanowiła, że nie okaże wzruszenia.

Oboje przyglądali się sobie z pewnym zakłopotaniem. Adrian zaczął natychmiast kokietować swoim wyglądem, który nieszczególnie działał na kobiety, wobec czego Kleiber ciągle jeszcze nie znalazł swojej wybranki.

- Co chcesz usłyszeć? - zapytała Anna łobuzersko. - Że jesteś najprzystojniejszym, najmądrzejszym i najbardziej pożądanym starym kawalerem w Paryżu? No więc dobrze, jesteś najprzystojniejszym, najmądrzejszym i najbardziej pożądanym starym kawalerem w Paryżu. Lepiej ci teraz?

- O wiele lepiej! - wykrzyknął Kleiber. - Przede wszystkim dlatego, że ty to powiedziałaś.

Kiedy tak śmiali się i żartowali, Anna pomyślała, że zachowanie powagi w obecności Adriana wręcz graniczy z cudem. Czuła się swobodnie, równocześnie jednak złapała się na tym, że zastanawia się, czy ten facet w ogóle będzie w stanie jej pomóc.

- Fatalna historia - zauważył naraz Kleiber, podczas gdy jechali do centrum miasta jego czarnym mercedesem pontonem. Jakby odgadywał jej myśli, Adrian stał się nagle bardzo poważny. - Czy byliście szczęśliwi?

Anna nie od razu zrozumiała to pytanie.

- Masz na myśli, czy Guido i ja... ? - Wzruszyła ramionami. Głowę miała zaprzątniętą sprawami, które wydarzyły się po śmierci jej męża. I kolejny raz uświadomiła sobie, że w znacznej mierze wyparła ze świadomości jego śmierć. - Nie przyjechałam tu po to - zaczęła w końcu - żeby wyplakiwać się na twoim ramieniu. Potrzebna mi twoja pomoc. Muszę się dowiedzieć, w jakiej sytuacji się znalazłam, rozumiesz? Zwariuję, jeśli to potrwa dłużej.

- Nic nie rozumiem - odparł poważnie Kleiber - ale spróbuję cię zrozumieć. Teraz jesteś po prostu tutaj i twoje problemy odeszły w siną dal.

- Nie, nie, nie! - zawołała wzburzona Anna, na co przerażony Adrian cofnął rękę. - Jestem tu dlatego, że mam nadzieję zbliżyć się do rozwiązania tej zagadki.

Kleiber milczał. Nie rozumiał, co Anna ma na myśli, ale czuł, że kobieta nosi w sobie coś strasznego i że bagatelizowanie jej uczuć byłoby czymś nad wyraz niestosownym, jakby traktował je jako urojenia. Anna spojrzała na Kleibera: jeśli chodzi o niego, to pewnie nie wie co to lęk. Ujrzała w nim zaważnięcie, który z takim nastawieniem do życia z pewnością dobrze sobie radził nawet w trudnych sytuacjach na frontach w Korei i Wietnamie. Ona natomiast wiedziała, że brak strachu graniczy niekiedy z głupotą, ale do tej pory całkiem dobrze żyło się jej z tą świadomością.

- Jeszcze nie wszystko ci opowiedziałam - zauważyła, gdy Kleiber zjechał z autostrady miejskiej na Porte de Bagnolet i skręcił w rue Belgrand.

- Nie wszystko?

- Chcę odnaleźć tu, w Paryżu, pewnego niemieckiego profesora. Jest on chyba jedyną osobą, która może mi pomóc w tej sytuacji.

- Jak on się nazywa?

- Marc Vossius.

- Nie znam.

- To jeszcze nie wszystko, zamknęto go w domu wariatów i musisz mi pomóc go znaleźć.

- Niemieckiego profesora w paryskim domu wariatów?

- Wiem, co sobie teraz myślisz - wtrąciła Anna - ale ten facet jest dla mnie ogromnie ważny, to w obecnej chwili moja jedyna nadzieja.

Kleiber nacisnął na hamulec i zjechał do prawego krawężnika.

- Chwileczkę - powiedział - wszystkie gazety zamieściły ostatnio informację o pewnym profesorze, który dokonał w Luwrze zamachu na obraz Leonarda da Vinci. Użył kwasu...

- Jego właśnie mam na myśli - odpowiedziała Anna.

- Ale on jest stuknięty. Zamknęli go, rozumiesz?

I postukał się palcem wskazującym w czoło.

- Być może - powiedziała Anna, nie pozwalając wyprowadzić się z równowagi - ale jak pomyślę, co w ostatnich tygodniach wydarzyło się wokół mnie, to jego czyn też nie wydaje mi się tak bardzo bezsensowny.

Kleiber objął ramionami kierownicę i patrzył przez przednią szybę na ulicę. Milczał, ale Anna wyobrażała sobie, co dzieje się w jego głowie.

- Wiem - powiedziała w końcu - niełatwo to wszystko zrozumieć. Nie mogłabym ci mieć za złe, gdybyś doszedł do wniosku, że mam nie po kolei w głowie. Czasem już sama wątpię w swój zdrowy rozsądek.

- Ach, bzdura - odparł Kleiber. - Ja tylko nie widzę związku między profesorem z zaburzeniami umysłowymi a twoją opowieścią, może poza tym... - urwał na chwilę - że jedna brzmi równie niedorzecznie jak druga. Mam na myśli to, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie rzuca się z kwasem siarkowym na bezcenny obraz, ba, mógłbym nawet powiedzieć, że trzeba życzyć temu profesorowi, aby uznano go za szaleńca. W przeciwnym razie do końca życia będzie sponaował odszkodowanie za zniszczenia.

Anna pokręciła głową.

- Oczywiście, i ja się nad tym zastanawiałam. Przyczyny zaburzeń umysłowych mogą być najrozmaitsze, przede wszystkim mogą zostać wywołane przez różne czynniki, a następnie zniknąć. A zatem człowiek, który robi coś takiego jak ten Vossius, wcale nie musiał postradać zmysłów. Może szaleństwo przejawiało się tylko w tym jednym czynie, a poza tym to całkiem normalny człowiek, koryfeusz w swojej dziedzinie nauki?

Wyjaśnienie Anny brzmiało bardzo wiarygodnie, ciągle jednak nasuwała się wątpliwość:

- Co ten Vossius ma wspólnego z tym przypadkiem?

Anna roześmiała się, ale w jej śmiechu można było wyczuć odrobinę goryczy:

- W rzeczywistości łączy nas tylko jedno słowo. Imię, chociaż bardzo rzadkie: Barabasz.

- Barabasz? Nigdy nie słyszałem.

- No właśnie. To imię widnieje na zaginionym pergaminie, który miał z sobą Guido. Przynajmniej tak twierdzi pewien znany koptolog, którego poprosiłam o radę. To również on powiedział, że istnieje profesor o nazwisku Vossius, który zajmuje się tą najwyraźniej historyczną postacią.

- Teraz rozumiem! - zawołał rozentuzjasmowany Kleiber. - Co poza tym jest jeszcze napisane na tym starym pergaminie?

- Nie wiem - odparła Anna. - Dzień po mojej wizycie u niego ów koptolog przepadł bez śladu wraz z kopią pergaminu.

Kleiber pokręcił głową.

- To jest niedorzeczne, niedorzeczne - powiedział. - Musimy odnaleźć tego Vossiusa i odnajdziemy go. Nie takich ludzi już znajdowałem. Nie ma problemu!

3

Adrian Kleiber mieszkał w przestronnym apartamencie z dużymi skośnymi oknami wychodzącymi na Avenue de Verdun między Canal Saint-Martin i Gare de l'Est, przez które widać było rozpościerające się w dole dachy Paryża. Masywny budynek emanował typowym wdziękiem paryskich domów z czasów przed przełomem dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Miał drzwi

wejściowe z czerwonymi i niebieskimi ozdobnymi szybkami, obitą mosiądzem drewnianą windę z kłapiącymi składanymi drzwiami i dużą, nieco podniszczoną klatkę schodową, wystarczająco szeroką, żeby mogła wmaszerować do niej armia żołnierzy.

Pomalowane na biało, nigdy niezamykane dwuskrzydłowe drzwi odizolowały od siebie pokoje w amfiladzie, a przedmioty artystyczne i umeblowanie, głównie secesję i sztukę islamską, Adrian zgromadził, kupując je w sklepach z antykami i na paryskich pchlich targach, przy czym najbardziej lubił bric á brac między Porte de Clignancourt i Porte de Saint-Ouen. Niejeden z tych przedmiotów, który Anna von Seydlitz zarejestrowała okiem znawcy, był dzisiaj wart majątek.

Najmniejszy z czterech pokojów, którego jedyna nisza okienna kończyła się małym okrągłym balkonem wychodzącym na podwórze, Adrian Kleiber przydzielił Annie, życząc jej, żeby czuła się jak w domu. Biała sofa i dwie stare ciemne komody stanowiły jedyne umeblowanie, zresztą w tym małym pomieszczeniu nie zmieściłoby się o wiele więcej. W porównaniu z ogromem i pustką jej własnego domu Anna poczuła się tutaj swojsko, przede wszystkim jednak czuła się chroniona przez swojego gospodarza.

Tymczasem jej historia spodobała się Adrianowi jako dziennikarzowi. Dążył więc do celu z właściwymi ludziami tego zawodu ciekawością i zamiłowaniem do przygody. Wystarczyło kilka telefonów - przy czym Anna stwierdziła, że Kleiber wszędzie ma przyjaciół albo informatorów - aby dowiedzieć się, gdzie przebywa poszukiwany profesor. Na oddziale psychiatrycznym w szpitalu Saint Vincent de Paul na Avenue Denfert-Rochereau.

Podczas kolacji w Chez Margot, niewielkim lokalu nad Sekwaną, w którym stało może z pięć stolików i panowała atmosfera stołówki (przede wszystkim dlatego, że Margot, miła pani pod pięćdziesiątkę z jaskrawym makijażem twarzy zarówno gotowała, jak i serwowała dania, co oczywiście zabierało sporo czasu), Kleiber i Anna omówili strategię dotarcia do Vossiusa.

Raczej nie należało podawać powodu ich poszukiwań. W takich sytuacjach prawda tylko przeszkadza. Postanowili więc, że Anna poda się za bratanicę, jedyną krewną profesora, i w ten sposób zakradną się do Vossiusa.

Kleiber wniósł ukryty pod płaszczem aparat małoobrazkowy. Nawet Annie nie udało się odwieść go od pomysłu zabrania go i skwitował to uwagą, że

bez aparatu czuje się jak nagi król. Do Saint Vincent de Paul weszli bocznym wejściem z wyblakłą tablicą „Psychiatria”. Adrian, który mówił po francusku prawie bez akcentu, starał się wyjaśnić ubranemu na biało portierowi powód ich wizyty, co spotkało się jednak z wyraźną podejrzliwością. W każdym razie kazał dość protekcjonalnie, żeby Anna pokazała mu Swoj dowód, a następnie zagłębił się z dokładnością legastenika w jej niemiecki dokument tożsamości i zanotował nazwisko. Wreszcie chwycił za telefon koloru kości słoniowej, wybrał numer i mierząc Annę i Adriana wzrokiem, zaczął rozmawiać o Vossiusie i jego niemieckiej krewnej. Po chwili wskazał im stojącą w poczekalni pomalowaną na biało drewnianą ławkę.

Czekali około dziesięciu minut - Annie wydawało się to wiecznością - aż portier odsunął szybę w swoim okienku, przyzwał czekających skinieniem i zwracając się do Kleibera, wyjaśnił, że pacjent zdecydowanie stwierdził, że nie ma żadnych krewnych, dlatego też nie jest skłonny przyjąć niejakiej madame von Seydlitz.

Teraz jednak Adrian użył swoich dziennikarskich talentów. Kazał połączyć się z lekarzem oddziałowym, po czym zasypał go gradem niepożamowanych zarzutów, z czego Anna zrozumiała tylko tyle, że człowiek w tak pozałowania godnym stanie nie może oczywiście przypomnieć sobie nawet swojej jedynej krewnej. Dla niej chęć ujżenia ukochanego stryja jest jednak potrzebą serca.

Te słowa nie pozostały bez echa. Lekarz poprosił ich na drugie piętro do pokoju gościnnego nr 201.

Mniej więcej tak właśnie Anna wyobrażała sobie pokój dla gości na oddziale psychiatrii: białe ściany, zakratowane okna, obok wejścia kanciaste krzesło, pośrodku pokoju bardzo stary obdrapany stół, wokół niego cztery obskurne krzesła, u nieskończenie wysokiego sufitu lampa w kształcie kuli z mlecznego szkła. Cuchnęło ohydnie pastą do podłóg i śledziami.

4

Po chwili w drzwiach pojawił się Vossius, któremu towarzyszyli lekarz i sanitariusz. Młody doktor, dość arogancki facet, powiedział beczelnie, że mają piętnaście minut, po czym zniknął. Sanitariusz popchnął Vossiusa, który miał

na sobie jasne ubranie szpitalne i sprawiał wrażenie dość apatycznego, w stronę stołu stojącego pośrodku pokoju, sam zaś usiadł na krześle obok drzwi.

- Ale z pana gbur! - ku przerażeniu Anny Kleiber zawołał po niemiecku do pielęgniarza, który uśmiechnął się na to. Zwracając się do Anny, Adrian powiedział:

- Chciałem się tylko przekonać, czy on zna niemiecki. Ale jak widzisz, nie rozumie ani słowa. Większość Francuzów nie mówi po niemiecku, gdyż uważają za coś oczywistego, że wszyscy Niemcy powinni mówić po francusku.

Profesor usiadł na jednym ze szpetnych krzeseł i spokojnie położył rękę na rękę, jakby czekał na wyjaśnienie.

Serce podeszło Annie do gardła. Nie wiedziała, jak skończy się to spotkanie i czy profesor w ogóle zechce nawiązać z nią rozmowę. Wiedziała tylko, że ten zagadkowy siedzący, naprzeciw niej mężczyzna, jest jej jedyną nadzieją.

Jakby chciała dodać sobie otuchy, Anna wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła:

- Profesorze, wiem, że pan mnie nie zna. Ale musiałam uciec się do tego podstępu, aby do pana dotrzeć. Oczywiście nie jesteśmy spokrewnieni. Jednakże tylko pan może mi pomóc. M u s i mi pan pomóc. Profesorze Vossius, czy pan mnie rozumie?

Mężczyzna opuścił wzrok, zdawało się, że rozumiał, w każdym razie zmarszczki wokół jego ust nagle zadrżały. Ale wszystko to trwało niewiarygodnie długo, tak że Anna powtarzała niespokojnie:

- Profesorze, czy pan mnie rozumiał?

Vossius powoli poruszył wargami:

- Niech mnie pani... stąd... wyciągnie - powiedział spokojnie i zrozumiale. - Niech mnie pani stąd wyciągnie, wtedy wszystko wyjaśnię.

- Jak pan się czuje, panie profesorze? To znaczy, czy jest pan tu w miarę dobrze traktowany?

Mężczyzna odsunął lewy rękaw. Na przedramieniu można było zauważyć wyraźne ukłucia.

- Dają mu zastrzyki na uspokojenie - powiedział Adrian. - We wszystkich szpitalach psychiatrycznych na całym świecie jest tak samo.

Anna położyła swoją dłoń na rękę profesora:

- Proszę powiedzieć, jak możemy panu pomóc?!

Vossius uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Mogę wszystko wyjaśnić. Niech mnie pani stąd wyciągnie.

- Wyciągniemy pana - obiecał Kleiber, uspokajając go - ale w tym celu potrzebujemy pańskiej pomocy. Niezbędne nam są wszystkie informacje. Czy pan rozumie?

Vossius skinął potakująco głową.

- Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego oblał pan obraz kwasem?

Wtedy mężczyźni wyrwały się słowa:

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego, wszyscy pytają dlaczego, a jak im opowiadam, odwracają się i mówią, że jestem obłąkany. Nie powiem ani słowa więcej!

Anna przysunęła się do Vossiusa, jakby chciała mu wyjawić jakąś tajemnicę.

- Profesorze, czy ma to coś wspólnego z Barabaszem?

- Z Barabaszem?

Vossius podniósł wzrok i zmierzył nim najpierw Annę von Seydlitz, a następnie Kleibera, wreszcie zerwał się, wskazał palcem na kobietę i wykrzyknął:

- Kto panią przysłał?

Annie z trudem udało się wcisnąć profesora z powrotem w krzesło. Minęła dłuższa chwila, zanim się uspokoił. Potem wyjaśniła Vossiusowi, że ma pewien koptyjski pergamin, na którym zidentyfikowano imię „Barabasz”, a pewien profesor z Monachium zdradził jej, że to on, Vossius, jest najznamienitszym badaczem problemu Barabasza. Anna nie opowiedziała mu jednak wszystkiego, co się stało.

Wydawało się, że to wyjaśnienie zadowoliło profesora, a nawet przywróciło mu pewien spokój, aby nie powiedzieć, że pogrążyło go w apatii. Odchylił się na krześle, uśmiechnął z udumą i zadał pytanie:

- Co pani wie o Barabaszu, co?

- Będę szczerą - odparła Anna - w ogóle nic nie wiem o tym zjawisku.

Wtedy wyraz twarzy Vossiusa zmienił się i komparatysta przybrał teatralną maskę triumfatora. Wyciągnął szyję, uniosł wysoko powieki, aż utworzyły półksiężycy, i głośno zaczął wypuszczać powietrze przez nos, jak parowóz. Można było po nim poznać, że cieszyła go ta sytuacja, bo ktoś wreszcie potraktował go poważnie.

Vossius chciał właśnie przejść do wyjaśnień, gdy lekarz oddziałowy otworzył drzwi i szorstkim rozkazującym tonem zawołał do wnętrza pokoju dla gości:

- Koniec wizyty. Panie Vossius, proszę ze mną!

Na prośbę Kleibera, żeby pozwolił mu zostać jeszcze pięć minut, lekarz odmówił, machając niechętnie ręką, po czym poinformował, że jeśli to absolutnie konieczne, mogą przyjść nazajutrz.

Podczas gdy sanitariusz odprowadzał Vossiusa, Kleiber podszedł do lekarza i powiedział, że odniósł wrażenie, iż pacjent pozostaje pod wpływem silnych środków uspokajających i że zaaplikowana dawka znacznie przekracza zapotrzebowanie profesora. Vossius jest spokojny i jak się zdaje, ma nawet jasny umysł, nie będzie więc z pewnością w jego, lekarza, interesie, jeśli on wystąpi o przeprowadzenie względem niego kontroli służbowej. Podobny przypadek w innej klinice, gdzie lekarz zlecał wstrzykiwanie pacjentom zbyt silnych leków uspokajających, ledwie w ubiegłym roku był na pierwszych stronach wszystkich gazet. Kleiber dał lekarzowi do zrozumienia, że aby uniknąć podobnych nieprzyjemności, powinien zadbać, by podczas jutrzejszej wizyty pacjent nie znajdował się pod wpływem psychotropów.

Te słowa odniosły pożądany skutek. Wprawdzie psychiatra odpowiedział beczelnie, żeby decyzje lekarskie zostawili jemu, dodał jednak pojednawczo, że sprawdzi, czy pacjent poradzi sobie bez tak silnych środków uspokajających.

Anna podziwiała Kleibera za jego stanowcze postępowanie z lekarzem. Nie umiała sobie w ogóle wyobrazić, że Adrian nie sprostałby jakiejś sytuacji. Wydawało się, iż po prostu nie istnieją dla niego żadne problemy. W sytuacji, w której ona się znalazła, był właściwym człowiekiem.

Kiedy w milczeniu opuścili szpital Saint Vincent de Paul i bocznymi drzwiami wyszli na zewnątrz, gdzie ostry jesienny wiatr gnał przed siebie liście kasztanowców, oboje mieli w głowach tę samą myśl: czy Vossius jest obłąkany, czy nie?

- Jak myślisz? - spytał Kleiber, idąc, i wziął Annę pod rękę.

- Trudno powiedzieć po takim krótkim spotkaniu.

- Kiedy sobie przypomnę wszystkie jego odpowiedzi, muszę przyznać, że reagował sensownie. Ja w tej sytuacji także nie odpowiedziałbym nic innego, szczególnie jeśli zważyć, w jakim znajdował się stanie!

Na następny dzień przygotowali sobie dokładny plan, w jaki sposób naj-
szybciej skłonić profesora do mówienia. Kleiber argumentował, że w tej sytu-
acji najsilniejszym przeżyciem dla Vossiusa był niewątpliwie zamach na obraz
Leonarda, wskutek czego znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Dlatego
należy skonfrontować go z rezultatem jego czynu i zaobserwować reakcję.
Może szok rozwiąże mu język.

W agencji fotograficznej AFP Adrian Kleiber zdobył kolorowe zdjęcie
uszkodzonego obrazu Leonarda, a nazajutrz po południu udali się ponownie
do szpitala Saint Vincent de Paul.

Vossius sprawiał wrażenie zupełnie odmienionego. Zwracał się do Anny
per kochana bratanico, a do Adriana - kochany bratanku, przystąpił więc do
gry, którą oni oboje zaczęli wczoraj. Dzisiaj, wyjaśnił profesor, nie dostał
jeszcze żadnego zastrzyku, dlatego ma jasny umysł i chce najpierw zadać
gościom kilka pytań.

Anna von Seydlitz właśnie na to liczyła, toteż przygotowała sobie w
punktach całą swoją historię.

- Wiem - powiedziała, gdy skończyła ją opowiadać - że wszystko to
brzmi bardzo niewiarygodnie, ale przysięgam panu, że tak to się odbyło.

Zdawało się, że wyjaśnienie Anny w ogóle nie zdziwiło ani nawet nie za-
niepokoiło profesora. Powiedział tylko:

- Ciekawe. – I powtórzył: - Ciekawe.

Podczas rozmowy zarówno Anna, jak i Adrian, każde oddzielnie, doszli
do przekonania, że siedzący dziś naprzeciw nich profesor zachowuje się nor-
malnie. Nie bez znaczenia wydaje się jednak fakt, że w typowym przebiegu
schizofrenii fazy pomieszania zmysłów następują po fazach jasności umysłu.

Kleiber zapytał raczej mimochodem, czy ktoś już pokazał Vossiusowi
efekt jego zamachu.

Profesor spojrział na niego i zrobił wielkie oczy.

Adrian wyjął z koperty zdjęcie, które położył na stole przed Vossiusiem.
Profesor wlepił wzrok w dużą plamę na dekolcie Madonny, gdzie wyraźnie
uwydatniał się naszyjnik z kamieni szlachetnych.

- Mój Boże - wyjąkał - wiedziałem, zawsze to wiedziałem. To jest dowód
na przesłanie Leonarda!

- Nie rozumiem pana, profesorze - wtrąciła Anna.

A Kleiber dodał: - Czy mógłby nam pan wyjaśnić, co ma pan na myśli, mówiąc o przesłaniu Leonarda?

Vossius przytaknął skinieniem głowy.

- Myślę, że tak czy inaczej jesteście państwo jedynymi ludźmi w Paryżu, którzy dadzą wiarę moim słowom.

Przysunął swoje krzesło bliżej gości.

Kleiber postukał w zdjęcie.

- Wśród ekspertów rozgorzała obecnie gwałtowna dyskusja, jak należy restaurować ten obraz. Z naszyjnikiem czy bez niego?

- Ach, ci eksperci! - parsknął profesor. - Czy widział pan kiedykolwiek Madonnę w naszyjniku z kamieni szlachetnych?

- Nie przypominam sobie - odparł Kleiber, a Anna pokręciła przecząco głową. Żadne z nich nie rozumiało, do czego Vossius zmierza.

- Ale Leonardo da Vinci najwyraźniej namalował ten naszyjnik - wtrąciła Anna. - A może myśli pan, że to jest fałszerstwo z późniejszych czasów albo dodatek któregoś z jego uczniów?

- Wręcz przeciwnie, kochana bratanico - rozpromienił się profesor. - Leonardo namalował ten naszyjnik w pełni świadomie. Było też jego zamiarem, żeby po ukończeniu obrazu ukryć go pod cielistą farbą w odcieniu ochry.

Kiedy profesor mówił, Adrian przyglądał mu się z boku. Nie miał pojęcia, co właściwie powinien myśleć o słowach Vossiusa. Profesor sprawiał wrażenie, jakby wkraczał na obszary dalekie od rzeczywistości. Kleibera naszły wątpliwości, czy jednak nie zwiódł ich stan psychiczny tego człowieka. Ale już w następnej chwili opowieść profesora przykuła jego uwagę.

- Świat skrywa mnóstwo tajemnic. Wiele z nich przekracza możliwości zrozumienia większości ludzi, i może nawet to dobrze. Albowiem wielu z tych, którzy by je poznali i pojęli w całej ich doniosłości, na pewno postradałoby rozum. Od niepamiętnych czasów panuje zwyczaj, że najmądrzejsi ludzie przekazują owe tajemnice ludzkości najmądrzejszym potomnym, z przykazaniem zachowania milczenia, póki nie nadejdzie czas, kiedy będzie można je objawić.

Anna zaczęła tracić cierpliwość. Chciała zapytać: Co, na Boga, ma wspólnego naszyjnik z obrazu z tajemnicami ludzkości, ale słowa Vossiusa zmusiły ją do milczenia.

- Od pięciuset lat - mówił profesor dalej - ludzie usiłują zgadnąć, co mógł mieć na myśli Szekspir, gdy powiedział, że: „Są dziwy w niebie i na

ziemi, o których nie śniło się waszym filozofom”. Szekspir był jednym z wtajemniczonych, podobnie jak Dante i Leonardo da Vinci. Każdy z nich zostawił tajemny znak, zaszyfrowane przesłanie. Szekspir i Dante posłużyli się językiem, Leonardo wykorzystał do swoich celów oczywiście malarstwo. Ale nawet w jego spuściźnie pisarskiej znalazły się wskazówki dotyczące tej wiedzy, chociaż nie są to dowody.

- Rozumiem - powiedział Kleiber - że tym zamachem chciał pan udowodnić swoją tezę.

- I to mi się udało - odparł Vossius, uderzając otwartą dłonią w fotografię. - To jest dowód!

- Ten naszyjnik?

- Ten naszyjnik - stwierdził profesor oschle i poszukał oczami strażnika, który obojętnie siedział na krześle obok drzwi. Czas odwiedzin już dawno minął, toteż Anna obawiała się, że lekarz oddziałowy w każdej chwili może wejść do pokoju i gwałtownie przerwać rozmowę. Dlatego niecierpliwie naciskała na Vossiusa:

- Niech nam pan więc wyjaśni związek między naszyjnikiem, którego Leonardo nie namalował tak, aby wszyscy go widzieli, a pergaminem koptyjskim!

Vossius skinął głową. Widać było po nim, że delektuje się tą sytuacją jak zadośćuczynieniem za wycierpiane krzywdy. Toteż im bardziej Anna nalegała, tym powściągliwszy stawał się profesor.

- Jest pewne - powiedział wreszcie - że obaj mieli tę samą wiedzę, zarówno autor pani pergaminu, jak i Leonardo da Vinci, używają bowiem tego samego słowa-kodu.

Anna i Adrian spojrzeli na siebie bezradnie. Vossius nie ułatwiał im zadania, wystawiał ich cierpliwość na ciężką próbę, a Kleiber zaczął nawet wątpić, czy do profesora można rzeczywiście przykładać normalną miarę. Może był on naukowcem opętanym swoją dziedziną wiedzy, do czego trzeba podchodzić z wyrozumiałością, albo też godnym politowania psychopatą.

6

Vossius wziął zdjęcie i trzymał je pionowo jak jakieś trofeum. Palcami prawej ręki dotknął miejsca, w którym widoczny był naszyjnik, złożony z ośmiu

różnych kamieni szlachetnych o szlifie typu kaboszon w złotej oprawie w formie płatków kwiatów.

- Osiem kamieni szlachetnych - stwierdził profesor - na pozór tylko biżuteria, nic więcej, a jednak są to szczególne kamienie i każdy z nich ma określone znaczenie. Zacznijmy od lewej strony, patrząc od strony oglądającego. Pierwszy białawożółty kamień to beryl, kamień posiadający własną historię. Uchodzi za amulet urodzonych w październiku, był mielony w średniowieczu i przygotowywany w postaci płynu w celu leczenia schorzeń oczu. Później odkryto, że jeśli go odpowiednio oszlifować, ma właściwości powiększające. Stąd pochodzi niemieckie słowo *Brille* - okulary. Drugi bładoniebieski kamień to akwamaryna, kamień szlachetny pokrewny berylowi. Barwy akwamaryny są zmienne: od błękitu do zieleni morskiej. Wszyscy znają trzeci, ciemnoczerwony. To rubin. Również jemu przypisywano działanie uzdrawiające. Jest symbolem władzy w insygniach cesarskich i państwowych. Fioletowy jest czwarty kamień, ametyst, talizman urodzonych w lutym, posiadający ogromną moc symboliczną. Był uważany za amulet chroniący przed zatruciem i opilstwem, stanowił też symbol triady, bo posiada trzy barwy: purpurę, błękit i fiolet. Należał ponoć do kamieni zdobiących pektorały arcykapłanów oraz fundament muru niebiańskiej Jerozolimy. Dwa kolejne kamienie, piąty i szósty, to znów beryle, chociaż w różnych kolorach. Siódmy, czarny agat, jest właściwie tylko półszlachetny, ale w starożytności i średniowieczu był w postaci zmielonej poszukiwany jako afrodyzjak, a z niezbadanych powodów z lubością używany w Kościele jako ozdoba przedmiotów liturgicznych. Pozostaje ostatni kamień, zielony szmaragd, niezwykle ceniony przede wszystkim w czasach Leonarda da Vinci. Uchodzi za symbol Jana Ewangelisty, poza tym jest symbolem czystości tudzież niewinności i był czczony w średniowieczu jako kamień o szczególnych właściwościach leczniczych. Osiem kamieni połączonych ze sobą w jednym naszyjniku, na pozór przypadkowo. Ale nie przypadkiem namalował Leonardo ten naszyjnik, podobnie jak nic nie jest w życiu zbiegiem okoliczności. Przeczytajcie państwo osiem początkowych liter w nazwach kamieni z lewej strony do prawej, tak jak je państwu opisałem - i nie ma znaczenia, czy posłużycie się państwo językiem niemieckim, czy jak Leonardo włoskim. Otrzymacie bowiem słowo, które może państwa zaskoczy.

Anna von Seydlitz zacisnęła pięści i w napięciu przyjrzała się fotografii. A następnie przeczytała:

- B-A-R-A-B-B-A-S. Mój Boże - wyjąkała cicho - co to ma znaczyć?

Vossius milczał. Nie odzywał się również Adrian. Ze spojrzeniem utkwionym w zdjęcie sprawdzał w myślach kolejność liter. Profesor miał rację: BARABBAS.

Ale zanim jeszcze oboje pojęli doniosłość tego odkrycia oraz zdołali zadać jakiegokolwiek pytanie, do pokoju dla gości wszedł lekarz oddziałowy i nader nietaktownym gestem, a mianowicie głośno klaszcząc w dłonie, zakończył rozmowę. Vossius podniósł się, uprzejmie skinął głową i w towarzystwie pielęgniarza zniknął na korytarzu.

7

Podczas gdy przejeżdżali samochodem przez Pont Saint-Michael, Anna zapytała Kleibera:

- Myślisz, że ten Vossius jest schizofrenikiem? To znaczy, czy uważasz, że słusznie trzymają go w Saint Vincent?

- Ten facet jest tak samo normalny jak ty i ja - odparł Kleiber. - Myślę tylko, że dźwiga na sobie jakieś niesłychane brzemię, coś, co popchnęło go na skraj rozpacz. Ale wątpię, czy on istotnie może nam pomóc. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby między Leonardem da Vinci a twoim pergaminem istniał jakiś związek.

- Jeżeli nie pomoże nam Vossius, to już od nikogo nie możemy spodziewać się pomocy - powiedziała Anna. - W każdym razie wiemy teraz tyle, że imię „Barabas” symbolizuje jakąś bardzo niejasną historię, którą zajmowały się w przeszłości najznamienitniejsze umysły. Początkowo opowieść profesora mnie również wydawała się bardzo naciągana, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że Vossius ma rację. W każdym razie Leonardo da Vinci pasuje do spłatania niejednego figla. Wiadomo, że już za życia wodził swoich bliźnich za nos, używając na przykład pisma lustrzanego. Sprawa z naszymi jest więc z pewnością jedną z tych diabelskich sztuczek.

- Ale związek? Nie widzę tu żadnego związku.

Anna mogła się tylko przychylić do takiej opinii.

- Ja go też nie widzę. Gdybyśmy znali zależność, prawdopodobnie poznalibyśmy także rozwiązanie.

- A on go nam nie podsunie pod nos.

Anna przytaknęła skinieniem.

- Chyba że...

Kleiber się zastanawiał.

- No, mówże!

- Chyba że ubijemy z Vossiussem interes.

- Interes?

- No tak - wtrącił Adrian. - Interes to może niewłaściwe określenie. Trafniejsza byłaby raczej umowa.

- Mówisz tak zagadkowo.

- Przypomnij sobie - zaczął Kleiber - przypomnij sobie nasze pierwsze spotkanie z Vossiussem. Co powiedział na samym początku?

- Wyciągnijcie mnie stąd!

- To właśnie powiedział. Myślę, że uraczył nas tą swoją historyjką tylko po to, by dowieść, że jest przy zdrowych zmysłach. Nie ufa lekarzom. A oni go sobie już odpuścili. Kto oblewa obraz kwasem, musi być szaleńcem. Vossius oczekuje więc od nas, że mu pomożemy. I dlatego pomyśl, że jesteś jego bratanicą, okazał się bardzo przydatny, wobec czego natychmiast ochoczo włączył się w tę grę. Nie, profesor nie wygląda na przypadek psychiatryczny. Musimy mu uzmysłwić, że jesteśmy o tym przekonani i gotowi poruszyć niebo i ziemię, aby go tylko stamtąd wyciągnąć, jeśli wyśpiewa nam całą prawdę o Barabaszu.

- Niezły pomysł - stwierdziła Anna. - Ale Vossius chciał się rzucić z wieży Eiffla. To niedoszły samobójca, a wszyscy, którzy usiłują odebrać sobie życie, lądują w szpitalach psychiatrycznych.

- Wiem, wiem - odparł Kleiber - ale nikt nie trzyma ich pod kluczem do końca życia. Przeważnie wypuszcza się ich po odpowiedniej terapii. Poza tym nie rozumiem, dlaczego Vossius chciał położyć kres swojemu życiu. Nie zdziwiłbym się, gdyby to wszystko zainscenizował z tylko sobie wiadomych powodów. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, że nie przewidział ewentualnych skutków. Wydaje mi się, że profesor miał starannie obmyślony plan, ale w trakcie jego realizacji wydarzyło się coś nieprzewidzianego, w związku z czym siedzi teraz w wariatkowie. Ale to właśnie jest nasza szansa.

Później, wieczorem tego samego dnia, jedli w Coquille, w siedemnastej dzielnicy, gdzie kuchnia nie jest nouvelle, lecz raczej tradycyjna, co było bliższe zarówno gustowi Anny, jak i Adriana. Ale już wkrótce podczas tej niewymuszonej uczyty zapanowało pełne napięcia milczenie, głównie z tego powodu, że myśli każdego z nich podążały własnym tokiem. Nie tylko Anna, również Adrian poczuł się tymczasem jak w pułapce, bo choć na pozór mógł robić i myśleć, co mu się żywnie podoba, i tak ciągle wracał myślą do profesora Vossiusa przebywającego na oddziale psychiatrycznym w Saint Vincent de Paul.

Anna, jeszcze niedawno w pełni zdecydowana i dzięki pomocy Kleibera uskrzydłona nową otuchą, czuła się znów zdana na łaskę silnego przeciwnika, któremu nie potrafiła sprostać, a na dodatek wątpiła, czy także Adrian jest wystarczająco silny. Ponadto dręczyło ją pytanie, dlaczego jej samej nie przydarzyło się jeszcze nic złego, podczas gdy wszystkich, których napotkała na drodze, dziwnym trafem spotkało jakieś nieszczęście. Guido nie żył, Rauschenbach został zamordowany, Guthmann zaginął. Anna spojrzała na Kleibera i jakby chciała zataić tę myśl, spróbowała się uśmiechnąć. Ale na próżno.

Adrian nie umiał wprawdzie wytłumaczyć sobie zakłopotania na twarzy Anny, ale wszelkie pytania były zbędne. Sympatia, jaką poczuł w pierwszych chwilach ich spotkania po latach, ustąpiła teraz miejsca niestychanej nerwowości. Pragnęłyby spotkać tę kobietę w bardziej sprzyjających okolicznościach, nie był jednak mężczyzną, który nie potrafi zapanować nad taką sytuacją, i to z korzyścią dla siebie. Nie, Kleiber miał nadzieję, że dzięki udzielonemu Annie wsparciu zdobędzie ją, a nic tak nie wzmacnia więzi niż wspólny wróg.

8

Nazajutrz zdawało się im, że kiedy pojawili się w Saint Vincent de Paul, już ich tam oczekiwano. Ale lekarz oddziałowy nie zaprowadził ich do pokoju dla gości, tylko bez jakichkolwiek wyjaśnień poszedł z nimi do biura doktora Le Vaux. Z pewnym zakłopotaniem, nieprzystojącym w tej sytuacji mężczyźnie z jego pozycją, ordynator poinformował Annę i Adriana, że ubiegłej nocy profesor Vossius zmarł na zawał serca. Le Vaux bardzo ubolewał i pragnął wyrazić

im, najbliższym krewnym, swoje głębokie współczucie.

Na nieskończenie długim korytarzu, gdzie jak zwykle cuchnęło woskiem, Kleiber musiał wesprzeć Annę. Nie dlatego, że czuła tak głęboki żal po śmierci profesora, chociaż w ciągu tych dwóch dni niewątpliwie zaskarbił sobie jej sympatię. Śmierć profesora dotknęła Annę przede wszystkim z tej przyczyny, że padł on ofiarą jakiejś strasznej prawidłowości, w którą nie chciała uwierzyć. Anna od samego początku wątpiła w naturalność śmierci Vossiusa, ale jak w każdym poprzednim wypadku nie domyślała się ani ewentualnej przyczyny, ani nie pojmowała sieci powiązań.

Całkiem bezradna, jak we śnie, wlokła się u boku Adriana cuchnącym korytarzem, następnie zeszli oboje szerokimi kamiennymi schodami na parter, gdzie czekał na nich pielęgniarz, który podczas ich spotkań z Vossiusiem siedział przy drzwiach niemo i z tępym wyrazem twarzy. Podszedł do Kleibera i szepnął mu coś, czego Anna nie rozumiała i co w tej sytuacji wcale jej nie zainteresowało. Po krótkiej wymianie zdań z Kleiberem postanowili się spotkać o godzinie dziewiętnastej w bistro niedaleko stąd, na rue Henri Barbusse naprzeciw Lycee Lavoisier.

Ta niezwykła propozycja uszła uwagi Anny von Seydlitz jak jakiś majak, który pojawia się w półśnie, i Adrian dopiero w domu oświecił ją co do propozycji podejrzanego pielęgniarza. Kleiber powiedział, że sanitariusz zasugerował, iż może im zakomunikować coś ważnego w związku ze śmiercią profesora, a na pytanie Adriana, dlaczego nie może się to odbyć tam, na miejscu, odpowiedział, że to stanowczo zbyt niebezpieczne.

Bez względu na to, co mogło się kryć za chętnością pielęgniarza, ani Anna, ani Adrian mimo najlepszej woli nie mogli sobie wyobrazić, w jaki sposób ten głupkowaty facet mógł im pomóc, musieli jednak chwytać się każdej, najbliższej wskazówki mogącej rzucić na sprawę najmniejsze światło.

Jak na warunki paryskie bistro było niezwykle duże i zadymione. Pewnie właśnie dlatego pielęgniarz je wybrał. Okazał się mężczyzną nadspodziewanie sprytnym, z darem bystrej obserwacji rzeczywistości. W każdym razie wiedział bardzo dobrze, czego chce, gdy oznajmił bez ogródek, że pielęgniarze w zakładach psychiatrycznych są opłacani wyjątkowo nędznie — użył słowa *meprisable*, godny pogardy — dlatego też muszą szukać innych źródeł dochodu. Krótko mówiąc, może poinformować ich o prawdziwej przyczynie zgonu

profesora. Ponadto w jego posiadaniu znajduje się spuścizna po zmarłym, która w ich wypadku mogłaby się okazać użyteczna.

O jakim wypadku mówi, zapytał Kleiber, na co pielęgniarz opowiedział, przy czym ku zdumieniu obojga przeszedł nagle z języka francuskiego na łamaną, ale całkowicie rozumiałą niemczyzną, że w ostatnich dniach z ogromnym zainteresowaniem przysłuchiwał się ich rozmowom z Vossiusem. Na pytanie, skąd tak dobrze zna niemiecki, odparł, że jego żona jest Niemką, a teściowie nie mówią ani słowa po francusku i to jest najlepsza szkoła.

- Ile? - zapytał oschle Kleiber.

W fakcie, że nie poznał się na głupim, jak podejrzewał, pielęgniarzu, upatrywał osobistej porażki. To zaś, że pieniądze mogłyby pomóc uznać ją za niebyłą, tylko wzmogło jego gotowość do zapłacenia wysokiej ceny.

Obaj mężczyźni umówili się na kwotę pięciu tysięcy franków, dwa tysiące od razu, reszta przy wręczeniu koperty.

Kleiber był zdumiony pewnością, z jaką działał pielęgniarz. Odnosił niemal wrażenie, jakby ten robił coś takiego nie pierwszy raz.

- Skąd ma pan pewność, że dostanie pan resztę? - zapytał prowokacyjnie Adrian Kleiber.

Pielęgniarz uśmiechnął się pod nosem:

- Przecież w pewien sposób mam państwa w garści. Jeśli zacznę ćwierkać, że pod pozorem pokrewieństwa z Vossiusem zapewniłście sobie wstęp na oddział psychiatryczny, to po nagłej śmierci profesora niewątpliwie zainteresuje to policję. Nie próbujmy się więc wzajemnie tumanić, tak to się chyba u was mówi, i przejdźmy do interesu.

Z wyraźnym zadowoleniem przyjął dwa tysiące franków, dwukrotnie zwinął banknoty i schował je w kieszeni marynarki. Następnie pochylił się nad ciemno zabójczym stolikiem i powiedział:

- Oczywiście Vossius nie umarł śmiercią naturalną. Został uduszony. Skórzany rzemieniem.

Skąd on to wiedział?

- To ja znalazłem profesora rano o wpół do szóstej. Miał bordowy ślad wokół szyi. A przed łóżkiem leżał skórzany rzemień.

Podczas gdy Anna przyjęła tę informację bez specjalnego zaskoczenia, Kleiberowi trudno było uporać się z nową okolicznością. Przede wszystkim

jednak, wtrącił, jaki powód mogłaby mieć klinika, żeby zataić tę sytuację i jako przyczynę zgonu podać zawał serca?

- Jeszcze pan pyta? - oburzył się sanitariusz, przechodząc znów na francuski. - W Saint Vincent de Paul było już wystarczająco dużo skandali, ale morderca, któremu udaje się w nocy wtargnąć na oddział psychiatryczny, to jak do tej pory kulminacyjne wydarzenie w łańcuchu innych zdarzeń, bynajmniej niestawiających instytutu w najlepszym świetle. Oczywiście, wszczęto wewnętrzne śledztwo, które zresztą jeszcze się nie zakończyło, ale to wszystko stanowi dla Le Vaux zagadkę.

A jego osobiste zdanie?

Pielęgniarz nerwowo przejechał rozpostartymi palcami po ciemnej czuprynie.

- Podobno wczoraj wieczorem Vossius miał osobliwego gościa. Nie mogę tego poświadczyć, bo nie miałem dyżuru. Był to ponoć jakiś ksiądz, jezuita. Rozmawiali, jak się zdaje, po angielsku.

Anna i Adrian spojrzeli na siebie. Bezradność obojga po raz kolejny sięgnęła szczytu. Jezuita u Vossiusa?

- W każdym razie ten duchowny był ostatnią osobą, która rozmawiała z profesorem. Oczywiście podejrzenie pada na niego. Kto powiedział, że to rzeczywiście był jezuita? Faktem jest tylko, że ów dziwny duchowny już po półgodzinie opuścił szpital. Potwierdził to portier.

W dalszej dyskusji rozważano problem, czy na oddział psychiatryczny można się dostać niepostrzeżenie. Pielęgniarz stał na stanowisku, że intruz musiał mieć współnika, gdyż tylko w ten sposób mógł tam wejść.

- A pan? - zapytał Adrian w zadumie. - Chodzi mi o to, czy byłoby niedorzecznością myśleć, że pan...

- Proszę posłuchać - wtrącił szorstko pielęgniarz - może mnie pan uważać za odrażającego typu, ponieważ sprzedaję panu informacje. Jest mi to, prawdę mówiąc, całkiem obojętne. Ale to, o co mnie pan podejrzewa, to pomoc w zabójstwie, proszę więc o tym jak najszybciej zapomnieć.

Pielęgniarz w pośpiechu wychylił swój pastis, walnął pieniędzmi o stolik, rzucił obok banknot i zniknął bez pożegnania.

- Nie powinieneś tak na niego napadać - zauważyła beznamiętnie Anna, wpatrując się w zadymionym pomieszczeniu w jakiś wyimaginowany punkt przed sobą. Adrian spostrzegł, że ręce jej drżą.

Mieli wątpliwości, czy nazajutrz mężczyzna pojawi się, jak to wcześniej uzgodnili, aby za resztę umówionej sumy podać dalsze informacje. Pół nocy stawili na dyskusji o tym, czego jeszcze mogą się spodziewać po pielęgniarzu. Uwikłali się oczywiście w jakieś wymyślne konstrukcje myślowe, ani na krok nie przybliżając się do rozwiązania zagadki. Na koniec, długo po północy, doszli do wniosku, że pielęgniarz poda im nazwisko mordercy. Stało się jednak inaczej.

Zgodnie z umową - nie tylko łądacy nie gardzą pieniędzmi - pielęgniarz zjawił się nazajutrz wieczorem o tej samej porze w bistrze, przyjął pozostałą sumę, a w zamian z opanowaniem profesjonalisty podał Annie i Adrianowi przez stół zamkniętą brązową kopertę.

Kleiber otworzył ją gwałtownie.

- Klucz? - zapytała Anna z rozczarowaniem w głosie.

Koperta zawierała klucz z napisem Securite France, klucz, jakich są tysiące, nic poza tym.

- Czy to wszystko? - zapytał Kleiber.

- Tak, to wszystko - odparł pielęgniarz. - Może ten klucz wygląda niepozornie, ale jeśli państwu powiem, że Vossius trzymał go pod poduszką, zawinięty w chusteczkę, to może zyska nieco na wartości.

Kleiber wziął klucz w dłoń i zamknął go w pięści.

- Może ma pan rację - powiedział po krótkim namyśle - ale dopóki nie dowiemy się, do którego zamka pasuje ten klucz, będzie nam w ogóle nieprzydatny.

- Cała reszta to państwa sprawa - powiedział pielęgniarz. Skinął szybko głową i oddalił się bez pożegnania.

Anna i Adrian przeżyli dwa kolejne dni jak w jakimś koszmarze sennym. Nawet fotograf, któremu nigdy nie brakowało pomysłów, wydawał się osiągnąć kres swoich możliwości i usiłował namówić Annę, żeby wsiadła z nim do najbliższego samolotu i poleciała gdzieś do słonecznych krajów, Tunezji czy Maroka. W każdym razie usilnie odradzał jej samotną podróż powrotną do Monachium.

Anna uśmiechnęła się ze znużeniem. Prawdę mówiąc, było jej wszystko jedno. Dręczył ją strach, że Adrian będzie następną osobą, której przytrafi się jakieś nieszczęście. Nie śmiała wypowiedzieć tej myśli, ale nie mogła uwolnić się

od tego wyobrażenia. Toteż Anna szukała jakiejś możliwości odsunięcia Kleibera od tej sprawy. Z drugiej jednak strony czuła się zbyt słaba, żeby przeżyć tę historię w pojedynkę, bez jego pomocy. Była więc nawet skłonna ulec naleganiom Adriana namawiającego ją do wspólnego urlopu, gdy nagle trafili na ślad, który sprawił, że wszystko przybrało inny obrót.

Anna wręczyła Adrianowi film ze zdjęciami koptyjskiego pergaminu, Kleiber zaś kazał w laboratorium fotograficznym wykonać nowe odbitki, co miało mu pozwolić znaleźć eksperta, który zdołałby przetłumaczyć osobliwy tekst, z którego znane im było tylko imię „Barabasz”. A ponieważ zdjęcia zostały spartaczone, jak wyraził się laborant, sporządził ponad tuzin powiększeń, nieco różniących się od siebie stopniem oświetlenia i kontrastu, tak że tekst na jednym zdjęciu był lepiej czytelny w tym, a na drugim w innym miejscu.

Ale nie ten rezultat wprowił Annę w niesłychane podniecenie, lecz cztery palce na lewym marginesie jednego z tych powiększeń (najwyraźniej jakiś pomocnik trzymał po prostu oryginał przed aparatem, co wystarczająco wyjaśniało złą jakość zdjęć). Ściśle biorąc, było to trzy i pół palca, gdyż nieznanemu brakowało górnej połowy palca wskazującego:

- Donat!

- Donat?

- Mężczyzna od kobiety w wózku inwalidzkim! Od samego początku mu nie wierzyłam. Kobieta, która siedziała u Guida w aucie podczas wypadku, a dwa dni później zniknęła z kliniki, podała się za żonę Donata. A on nie umiał sobie tego wszystkiego wyjaśnić. Donat kłamie, kłamie, kłamie!

- I temu... Donatowi brakowało górnej połowy palca wskazującego u prawej ręki? Jesteś tego pewna?

- Całkowicie pewna - odparła Anna - widziałam to na własne oczy. Ale Donat udawał, że o niczym nie wie. Dlaczego to robił? Co miał do ukrycia?

Anna się bała, bała się nowych pytań, które muszą pojawić się wraz z tym odkryciem. Ściśle biorąc, aż do dzisiaj nie posunęła się ani o krok dalej niż w dzień po wypadku Guida. Wręcz przeciwnie, jej poszukiwania dawały podobny efekt jak wykopaliska archeologiczne. Im więcej odkrywała, tym więcej pytań się nasuwało. Wołała już nawet pozostać przy tym, że Guido miał romans i oszukiwał ją w perfidny sposób.

Czuła się tak, jakby stała w centrum jakiegoś spektaklu, w którym wbrew własnej woli musiała nagle kogoś zastąpić, chociaż nie знаła ani innych aktorów, ani treści sztuki. Chcąc nie chcąc, musiała jednak zagrać swoją rolę do końca.

ROZDZIAŁ IV

LEIBETHRA

Blisko obłądu

1

Po niespełna godzinie nocnej jazdy z lotniska w Tesalonikach w kierunku południowym zielony land-rover zjechał z autostrady na Katerini. Katerini jest ładnym miasteczkiem na północnym wschodzie Grecji, mającym z tyłu Olimp wysokości trzech tysięcy metrów, malowniczy rynek ze stolikami i krzeselkami na ulicach, pałace się wieczorem latarnie i główną ulicę, która prowadzi dalej na południowy zachód, do Elasson, skąd dociera się do Meteory, unoszących się w powietrzu klasztorów. Dawniej było ich dwadzieścia cztery. Dzisiaj zamieszkane są jeszcze cztery.

Gdzieś w połowie drogi pojazd zwolnił i skręcił w lewo, w pełną drogę, która zasadniczo składała się z dwóch kolein wypełnionych szutrem i trawiastego poszycia pośrodku. Guthmann w tym momencie zrozumiał, dlaczego przyjechał po nich samochód terenowy. Dwa reflektory wykonywały na wybojach istny taniec Wita, zresztą ku uciesze młodego kierowcy, któremu jazda tą drogą sprawiała wyraźną przyjemność.

- Jeszcze trzy kilometry - powiedział Tales, zwracając się do Guthmanna - i będziemy w Leibethrze. Ostatni odcinek drogi trzeba będzie jednak pokonać pieszo.

Guthmann skinął z uśmiechem głową, ale ten uśmiech wcale nie przyszedł mu łatwo.

Podczas gdy samochód na pierwszym biegu gramolił się pod stromą górę, przy czym jedna serpentyna przechodziła w drugą, a surowe ściany skalne i strome urwiska wyłaniały się raz po jednej, raz po drugiej stronie, tak że żołądek zaczął Guthmannowi podchodzić do gardła, Tales, który znał każdy załamek na tej krętej ścieżce, powiedział:

- Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na kilka rzeczy, które mogą się tu wydać osobliwe. To znaczy, będą to osobliwości tylko dla pana, gdyż po raz pierwszy przybywa pan do Leibethry.

Guthmann skinął potakująco głową.

- Zaczyna się to od tytułowania każdej osoby. U nas nie istnieje forma „pan” ani „ty”. Używamy czcigodnego „wy”, gdyż zgodnie z naszą filozofią człowiek jest miarą wszechrzeczy. A ponieważ prezentujemy taki pogląd, nie żyjemy bynajmniej w ascezie, o co podejrzewa się mnichów z Meteory, z Agia Trias czy Agios Stephanos. Wprawdzie wszyscy chodzimy ubrani na ciemno, ale nie ma to nic wspólnego z samowyrzeczeniem, lecz jest wyrazem naszego jednolitego światopoglądu. Dlatego też każdy z nas ma również imię zakonne.

- Rozumiem - powiedział Guthmann nabożnie, chociaż w ogóle nic nie zrozumiał, a uwagi Talesa wydały mu się pełne sprzeczności. Już prawie zaczął żałować swojego postanowienia. Ale zdecydował się spalić za sobą wszystkie mosty, a Leibethra była naprawdę najbezpieczniejszym miejscem w Europie, gdzie można się było zaszyć albo w ogóle wycofać ze świata. Tego właśnie pragnął Guthmann - wyłączyć się ze świata, zostawić za sobą wszystkie przymusy, frustrujący związek małżeński, ciągłą rywalizację w środowisku akademickim i nużące życie towarzyskie, obowiązkowe w wypadku człowieka z jego pozycją i dlatego głęboko znienawidzone.

W ciemnym samochodzie Tales zerknął z boku na Guthmanna i powiedział:

- Chyba pan nie żałuje, że przyjechał tu ze mną?

- Ależ skąd - zapewnił Guthmann, aby uspokoić swojego towarzysza - jestem tylko piekielnie zmęczony. Wie pan, lot i ta forsowna podróż autem!

Naraz wysoko ponad nimi, w oddali, pojawiły się światelka, które wyglądały jak robaczki świętojańskie w czerwcowy wieczór.

- Leibethra! - powiedział Tales, wskazując palcem w dal, a po chwili dodał: - Jeszcze jest czas, jeszcze może się pan zastanowić...

Ale Guthmann wpadł mu w słowo:

- Tu się nie ma nad czym zastanawiać. Moje postanowienie jest ostateczne.

- No dobrze - odparł Tales - chciałem tylko pana ostrzec, bo stamtąd nie ma już powrotu. Ale przecież już wcześniej dokładnie to panu wyjaśniłem.

Guthmann patrzył na zbliżające się światełka: Leibethra! Czuł mocne bicie serca. W ostatnich dniach zbyt wiele słyszał o tej zagadkowej miejscowości. Tales wyjaśnił mu, jacy ludzie przebywają w tym klasztorze. Co znaczy „w klasztorze”? Tę twierdzą w skale Tales nazwał fortecą klasztorną. I może to określenie najlepiej oddawało charakter tej instytucji.

- Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby jakiś członek waszej wspólnoty, to znaczy, czy były już takie przypadki...

- W ostatnich latach tylko jeden - odparł Tales, który w lot zrozumiał to niedokończone pytanie, i poprawił sobie okulary bez oprawek, co, jak Guthmann wiedział już od dawna, było oznaką niezadowolenia.

- Każdy ma prawo odejść - dodał Tales - ale oczekujemy, że taka osoba nie wróci już do normalnego życia. Tu przydaje się Skała Frygijska.

- Nie rozumiem.

- Frygowie z Azji Mniejszej zrzucali przestępców ze skały, ale przyzwoitym ludziom pozostawiali możliwość, by sami skoczyli. Elegancki sposób wykonania kary śmierci. Tak to się dawniej u nas odbywało, ale dzisiaj jesteśmy bardziej humanitarni. Współczesna biochemia daje nam tymczasem środki i metody pozwalające upewnić się, że każdy wtajemniczony zachowuje milczenie.

Jadąc powoli, land-rover przebył wąską ścieżkę nad przepastnym wąwozem. W ciemnościach nie było widać dna. Silnik wył na niskim biegu, gdy droga wiodła stromo pod górę, tak stromo, że światła reflektorów trafiały w próżnię niczym światła latarni morskiej. Potem nagle pysk pojazdu pochylił się do przodu, bo ścieżka równie stromo opadała. Guthmann zobaczył ciemne domy wokół jasno rozświetlonego placu, na którym panował ożywiony ruch.

Im bliżej byli, tym wyraźniej Guthmann widział ludzi z ogłupiałymi wyrazami twarzy, mężczyzn z dziwacznymi gębami i kobiety, które na pozór bez powodu wybuchały przenikliwym śmiechem. Dookoła biegały dzieci z głowami wielkości melonów na normalnie rozwiniętych, małych tułowach, a jakiś odziany w biel starzec z łysą głową ciągnął za sobą na sznurku drewniany statek zabawkę. Niektórzy machali przyjaźnie rękami albo podchodzili do okien przejeżdżającego auta i robili miny jak małe dzieci.

- Bez obaw - powiedział Tales na widok bezradnej twarzy Guthmanna - wszystko to są niefrasobliwe, godne ubolewania stworzenia, którym natura

odmówiła normalnego rozumu. Co jednak znaczy „normalny”? Sam pan wie, że granica dzieląca geniusza od szaleńca jest niestłuchanie cienka. Oficjalnie Leibethra jest kolonią dla ludzi umysłowo upośledzonych. Nasz zakon sprawuje nad nią pieczę. Zapewnia nam to uznanie i świadomość, że wszyscy zostawią nas w spokoju. Niejako chronimy się za kręgiem szaleństwa.

- Jak mam to rozumieć?

- Każda osoba, która chce przedostać się do nas, musi najpierw przebyć tę kolonię.

Kierowca gwałtownie naciskał klakson, aby torować sobie drogę przez wieś. Przez otwarte boczne okno wykrzykiwał czasem coś, jakby chciał wystraszyć ludzi z ciekawości cisnących się przed samochodem.

Za jednym z zakrętów wyłoniła się jasno oświetlona żelazna brama, która prowadziła prosto w głąb góry i która otworzyła się jakby za sprawą duchów, gdy tylko się zbliżyli. Za nią mieściła się hala ze skalistym sklepieniem. W środku było zaparkowanych kilka aut terenowych. Po lewej stronie buczało za kratą parę generatorów, a ścianę naprzeciwko zajmowały dwie windy, jakie dzisiaj można jeszcze spotkać tylko w starych domach czynszowych, windy z czerwonego drewna mahoniowego i z oszlifowanymi szybkami w drzwiach.

- Oto jesteśmy - powiedział Tales, gdy winda się zatrzymała, i poprosił Guthmanna, żeby wysiadł. - Pański bagaż zostanie przyniesiony. Proszę ze mną.

2

Guthmann spodziewał się budynku klasztornego, ale to co zobaczył, wyglądało raczej na hotel. Zdziwił się.

- Pewnie zupełnie inaczej pan sobie to wszystko wyobrażał?

- Ależ oczywiście! - odparł gość. - Mniej luksusu, więcej ascezy.

Gdy wysiedli z windy, doszły ich skądś dźwięki muzyki klasycznej. Na lśniącej kamiennej podłodze jasno rozświetlonego westybulu w kształcie półksiężycy stały równo ustawione fotele z drewna i krzesła wyplatane przez okolicznych mieszkańców. Naprzeciw windy widać było szereg okienek zakończonych łukami. Po obu stronach korytarze prowadziły w przeciwnych

kierunkach. Cały teren sprawiał wrażenie bardzo rozległego i zdawał się nie mieć nic wspólnego z przestrzenną ciasnotą w Meteorze.

Tales zaprowadził obcego przybysza na lewo, gdzie wąskie schody wiodły w górę, na swego rodzaju galerię, od której w równych odstępach odchodziło dwoje położonych tuż obok siebie drzwi. Jedna para, która kształtem i kolorem futryny za każdym razem harmonizowała z drugą parą znajdującą się po przeciwległej stronie długiego korytarza. Kiedy tak szli, Guthmannowi przemknęło przez myśl, że nikogo tu dotąd nie spotkali. Mimo to jednak te opustoszałe, wyludnione zabudowania były znacznie mniej niesamowite niż wiejski plac pełen ludzkich dziwołagów.

- Aby wrócić do pańskiego spostrzeżenia - powiedział Tales, idąc, i natychmiast się poprawił: - aby wrócić do waszego spostrzeżenia: asceza to rzecz godna podziwu, ale ascecie daleko jeszcze do mędrca. Nie mam nic przeciw ascezie w rozumieniu braku potrzeb! Skoro Diogenesowi wystarczała do życia tylko jedna beczka, to nie mam mu nic do zarzucenia. Sam wybrał sobie taki sposób bycia i czuł się szczęśliwy. Ale asceza w wypadku mnichów to czyste nieporozumienie. Święty Paweł po prostu nie rozumiał filozofii greckich stoików i widział w niej wypróbowany środek w walce z występkami i brakiem cnót. Asceza chrześcijańska jest nastawiona na ucisk i zniweczenie ludzkiej natury, nie tylko żądz seksualnych, ale także żądz patrzenia, słuchania, smakowania. Jednakże prawdziwi filozofowie stoicy żyli życiem zgodnym z naturą. Gdyby Kościół miał rację, wszystkie klasztory byłyby ostoją szczęścia, pokoju i prawdy. Jak jednak wygląda rzeczywistość? Nie znajdzie pan właściwie żadnego miejsca na ziemi, gdzie nieszczęście, wrogość i kłamstwo byłyby tak powszechne jak w klasztorze.

Guthmann przystanął i przerażony spojrzał na Talesa:

- Przemawia przez was gorycz, Talesie, głębokie rozgoryczenie.

- Nie wierzycie mi?

Guthmann wzruszył ramionami.

- Możecie dać wiarę każdemu mojemu słowu, profesorze, ja wiem, o czym mówię. Pół życia spędziłem za klasztorными murami i pół życia marzyłem tylko o jednym, o wolności woli. Czy możecie sobie wyobrazić, co to znaczy? Nie. Może to zrozumieć tylko ten, kto sam się umartwiał. Wszystko, co ma rzeczywistą i sprawczą moc na tej ziemi, jest cielesne, a siła

człowieka nie jest czymś niematerialnym czy abstrakcyjnym, prawdziwa siła człowieka, dzięki której może przenosić góry, to wolność woli. Jedynie sensowne, zgodne z rozumem oraz naturą żądza i powściągliwość, czyn i bezczynność zapewniają człowiekowi prawdziwe szczęście. Habit odbiera mu połowę jego zdolności.

- Byliście mnichem?

Tales skłonił głowę, a Guthmann zobaczył na jej czubku wianuszek wątlego owłosienia, resztki dawnej tonsury.

- Kapucynem - powiedział Tales, nie patrząc na Guthmanna. - Wygalają wam aureolę na łbie dopóty, dopóki włosy same się nie poddadzą. Ten akt jest symptomatyczny. Asceza aż do samozatrącenia. W pewnym momencie jednak zrozumiałem, że ewentualne epitafium: „Żył jak święty”, w ogóle nie ma sensu. Miliardy ludzi zapytają: A jakie przysługi oddał ludzkości? Ale nie chcę was zanudzać swoją historią.

- Ależ nie - odparł Guthmann - wcale mnie nie nudzicie. Wręcz przeciwnie, pobudzacie do rozmyślań.

- A ja już myślałem, że was wystraszyłem!

- Z całą pewnością nie - skłamał Guthmann. - Tylko że - przerwał zakłopotany - propagowana przez was totalna wolność woli oznaczałaby ostatecznie, że znajduje się tu również miejsce dla kobiet.

- Oczywiście - odpowiedział Tales, jakby to było zrozumiałe samo przez się. — Powiedziałem wam przecież, że to nie zakon, a raczej pewien ruch religijny. Rościmy sobie pretensję do posiadania w naszych szeregach najędrszych umysłów, sami więc sprowadzilibyśmy się ad absurdum, gdyby mieszkali tutaj wyłącznie mężczyźni.

- Inie powoduje to komplikacji?

Tales się roześmiał. Guthmann stwierdził ze zdumieniem, że mężczyzna, któremu towarzyszy już od tygodnia, po raz pierwszy zaśmiał się na cały głos.

- A jakże! - zawołał. - To przecież jest prawo naturalne: całkiem odmienne zachowania mężczyzn i kobiet, rozwój mądrości w dwu przeciwnych, ale przecież wzajemnie się warunkujących i uzupełniających kierunkach, tworzy tak zwane napięcie pierwotne. A napięcie jest jednym z najbardziej fascynujących przejawów naszego umysłu.

Z tymi słowy Tales otworzył niezamknięte na klucz drzwi oznaczone w górnej części szeregiem symboli mających wielkość wnętrza dłoni, z odwróconymi

i stojącymi prosto trójkątami oraz kwadratami, które, gdy człowiek się dobrze w nie wpatrzył, zdawały się coś oznaczać.

- W Leibethrze nie istnieją liczby - zauważył Tales, który pochwycił badawcze spojrzenie profesora. - Może was to zdziwi, ale człowiek nie potrzebuje liczb. My używamy ich tylko nieoficjalnie jako środków do celu, wielu ludzi bowiem myśli, że potrafi wyrażać się wyłącznie w liczbach. Ubóstwienie liczb to zło, jedno z największych w naszych czasach. Liczby niepomierne rosną w siłę i pewnego dnia ludzie zostaną przez nie pożarci jak nasze organy przez raka.

Guthmann nic nie odpowiedział, ale w głębi duszy przyznał Taksowi rację. Już Pitagoras, wynalazca matematyki, twierdził, że za pomocą dziesięciu palców można wyjaśnić wszystko, co stanowi nasz świat. Wszechświat, kosmos jest doskonały dzięki trzem wymiarom, czas składa się z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, a każda rzecz ma początek, środek i koniec. Zanim jednak Guthmann zdołał doprowadzić ten wywód do końca, widok, który rozpostarł się przed jego oczami, wprowadził go w zdumienie jeszcze większe niż to, które to niezwykle miejsce wywołało w nim już wcześniej.

Ukazał się przed nim gustownie umeblowany apartament, pokój stołowy z telewizorem i telefonem, gabinet z biblioteką i łazienka wyłożona białymi kafelkami, czego można by się raczej spodziewać w luksusowym hotelu aniżeli w klasztorze. Podczas gdy Tales pokazywał nowo przybyłemu pomieszczenia, szofer przyniósł bagaże.

- Mam nadzieję, że nie przesadziłem - powiedział Tales – wszystko jest jeszcze w takim stanie, w jakim zostawił to wasz poprzednik. Możecie oczywiście urządzić się tak, żebyście się tu czuli dobrze. Za niespełną godzinę przyjdzie po was ktoś, żeby zaprowadzić was na wspólną wieszczkę.

Po tej informacji Tales zniknął, a Guthmann zaczął się zastanawiać, czy naprawdę to wszystko przeżywa, czy też tylko śni. Czuł się piekielnie zmęczony i wiedział, że zmęczenie potrafi podsunąć zmysłom najbardziej niewiarygodne obrazy. Potem jednak zagłębił się w fotelu o żółtym wzorku, wyciągnął nogi, rozejrzał się i już miał ochotę uszczypnąć się, żeby sprawdzić, czy czuje ból, gdy zadzwonił telefon.

- Słucham - powiedział niepewnie Guthmann.

To był Tales.

- Zapomniałem powiedzieć, że do kolacji wkładamy ciemne stroje.

3

Dziwny człowiek, pomyślał Guthmann, ale czyż nie było dziwne wszystko, co zdarzyło się w ciągu dwóch ostatnich tygodni? Skąd Tales dowiedział się o sytuacji, w której znalazł się on, profesor Werner Guthmann? Skąd on, Werner Guthmann, miał w sobie tyle odwagi, żeby podążyć za Talesem, obcym mu człowiekiem, którego w ogóle nie znał i który nie zdradził mu nawet swojego prawdziwego nazwiska, a jedynie obiecywał mu rzeczy, o których każdy człowiek przy zdrowych zmysłach musi powiedzieć, że są niemożliwe do spełnienia. Czy Leibethra nie jest snem, utopią? Czy nie jest to urojenie naiwnych filozofów pragnących zgromadzić w jednym miejscu najmądrzejsze umysły ludzkości, każdy największy w swojej dziedzinie, żeby w ten sposób przeciwdziałać duchowemu upadkowi człowieka, który jak powiadają, rozpoczął się wraz z początkiem jego dziejów?

Kiedy tak siedział i rozmyślał, czy nie padł ofiarą jakiegoś żartu, która to myśl dziwnym trafem w minionych dniach nigdy nie przyszła mu do głowy, ponieważ słowa i obietnice Talesa brzmiały tak przekonująco, czas minął jak z bicza strzelił, tak że profesor musiał się pośpiesznie przebrać do kolacji.

O wyznaczonej porze ktoś zapukał i Guthmann podszedł szybko do drzwi, żeby otworzyć. Spodziewał się Talesa, gdyż nie znał tutaj nikogo innego, ale stała przed nim kobieta, która powiedziała:

- Mam na imię Helena, przyszłam, panie profesorze, zabrać pana na kolację.

Guthmann stał jak wryty. Sam nie wiedział, jak długo stał oniemiały przed obcą kobietą, niepewny czy ma ją zaprosić do środka, czy też najpierw zlustrować od stóp do głów. Zdecydował się na to drugie. Swoją powierzchownością Helena sprawiała wrażenie inteligentnej i surowej, częste zestawienie cech, chociaż nie ma powodu dla takiego połączenia. Włosy miała zaczesane do tyłu i wydawało się, że za pomocą żelu chce dodatkowo spotęgować wrażenie owej surowości. Wąskie czarne okulary dopełniały tego obrazu. Helena miała na sobie ciemny obcisły kostium i czarne pantofle na wysokich obcasach. Cała jej postać, zdaniem Guthmanna, absolutnie nadawała się do wysyłania erotycznych sygnałów. W każdym razie nie chybiły one w odniesieniu do niego.

- Pani wybaczy - poprawił się - wybaczenie, jestem nieco speszony, nie was oczekiwałem.

Helena odpowiedziała chłodno, jakby w ogóle nie usłyszała tych słów:

- Chodźcie, już czas. Musicie wiedzieć, że wieczerza to w Leibethrze swego rodzaju rytuał. Nie wolno się spóźnić. Dyscyplina jest u nas na pierwszym miejscu.

W korytarzach, gdzie wcześniej nie było żywej duszy, zapanowało ożywienie. Gawędzono, przechadzając się niczym w foyer, a to odebrało całą budowlę, w której dla Guthmanna kryło się tyle tajemnic, wiele z magii.

- Nie macie jeszcze imienia? - zapytała Helena, kiedy schodzili po stromych schodach. Guthmann przyznał, że nie ma.

Znalazszy się na dole, skręcili w prawo, przeszli przez westybul w kształcie półksiężyca, z windami po prawej stronie, i jak wszyscy inni podążyli długim korytarzem po przeciwległej stronie. Gromadziło się coraz więcej ludzi w ciemnych strojach, wśród nich również kobiety, a wszyscy podążali w stronę hali z wysokim belkowaniem. Kamienna posadzka była wyłożona dywanami. Nieomal całe pomieszczenie zajmował stół w kształcie litery T.

- Nie ma żadnej hierarchii miejsc - zauważyła Helena - tylko tam, przy stole z przodu.

Kiedy wreszcie wszyscy obecni zasiedli przy długim stole - może było ich około sześćdziesięciorga - przez tylne drzwi znajdujące się w pobliżu stołu tworzącego poprzeczną belkę w literze T weszło czterech mężczyzn w towarzystwie niezwyklej postaci, której wygląd mimo ciemnego dwurzędowego garnituru nie pozwalał stwierdzić, czy jest to mężczyzna czy kobieta.

- To Orfeusz - powiedziała Helena, odwracając głowę, a dostrzegłszy pytające spojrzenie Guthmanna, dodała wyjaśniającym tonem, jakby opisywała coś całkiem oczywistego: - Musicie wiedzieć, że Orfeusz jest hermafrodytą. Nie ma znaczenia czy jest bardziej mężczyzną, czy bardziej kobietą. Ja sama nigdy się jeszcze nad tym nie zastanawiałam, ale jest faktem, że wszyscy wybraliśmy go naszym przywódcą, Orfeuszem, to bowiem istota najmądrzejsza z nas, znająca tajniki życia. Jeśli istnieje człowiek, który potrafi sprawić, by zatrzymały się rzeki, stopniał śnieg, by kamienie zaczęły mówić, a drzewa wędrować, to jest nim właśnie on. Orfeusz jest geniuszem, co ja mówię, największym geniuszem!

Guthmann dowiedział się od Talesa, że zakonowi przewodniczy pewien amerykański profesor, uniwersalny geniusz z uniwersytetu w Berkeley,

wyróżniający się nie tylko nadzwyczajnymi zdolnościami umysłowymi, lecz również odziedziczonym kapitałem akcyjnym, który jak sobie opowiadano jest wystarczająco pokaźny, żeby spowodować chaos na giełdach w Nowym Jorku i Paryżu. Zarówno jedno, jak i drugie przywiózł ze sobą do Leibethry. Motywacja tego outsidera była podobna do źródeł decyzji Guthmanna: niechęć do mafii naukowej. Ale Orfeusza wyobrażał sobie całkiem inaczej.

Zaniepokojony Guthmann pochylił się ku Helenie, która zajęła miejsce obok niego:

- Dobrze was chyba zrozumiałem, to jest profesor...

- Arthur Steward - wpadła mu w słowo Helena. - Berkeley, Kalifornia. Ale nie rozmawiamy o naszej przeszłości, chyba że mamy na to ochotę. I to jest jeden z powodów, dla których każda osoba ma tutaj imię zakonne.

- Rozumiem - powiedział cicho Guthmann i teraz, gdy Orfeusz z czterema towarzyszami zajął już miejsce, dostrzegł po jego prawicy Talesa.

Biało odziani kelnerzy wnieśli przystawkę składającą się z kolorowych warzyw, co skłoniło Helenę do wygłoszenia uwagi:

- Jeśli do tej pory spożywaliście mięso, zapomnijcie o tym, wszyscy tutaj jesteśmy wegetarianami.

- To po mojej myśli - wymamrotał Guthmann. - Przystawka smakowała wyśmienicie. Interesowałoby mnie jeszcze jedno: zapewne Tales pełni tutaj wysoką funkcję. Nie wiedziałem o tym, on zaś słowem nie zająknął się na ten temat.

- O tak - odparła Helena, a w jej głosie można było usłyszeć swego rodzaju podziw. - Tales jest w naszym mikrokosmosie wodą, która wszystko porusza.

- Jak mam to rozumieć?

- Ta piątka u szczytu stołu stanowi razem pentagram, który unosi się nad naszym ruchem. - Helena narysowała palcem na stole niewidoczną gwiazdę pięcioramienną. - Ta gwiazda to znak wszechmocy i duchowego samoopano-
wania. Choćbyście ją do woli przekreślali, zawsze zachowa ten sam kształt. Na jednym z jej wierzchołków jest Orfeusz, na drugim Tales, Anaksymenes na trzecim, a Heraklit i Anaksymander stanowią dwa pozostałe wierzchołki. Dlatego mówimy o pentagramie. Możemy również powiedzieć, że oni tworzą

senat albo nawet ciało przywódcze. A zatem na czele stoi Orfeusz i jemu są przyporządkowane cztery żywioły. Tales reprezentuje wodę i ponosi odpowiedzialność za wszystkie sprawy naukowe, religijne i kościelne. Anaksymenes reprezentuje powietrze. Jego dziedzinami są sztuka i historia. Heraklit, który symbolizuje ogień, jest wielkim mistrzem filozofii i wiedzy o duszy, no i mówiąc mimochodem, moim mistrzem. Anaksymander zaś, którego żywiołem jest ziemia, odpowiada za wszystkie problemy techniki i przyszłości. Razem wzięci władają wszelkimi problemami kosmosu. Ale nie są sami w swoich dziedzinach. Każdy z nich ma czterech pomocników reprezentujących jakiś szczególny kierunek i posługujących się różnymi językami.

Podano danie główne, wyborny ryż z bakłażanami i rodzynkami, do tego cierpkie wino, a Guthmann, który domniemywał, że znajdzie się na usługach Talesa, może nawet jako jego pomocnik, zadał pytanie:

- Co to ma wspólnego z pentagramem? To znaczy, jaki jest skład ciała przywódczego? Albo zapytam inaczej: dlaczego to wy jesteście pomocnicą Heraklita, a nie odwrotnie?

Po poważnej twarzy Heleny przemknął uśmiech.

- Członkowie pentagramu - odpowiedziała oschle - są wybierani przez nas wszystkich. Każdy ma prawo zademonstrować swoją wiedzę. Jeśli wspólnota oceni go wyżej niż jego przełożonego, to on staje się pomocnikiem, a tamten jego przełożonym.

- Często się to zdarza?

- Nierzadko, ale się zdarza. Ostatnio zdarzyło się to w przypadku Talesa, który przez sześć lat był pomocnikiem kogoś innego, po czym dokonał zapierającego dech w piersiach odkrycia. Ale jego przełożony twierdził, że to j e g o odkrycie, i wtedy obaj wdali się w zażarty spór. My wszyscy musieliśmy zdecydować o wyborze jednego lub drugiego. Wzlot jednego oznaczałby upadek drugiego, gdyż obydwaj naraz nie mogli reprezentować żywiołu wody. Wezwaliśmy ich więc do przedstawienia dowodów na potwierdzenie swoich hipotez. Tales wydał dużą kwotę na badania naukowe, wkrótce jednak okazało się, że obaj pochwalili się zbyt wcześnie. Tales do dzisiaj jest nam winien dowód, a jego rywal nie wrócił z podróży badawczej do Francji, gdzie spodziewał się znaleźć rozwiązanie. Jednakże z faktu, że przywiózł was z Berlina, można zapewne wnosić, że jest bliski rozwiązania. Czy też może ma je już w kieszeni?

Guthmann uczynił ręką ruch mający oznaczać, że jeszcze do tego daleko. Tymczasem zaczął w duchu zadawać sobie pytanie, czy rzeczywiście dokonał właściwego wyboru i czy tutaj, w Leibethrze, nie wpadł z deszczu pod rynnę? Szybko jednak stłumił w sobie tę myśl i powiedział:

- Szczerze mówiąc, nie wiem jeszcze dobrze, o co właściwie chodzi. Tales rozpyływał się w domysłach, szukał eksperta od papirusów koptyjskich i zapytał mnie, czy byłbym gotów popracować dla niego i jego organizacji.

- Organizacji? - przerwała Helena. - Czy Tales rzeczywiście użył słowa „organizacja”?

- No cóż, może wyraził się jakoś inaczej, w każdym razie jego oferta pojawiła się w odpowiednim dla mnie momencie. Będę szczerzy, znajdowałem się właśnie w kryzysie. Czekający mnie rozwód, podczas którego straciłbym większość majątku, i cały ten naukowy interes, który żąda od człowieka więcej umiejętności administracyjnych niż badawczych... Toteż możliwość pozostawienia wszystkiego z dnia na dzień wydała mi się niezwykle pociągająca.

Helena skinęła głową ze zrozumieniem.

- Większość z nas doświadczyła podobnego losu.

- A wy? - spytał zaintrygowany Guthmann.

- Ach, o czym tu mówić? - odparła Helena z lekką domieszką goryczy. - Miał na imię Jan, był Holendrem i podobnie jak ja neurofizjologiem. Poznaliśmy się w Instytucie Neurofizjologicznym uniwersytetu w Göteborgu. Musi pan wiedzieć, że jestem Szwedką, nazywam się Jessica Lundström. Wysłałam za niego za mąż, ale potem okazało się, że jestem zdolniejsza od niego. Jan nie mógł pogodzić się z faktem, że to mnie, a nie jemu powierzono katedrę neurofizjologii na uniwersytecie w Göteborgu. Zaczął pić, w końcu stracił swoją posadę asystenta, bił mnie i sabotował moją pracę. Pewnego dnia wszystko rzuciłam.

Guthmann obserwował tę kobietę, która nagle sprawiała wrażenie takiej bezradnej i potrzebującej oparcia, a w przypływie smutku wpatrywała się przed siebie w stół, jakby czytała we własnej księdze losu. A surowość ulotniła się z jej twarzy.

- Czym zajmujecie się tu, w Leibethrze? - zapytał ostrożnie Guthmann.

Wyraz twarzy Heleny zmienił się, jakby wróciła z innego świata.

- Heraklit powierzył mi zadanie zanalizowania biologicznej ewolucji mózgu w jego trzech podstawowych fazach i w powiązaniu z tym zagadki uczuć; kto bowiem zawładnie uczuciami, zawładnie ludzkością.

- I czy zbliżyliście się do rozwiązania?

- Patrząc z punktu widzenia ewolucji, owszem, ale jeśli chodzi o sterowanie zbiorowymi uczuciami, to jeszcze daleko mi do rozwiązania.

- Heleno, musicie mi to wyjaśnić! - powiedział z entuzjazmem Guthmann.

- No cóż, cel jest jasny. Chodzi o wyposażenie danej kategorii ludzi: stanu zawodowego, klasy wiekowej, całego narodu w jedno i to samo uczucie. Na przykład wszyscy Arabowie kochaliby wszystkich Izraelitów. Albo wszyscy Niemcy kochaliby wszystkich Francuzów. Rozumiecie, co by to w konsekwencji oznaczało? Nie byłoby więcej wojen.

- Ale - wtrącił Guthmann - to może działać w obie strony, co znaczy, że kto posiadzie taki wzór, będzie również potrafił podsycać nienawiść. Szczuść Arabów na Izraelitów, Niemców na Francuzów i odwracać uwagę od siebie i własnych problemów.

- Istnieją już narkotyki, które podane celowo mogą wpływać na ludzkie wybory. Pański poprzednik, profesor Vossius, był już bliski rzucenia się z wieży Eiffla. Czy uważa pan, że zrobiłby to z własnej woli?

- Wobec tego ma pani tu, w Leibethrze, władzę nad życiem i śmiercią?

- Dokładnie tak to jest, profesorze, i dlatego też traktujemy ten problem poważnie. Tyle że, jak powiedziałam, nie widać jeszcze jego rozwiązania w skali globalnej.

- I to wszystko wiąże się z ewolucyjnymi fazami powstawania mózgu? Możecie mi to bliżej wyjaśnić?

Helena poczuła się w swoim żywiole:

- Mózg ludzki składa się z trzech koncentrycznych części, które wykształciły się dopiero w trakcie procesu ewolucji. Wewnętrzna część to pień mózgu, nazywany również gadzim mózgiem, gdyż jeszcze dzisiaj jest Właściwy tym stworzeniom. Pień mózgu gromadzi wyłącznie instynkty, przyzwyczajenia żywieniowe, instynkt ataku i obrony. Nad nim znajduje się międzymózgowie. To kontynuacja rozwoju pnia mózgu licząca kilkaset milionów lat, będąca więc zdobyczą ssaków. I w tym przypadku pojawia się po raz pierwszy pojęcie uczucia: strachu i agresji, ale także ostrożności i czasoprzeżrzeni. Jednakże dopiero homo sapiens to istota obdarzona

kresomózgowiem znajdującym się nad międzymózgowiem. Ale, i to jest zasadnicza problematyka mojej pracy, informacje, które docierają do kresomózgowia, muszą najpierw przejść przez mózg gadzi i międzymózgowie, dlatego zawsze są obarczone uczuciami. Możecie sobie wyobrazić, jakie możliwości otwierają się zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym, gdy można sterować tymi funkcjami.

- A w jaki sposób można sobie wyobrazić tego rodzaju sterowanie?
- Na krótką metę za pomocą narkotyków, różnych domieszek wody pitnej albo za pomocą nawozów sztucznych. W dłuższej perspektywie po przez manipulację genami.

4

Helena niezwykle zafascynowała profesora. Oschłość i męskie cechy w jej zachowaniu osobliwie go podniecały. Za wąskimi czarnymi okularami kryły się duże ciemne oczy, toteż Guthmann nie był wcale pewien, czy powodem noszenia szkieł jest rzeczywiście krótkowzroczność, czy też jedynie potrzeba chronienia tych czarownych oczu przed bezpośrednimi spojrzeniami innych. Podobnie jak dessous nie służy ogrzaniu ciała, ale jego wyzywającemu osłonięciu.

Jakby Helena odgadywała myśli Guthmanna, zapytała, nie patrząc na niego:

- O czym myślicie?
- Och... jestem zafascynowany - wyjąkał speszony Guthmann. - W ogóle nie wiem, czy dotrzymam wam tu kroku z moją skromną wiedzą? Kogo jeszcze interesują stare koptyjskie teksty?
- Nie łudźcie się - wtrąciła Helena - nikt z siedzących przy tym stole nie zna się właściwie na tym, co robi drugi. Praca każdej jednostki jest dla innych tajemną księgą. Jeśli jednak weźmie się nas wszystkich razem, stanowimy uniwersalny mózg człowieka. - Helena wskazała palcem przed siebie, gdzie długi stół przechodził w poprzeczną belkę litery T. - Spójrzcie na tych dwóch w przednim rzędzie. Ten po prawej jest jak ja przypisany do Heraklita. Ma na imię Tymon. Jego cywilne nazwisko brzmi doktor Marc Warrenton, pochodzi on z Oksfordu i jest najlepszym na świecie ekspertem od kryptonezji.

- Kryptonezji?

- Kryptonezja to umiejętność przypominania sobie zapomnianych informacji. Ta zdolność jest w przypadku pewnych ludzi będących w transie lub poddanych hipnozie tak duża, że wydobywają oni informacje z poprzednich wcieleń, co można uznać za dowód na istnienie reinkarnacji. Z pomocą pewnego Anglika Tymon odkrył różne fakty, które wydarzyły się w starożytnym Egipcie, a które potwierdziły następnie wykopaliska archeologiczne. Naprzeciw niego siedzi Straton, w życiu cywilnym dr Claude Mail, najmłodszy szef instytutu we Francji. Przyszedł na świat jako cudowne dziecko, w wieku dwunastu lat zdał maturę, jako czternastolatek napisał pracę doktorską z medycyny, mając lat osiemnaście kierował Centrum Badań Naukowych w Tuluzie i zajmował się głównie zamrażaniem komórek nasiennych ciekłym azotem. Przybył tutaj, ponieważ w końcu musiał uporać się z problemami raczej etycznymi niż naukowymi. Dzisiaj chełpi się tym, że gdyby jego technika istniała już w I wieku naszej ery, to w każdej chwili mógłby spłodzić syna Seneki.

Zafascynowany Guthmann słuchał słów Heleny i naraz pojął, że Leibethra jest schronieniem dla osób opętanych żądzą, żądzą wiedzy. Znały one tylko jeden grzech - głupotę. W tej chwili Guthmann nie umiałby powiedzieć, czy to miejsce wydaje mu się godne uwielbienia, czy raczej godne pogardy. Był zbyt poruszony tym, co się działo wokół niego, a także słowami Heleny.

- Wygląda na to - podjęła wątek Helena - że dręczy was wiele wątpliwości.

Guthmann sięgnął po kieliszek, wypił duży łyk czerwonego wina i skinął głową, zgadzając się z nią:

- Tak, owszem. Na przykład bardzo by mnie interesowało... to znaczy... Leibethra zapewne jest kosztownym miejscem, kto za tym stoi, kto to wszystko finansuje?

Spojrzał przy tym na Helenę z boku, jakby się wystraszył, że tym pytaniem posunął się za daleko. Ale ona tylko się roześmiała:

- Wy chyba nie moglibyście wnieść żadnego majątku?

- Obawiam się, że nie - odparł Guthmann, kładąc ręce na piersi. - Profesor koptologii nie jest niestety krezusem.

- To wcale nie jest konieczne! Musicie wiedzieć, że outsiderzy rzadko cierpią głód. Odchodzą ze społeczeństwa, bo są syci. Orfeusz jest bogaty,

nawet bardzo bogaty. Filon pochodzi z południowoamerykańskiej rodziny wielkich latyfundystów, do Hegezjasza należy połowa jednej z największych na świecie sieci wypożyczalni samochodów, Hermes ma udziały w źródłach ropy w Nigerii. I każdy z nich wniósł swój majątek w to przedsięwzięcie. Nie, o pieniądzach w Leibethrze nigdy się nie mówi.

W sali robiło się coraz głośniejsze. Obecni zmieniali miejsca i stali, dyskutując w niewielkich grupkach. Skądś dobiegała muzyka Mozarta.

- Raj dla filozofów - powiedział Guthmann.

Helena zamilkła, ale profesor poznał po tym milczeniu, że musiał powiedzieć coś niewłaściwego, coś, co nie spotkało się z jej aprobatą. Helena sięgnęła po kieliszek i opróżniła go jednym haustem, jakby chciała wlać w siebie nieco otuchy. Wreszcie podniosła się i bez słowa poszła na drugą stronę sali ku jednej z okiennych nisz w grubym murze, które były tak ogromne, że mieściły się w nich drewniane ławki. Stała i spoglądała przez okno w ciemności.

Guthmann przyglądał się temu bezradnie. Nie wiedział, co się z nią dzieje, dlatego też podążył w stronę okna za swoją rozmówczynią i rzekł na usprawiedliwienie:

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

- Nie, nie - wpadła mu Helena w słowo. - Leibethra byłaby istotnie rajem dla filozofów, gdyby ich tu nie było.

- Aha - powiedział Guthmann - niech rozumie ten, kto chce, ale ja nie rozumiem.

Helena zaczęła się wykręcać.

- Nie wolno mi o tym mówić - zauważyła z rozgoryczeniem - a już na pewno nie nowicjuszowi.

Guthmann nie umiał wytłumaczyć sobie jej wzburzenia, ale udało mu się sprowokować ją swoim milczeniem do podjęcia tematu.

5

- Ten piękny pozór - mówiła Helena, podczas gdy jej niespokojne oczy obserwowały salę - to ułuda. Prawdę mówiąc, każdy jest tu wrogiem każdego. W Leibethrze, gdzie powinna panować wiedza, panuje w rzeczywistości absolutny immoralizm, negacja wszelkich wartości moralnych, w imię wiedzy wynoszenie się

ponad dobro i zło. Bo wiedza to narkotyk. Zdziwienie i wątpliwości, te źródła filozofii, straciły na znaczeniu w Leibethrze i stały się śmiesznymi przypadłościami. Liczy się tu jedynie władza. A wiedza jest władzą.

Jeszcze kilka minut wcześniej Helena sprawiała wrażenie raczej świadomej siebie, silnej, nieomal próżnej i zimnej kobiety, a teraz nagle z jej słów przebijał strach, który nie wydawał się bezpodstawny. Guthmannowi zdawało się, że Helena szuka u niego pomocy, toteż zapytał ostrożnie, czy mógłby coś dla niej zrobić.

Jego pytanie spotkało się jednak tylko z niezrozumieniem, gdyż w Leibethrze nikt nic dla nikogo nie robi, chyba że na polecenie zwierzchników. Hierarchia jest tu tak sztywna jak w Watykanie i istnieją wyłącznie dwie możliwości: służyć lub odejść.

Albo rzucić się z wysokości.

Guthmann nie ośmielił się zapytać, na jaki stopień hierarchii wspięła się do tej pory Helena. Zastanawiał się, jaką rangę o n będzie miał. Naraz pojął, dlaczego Tales nieustannie wkładał mu do głowy, że nie można zejść z raz obranej drogi i że ta droga jest wyboista.

- Spójrzcie na tych troje - powiedziała Helena, zwracając oczy w lewo, gdzie dwaj mężczyźni i kobieta stali w grupce, spokojnie rozmawiając. Energetyczna, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta rzucała się w oczy z powodu niezwykle krótkich włosów, a także szczura, którego nosiła na ramieniu.

- Oni czują się tajemnymi władcami Leibethry. Jest to troje najznamienitszych na świecie badaczy raka: Juliana kierowała szpitalem Bethesda w Chicago do chwili, gdy mając we krwi dwa promile alkoholu, śmiertelnie potrafiła starszą kobietę. Aristip, brodac, pochodzi z Charite w Berlinie, gdzie został znienawidzony, gdyż był na usługach Stasi. Krates natomiast, włoski badacz, opuścił uniwersytet w Bolonii, bo ze względu na młody wiek nie dano mu szansy, czyli pieniędzy na badania. Szczur jest symbolem sukcesu Juliany. Na nim przeprowadzono eksperyment, w wyniku którego po raz pierwszy udało się zamienić komórki rakowe z powrotem w normalne, zdrowe. Przynajmniej ona tak twierdzi.

Im więcej Guthmann dowiadywał się o wydarzeniach w Leibethrze, tym bardziej zaczynał wątpić, czy rzeczywiście on sam jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. To prawda, że nie brakowało mu uznania

uczonych jego specjalności. Uchodził za jednego z dwóch czołowych koptologów w Europie. Ale w porównaniu z prowadzonymi tutaj badaniami jego praca wydawała się raczej niefrasobliwa. Również Tales w kwestii oczekiwań Guthmanna był do tej pory raczej powściągliwy i podkreślał, że będzie on mógł nadal prowadzić swoje prace badawcze.

Późną nocą - kolacja przeciągnęła się aż do wczesnych godzin porannych - Tales wziął nowego przybysza na stronę i powiedział, że pragnie przedstawić mu Orfeusza.

Orfeusz, niski i krągły, o długich jasnych włosach i miękkich rysach twarzy, również w ruchach sprawiał wrażenie, jakby pod jego prostym męskim odzieniem kryła się kobieta. Ale głos brzmiał po męsku, był dominujący i emanował chłodem, który niekiedy charakteryzuje prokuratorów. Orfeusz usiłował nadrobić to w ten sposób, że raz po raz uprzejmie kiwał potakująco głową, nawet gdy Guthmann milczał.

Wreszcie Tales zadał pytanie, jakie imię zamierza przyjąć profesor, a Orfeusz wymienił imię „Menas”, od koptyjskiego uczonego, i zapytał, czy byłoby ono po myśli Guthmanna.

Profesor zgodził się na to skinieniem głowy. Był zaskoczony, że Orfeusz przywołał postać znaną zazwyczaj garstce wtajemniczonych. Tymczasem Orfeusz zaczął się rozwódzić nad znaczeniem apokryficznych tekstów koptyjskich w odniesieniu do religii chrześcijańskiej, a kiedy już wykazał się zdumiewającą znajomością rzeczy, łaskawym ruchem ręki pozwolił mu odejść. Tales z kolei zapowiedział, że jutro wtajemniczy nowego członka wspólnoty w jego zadania.

Pozostałym, których Guthmann aż do tej chwili w ogóle nie zauważał, rozmowa z Orfeuszem wydawała się niejako egzaminem, po którego zdaniu będzie można przyjąć Guthmanna do wspólnoty orfików, gdyż jeden po drugim podchodzili teraz, przedstawiali się imieniem zakonnym i ściskali mu dłoń. W tej ceremonii, a najwyraźniej tak trzeba było nazwać to wydarzenie, nie czuło się ani cienia serdeczności. Większość obecnych uważała ten obowiązkowy przemarsz raczej za uciążliwy i to zachowanie nie umknęło uwadze Menasa. Wyglądało na to, że Helena w niczym nie przesadzała.

„Jesteś teraz kimś innym, a wszystko, co zostawiłeś za sobą, jest bez znaczenia”. Te słowa Orfeusza przemknęły mu przez głowę, gdy potwornie zmęczony wchodził po stromych schodach, by udać się do swojego pokoju.

Tak jak stał, padł na łóżko, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak?

Była to Helena.

- Macie ochotę przespać się ze mną? - zapytała i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁY

PERGAMIN

Poszukiwanie śladów

1

Annę von Seydlitz najbardziej niepokoiło to, że nie wiedziała, jaką rolę właściwie odgrywa w całej sprawie. Czy jest to błahy epizod w przedstawieniu, które wskutek jej ciekawości przybrało postać tragedii, czy też nieubłagany los przeznaczył jej główną rolę? Anna nie potrafiła tego przerwać, musiała grać dalej.

W takich chwilach jak ta, kiedy znalazła martwego Rauschenbacha albo gdy dowiedziała się o zamordowaniu Vossiusa, myślała: Masz tylko jedno życie. Po co je ryzykujesz? Ale zadawała sobie również pytanie o alternatywę. Jak powinna się zachować? Jakby nigdy nic? Uciec?

Anna czuła się lepiej, gdy wychodziła losowi naprzeciw. Przede wszystkim jednak wydawało jej się, że dotarła do miejsca, z którego nie mogła się już wycofać.

Adrian Kleiber stał się w tych dniach jej nieodzowną podporą. Był to człowiek, na którym mogła się wesprzeć, gdy pojawiała się niebezpieczeństwo, że jej emocje ustąpią miejsca bezsensownej panice, jakby diabeł deptał jej po piętach. Przy Adrianie czuła się spokojna i opanowana, a myślą przenosiła się w czasy, gdy on i Guido byli jeszcze przyjaciółmi.

Jednak ciągle coś się w niej buntowało przeciwko tej przeszłości. Może był to również powód, dla którego Anna w niewytłumaczalny dla przyjaciela z młodości sposób odrzucała go, gdy tylko próbował się do niej zbliżyć. Usiłowała wyjaśnić to lakonicznym hasłem, że wszystko ma swój czas, a ponieważ Kleiberowi zależało na Annie, zadowalał się taką argumentacją.

Był to również powód, dla którego podczas wspólnego pobytu w Monachium zgodził się zamieszkać w hotelu, a nie w jednym z komfortowych

pokojów w jej domu, co mogłoby właściwie wydać się oczywiste. Hotel Hilton był odległy od willi Anny o dziesięć minut jazdy samochodem, a mieszkali w nim głównie biznesmeni. Poza tym jednak miał im nazajutrz dostarczyć chyba najważniejszej podpowiedzi. Nadto w sposób, którego nikt nie śmiałby podejrzewać.

Powodem pospiesznego wyjazdu obojga z Paryża stała się wskazówka na jednej z kopii pergaminu dotycząca Donata. Anna była zdania, że najlepiej będzie bez uprzedzenia odwiedzić nazajutrz tego człowieka, pokazać mu zdjęcie i zmusić tym samym do wyjaśnienia, w jaki sposób znalazł się na nim ślad jego okaleczonego palca.

Pachniało zimą, a w dzielnicy Münchner Osten dął lodowaty wiatr. Anna von Seydlitz i Adrian Kleiber przybyli przed południem pod dom na Hohenzollern-Ring 17. Ogrodnik był zajęty zgrabianiem na kupkę liści opadłych z trzech jesionów. Zmierzył przybyszy od stóp do głów, a kiedy zażądali wypuszczenia do środka, podszedł do płotu.

- Dzień dobry! - powiedział, zsuwając na kark podniszczoną czapkę.

- Chcemy się widzieć z panem Donatem! - zawołała Anna przez płot.

- Z Donatem, ach tak - powiedział ogrodnik i oparł się rękami o pomalowaną na szaro żelazną furtkę. - No to chyba się państwo spóźnili kilka dni.

- Spóźnili? Co to znaczy?

- To znaczy, że Donat wyjechał, piękna pani, nie ma go!

- Nie rozumiem.

- Ja też nie - odparł ogrodnik - ale kiedy przyszedłem tu w ubiegły wtorek... bo jestem tutaj w każdy wtorek... dom był pusty, ogołocony, Donat i jego żona zniknęli. Zadzwoiłem do administratora domu, żeby się dowiedzieć, co się stało, ale on również o niczym nie wiedział. Nawet nieszczególnie się zdenerwował, bo czynsz został zapłacony za trzy miesiące z góry. Ja dostaję pieniądze od administratora. Tak, tak to wygląda.

Anna i Adrian popatrzyli po sobie. Bezsilna Anna była bliska łez, wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w pusty stary dom, w którym nie było zasłon, i powtarzała:

- Taa, tak to wygląda.

Słowa te były pełne goryczy, a w Annie na powrót ożyło dręczące poejdrzenie, że wkroczyła na zakazaną ścieżkę.

Ogrodnik zaczął opowiadać, chociaż go o to nie prosili:

- Wicie państwo, właściwie w ogóle nie znałem tych ludzi. I dlatego nie mogę się o nich wyrazić ani dobrze, ani źle. Między nimi też chyba nie układało się najlepiej. Bo to wcale nie takie proste mieć żonę na wózku inwalidzkim! Kto wie, co tam zaszło. No, zresztą, co mi do tego? Czy państwo znali ich dłużej?

- Nie, nie - pośpieszyła Anna z odpowiedzią, po czym zapytała: - I naprawdę pan nie wie, gdzie się podziali ci ludzie?

Ogrodnik pokręcił przecząco głową.

- Nawet sąsiad mieszkający obok nie zauważył, że wyjechali. Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, jak można tak nagle zniknąć z całym dobytkiem.

Anna zdobyła się na sztuczny uśmiech. Odetchnęła głęboko. Uczucie niepokoju, które ogarnęło ją w pierwszej chwili, ustąpiło miejsca swego rodzaju poczuciu wyzwolenia. Nie musi się już dłużej bać, że odkryje w tym starym domu coś, co ją przerazi, coś bolesnego.

Gdy wracali do auta, Adrian objął ją ramieniem. Wydawał się równie bezradny jak ona.

- I co teraz? — zapytała Anna, gdy już siadła za kierownicą. — Co robimy dalej?

- Porozmawiamy o tym jutro - odparł Kleiber, wyciągając się wygodnie na siedzeniu. - Jestem zmęczony, a kiedy jestem zmęczony, nie mogę myśleć. Zawieź mnie do hotelu.

Anna pożegnała się z nim przed Hiltonem, całując go przelotnie. W domu czuła się nieswojo. Wydawał jej się obcy, wręcz nieprzyjazny. Wiszące na ścianach obrazy i rzeźby, które zawsze tak bardzo jej się podobały, przyglądały się teraz bez zrozumienia. Żeby tylko coś robić, Anna włączyła wszystkie światła, wolno przejrzała pocztę, która się nzbierała, i nałała sobie koniaku, ale nawet nie umoczyła w nim ust. Doszła do takiego punktu, że nie wiedziała, co dalej robić, całą swoją nadzieję pokładała więc w Kleiberze.

Okazywała mu znacznie więcej sympatii niż chciała się do tego przyznać przed sobą, ale nade wszystko przed nim. Jednakże szok z powodu Guida był zbyt silny. Z pewnością ponowne związanie się z mężczyzną po tym wszystkim, co się wydarzyło, będzie wymagało od niej przełamania się. Adrian jej pragnął, czuła to, ale bała się, że pewnego dnia doprowadzi to do katastrofy. Przynisnęła ręce do oczu. Tylko o tym nie myśleć!

Prawdę mówiąc, jest idiotką. Gonić za fantomem, bliska szaleństwa, a wszystko wyłącznie z powodu zranionej próżności! Że mąż zdradzał ją za jej plecami. Nie po raz pierwszy Anna zadała sobie pytanie, czy trud się opłaca, czy poznanie imienia tej kobiety, wiedza o wszystkim, skieruje jej życie z powrotem na spokojniejsze tory. Ale to pytanie było daremne już choćby dlatego, że poszukiwania tak ją wciągnęły, iż nie była w stanie zmienić swojego postępowania. Nie pozostawało jej nic innego niż dalej w to brnąć.

2

Chyba zasnęła, bo kiedy zadzwonił telefon, zerwała się na równe nogi, jakby ciszę rozdarł jakiś strzał. Spojrzała na zegarek. Kilka minut po dziewiątej. Podeszła do telefonu, który dzwonił przeraźliwie i złowrogo, i zaczęła skradać się wokół aparatu nieufnie jak kot. Kto to mógł być o tej porze? Początkowo nie odbierała w nadziei, że dzwoniący da spokój, ale kiedy sygnał stał się nieznosny, podniosła słuchawkę. To był Kleiber.

- Muszę z tobą pilnie porozmawiać - powiedział.

W jego głosie słycać było zdenerwowanie.

- Nie teraz - odparła Anna. - Jestem zmęczona. Zrozum, proszę!

Kleiber nie dawał za wygraną.

- Wezmę taksówkę. Będę u ciebie za dziesięć minut.

- Co to ma znaczyć?! - wściekała się Anna. - Myślałam, że pod tym względem wszystko jest między nami jasne. Proszę, bądź rozsądny.

Ale zanim jeszcze zdążyła odłożyć słuchawkę, usłyszała słowa:

- Na razie.

I połączenie zostało zakończone.

Anna zamierzała odprawić Adriana spod drzwi. Chodziła po przedpokoju tam i z powrotem, układając sobie w myśli wymówkę, którą chciała wyprosić nocnego gościa. Jednak kiedy Kleiber się zjawił, zapomniiała o swoim przemówieniu.

- Nie wpuścisz mnie? - zapytał Adrian i delikatnie odsunął Annę na bok. A zanim jeszcze zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zapytał:

- Gdzie jest klucz, który pielęgniarz z Saint Vincent de Paul znalazł pod poduszką Vossiusa?

Chyba ci rozum odebrało, chciała wykrzyknąć Anna, przychodzisz w środku nocy i pytasz o klucz spod poduszki profesora. Spojrzała jednak Adrianowi w oczy, z których wyczytała tyle powagi, że bez słowa podeszła do barokowego sekretarzyka i wręczyła klucz Kleiberowi.

Adrian położył go na stole w salonie, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej drugi klucz i położył obok. Na stole leżały dwa takie same klucze z żółto połyskującego metalu, ich trzonki były pokryte plastikiem w kształcie muszli.

Anna przyjrzała się obu kluczom, następnie spojrzała na Adriana i powiedziała:

- Nie rozumiem. Skąd masz ten drugi klucz?

Adrian uśmiechnął się chytrze. Rozkoszował się swoją przewagą. Wreszcie odpowiedział, co zabrzmiało nieomal śmiesznie:

- To jest mój klucz od pokoju hotelowego.

- Z Hiltona?

- Tak.

W tym momencie Anna zrozumiała całą doniosłość tego odkrycia.

- To znaczy, jeśli dobrze rozumiem, że Vossius przed aresztowaniem...

- ...mieszkał w Hiltonie. A przede wszystkim, że w swoim pokoju hotelowym, a być może i w sejfie, przechowywał ważne rzeczy. W przeciwnym razie nie strzegłby tego klucza jak oka w głowie.

- Ale do tej pory już chyba wyrzucono te rzeczy, na pewno przybywamy za późno.

- A właśnie że nie! - odparł Kleiber. - Dowiadywałem się w hotelu. Przedmioty zostawione przez gości są przechowywane trzy miesiące, a biżuteria i przedmioty wartościowe nawet pół roku.

Spontaniczną reakcją Anny na tę wiadomość była wdzięczność, toteż rzuciła się Adrianowi na szyję, pocałowała go i wykrzyknęła:

- To znaczy, że mamy nowy trop!

- Tak, mamy nowy trop - powtórzył Kleiber. - Wprawdzie w Paryżu są dwa lub trzy hotele Hilton, ale znalezienie tego właściwego nie powinno być zbyt trudne.

Anna roześmiała się z ulgą:

- Jakie to przypadki zdarzają się w życiu! Gdybyś wybrał inny hotel, nigdy byśmy nie natrafili na ten ślad.

- Nigdy nie wybieram złych hoteli!
- Oczywiście, że nie - przeprosiła go Anna i dodała przebiegle: - Dobrze, że w ogóle poszedłeś do hotelu.
- Rzeczywiście. Ale to była twoja propozycja.
- Można by pomyśleć, że miałam przeczucie. Coś takiego naprawdę istnieje.
- Wiem - odparł Adrian. - Ale w istocie zbędna jest dyskusja na temat wydarzeń, które naprowadziły nas na ten ślad. Grunt, że mamy nowy trop.

To przypadkowe odkrycie wlało trochę otuchy w serca obojga, bardzo przygnębionych po zniknięciu Donata. Postanowili więc wrócić za kilka dni do Paryża. Annie było to na rękę, gdyż po krótkim pobycie we własnym domu stwierdziła, że jej lęki i podejrzenia nigdzie się tak nie nasilają jak w tym miejscu.

Około północy Kleiber się pożegnał. Ustalili, że spotkają się dopiero późnym popołudniem, ponieważ Anna chciała jeszcze dopilnować swoich interesów. Ale w łóżku długo nie mogła się uspokoić. Nasłuchiwała każdego błahego odgłosu, deszczu, który właśnie zaczął padać, szumu przejeżdżających samochodów, ciągnących za sobą obłoki wodnego pyłu.

Jej myśli krążyły wokół Vossiusa, którego wyjaśnienia wzburzyły ją równie mocno jak jego nagła śmierć. Gdyby profesor żył chociaż dzień dłużej, być może ta zagadkowa układanka dałaby już jakąś zrozumiałą całość i przywróciła jej spokój, który opuścił ją wskutek wydarzeń ostatnich tygodni.

3

Powoli, pomyślała, musi znowu wrócić do normalności, zacząć racjonalnie myśleć, odczuwać, reagować. Niewrażliwość i chłód, które czuła w głębi duszy, niepokoiły ją, ponieważ istniało niebezpieczeństwo, że stanie się innym człowiekiem, a może nawet już nim jest, człowiekiem bez serca, pozbawionym umiejętności jasnego myślenia i ogarniętym tylko jednym uczuciem - strachem.

Mogła mówić o szczęściu, że w jej życiu znalazł się znów Adrian Kleiber, jedyny człowiek, któremu zwierzyła się bez obawy, że zacznie ją

podjezwawać o psychopatię. Z biegiem czasu Kleiber tak bardzo uwikłał się w całą tę sprawę, że również on nie potrafił się już po prostu wycofać ani powiedzieć: „Nic mnie to nie obchodzi, daj mi spokój z tymi twoimi wariactwami”.

Cicho! Anna zerwała się. Wydawało się jej, że usłyszała delikatne skrzywienie klamki w drzwiach prowadzących do biblioteki. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Czowała, jak krew uderza jej do głowy, oddychała więc powoli przez usta. Siedziała tak bez ruchu mniej więcej dwie nieskończenie długie minuty, a potem opadła na poduszkę. Rozplakała się. Nerwy. Musiała przyznać, że jej nerwy nie wytrzymały, że coraz częściej zrywała się w nocy wystraszona i nasłuchiwała niezwykłych odgłosów. Zapewne więc i teraz się pomyliła.

Załkała i nie zdążyła jeszcze pomyśleć tego do końca, gdy na dole rozbiło się jakieś szkło.

Kieliszek koniaku, który sobie naląła! Anna sięgnęła ręką pod poduszkę. Wyciągnęła długi nóż kuchenny, który od niedawna tam chowała, i dzierżąc go niczym miecz, podniosła się i na paluszkach wymknęła z sypialni.

Jak w transie szła po omacku i ostrożnie ciemnym korytarzem w stronę schodów wiodących na dół. Nie potrzebowała światła, gdyż w przeciwieństwie do każdego intruza znała ten dom jak własną kieszeń. A ciemność była jej najskuteczniejszą bronią. Jej wargi płonęły niczym ogień, gdy postawiła stopę na pierwszym stopniu i nasłuchiwała.

Nic.

W tej chwili pragnęła spotkać tam, na dole, włamywacza, a pragnęła tego tylko dlatego, że wtedy mogłaby się pocieszyć, iż jeszcze nie zwariowała. Na wypadek gdyby to wszystko było jedynie wytworem jej wyobraźni, Anna postanowiła, że skieruje nóż ku sobie i skończy z życiem, zanim całkiem postrada zmysły.

Czowała, jak długi nóż drży w jej dłoni. Nie wiedziała również, czy zdobędzie się na odwagę i pchnie nim intruza. Potem jednak powiedziała sobie: „Zrobisz to, zabijesz go, uda ci się!”.

Znalazłszy się na parterze, ruszyła w lewo. Marmurowa posadzka była lodowata, ale już po dwóch krokach Anna stanęła na perskim dywanie. Przeszła obok komody, na której stał wazon z kwiatami; od biblioteki dzieliło ją już tylko jakieś sześć kroków.

Drzwi były lekko uchylone, a przez wąską szparę sączył się słaby promień światła, które wpadało do pokoju z ulicy. Anna przystanąła. Nasłuchiwała. Utkwiła wzrok w szparze drzwi. Właściwie oczekiwała, że zobaczy błysk latarki albo usłyszy, jak ktoś otwiera szuflady i szafy. Ale nie działo się nic takiego, absolutnie nic.

O nie, nie myliłaś się, powiedziała do siebie, na własne uszy słyszałaś rozbijane szkło, a ponieważ kieliszki nie ozywają i nie zeskakują na ziemię, ktoś musi przebywać w tym przeklętym pokoju, a ty go zabijesz tym nożem.

Potem jednak wszystko przebiegło niewiarygodnie szybko. Z nożem w prawej ręce Anna gwałtownie otworzyła drzwi, lewą uderzyła w kontakt, po czym lampy na suficie rozbłysły tak jaskrawym światłem, jakby błyskawica przecięła nocne niebo. Anna wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w bibliotekę.

To co ujrzała, zmroziło jej krew w żyłach. Odruchowo chciała rzucić się do ucieczki, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Prawa ręka z nożem zwisała niczym ramię stracha na wróble, głowa podrygiwała, jakby chciała wyrwać się spod działania jakiejś magnetycznej siły, ale na próżno.

Przed nią w fotelu w ciemnym garniturze siedział Guido i niezwykle powoli podnosił rękę, jakby chciał nią Annie skinać.

Z gardła pani von Seydlitz wyrwał się przeraźliwy krzyk. Podziałał on jednak wyzwalająco i przywrócił sprawność ruchów. Upuściła nóż, odwróciła się, pobiegła do garderoby, narzuciła na siebie płaszcz, wskoczyła w pierwsze lepsze buty, wyrwała klucz z drzwi wejściowych i pobiegła na ulicę do swojego samochodu. Nie zastanawiała się nad żadnym konkretnym celem, ale instynktownie skierowała samochód w stronę hotelu, w którym mieszkał Adrian.

Łzy płynęły jej po policzkach. Światła na mokrych od deszczu ulicach zamazywały się, tworząc wielobarwne niekształtne kleksy. Anna była niezdolna do jakiegokolwiek klarownej myśli. Przed oczami raz po raz pojawiał jej się wyłącznie obraz Guida siedzącego nieruchomo w fotelu. Otarła rękawem oczy, jakby chciała przepędzić te majaki. Nadaremnie. Rozpłakała się głośno, dała upust swojej rozpacz, próbując w ten sposób wypłoszyć widziąło. Ale zjawą na dobre opanowała jej zmysły.

Przed hotelem Anna zostawiła samochód otwarty. Później nie mogła sobie nawet przypomnieć, czy wyłączyła silnik. Podała swoje nazwisko za-

spanemu portierowi i poprosiła, aby niezwłocznie obudził pana Kleibera, a kiedy ten nie podnosił słuchawki, Anna gwałtownie wbiegła po schodach, dopadła pokoju numer 247, zaczęła walić pięścią w drzwi i prosić cichym, błagalnym głosem:

- Adrian, to ja, otwórz!

Gdy Kleiber wreszcie otworzył, Anna rzuciła mu się na szyję, zaczęła go gorączkowo całować, a jej palce wczepiły się w jego ręce. Adrian zupełnie nie wiedział, co się dzieje, ale czuł jej oszołomienie i strach. Wydało mu się, że nie pora teraz zadawać pytania i dlatego gładził ją tylko delikatnie po włosach.

Nagłąca potrzeba, by go poczuć, kazała Annie zapomnieć o całym świecie. Miała wrażenie, jakby z jakiejś ogromnej odległości widziała samą siebie, kiedy nie puszczając Adriana, zrywa płaszcz, ciągnie mężczyznę na miękką wykładzinę i oplata go udami. Niczym pająk niosący łup wgryzła się, ciągle jeszcze płacząc, w Kleibera i całowała go zrozpaczona, jak w malignie. Z namiętnością naznaczoną długim wyrzeczeniem padła na niego, aż Adrian wreszcie zrozumiał, że Anna pragnie się z nim kochać.

Kleiber tęsknił do jej serdeczności, ale teraz, w tych niezwykłych okolicznościach, doznał szoku i bezwolnie zdał się na bieg wydarzeń. Nie był bowiem w stanie z taką samą siłą odwzajemnić jej namiętności.

Potem leżeli oboje zdyszani na dywanie. Anna patrzyła w górę, Adrian przyglądał się jej z boku. Nie odrywając oczu od sufitu, powiedziała głosem pozbawionym wyrazu:

- U mnie w domu, w bibliotece, siedzi Guido.

Kleiber milczał. Dopiero gdy Anna przysunęła twarz do jego twarzy, spojrzał na nią.

- Słyszałeś, co powiedziałam? U mnie w domu, w bibliotece, siedzi Guido.

- Tak - odparł Kleiber, ale z jego miny Anna wynioskowała, że nie potraktował jej słów poważnie.

- Mój Boże - wyrwało się jej - wiem, że brzmi to idiotycznie, ale wier mi, jestem przy zdrowych zmysłach.

Po czym opowiedziała mu o swojej nocnej przygodzie. Chociaż z całych sił starała się zachować spokój, opowiadanie stawało się coraz bardziej nerwowe, jąkała się bezradnie, aż wreszcie zaczęła szlochać jak dziecko, które czuje się niezrozumiane i bezradne.

- Przecież widzę, że mi nie wierzysz - powiedziała z płaczem.

Kleiber uznał, że lepiej będzie nie odpowiadać. Chciał wziąć Annę za rękę, ale ją cofnęła. Wtedy podniósł płaszcz:

- Okryj się, bo zmarzniesz - powiedział.

Posłuchała go.

Kilka minut siedzieli bez słów obok siebie na krawędzi łóżka. Czuli wzajemnie swoje ciepło, ale chociaż oboje byli sobie tak bliscy, mieli inne odczucia. Adrian usiłował znaleźć wyjaśnienie nagłego wybuchu namiętności ze strony Anny. Oczywiście, był głęboko przekonany, że uległa złudzeniu i może nawet ujrzała pożądaną osobę, niczym tonący człowiek, w którego wyobraźni pojawia się nagle wyspa ocalenia. Ale zrozumienie, dlaczego w tych okolicznościach doszło u niej do wybuchu namiętności, przekraczało jego możliwości. Natomiast Anna poczuła się po tym wszystkim lepiej. Nie widziała powodu, żeby rozważać przyczyny swego namiętnego uwodzicielstwa, ponieważ wcześniejsze przeżycie dominowało nad wszystkimi innymi myślami. Jak miała przekonać Adriana o swojej normalności?

- Uważasz mnie za wariatkę, prawda?

- Ależ skąd - odparł Kleiber - nie o to teraz chodzi. Wierzę ci przecież, że ujrzałaś Guida, ale to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, rozumiesz? Jesteś wykończona nerwowo, nie można ci tego brać za złe. Nie ma to również nic wspólnego z paranoją. Po prostu rozum sptał ci figla. O wiele ważniejsze wydaje mi się teraz pytanie, w jaki sposób mogę pomóc ci wyjść z tego kryzysu?

Słowa Adriana zraniły Annę. Jej oczy roziskrzyły się gniewnie. Wykrzyknęła:

- Ubierz się, proszę cię, ubierz się i jedź ze mną!

Kleiber uznał, że lepiej będzie nie stawiać oporu. Wręcz przeciwnie. Pomyślał, że jeśli razem udadzą się do jej domu, sama zrozumie, że uległa złudzeniu. Ubrał się więc i pojechał z nią.

4

Deszcz ustał i ustąpił miejsca lodowatemu jesiennemu wiatrowi. W drodze Anna nie zamieniła z Adrianem ani słowa, on zaś zauważył, jak z każdym kilometrem rośnie jej niepokój. Na obwodnicy Anna zjechała w boczną uliczkę.

Kiedy tylko w polu widzenia ukazała się jej willa, powiedziała wzburzona:

- Patrz! – I wskazała na oświetlone okna. — Przysięgam, że kiedy wychodziłam, w domu było absolutnie ciemno.

Adrian skinął potakująco głową.

Anna zatrzymała samochód po przeciwnej stronie ulicy, przycisnęła czoło do kierownicy i zamknęła oczy, jakby chciała zapomnieć o wszystkim, co się dzieje wokół niej. Oddychała ciężko.

- Nie — powiedziała wreszcie - nie zaprowadzisz mnie do tego domu. Boję się, rozumiesz? Bo jeśli Guido jest tam, w środku, to boję się go. A jeśli go tam nie ma, to boję się samej siebie.

Adrian usiłował podnieść jej głowę, ale Anna trzymała ją mocno przyciśniętą do kierownicy. Kleiber powiedział:

- Anno, musisz być dzielna. Nie ma sensu uciekać przed prawdą. Musisz spojrzeć jej w oczy, inaczej naprawdę oszalejesz. Chodź!

- Nie wytrzymam tego nerwowo.

- Musisz wytrzymać, chodź!

Adrian zorientował się, że jego słowa nie odniosły skutku, wysiadł więc, podszedł do auta od strony kierowcy, otworzył drzwiczki i nie nadużywając siły, wyciągnął Annę z samochodu. Pozwoliła na to. Nie broniła się, bo w głębi duszy przyznawała Kleiberowi rację. Jeśli nie chciała, aby ta psychoza ciągnęła się za nią przez całe życie, musiała wejść do domu.

- Trzymaj mnie mocno - poprosiła Anna trwożliwie i chwyciła Adriana pod rękę.

Ulica była pusta, a wiatr wiał im w twarze tak, że ucieszyli się, gdy wreszcie znaleźli się przy dających schronienie drzwiach wejściowych. Gdzieś daleko zegar na wieży wybijał równą godzinę. Była już pewnie piąta albo szósta, ale to również nie miało znaczenia. W każdym razie jeszcze nie budził się świt.

Anna podała Adrianowi klucz, żeby otworzył drzwi, bo sama nie czuła się na siłach. Ale nie pamiętała nawet, czy podczas ucieczki zdołała je zamknąć.

Kleiber nie należał do ludzi tchórzliwych. Ale teraz, gdy ostrożnie przechodził przez próg, czuł uderzenia pulsu w skroniach. Już wcale nie był taki pewny, czy istotnie tylko nerwy spłatały Annie figła. Czyż w minionych dniach nie przeżyli najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy? Czyż nie spotkali

szaleńca, biorąc pod uwagę popełniony przezeń czyn, trudno było określić go inaczej, który przy bliższym poznaniu okazał się całkiem normalny? Czyż on, Kleiber, początkowo nie wąpił w prawdziwość wszystkiego, o czym opowiadała Anna? A może Guido von Seydlitz naprawdę nie umarł? Może w rzeczywistości to on inscenizował te wszystkie zagadkowe wydarzenia? Wstrzymali oddech i nadstawili uszu. Po ulicy na rowerze jechał chłopak rozwożący gazety.

- Chodź! - powiedział Kleiber i wziął Annę za rękę.

Od wejścia poczuła się we własnym domu jak intruz. Wydawało jej się, że bezprawnie wnika w tajniki życia obcej kobiety.

Na środku przedpokoju Kleiber przystanął, spojrzął pytająco na Annę, a ona wskazała głową na ostatnie drzwi po prawej stronie. Były uchylone na szerokość dłoni, a przez otwartą szczelinę wpadał promień światła.

Adrian poczuł, że dłoń Anny w jego dłoni jest zimna jak lód. Nieomal musiał ciągnąć kobietę za sobą. Kiedy stanęli przed drzwiami wiodącymi do biblioteki, wyciągnął rękę i pchnął drzwi. Anna, drżąc, ścisnęła jego dłoń.

Kiedy drzwi ukazały widok na bibliotekę, Anna wydała z siebie okrzyk. Fotel był pusty.

- Wiem, co sobie myślisz - odezwała się, gdy dłuższy czas stali bez słowa obok siebie.

- Bzdura - odparł Kleiber.

Anna nie pozwoliła wprowadzić się w błąd:

- Myślisz, że do tego stopnia jestem wykończona nerwowo, że widzę upiory.

Kleiber powtórzył:

- Bzdura.

Chciał wziąć Annę w ramiona, ale ona się wyrwała i zaczęła biegać od jednego pokoju do drugiego. Wreszcie pognała schodami na górę, Kleiber zaś słyszał tylko dochodzące stamtąd gwałtowne trzaskanie drzwiami. Kiedy Anna zeszła do niego, była znacznie spokojniejsza.

- Nic - powiedziała - nic.

W bibliotece Adrian stał wpatrzony w okruchy kieliszka po koniaku.

- Ja nie rozbiłam tego kieliszka - zapewniała Anna, przyglądając się Kleiberowi. - Właśnie brzęk rozbijanego szkła wyrwał mnie ze snu, inaczej w ogóle nie zeszłabym na dół.

Pokiwał głową, nie podnosząc wzroku.

- To by znaczyło... - powiedział w zamyśleniu i zrobił długą pauzę.

- Powiedz w końcu, co myślisz!

- ...że ten kieliszek zrzucano na podłogę celowo, aby wzbudzić twoje zainteresowanie.

- Ale równie dobrze mógł się stłuc w ciemnościach.

- To byłoby możliwe - odparł Adrian - ale w tym przypadku ktoś, kto by to zrobił, rzuciłby się do ucieczki. A już na pewno nie siedziałby w fotelu.

- Zrobił to Guido! - zawołała Anna w najwyższym oburzeniu.

- Już dobrze! - odparł Adrian.

- To był Guido! Przez siedemnaście lat byłem jego żoną. To b y ł Guido.

- Proszę, uspokój się! - Kleiber chwycił Annę za ramiona i spojrzał na nią stanowczo. — Właściwie to nieistotne czy tym kimś był Guido, czy też ktośkolwiek inny. Jestem przekonany, że ów człowiek chciał ci napędzić stracha, a może nawet skłonić cię do zaniechania poszukiwań. Jeśli tym mężczyzną w fotelu rzeczywiście był Guido, to oznacza, że żyje i prowadzi z tobą niemoralną grę, choćby miał nie wiem jakie powody ku temu. Ale jeśli ten mężczyzna przywdział tylko maskę Guida, to motyw jest właściwie taki sam: ktoś chce cię wykończyć.

- Ale to b y ł Guido - powtórzyła Anna płaczliwie.

- Dobrze, to był Guido. Co miał na sobie?

Anna zastanowiła się.

- Byłam zbyt zdenerwowana, żeby przyglądać się jego ubraniu. Ale miał na sobie ciemny garnitur, ciemnoszary albo brązowy. To był jeden z garniturów Guida.

- Z jego szafy?

- Zdaje mi się, że oboje myślimy o tym samym - odparła Anna.

Szafa Guida zajmowała całą ścianę na piętrze. Garnitury, marynarki i spodnie wisiały ciasno obok siebie, a między nimi dwa puste wieszaki.

- Czy czegoś brakuje? - zapytał Kleiber.

Anna po kolei dotykała ręką każdej części garderoby.

- Nie jestem pewna - powiedziała - ale myślę, że brak dwóch garniturów. Tego, który Guido miał podczas wypadku, i jednego ciemnoszarego. Tak, dokładnie tego!

- To by znaczyło, że Guido lub mężczyzna, który chce za niego uchodzić, był w domu już przed twoim powrotem i tylko czekał na sposobność, żeby cię śmiertelnie przestraszyć.

- Zapewne tak było - odparła Anna - nie sposób tego inaczej wytłumaczyć.

W tej chwili już sama nie umiała powiedzieć z całkowitą pewnością, czy siedzący w fotelu mężczyzna to był Guido, czy tylko ktoś ucharakteryzowany na jej męża. Adrian miał jednak rację. To w końcu nieważne, kto za tym stał, jedno byłoby bardziej perfidne niż drugie.

Anna pilnowała się, żeby przypadkiem nie zająć miejsca w fotelu. Usiadła na czarnym krześle z rzeźbionego drewna, pochodzącym ze starego klasztoru, wsparła głowę rękami i po raz kolejny starała się uporządkować myśli. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, dlaczego nieznanemu przeciwnikowi tak bardzo zależało na tym, żeby wpędzić ją w obłęd i dlaczego oszczędził jej życie? Czy zrobił to z czystego sadyzmu, czy też miał na względzie jakieś korzyści? Nie znalazła odpowiedzi na te pytania.

- Czy właściwie masz akt zgonu Guida?

Pytanie Kleibera trafiło Annę jakby z daleka.

- Akt zgonu? Tak, oczywiście.

Otworzyła sekretarzyk. A kiedy grzebała w stercie papierów, Adrian pytał dalej:

- Czy widziałaś Guida po śmierci?

Anna zaprzeczyła, odmówiła oględzin zwłok. Odniósł podobno okropne obrażenia. Im dłużej szukała, tym gwałtowniejsze stawały się jej ruchy.

- Akt zgonu leżał tu, na wierzchu! - zapewniła. - Mogę przysiąc. Ale nie, teraz przypominam sobie, że oddałam akt zgonu zakładowi pogrzebowemu.

Zdawało się, że Adrian nie przywiązuje większego znaczenia do jej słów, bo powiedział:

- Uważasz, że to możliwe, że Guido żyje? To znaczy teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Anna znów podparła głowę rękami i smutno patrzyła przed siebie. Jeszcze kilka godzin temu, zaraz po tym strasznym przeżyciu, z oburzeniem zaprzeczyłaby, odpowiadając na takie pytanie. Oczywiście, że rozpoznała Guida, mężczyznę, z którym przeżyła siedemnaście lat w związku małżeńskim. Teraz

-

jednak musiała przyznać się przed samą sobą do tego, że powierzchowność siedzącego w fotelu mężczyzny nie zachowała się w jej pamięci na tyle, żeby mogła odróżnić Guida od jego sobowtóra. Pokręciła głową i pomyślała: tyle lat żyjesz z człowiekiem i myślisz, że znasz go od podszewki, a potem odkrywasz, że prowadził podwójne życie, i nawet nie potrafisz go dokładnie opisać.

Ponieważ Anna nie udzieliła Adrianowi odpowiedzi, zadał swoje pytanie inaczej:

- Chodzi mi o to, czy podejrzewałaś Guida o tę makabryczną grę w chowanego?

- Kilka tygodni temu nie - odparła Anna - to byłoby nie do pomyślenia, nie, ale po tym wszystkim, co wydarzyło się od tej pory... Wiesz, nie byliśmy złą parą, chociaż pewnie niezbyt dobrą. Jednak w porównaniu z większością innych małżeństw oceniłabym nasze raczej pozytywnie. Jasne, Guido dużo podróżował, ale ja mu ufałam. W każdym razie nie miałam powodów, żeby się uskarżać. Pamiętam pewną poważną rozmowę, którą odbyliśmy. Rzecz polegała na tym, że właściwie każde z nas chodziło własnymi drogami, co skłoniło Guida do wygłoszenia uwagi, że tak to już jest w nowoczesnym małżeństwie. Na co ja odpowiedziałam, że jeśli kiedykolwiek będzie czuł potrzebę zdradzenia mnie, niech to zrobi potajemnie, tak żebym niczego nie zauważyła. Zdaje się, że Guido zrozumiał to jako zachętę. Przynajmniej obecność tej kobiety w jego samochodzie pozwala wysnuć taki a nie inny wniosek.

Za oknem wstawał szary niemiły poranek grudniowy. Anna poszła do kuchni, aby zaparzyć kawę. Spostrzegła przy tym, że pod płaszczem ciągle jeszcze była naga, tak jak wybiegła z domu. Poszła więc na piętro, żeby się ubrać.

Po powrocie powiedziała:

- Oczywiście, że jestem sobie w stanie wyobrazić, że Guido to wszystko zainscenizował, zawsze miał skłonności do makabresek, miałby nawet pewien motyw. Ale to wszystko byłoby i tak nielogiczne.

- Ja też to tak widzę - przyznał Adrian. - Gdyby Guido nosił się z myślą o zniknięciu na zawsze, znalazłby z pewnością prostsze rozwiązanie. Przede wszystkim jednak powstaje pytanie, kim, jeśli to nie Guido, jest mężczyzna w jego grobie?

- Nawet gdyby był zainteresowany usunięciem mnie, absolutnie nic by mu z tego nie przyszło. Jego śmierć jest odnotowana w aktach, nie mógłby nawet rościć sobie praw do własnego majątku.

5

Przy kawie Anna i Kleiber doszli do wniosku, że pojawienie się tajemniczego nocnego gościa musiało mieć związek z resztą wydarzeń i nie miało nic wspólnego z jej stosunkiem do Guida. Niejasny pozostał jedynie cel kryjący się za tym makabrycznym spektaklem. Przy tym Anna miała świadomość, że zareagowała absolutnie niewłaściwie, czyli zgodnie z planem i oczekiwaniem tajemniczego reżysera. Żałowała, że nie wyśmiała tego człowieka, że nie nazwała go nędznym aktorzyną i nie wyrzuciła z domu. Mój Boże, pomyślała, kto by miał takie mocne nerwy!

Ten pomysł pojawił się nagle, najprawdopodobniej w wyniku przemyśleń dotyczących minionych wydarzeń. Anna poczuła potrzebę pójścia na grób Guida. Było to o tyle niezwykle, że od dzieciństwa nienawidziła cmentarzy. Mając sześć lat, stała przy grobie ojca i to przeżycie zapadło jej w pamięć. Odtąd unikała cmentarzy. Po pogrzebie Guida zleciła odpowiedniemu zakładowi wszystkie konieczne prace i opiekę nad grobem, postanawiając, że jej noga nigdy więcej tam nie postanie.

Wciąż jeszcze nie zapomniiała skromnej uroczystości pogrzebowej, chociaż spuszczenie trumny do grobu pamiętała jak przez mgłę. Prawdę mówiąc, nie chciała na to patrzeć i dawno zepchnęła dzień pogrzebu głęboko w podświadomość - w każdym razie tak się jej wydawało - teraz jednak jakaś tajemna siła gnała ją na grób, jakby Anna potrzebowała potwierdzenia, że Guida naprawdę kryła brudna warstwa brunatnej ziemi.

Kiedy zwierzyła się z tego pragnienia Kleiberowi, wyrażając nadzieję, że zechce towarzyszyć jej na Waldfriedhof, Adrian zrobił początkowo niedowierzającą minę, wiedział bowiem o jej niechęci do cmentarzy. Później jednak zobaczył jej zdecydowane spojrzenie i zgodził się z nią pójść. Anna dała mu do zrozumienia, że dopiero gdy zobaczy, że grób Guida jest nietknięty, uwierzy ostatecznie w jego śmierć.

Grób był nietknięty, to znaczy można było zobaczyć na nim kamień z szarego marmuru i kwiaty, tak jak to zostało zleczone zakładowi pogrzebowemu,

a Kleiber zadał sobie pytanie, po co Anna w ogóle postanowiła to sprawdzić? Ona jednak po powrocie z cmentarza sprawiała wrażenie spokojniejszej. Wydawało się, że jest nieomal wyzwolona, chociaż sytuacja wcale nie uległa zmianie.

6

Jeżeli chodzi o ich wzajemne relacje, Anna zachowywała się wobec Kleibera równie powściągliwie jak przed owym nieoczekiwanym wybuchem namiętności, a on wcale nie oczekiwał niczego innego. Wprawdzie kochali się na podłodze w pokoju hotelowym niczym para po wieloletniej rozłące, a jednak wydawało się, że Anna chce zepchnąć to przeżycie w podświadomość jak jakiś koszmar senny. Ba, Adrian wątpił, czy namiętność w ogóle stanowi składnik jej świata przeżyć i czy ten niezwykle akt miłosny nie przypominał może tylko krótkiego snu w jej życiu uczuciowym.

Oczywiście, najprościej byłoby porozmawiać o tym z Anną. On jednak wahał się, bo miał wrażenie, że zna odpowiedź: niech jej da trochę czasu, ona po prostu nie jest jeszcze gotowa. Tak jak wyjaśniała to podczas ich pierwszego spotkania. Nie zdziwiłoby go więc, gdyby w trakcie takiej rozmowy zwyczajnie wyparła się swojego wybuchu namiętności.

W miłości Adrian nie miał zbyt wielu doświadczeń, był to więc jeden z powodów, dla których mimo wieku nie ożenił się ani też nigdy nie nosił się z taką myślą. Nie mógł się uskarżać na brak kobiet, ale w większości przypadków związki z nimi nie trwały dłużej niż rok. Najpóźniej po roku każda kobieta rozumiała, że ten mężczyzna traktuje poważnie tylko j e d n e g o partnera - swój zawód.

Adrian był w pełni świadom tego stanu rzeczy i okazywał zrozumienie, gdy kobiety po pewnym czasie wycofywały się z jego życia, niekiedy znów pojawiając się w nim i ponownie znikając. Tym sposobem miał niemało kochanek, ale żadnej stałej partnerki, co nie było jednak powodem jego specjalnych cierpień.

Z Anną wyglądało to całkiem inaczej. Może dlatego, że od samego początku postawiła między nimi barierę. Adrian nie był do tego przyzwyczajony. Kobiety zawsze ułatwiały mu życie, może nawet za bardzo, tak że niewypowiedziane przez Annę zdanie: „Nie dotykaj mnie”, jakoś szczególnie go

podniecało. A to wyrwanie go ze snu i seksualna napaść, i tak należały do jego najsilniejszych przeżyć w kwestiach erotyki.

Przyjazny stosunek Adriana do Anny przerodził się od tamtej nocy w prawdziwą namiętność, która przewyższała wszystko, co przeżywał do tej pory. Dla Anny, czego nigdy nie uważałby za możliwe, zaniedbał nawet wykonywanie swojego zawodu i uznał ten „przypadek”, w którym początkowo widział przede wszystkim atrakcyjną historię (ukradkiem zrobił nawet zdjęcia profesorowi Vossiusowi w szpitalu Saint Vincent de Paul), za swoją prywatną sprawę.

Anna z kolei upatrywała dwóch przyczyn, dla których Kleiber tak intensywnie zajmował się jej historią. Po pierwsze powodowała nim osobista ciekawość - dobry reporter nigdy nie traci zainteresowania światem, po drugie zaś, Adrian dobrze wiedział, że zdobędzie Annę wyłącznie wtedy, jeśli uda mu się uwolnić ją z sieci nieszczęsnych uwikłań.

Całą jego nadzieję stanowił teraz niepozorny kluczyczek do pokoju w którymś z trzech paryskich hoteli sieci Hilton. Airport Hilton w Orły okazał się niewypałem. Podobnie Hotel France et Choiseul przy rue Saint Honore, gdzie w recepcji potraktowano ich z wyraźnym niedowierzaniem, gdy pokazali kluczyczek, mimo to jednak udzielono informacji, że profesor Marc Vossius nie wynajmował pokoju w tym hotelu, w każdym razie nie w ciągu minionych trzech miesięcy i nie pod tym nazwiskiem.

Pozostał już tylko hotel Hilton Paris przy Avenue de Suffren w pobliżu wieży Eiffla. Nauczeni doświadczeniami zdobytymi podczas wcześniejszych poszukiwań postanowili nie pytać o nic w recepcji, tylko skontaktować się od razu z dyrektorem hotelu, eleganckim Alzatczykiem, który bardzo dobrze mówił po niemiecku i któremu opowiedzieli, że Vossius, wuj Anny, zmarł niespodziewanie w Saint Vincent de Paul, a w pozostawionych przez niego rzeczach znalazł się ten kluczyczek, przypuszczalnie więc zostawił w hotelu bagaż.

Opowieść ta brzmiała wiarygodnie, toteż Wurcz, bo tak nazywał się dyrektor, zniknął na chwilę za nieprzejrzystymi szklanymi drzwiami, wrócił z listą gości i wyjaśnił, że monsieur Vossius ma prawo pobytu w hotelu jeszcze przez trzy dni. Po uregulowaniu rachunku zostanie im wręczony bagaż profesora, walizka i torba, madame zechce tu podpisać.

Kleiber wystawił czek, a portier oddał im rzeczy. Z nową nadzieją pojechali mercedesem Adriana do jego mieszkania przy Avenue de Verdun.

Oboje chyba w tej chwili nie wiedzieli, na czym opierało się ich przypuszczenie, że bagaż profesora pokaże im nowy, decydujący trop. Ale Adrian postępował zgodnie ze starą zasadą panującą wśród dziennikarzy, nakazującą gromadzić wszystkie możliwe informacje, również takie, które z początku wydają się niedorzeczne. Mogą bowiem uzyskać znaczenie później, w obliczu jakichś nowych faktów.

W tym wypadku oboje nie musieli czekać na dodatkową wiedzę. Wprawdzie walizka zawierała tylko bieliznę i ubrania, ale w torbie oprócz kilku książek i map (co szczególnie znamienne: nadzwyczaj dokładna mapa północnej Grecji i nie mniej dokładna mapa środkowego Egiptu) znajdowała się teczka z kopiami starych pism podobnych do tych, których zdjęcia posiadała Anna.

Najbardziej ekscytującym odkryciem w tej teczce była jednak niedbale zapieczętowana koperta dużego formatu. Anna podała ją Kleiberowi do otwarcia. Adrian spojrzął na Annę i uniósł ramiona.

- Otwórz! — powiedziała zdenerwowana.

Adrian rozerwał kopertę i wyjął z niej coś brązowego, kruchego, schowanego między dwiema przejrzystymi foliami. Anna natychmiast to rozpoznała.

- To jest to! - zawołała w najwyższym wzburzeniu.

- Co? - zapytał poirytowany Kleiber. - Co to jest?

- Oryginał! Pergamin, za który ten Tales oferował mi w Berlinie trzy czwarte miliona!

- Za ten rozpadający się ze starości świstek?

- Za ten, jak byłeś łaskaw to nazwać, rozpadający się ze starości świstek. Jestem tego całkiem pewna.

Anna i Adrian wymienili spojrzenia, przy czym wydawało się, że oboje myślą o tym samym. Jeżeli ten kawałek pergaminu był dokumentem budzącym takie pożądanie, to albo Guido musiał przed śmiercią mieć kontakt z Vossiusem, albo też Vossiusowi udało się po tragicznym wypadku von Seydlitz'a wejść w posiadanie tego dokumentu. Oczywiście rodziło to pytanie, czy Vossius grał w otwarte karty.

Porównanie pergaminu z kopiami wykazało, że Anna miała rację. To był pergamin, który, wszystko jedno z jakich powodów, był dla jednych wart

majątek, a innych nawet popychał do zbrodni. Ta myśl ją zaniepokoiła. Jakkolwiek bowiem doniosłe było to znalezisko, w równej mierze było też niebezpieczne.

- Przypuszczalnie - myślała Anna głośno - przeżyłam to wszystko do tej pory tylko dlatego, że wiedziano, iż posiadam jedynie kopie. Jeśli ktoś się dowie, że oryginał znajduje się w naszych rękach, to Boże zmiłuj się nad nami.

- Ale przecież my nie możemy z tym nic zrobić - wtrącił Adrian. - Aby poznać znaczenie tego pergaminu, musimy włączyć w sprawę eksperta. Poza tym ta kartka jest warta majątek.

- Dokładnie w ten sposób spekulują ci tajni spiskowcy. Wychodzą z założenia, że zmięknę w obliczu zaoferowanej sumy. Wtedy, jak sądzę, moje dni byłyby policzone. Nie, ten pergamin jest dla mnie jak ubezpieczenie na życie.

W zdenerwowaniu z powodu cennego pergaminu dwa kolejne znaleziska zeszyły na dalszy plan: bilet lotniczy Olympic Airways Thessaloniki - Ateny - Paryż, do którego początkowo nie przywiązali wagi, a także list bez daty i koperty, napisany delikatnym charakterem pisma po angielsku. W nagłówku listu widniał nadawca: Aurelia Vossius, 4083 Bonita View Drive, San Diego, Kalifornia 91902.

- Vossius był żonaty - zauważył Adrian.

- Istotnie - odparła Anna i zaczęła czytać list.

Nie był długi, miał może dwadzieścia linijek zapisanych drobnym piśmem - list pożegnalny, w którym kobieta wyznawała, że lata spędzone z nim, Vossiusiem, należały do najlepszych w jej życiu i nawet teraz, kiedy byli już po rozwodzie, ona niczego nie żałowała. Nie rozumiała wprawdzie jego planów, ale życzyła mu powodzenia. Może ich drogi jeszcze kiedyś się przetną. Love, Aurelia.

- Czy ona wie, że Vossius nie żyje? - zapytała Anna, nie oczekując odpowiedzi. - Wzruszający list.

- Chyba nie był obojętny profesorowi - powiedział Kleiber - w przeciwnym razie by go nie przechowywał.

Anna skinęła głową, zgadzając się z nim.

- Pomijając fakt, że Vossius był żonaty, najciekawsza wydaje mi się uwaga, że żona nie rozumie jego planów. Pytanie, czy te plany pozostawały w jakimkolwiek związku z zagadkowym pergaminem.

- Kto to wie! - odparła Anna. - Istnieje tylko jedna możliwość. Musisz ją zapytać.

-W Kalifornii?

- Dlaczego nie? Ta kobieta jest prawdopodobnie jedyną osobą, która może nam pomóc. A przynajmniej wie więcej o kulisach pracy Vossiusa.

Nie można było zlekceważyć wątpliwości Anny, że żona nie będzie chciała całkiem obcym ludziom z Europy udzielić informacji o byłym mężu. Dlatego też muszą wymyślić jakąś historię, żeby skłonić ją do mówienia, albo - i to był plan Kleibera - wyznać jej całą prawdę. Wręczą Mrs Vossius napisany przez nią pożegnalny list, który dla tej kobiety nie był zapewne całkiem bez znaczenia, podczas gdy oni nie za bardzo wiedzą, co z nim począć. W ten sposób uda się im może pozyskać jej zaufanie.

Z godziny na godzinę powzięli więc postanowienie, że polecą do San Diego. Planowana podróż miała też pewne zalety, bo jeśli nagle znikną z Paryża, poczują się bezpieczniej. Nie wiedzieli przecież, czy ktoś ich potajemnie nie obserwował już od dawna, czy nie śledził każdego ich kroku, nie sprawdzał wszystkich miejsc, do jakich się udawali? W każdym razie po tym wszystkim, co się dotąd wydarzyło, podróż nie wydawała się całkiem niedorzeczna.

Dlatego też Adrian Kleiber opracował wyrafinowany plan, który pozwolił mu umieścić dokumenty z bagażu Vossiusa w bezpiecznej kryjówce. W tym celu Anna samotnie wyszła z domu, aby udać się taksówką do Luwru, podczas gdy Kleiber w tym samym czasie z dokumentami profesora opuścił dom przy Avenue de Verdun przez wejście od podwórza, minął szopę na rowery i wyszedł na Quai de Valmy, skąd przechodząc przez Canal Saint-Martin, dotarł do swojego banku na Place du Colonel Fabien.

Adrian miał w tym banku skrytkę nie po to, aby przechowywać tam bogactwa, lecz raczej dokumenty, z którymi miał do czynienia z powodów zawodowych. Ukrył tam pergamin i resztę papierów Vossiusa.

Zadowoleni z udanego przedsięwzięcia, Anna i Adrian spotkali się w porze obiadowej w restauracji w Bourse du Commerce. Adrian powiadomił swoją redakcję, że wyjeżdża na jakiś czas, co nie było niczym dziwnym, gdyż nierzadko tygodniami badał dany temat i dopiero potem wracał z gotową historią. Bilety na lot do Kalifornii zarezerwowali na następny dzień. Czwartek, godzina 9.30, lotnisko Le Bourget.

Kalifornia przyjęła ich inaczej niż się tego spodziewali, burzą i przypominającą potop ulewą, które tutaj zdarzają się rzadko, ale za to są gwałtowniejsze. Przede wszystkim lot z Los Angeles do San Diego, na południe wzdłuż wybrzeża, przypominał walkę pilota z żywiołami, tak że Anna była rada, gdy ta niewielka maszyna, chociaż zatrwającą nisko, tuż nad morzem domów, podszła jednak do lądowania na Lindbergh Field Airport.

Kleiber znał miasto z wcześniejszych podróży i zarezerwował hotel przy North Harbor Drive, skąd wzrok błędził nad zatoką San Diego ku wyspie Coronado. Przy nabrzeżu stał zakotwiczony żaglowiec Star of India, wielokrotnie przebudowywany od ubiegłego wieku i będący muzeum. Do pokoiów na szóstym piętrze - Adrian rozmyślnie zarezerwował dwa sąsiadujące z sobą pokoje jednoosobowe - docierało się windą unoszącą się ku niebu po zewnętrznej ścianie hotelu.

Przez pierwszy dzień spali z przerwą na kolację i krótki spacer do końcowej stacji kolei Santa Fe. Kiedy obudzili się nazajutrz rano, zatoka połyskiwała w słońcu turkusowo, jakby nigdy nie było tu innej pogody.

Około południa wynajęli samochód, żeby pojechać do Bonity na południu miasta, gdzie, jak wyjaśnił uprzejmy portier, młody Meksykanin, znajdą dom, którego szukali. Pojechali więc autostradą nr 5 w kierunku Tijuany po dziesięciu minutach jazdy opuścili autostradę przy zjeździe East Street, przemierzyli ciągnące się kilometrami podmiejskie osiedle pełne bistr, stacji benzynowych oraz supermarketów i prostą drogą wydostali się na Bonita Road, wzdłuż której po lewej stronie rozciągało się wypielęgnowane pole golfowe. Po dwóch kilometrach odchodziła od niej boczna ulica, która rozległym stokiem w górę prowadziła pod pożądany adres.

Płaski drewniany dom pokryty, jak większość budynków w tej okolicy, drewnianymi deszczułkami stał, gdy się patrzyło od strony ulicy, nieco w głębi; stamtąd zaś rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na dolinę. Drzewka pomarańczowe zdradzały zamiłowanie mieszkańców do zielonych upraw. Przede wszystkim strelicje, nazywane rajskimi ptakami, i kilkumetrowej wysokości agawy dodawały pewnej egzotyki skromnie wyglądającemu domowi.

Aurelii Vossius nie było w domu, ale sąsiadka, czarnowłosa imigrantka z Azji Wschodniej, która znalazła tutaj schronienie podczas wojny koreańskiej

- jak szczerze im opowiedziała - wyjaśniła, że Mrs Vossius pracuje w City Council San Diego i wraca przeważnie około piątej po południu. Zapytała też, czy może jej coś przekazać.

Adrian i Anna podziękowali, i zapowiedzieli, że wrócą za trzy godziny. Mieli wystarczająco dużo czasu, aby wybrać się na wyspę Coronado, połączoną ze stałym lądem wysokim mostem, który biegnie łukowato niczym smyczek lutni przez zatokę San Diego.

Kiedy ponownie zjawili się w Bonita View Drive, Mrs Vossius wiedziała już o ich przybyciu. Sąsiadka doniosła jej także, że przybysze są chyba Niemcami.

Aurelia Vossius, delikatna Amerykanka z Nebraski, która po służbie w marynarce pozostała w San Diego, przyjęła ich z amerykańską uprzejmością wyrażającą się pewną dozą nieufności. Dopiero gdy Anna pokazała list napisany przez nią do Marka Vossiusa - Aurelia rozpoznała go na pierwszy rzut oka - uczucie niepewności zniknęło z jej oczu i zaprosiła gości do domu.

Umówili się, że nie dadzą jej do zrozumienia, iż w przypadku profesora Vossiusa podejrzewają morderstwo. Nie mieli bowiem dowodów, a ich wiedza opierała się tylko na sugestii podejrzanego pielęgniarza. Pomyśleli jednak, że powinni poinformować Aurelię o śmierci byłego męża. W końcu z tego powodu oboje, Anna i Adrian, weszli w posiadanie spuścizny po profesorze, której częścią był ten list.

Pani Vossius, której twarz zdradzała teraz hart i opanowanie, cechy właściwe ludziom niskiego wzrostu, przyjęła tę wiadomość z zaskakującym spokojem, chociaż, co można było poznać po reakcji na stary list, czuła się nadal bardzo związana z Vossiusem. Nie wiedziała również nic o zamachu byłego męża na obraz w Luwrze, ale zdaje się, że nie zaskoczyło jej to szczególnie. Goście odnieśli nawet wrażenie, że Aurelia przywykła do zmartwień, jakich przysparzały jej zachowania profesora.

Aby zyskać jej zaufanie i żeby zobaczyła, iż losy Anny oraz profesora łączą się ze sobą w zagadkowy sposób, pani von Seydlitz wzięła głęboki oddech i zgodnie z prawdą zobrazowała śmierć swojego męża, następnie związane z tym wydarzenia, które ostatecznie przywiodły ją aż tutaj.

Podobne losy łączą ludzi, toteż pani Vossius powoli nabrała zaufania do przybyszów, wyzbyła się początkowej powściągliwości i wysłuchawszy opowieści Anny, powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie zaszokuję państwa, jeżeli powiem, że wszystko to nie dziwi mnie szczególnie.

Anna i Adrian wymienili spojrzenia. Takie wyznanie ich zaskoczyło.

- Nie - ciągnęła Aurelia Vossius - nie zaskakuje mnie nawet śmierć Marka. To było do przewidzenia. Myślę wręcz, że zaszczuli go na śmierć.

- Oni?

- Oni! Orficy, jezuici, mafia badaczy. Zresztą czy ja wiem, kto mu deptał po piętach?

Anna i Adrian nadstawili uszu.

- Orficy, jezuici, mafia badaczy? Co to ma znaczyć?

Kobieta manipulowała teraz przy pudełku papierosów mentolowych. Jej palce zdradzały ogromną nerwowość.

- Jesteście państwo chyba jedynymi osobami, z którymi mogę rozmawiać o tym całkiem otwarcie - powiedziała, zapalając papierosa - wszyscy inni uznaliby mnie za wariatkę.

9

- Jak się nad tym dobrze zastanowię - zaczęła Aurelia, wydmuchując co jakiś czas obłoczek dymu - problem zaczął się już dziesięć lat temu, gdy Marc przybył do Kalifornii. Miał tu na uniwersytecie w San Diego, kontrakt naukowo-badawczy z komparatystyki. Uchodził bowiem za jednego z najlepszych na świecie specjalistów w tej dziedzinie. Jednakże już na samym początku popełnił kardynalny błąd: poróżnił się z historykami sztuki, a konkretnie powiedział im, ekspertom, to, o czym jeszcze nie wiedzieli i o czym zresztą w ogóle nie mogli wiedzieć. W ten oto sposób przysporzył sobie wrogów.

- A o co chodziło?

- Mówiąc najprościej, Marc przedstawił im teorię, zgodnie z którą Leonardo da Vinci był nie tylko genialnym artystą, lecz także wielkim filozofem posiadającym tajemną wiedzę, która byłaby zdolna odmienić świat. Profesorom historii sztuki nie odpowiadało oczywiście, że jakiś literaturoznawca podawał w wątpliwość ich studia nad jednym z największych artystów wszechczasów, byli więc zdania, żeby lepiej pozostał przy Szekspirze i Dantem.

- Podobne rzeczy Vossius opowiadał nam również w Paryżu — zauważyła Anna. - To, że potraktował obraz Leonarda kwasem, nie miało wcale obrócić się przeciw temu malowidłu ani temu, co przedstawia, a już na pewno nie przeciw Leonardowi, tylko przeciw historykom sztuki i ich tępej postawie. Tak nam to objaśniał Vossius. Ale wspomniała pani coś o orfikach i jezuitach?

Pani Vossius machnięciem ręki zmanifestowała swoją niechęć. Wreszcie zgasila papierosa i wymamrotała coś, co brzmiało jak:

- To są gangsterzy, wszystko to gangsterzy.

Anna i Adrian porozumieli się wzrokiem. Dręczenie jej kolejnymi pytaniami wydawało im się niestosowne. Gdyby Aurelia Vossius chciała mówić, opowiedziałaby wszystko z własnej woli.

- Profesor - powiedziała Anna raczej mimochodem - był bardzo dumny, że na tym obrazie znalazł wskazówkę odnoszącą się do Barabasa.

Pani Vossius podniosła oczy:

- Naprawdę znalazł?

W jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie.

- Tak, na obrazie odsłonił się naszyjnik, z którego kamieni można ułożyć imię „Barabbas”.

- Ach - Aurelia wydawała się zdumiona. - Wobec tego wiecie już państwo wszystko...

- O nie, wręcz przeciwnie... - pośpieszyła Anna z odpowiedzią. - Pewnego dnia profesor wtajemniczył nas trochę w swoje badania, ale kiedy nazajutrz przyszliśmy do kliniki, już nie żył.

- Czy uważacie to państwo za przypadek? - zapytała Aurelia chłodno.

Anna się przeraziła.

- Pani Vossius, jak pani to rozumie?

- No cóż, ja po prostu myślę, że Marc nie zmarł śmiercią naturalną.

- Dlaczego nie?

Aurelia Vossius spuściła oczy i powiedziała z pewnym zakłopotaniem:

- Zakładam, że przeczytaliście państwo mój list do Marka. Wobec tego powinniście też wiedzieć, że nie rozstaliśmy się w złości. Tak, lata spędzone z Markiem były najpiękniejsze w moim życiu. - Przy tych słowach zmięła list oburącz, a potem ciągnęła dalej: - Z czasem jednak jego pasja badawcza zaczęła

spychać naszą miłość na dalszy plan. Są mężczyźni zaślubieni swojej profesji. Kobiecie trudno to znieść. Z Markiem było jeszcze inaczej. On traktował swój zawód jak kochankę, a to nieuchronnie musiało doprowadzić do tragedii. Wszystkie myśli Marka były poświęcone ukochanej. A kiedy pojawili się ci inni, aby ją zaanektować dla siebie, dostał bzika.

Anna i Adrian z trudem nadążali za sugestiami Aurelii. Niewątpliwie kobieta wiedziała więcej niż śmieli przypuszczać, jednakże docierało do nich z coraz większą jasnością, że nie będzie łatwo wydrzeć jej tajemnicę.

- Co pani chce zasugerować słowami „dostał bzika”?

- W poszukiwaniu dowodów dla poparcia swojej hipotezy Marc wiele podróżował i zjeździł pół świata, kupował jakieś papirusy i pergaminy, których nikomu nie pokazywał, i wielokrotnie przekroczył budżet instytutu przeznaczony na badania, tak że władze Uniwersytetu San Diego udzieliły mu nagany i zagroziły zwolnieniem. Marc bowiem ciągle wzdrygał się udostępnić wyniki swoich najnowszych badań. Milczał. Nawet ja dowiadywałam się tylko przypadkiem, o co właściwie chodzi.

- A o co chodziło?

Anna niecierpliwie wierciła się na krześle.

- Czy pani jest katoliczką? - zapytała Annę ni stąd, ni zowąd pani Vossius.

- Protestantką - odpowiedziała zaskoczona Anna, dodając półgłosem: - Przynajmniej na papierze.

- Powinam - ciągnęła Aurelia Vossius - opowiedzieć wszystko po kolei. Ponieważ Marc nie chciał ujawnić czegokolwiek ze swoich badań, wskutek czego musiał liczyć się ze zwolnieniem, sam ustąpił ze swojego stanowiska. Nie byliśmy biedni, ale na uprawianie mało intratnego zawodu prywatnego uczonego same moje dochody nie wystarczały. Za to Marc w trakcie jednej z podróży poznał śmiesznego faceta o imieniu Tales i...

- Słucham? - wykrzyknęła Anna w najwyższym wzburzeniu. - Tales, siwowłosa mężczyzna o niezwykle rumianych policzkach i pobożnym wyglądzie brata zakonnego?

- Tego nie wiem - odparła pani Vossius - nigdy tego człowieka nie wdziałam na oczy, ale on był kimś w rodzaju zakonnika. Należał do orfików, podejrzanego elitarnego zakonu, który podobno przyjmuje w swoje szeregi

wyłącznie najmądrzejsze umysły świata, najmądrzejsze w danych dziedzinach nauki.

- Tales! - wykrzyknęła Anna i pokręciła głową.

- Zna go pani?

- I to jak! Szukał starego dokumentu, spodziewając się, że jest on w posiadaniu mojego męża. Po śmierci Guida spotkałam się z nim w Berlinie. Zainscenizował osobliwe wydarzenia i zaproponował mi mnóstwo pieniędzy za kawałek pergaminu.

Pani Vossius potaknęła głową:

- Zakon orfików jest niesłychanie bogaty. Ci ludzie dysponują niewiarygodnym kapitałem. Marc opowiadał mi, że Tales tylko się zaśmiał, gdy mój mąż przedstawił mu żądania finansowe. Powiedział, że Marc może dysponować dowolnymi kwotami, jakie tylko będzie uważał za konieczne.

- Nie do wiary - zdumiewał się Kleiber - ale w tej sprawie tkwi oczywiście jakiś haczyk.

- Ci ludzie postawili warunki. Warunek numer jeden: Marc musiał spalić za sobą wszystkie mosty i wstąpić do zakonu, którego siedziba znajduje się gdzieś w północnej Grecji. Warunek numer dwa: Marc miał poświęcić wszystkie swoje badania dla dobra ruchu orfików. Warunek numer trzy: raz zawarta umowa nie podlegała rozwiązaniu, co oznaczało, że miała obowiązywać go przez całe życie. O dwóch pierwszych warunkach Marc mi napomknął, o trzecim rozmawialiśmy bardzo szczegółowo. Najwyraźniej budził w nim najwięcej wątpliwości. Marc opowiadał, że na jego uwagę, iż nie wie, jak za dziesięć lat będzie się zapatrywał na swoje życie, Tales odpowiedział, że musi to sobie wcześniej przemyśleć. Orficy przyjęci do wspólnoty otrzymują dostęp do takich pokładów wiedzy tajemnej, że mogłoby to stanowić zagrożenie dla świata. Dlatego też, jeśli zechcą kiedyś opuścić zakon, wspólnota zmusza ich podobno do popełnienia samobójstwa.

- Szaleńcy! - zawołał Kleiber. - Wszyscy to szaleńcy!

Pani Vossius wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Ale chyba rozumie pan teraz, dlaczego nie wierzę w naturalną śmierć mojego byłego męża.

- Rozumiem - powiedział Adrian półgłosem, zerkając z boku na Annę. Oboje zrozumieli się. Nie, w obecnej sytuacji naprawdę nie należało wyznawać pani Vossius całej prawdy.

Ona jednak podniosła się, podeszła do znajdującej się naprzeciw kominka ściany zabudowanej półkami, na których stało pełno książek, i wyjęła z drewnianej szkatułki jakiś papier.

- Mój ostatni list powiedziała, wyglądając grzbietem dłoni złożony wzdłuż papier.

Następnie, nie odczytując ani linijki, oddała treść listu własnymi słowami. Vossius, opowiadała, nosił się z zamiarem opuszczenia zakonu. Doszło do niesnasek, gdyż profesor nalegał na publikację swojego odkrycia. Natomiast orficy chcieli zatrzymać tę wiedzę dla siebie, ponieważ jak mówili, jedynie wiedza daje prawdziwą władzę na ziemi. Marc nigdy nie wyjaśnił, co wspaniałego było w jego odkryciu. Sugerował tylko, że mogłoby ono sprawić, iż cały Watykan stałby się muzeum, a papież - postacią operetkową.

- Najwyraźniej profesor nie był przyjacielem papieży - stwierdził Adrian, uśmiechając się pod nosem.

- Nienawidził ich - dodała pani Vossius. - Nienawidził ich z całego serca, nie z powodów religijnych ani naukowych. Był opętany ideą pomszczenia Galileusza, którego inkwizycja tak strasznie skrzywdziła i którego Kościół do dnia dzisiejszego nie zrehabilitował. Dwudziesty drugi czerwca był dla niego zawsze dniem pamięci. Ukrywał się wtedy gdzieś, żeby medytować, i poprzysięgał zemstę.

Anna, która słuchała słów pani Vossius jak urzeczona, zapytała:

- Dlaczego dwudziestego drugiego czerwca?

- Dwudziestego drugiego czerwca Galileusz został skazany przez inkwizycję na wyrzeczenie się systemu kopernikańskiego. Już na samą myśl o tym Marc stawał się chory i agresywny, gdyż jak się wyrażał, głupota odniosła zwycięstwo nad wiedzą.

Ta wypowiedź wyjaśniała osobliwy charakter profesora Marka Vossiusa. Od razu wpisywał się w ten wizerunek nawet zamach na dzieło Leonarda da Vinci. Vossiusowi była potrzebna jawność czynu, aby w ten sposób zwrócić uwagę opinii publicznej na swoje badania.

- A pani nie ma pojęcia - zapytała Anna - jakiego odkrycia dokonał profesor?

Pani Vossius spojrzała obojgu w oczy, jakby chciała zbadać, czy są godni, żeby obdarzyć ich zaufaniem. Zaczerpnęła głęboko powietrza, ale nie odpowiedziała. Od lat dźwigała brzemię spraw, o których nie mogła z nikim

rozmawiać, o których wiedziała tylko ona. Teraz zaś tym dwojgu obcym ludziom ma tak ni stąd, ni zowąd wypowiadać się ze wszystkiego?

Z drugiej strony nie opuszczała jej myśl, że ją i tę obcą kobietę łączy swego rodzaju wspólnota losu. W każdym razie wątpiła w to, że również von Seydlitz padł ofiarą zamachu.

Wstała.

- Chodźcie państwo ze mną - poprosiła.

Zaprowadziła Annę i Adriana do niewielkiego kwadratowego pokoju, którego wychodzące na ogród okno było nieomal zarośnięte krzewami, tak że ledwo przenikało przez nie światło. Mnóstwo starych ksiąg i puste biurko nie pozostawiały wątpliwości, że znajdowali się w gabinecie profesora.

- Może wyda się to państwu dziwne - zauważyła pani Vossius – ale od chwili odejścia Marka niczego tu nie zmieniłam. Możecie się państwo spokojnie rozejrzeć.

Raczej z zakłopotania wywołanego dziwnym zachowaniem Aurelii Anna przyglądała się szeregom książek na ścianach i ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że jest to zbiór Biblii i komentarzy do Nowego Testamentu. Książki we wszystkich językach, niektóre z nich liczące kilkaset lat. Z woluminów rozchodziła się gryząca woń.

- Mój mąż znalazł nieznaną dotąd ewangelię, by tak rzec, praewangelię, na której opierają się cztery pozostałe - powiedziała spokojnie pani Vossius. - Ścisłej, Marc odkrył tylko jej fragmenty. Pochodzą one ze zbioru pergaminów znalezionych przed laty w Minii, w środkowym Egipcie. Jakiś szlifierz kamieni poszukujący wapienia natknął się na tę kryjówkę. Podarował stary zwój trzem synom, a ci podzielili je między siebie, po czym każdy spieniężył swoją część. Marc usiłował wytropić, gdzie znajdują się poszczególne części. Już wkrótce zauważył, że również inni ludzie poszukują tych fragmentów, co doprowadziło do regularnej wojny.

Wyjaśnienie Aurelii całkiem wytrąciło Annę Seydlitz z równowagi.

- Ta ewangelia - powiedziała cicho i beznamiętnie do siebie – musi pewnie zawierać fakty, które jacyś ludzie chcieli zachować w tajemnicy.

Anna myślami była przy wypadku Guida. Właściwie nie miała już wątpliwości, że Guido stał się ofiarą zamachu, aby ktoś mógł wejść w posiadanie pergaminu.

- Proszę tylko spojrzeć!

Pani Vossius wyciągała z regałów poszczególne książki, otwierała je i podsuwała Annie pod nos. W księgach były zaznaczone różne fragmenty, inne znów przekreślone, a z kolei jeszcze inne dopisane obcymi charakterami pisma - labirynt linii łączących, krzyżyków i kresek, a wszystko to nie raz, nie dziesięć razy, ale po stokroć w setkach książek z setkami dopisków na marginesach, odniesień, tłumaczeń i powiązań. Aurelia na chybił trafił sięgała po książki Vossiusa i wyciągała z regałów coraz to nowe z coraz bardziej groteskowymi zaznaczeniami i notatkami.

W jednej z książek Anna przeczytała podkreślone linijki: „Strzeżcie się kwasu, to znaczy obłądy faryzeuszów. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coście w izbie szeptali do ucha, głosić będą na dachach”.

Vossius napisał czerwonym atramentem na marginesie:

Łukasz 12,1-3

Mateusz 10,26 i dalsze

Marek 8,15

Barabasz 17,4

Ostatnia linijka była podkreślona dwukrotnie.

Barabasz! Annę von Seydlitz przeszył dreszcz. Wskazała palcem miejsce w księdze i podała ją Kleiberowi. Ten spojrzął na Annę. Barabasz, fantom.

Musiała zebrać się na odwagę, aby zadać kolejne pytanie. Nie mogła bowiem przewidzieć, jak zareaguje na nie Aurelia.

- Pani Vossius, czy profesor opowiadał, o co chodzi z tym Barabaszem?

I podetknęła jej pod nos fragment zaznaczony w książce.

- Barabasz?

Aurelia Vossius przeczytała, zastanowiła się, po czym pokręciła przecząco głową.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wymienił to imię.

- Dziwne - odparła Anna, kartkując nadal książkę.

W innym miejscu był zaznaczony następujący tekst:

„Takie jest świadectwo Jana. Gdy Żydzi wysłali do niego z Jerozolimy kapłanów i lewitów z zapytaniem: »Kto ty jesteś?«, on wyznał, a nie zaprzeczył, oświadczając: »Ja nie jestem Mesjaszem«. Zapytali go: »Cóż zatem?»

Czy jesteś Eliaszem?» Odrzekł: »Nie jestem«. »Czy ty jesteś prorokiem?« Odparł: »Nie!« Powiedzieli mu więc: »Kim jesteś, abyśmy mogli dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali? Co mówisz sam o sobie?« Odpowiedział: »Jam głos wołającego na pustyni. Prostujcie drogę Pańską, jak powiedział prorok Izajasz«,.

Również w tym miejscu znajdowały się uwagi profesora:

Jan 1,19

Mateusz 11,14; 17,10

Marek 9,11

Barabasz

Słowo „Barabasz” było podkreślone.

- Nie - zaczęła znów mówić pani Vossius - nigdy nie wymienił tego imienia. Jestem pewna, że słyszę je po raz pierwszy. Co ono znaczy?

Kleiber zatopiony w lekturze tego fragmentu odpowiedział, kręcąc głową:

- Z notatek na marginesach można by wnioskować, że te fragmenty tekstu uzupełniają się u różnych ewangelistów, co by znaczyło, że to Barabasz jest autorem owej piątej Ewangelii. Jednakże ten fakt nie wyjaśnia wybuchowej siły, która otacza to imię wszędzie, gdzie tylko się pojawi.

- Barabasz - dodała Anna - musi mieć jakieś tajemne znaczenie, wydaje się swego rodzaju kodem, z którym tylko wtajemniczeni potrafią coś zrobić. Jest to niejako klucz do tajemnicy o niezwykłym znaczeniu.

Pani Vossius sprawiała wrażenie osoby, która nic z tego wszystkiego nie rozumie. Czy tylko udawała, czy też istotnie nie miała pojęcia, czym zajmował się jej mąż przez ostatnie osiem lat życia? W każdym razie w chwilach gdy Anna i Adrian zajmowali się książkami stojącymi w bibliotece, wydawała się niezwykle spokojna. Zapewne pogodziła się z własnym losem, a także losem byłego męża.

Speszona niezliczonymi odniesieniami w różnych książkach Anna zadała pani Vossius pytanie, czy profesor nigdy nie mówił o swoich badaniach i czy nigdy nie wyjawiał jej celu swojej pracy.

- Vossius - odparła Aurelia - był bardzo zamkniętym w sobie człowiekiem. Oczywiście, mówił o swojej pracy, ale takie rozmowy były dla mnie bardzo trudne, często po prostu nie rozumiałam toku jego rozumowania, przede wszystkim gdy chodziło o jego dziedzinę, komparatystykę. Marc - mówiła dalej - uosabiał dwóch ludzi. Czulego i szarmanckiego mężczyznę,

z którym grywała w golfa w klubie Bonita, i opętanego naukowca, który miał kłopoty z odnalezieniem się w życiu codziennym. Niestety, ten drugi coraz bardziej spychał tego pierwszego na boczny tor, a to bynajmniej nie służyło jej małżeństwu. Ale - zakończyła pani Vossius - teraz powiedziałam już chyba za dużo.

Anna i Adrian zrozumieli to jako prośbę, aby już wyszli, więc pożegnali się z Aurelią.

10

W drodze do hotelu na początku oboje milczeli, gdyż każde starało się uporządkować myśli, ale w końcu Anna odezwała się pierwsza:

- Co myślisz o pani Vossius?

Kleiber zrobił minę ni to śmieszna, ni to płacziwą.

- Trudno powiedzieć - odparł. - Nie chciałbym twierdzić, że ona kłamie.

Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że zataiła przed nami coś ważnego.

- Czyżby nie wiedziała, nad czym właściwie pracował jej mąż?

- Na przykład - odparł Kleiber. - Nie możesz żyć przez osiem lat w związku małżeńskim i nie wiedzieć, w jaki sposób mąż zarabia pieniądze.

- No cóż, coś tam wiedziała o badaniach Vossiusa. Nie znała tylko szczegółów. Ja też przecież wiem, czym ty się zajmujesz, a nie znam żadnych detali. Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to interesuje. Jest więc całkiem prawdopodobne, że i pani Vossius nie interesowała się pracą męża.

Kleiber pokręcił głową.

- Ja sobie tego po prostu nie wyobrażam. Ten facet nieraz objeżdżał pół świata w poszukiwaniu fragmentu jakiegoś pergaminu. Musiał chyba wyjaśnić żonie, czemu taki czy inny świstek papieru jest dla niego aż tak ważny. A jeśli nie wyjaśniał tego z własnej inicjatywy, to zapewne żona go o to wypytywała. Tego jednak pani Vossius się wyparła. Ja w to nie wierzę.

Kiedy przejeżdżali obok pola golfowego klubu Bonita, Kleiber zatrzymał samochód.

- Czy pani Vossius nie wspomniała, że grywali w golfa?

- Tak, oczywiście - odparła Anna. - Myślę, że wpadliśmy na ten sam pomysł.

Kleiber skręcił na duży parking. Na tarasie klubu siedziało kilkoro graczy, którzy gawędzili i popijali herbatę z lodem. Anna i Adrian przedstawili się jako niemieccy przyjaciele Vossiusa i spytali, czy ktoś z nich znał profesora bliżej.

Co to znaczy „znać”, spotykali się, padła odpowiedź, bliżej znał profesora tylko jego asystent Gary Brandon. Jeden z obecnych wskazał ręką w stronę fairwaya, gdzie mężczyzna i kobieta byli zajęci wyławianiem piłki z roughu. Gary z żoną.

Brandon i jego żona Liz, w przeciwieństwie do męża dość korpulentna, okazali się bardzo serdecznymi i życzliwymi ludźmi. Z krótkiej rozmowy wynikało, że Brandon został następcą Vossiusa. Kiedy Anna opowiedziała o śmierci profesora w Paryżu, Liz zapytała, czy nie wpadliby do nich wieczorem na drinka. Chętnie dowiedzieliby się czegoś więcej o tej sprawie.

To zaproszenie było bardzo na rękę Annie i Adrianowi. Może od Brandona dowiedzą się czegoś więcej o Vossiusie i jego pracy?

Gary i Liz mieszkali na wyspie Coronado, na Siódmej Ulicy na zachód od Orange Avenue, w drewnianym bungalowie z małym ogródkiem przed domem i niewielkim podwórkiem z tyłu, gdzie wytryskała kiczowata fontanna, której podświetlone lustro wody zmieniało co dziesięć sekund kolor niczym kameleon w sytuacji zagrożenia. Ściany obwieszane były zdjęciami, które - a było ich razem pewnie kilkaset - stały też w ramach na ciemnobrązowych rustykalnych meblach. Ukazywały małżeństwo Brandonów w kręgu dużej rodziny albo licznego grona przyjaciół. Najstarsze fotografie mogły pochodzić jeszcze z lat czterdziestych.

Rozmowa szybko zeszała na Vossiusa, który, jak się okazało, znalazł w Brandonie wielkiego admiratora. Vossius, opowiadał Gary, odznaczał się tak zwaną pamięcią absolutną, która to cecha występuje tylko u jednego człowieka na wiele milionów ludzi i pozwala mu zapamiętywać rzeczy raz przeczytane, a w razie potrzeby, również po wielu latach, odtwarzać je słowo w słowo. Już sama ta cecha predestynowała Vossiusa do zajmowania się literaturoznawstwem porównawczym. Profesor potrafił bowiem pracować równie precyzyjnie jak komputer, w krótkim czasie dochodząc do satysfakcjonującego wyniku, podczas gdy wszyscy inni nadal jeszcze przeszukiwali swoje kartoteki. Była to

dla nauki szczęśliwa okoliczność, profesor mógł cytować z pamięci dowolne fragmenty z Boskiej Komedii Dantego lub z Fausta Goethego, a następnie porównywać je z sobą. Był po prostu geniuszem. Jednakże - mówiąc to, Brandon spoważniał - ta pamięć absolutna sprawiła, że Vossius stopniowo, ale coraz wyraźniej zaczął tracić rozum.

Wzburzona Anna zauważyła, że im, gdy rozmawiali z nim w Saint Vincent de Paul, wydawał się całkiem normalny. Wprawdzie z początku również zastanawiali się, czy Vossius jest przy zdrowych zmysłach, ale kilka spotkań z nim w pełni rozwiało wszystkie wątpliwości.

- No właśnie - powiedział Brandon - to było jego typowe zachowanie. Można było dyskutować z nim o najbardziej skomplikowanych problemach, nie zauważając, że ten sam człowiek naraz zaczyna opowiadać bzdury. Miał swoje ulubione tematy. Jednym z nich było roszczenie sobie przez Kościół rzymski prawa do absolutności. W przeciwieństwie do apologetów Vossius odpowiadał przecząco na pytanie, czy wyższości chrześcijaństwa nad wszystkimi pozostałymi religiami można dowieść również czysto naukowo i rozumowo, nie przyjmując wiary katolickiej, i gromadził coraz to nowe dowody, które potwierdzały jego rację, na sam koniec tę rzekomo nową ewangelię.

Brandon nie potrafił odpowiedzieć, co stanowi treść tej nowej ewangelii. Nikt w instytucie tego nie wiedział, gdyż Vossius wznosił wokół siebie mur tajemniczości. Jest bardzo prawdopodobne, że zgromadzone przez niego fragmenty są częściami jakiejś nie odkrytej ewangelii, ale profesor uparcie milczał o jej prawdziwym znaczeniu.

- Również przed swoim asystentem?

- Również przed swoim asystentem. Oczywiście było to nader dziwne i w końcu doprowadziło do rozstania, gdyż ta sprawa nie miała już nic wspólnego z jego rdzenną dziedziną wiedzy. Szkoda, bo bardzo ceniłem profesora.

Podczas wywodu gospodarza Anna oglądała liczne zdjęcia. Jej wzrok zawisł na jednym z nich. Ukazywało ono Gary'ego i Liz z jakąś inną parą na tle zapierającej dech Doliny Skał. Tym drugim mężczyzną był Vossius w swobodnej, wręcz młodzieńczej postawie, jakim go nigdy nie widzieli. Druga kobieta natomiast, długowłosa piękność, wydała się Annie znajoma, jakby już ją gdzieś spotkała. Nie wiedziała jednak gdzie.

Liz dostrzegła spojrzenie Anny i wyjaśniła, że to zdjęcie ma już pięć lat. Tragiczna historia.

Anna pytająco spojrzała na Liz.

- Historia z Hanną i Aurelią! - odparła Liz. - Nie zna jej pani?

- Nie - przyznała Anna — co to za historia?

Gary przedził żonę i sam zaczął opowiadać, ale bardzo ostrożnie:

- Marc i Aurelia byli przez kilka lat bardzo szczęśliwym małżeństwem. Póki nie pojawiła się Hanna. Była absolwentką filologii klasycznej, a ponadto uczyła archeologii klasycznej. Należała do nielicznych kobiet, które są niezwykle mądre i błyskotliwe, a równocześnie zniewalająco piękne. Owinęła sobie Vossiusa wokół palca i Marc był jej posłuszny. Aurelii natomiast świat się zawalił. Walczyła, ale była na straconej pozycji. Było nam jej bardzo żal. Myślę, że ona jeszcze do dzisiaj kocha Vossiusa.

Słowa Brandona wyjaśniły wiele zachowań Aurelii. Która kobieta przyzna się bez zawstydy, że mąż ją zdradzał?

- Dla nas - ciągnął Gary - sytuacja nie była prosta. Ceniliśmy Aurelię, ale lubiliśmy również Hannę, która w ostatnich latach całkowicie zawładnęła Markiem, zarówno jego życiem prywatnym, jak i zawodowym. Im częściej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że Hanna została nasłana na Marka.

Anna i Adrian spojrzeli na siebie pytająco.

- Co znaczy „nasłana”? — zapytał Kleiber. - Czy mógłby nam pan to wyjaśnić?

- No cóż, to Hanna skontaktowała Vossiusa z tak zwanym zakonem orfików. Myślę, że należała do tego zakonu, zanim przybyła do Kalifornii, a przybyła do nas po to, żeby pozyskać Marka.

- Czy wie pan coś więcej o tym tajemniczym zakonie? - zapytała nieśmiało Anna.

- Słowo „tajemniczy” jest właściwe w odniesieniu do tego klubu. Orficy to pewien mit wśród naukowców. Wielu z nich myśli nawet, że grupa skupiająca w jednym miejscu największych geniuszy świata i wyposażająca ich w nieograniczone środki w ogóle nie istnieje. Gdybym nie był asystentem Vossiusa, myślałbym podobnie. Ale oni istnieją, są potężni i niebezpieczni. Uważam nawet, że ich machinacje mają charakter przestępczy. Wiadomo, że osiągają swoje cele, nie cofając się przed niczym.

- Jakie cele? - przerwał mu Kleiber.

- Vossius - odparł Gary - któremu kiedyś zadałem to pytanie, a było to tuż przed tym, gdy pośpiesznie spalił za sobą wszystkie mosty, odpowiedział następująco: każdy dzień spędzony w niewiedzy jest dniem straconym.

- Trudno z tym polemizować - stwierdził Kleiber.

- Owszem - odparł Gary Brandon - ale orficy żyją w naukowej obsesji, a ta jest niebezpieczna jak każda inna. Myślę, że ci ludzie idą po trupach do celu i bardzo się cieszą, że nie jestem taki mądry jak Vossius czy Hanna. Bo to chroni mnie przed zainteresowaniem z ich strony.

- Myśli pan, że mądrość obojga sprowadziła na nich zgubę?

Adrian zrobił rozbawioną minę.

- Tak, to brzmi idiotycznie - odpowiedział Brandon - że wyznawcy Orfeusza ciągle poszukują geniuszy. Normalny naukowiec w ogóle ich nie interesuje.

Roześmiał się.

- Czy Vossius miał pojęcie, co czeka go u tych orfików?

Gary Brandon wzruszył ramionami:

- Nigdy o tym nie opowiadał i prawdę mówiąc, wówczas również się tym nie interesowałem. Nie wiedziałem przecież, jak to się skończy. Marc był wpatrzony tylko w Hannę i powędrowałby z nią nawet do afrykańskiego buszu. Straszna historia.

- Nigdy więcej nie miał pan wieści o profesorze Vossiusie?

- Nigdy więcej. Aurelia otrzymała od niego list. Nie opowiadała nam, co jej napisał, a my nie chcieliśmy się jej narzucać. Sam pan rozumie?

- Wiedział pan, gdzie przebywa Vossius?

- Gdzieś w górach północnej Grecji. Marc wymienił kiedyś nazwę miejscowości, w której znajduje się ten zakon, Leibethra. Zanotowałem tę niezwykłą nazwę, bo trudno ją zapamiętać, a potem przeszukałem najlepsze mapy świata - bez powodzenia. Sukces odniosłem dopiero wtedy, gdy natrafiłem na stary leksykon starożytności. Tam wyczytałem, że Leibethra to miejscowość leżąca u podnóża Olimpu w macedońskiej okolicy Pieria. Tam według rozmaitych przekazów Orfeusz miał się urodzić, umrzeć lub zostać pogrzebany. Mieszkańcy Leibethry od dawien dawna uchodzili za przysłowiowych głupców.

Anna powiedziała, zwracając się do Kleibera:

- Grecja jeszcze istnieje. Jeśli jest jakakolwiek szansa...

Ale ciągle wpatrywała się w fotografię.

Kiedy Anna i Adrian żegnali się już z Brandonami, obiecali, że będą ich informować o wszystkich nowinkach związanych z przypadkiem Vossiusa. Później, w drodze do hotelu, myśli Anny krążyły wciąż wokół zdjęcia, a Kleiber zastanawiał się nad powodem jej milczenia. A kiedy nie odpowiadała, stwierdził, raczej po to, żeby Annę sprowokować niż z przekonania:

- Liz i Gary Brandon przypuszczalnie również nie powiedzieli nam wszystkiego, podobnie jak Aurelia Vossius.

Anna gwałtownie zaprzeczyła:

- Myślę, że Brandonowie powiedzieli nam wszystko, co wiedzą. Są ośmiście zainteresowani tym przypadkiem, w przeciwnym razie nie poprosiliby nas, czego na przykład nie zrobiła pani Vossius, abyśmy ich informowali o rozwoju wypadków. Odnoszę wrażenie, że ta historia bardzo ich poruszyła.

- Mimo iż Brandon pewnie musiał być szczęśliwy, że Vossius całkiem niespodziewanie zrobił mu miejsce. Naprawdę musieli być dobrymi przyjaciółmi.

- Pozostaje tylko ta kobieta ze zdjęcia, kochanka Vossiusa...

- Mówili o niej z pewnym respektem, raczej z podziwem niż z sympatią.

Gdyby istotnie orficy nasłali ją na Vossiusa, wówczas cały ten przypadek zyskałby nowe znaczenie, stałby się w pewien sposób sprawą dla tajnych służb.

Anna nie zgadzała się z tym.

- Chyba ponosi cię wyobraźnia - powiedziała z lekką drwiną w głosie, aby natychmiast znów spoważnieć: - Trzymajmy się faktów.

- Fakty, fakty! - Adrian się uniósł, jakby zraniła go bardzo mocno. - Fakty w tej historii są i tak znacznie bardziej niedorzeczne niż mógłby je stworzyć poeta o najbardziej wybujałej wyobraźni.

Przytaknęła i zamilkła, jakby na przeprosiny. Dotarli do hotelu, gdzie Adrian zaparkował samochód, Anna zaproponowała, aby wybrali się na spacer. Słońce stało nisko nad zatoką, a turkusowa woda morska połyskiwała i skrzyła się tysiącem białych iskier. Z tylnych okien pływającej restauracji rybnej przy nabrzeżu B-Street unosił się cuchnący dym spalonego oleju, a obwoźni sprzedawcy z pobliskiego Meksyku zza swoich tekturowych twierdz zwracali przechodniom uwagę żartobliwymi hasłami, żeby koniecznie zmienili spodnie lub

koszulę; u nich można kupić jedno i drugie.

- Prawie nie śmiem tego powiedzieć - zaczęła Anna z wahaniem, gdy skręcili w ulicę wiodącą na północ, gdzie ruch był spokojniejszy - ale ta kobieta ze zdjęcia nie chce mi wyjść z głowy.

- Kochanka Vossiusa?

- Tak, kochanka Vossiusa.

- Co z nią?

Anna sprawiała wrażenie dość bezradnej.

- Opowiadałam ci przecież - podjęła wątek - że szukając kobiety, która podczas wypadku siedziała w samochodzie Guida, byłam u Donata...

- ...u tego mężczyzny, który nagle rozpląnął się w powietrzu?

- Właśnie u niego. Ten facet, czyli Donat, miał żonę, sparaliżowaną, siedziała na wózku inwalidzkim i nie mogła poruszyć żadną częścią ciała poza głową.

- I co z tą kobietą? Powiedz wreszcie!

- Wydaje mi się, że kobieta na wózku inwalidzkim jest tą samą, którą widziałam na zdjęciu u Brandonów, kochanką Vossiusa.

Kleiber puścił Annę, zrobił dwa kroki w stronę nabrzeżnego muru i spojrział na tańczące fale. Nadaremnie starał się dopasować jakoś tę informację, gdyby okazała się prawdziwa, do innych znanych im faktów.

- A zatem Brandon coś przed nami przemilczał - rzekł.

- Nie wiedział, że miałam takie dziwne spotkanie z Hanną Donat.

- Albo wiedział i miał powód, żeby zataić jej prawdziwą tożsamość.

- Bzdura - odpowiedziała Anna szorstko - wtedy ochrzciłby ją jakimś innym nazwiskiem.

- Mówił o niej po imieniu. Hanna.

- No właśnie. My zresztą nie zapytaliśmy o jej nazwisko!

- A ty jesteś pewna, że ta Hanna jest żoną Donata?

- Rzekomą żoną Donata - poprawiła go Anna. - I wcale nie jestem tego taka pewna. Po prostu jest do niej zdumiewająco podobna. Ale wypadek tak dramatyczny w skutkach zmienia twarz człowieka. Jest absolutnie prawdopodobne, że to ona: Hanna Luiza Donat.

- Hanna Luiza Donat! - wykrzyknął Kleiber i chwycił Annę za ramiona. - Tego nazwiska używała przecież także kobieta, która przeżyła wypadek Guida.

Na twarzy Anny odbijała się cała jej bezsilność. Zrozpaczona przełknęła ślinę, bo i ona nie miała pojęcia, co robić dalej. W jednej chwili stało się dla niej jasne, że Guido jej nie zdradzał, że beznadziejnie zaplątali się w labiryncie złośliwych intryg i anonimowego strachu. Pojawił się znów ten lęk, który pełził wzdłuż jej ciała w górę i ułożył się wokół krtani, tak że z trudem mogła mówić, ten nieopisany lęk przed nieznanym, który wychodził jej naprzeciw, wszędzie na nią czyhał.

Kleiber zaprowadził Annę z powrotem do hotelu. I nie miał nic przeciwko temu, żeby w swoim pokoju upiła się butelką single malt. Kiedy zasnęła, opuścił jej pokój i zadzwonił do Gary'ego Brandona z pytaniem, czy Hanna, kochanka Vossiusa, miała na nazwisko Donat.

- Oh yes - odpowiedział Gary - czyżbym tego nie powiedział?

12

Niespodziewane odkrycie, że między profesorem Vossiusiem a kobietą z samochodu jej męża istniał jakiś tajemniczy związek, całkowicie wytrąciło Annę z równowagi. Nie chciała nic jeść, miała kłopot z przełknięciem czegokolwiek. Nerwowe, pośpieszne posiłki spożywane przez kolejne dwa dni kończyły się przeważnie nagle, ponieważ Anna zrywała się od stołu i biegła zwymiotować. Jeśli Adrian zaczynał jakąś rozmowę, wkrótce zauważał, że Anna w ogóle go nie słucha.

A później nadszedł ów nieszczęsny czwartkowy poranek, gdy Kleiber w swej bezsilności wziął Annę w ramiona i ją obsypywał czułościami, gładził i całował niczym cudowny uzdrowiciel stosujący niezwyklej terapię.

W pierwszej chwili wydawało się, że Anna rozkoszuje się ciepłem mężczyzny, jakby chciała mu się oddać. Kiedy jednak Kleiber wcisnął ją w fotel w pokoju hotelowym, w którym ta scena się rozgrywała, gdy ukląkł przed nią i złożył głowę na jej kolanach, Anna otrząsnęła się nagle, jakby jej ciało przeszły prąd, chwyciła Adriana za włosy, odepchnęła gwałtownie i ofuknęła, pytając, czy tylko to ma w głowie. A potem wysłała go do wszystkich diabłów.

Po tym niemiłym incydencie, z powodu którego Adrianowi było bardziej przykro niż Annie (tego ranka wydawało się, że naprawdę nie jest przy zdrowych zmysłach), pobiegł na parking przed hotelem, wskoczył do samochodu,

zapuścił silnik, który aż zaryczał, co go niezwykle uspokoiło, i pojechał ciężkim dodgem na południe, w kierunku autostrady nr 5.

Po dziesięciu minutach nieprzerwanej jazdy minął granicę z Meksykiem, gdzie hałasem, kurzem i mnóstwem wyziewów przyprawiających o mdłości przyjęło go, jak głośnił rozpięty nad drogą transparent, „największe na świecie małe miasteczko”. Przez jeden dzień i pół nocy Kleiber włóczył się po knajpach Tijuany, odpędzał od siebie jak dokuczliwe robactwo gromady żebrzących dzieci i mnóstwo tanich prostytutek, aż wreszcie o północy ruszył w drogę powrotną, która szerokim białym pasem wiodła przez granicę do San Diego.

Kiedy przyjechał do hotelu, portier oznajmił mu, że pani Seydlitz postanowiła wyjechać wcześniej, a na pytanie Kleibera, czy zostawiła mu jakąś wiadomość, miły starzec odparł, że żałuje, ale nie.

Błędem byłoby twierdzić, że w tym momencie było mu przykro. Anna zraniła go do żywego, tak że w ogóle nie wyobrażał sobie, co mogłoby się stać, gdyby mieszkała jeszcze w sąsiednim pokoju. Jak miałyby się zachować? Prosił ją o przebaczenie? Za co? Czy w ciągu ostatnich tygodni nie zachowywał się wobec niej z należną powściągliwością i życzliwością, które cechują prawdziwego przyjaciela?

Sceną, którą urządziła poprzedniego dnia, niewątpliwie upokorzyła go w niewybaczalny sposób. Nie tylko wydarzenia ostatnich dni, ale również jej osobowość stała się niesamowita i nieobliczalna. A przecież mimo tych coraz bardziej nieprzewidywalnych zachowań nauczył się kochać tę kobietę, tę mieszkankę bezradności i żywej inteligencji, tę jej potrzebę bezpieczeństwa z jednej, a samodzielności z drugiej strony. Tak, kochał Annę i niczego nie pragnął bardziej niż rozwiązania jej problemów. Kiedy jednak dokonał bilansu wspólnych poszukiwań, musiał przyznać, że jego problemy osobiste przez to raczej narosły. Gdy tymczasem Anna von Seydlitz, jak się zdawało, doszła do przekonania, że świetnie da sobie radę bez niego. Czyż nie o tym świadczył jej wyjazd?

Kleiber zastanawiał się, jak to wszystko musi wyglądać w głowie Anny. Czy w ogóle jest tam miejsce dla niego? Czy nie wykorzystała go tylko, nie skorzystała z jego pomocy, aby teraz, gdy zorientowała się, że Adrian nie może jej już w niczym pomóc, odsunąć go jak niemiłego imigranta?

Czyż jednak miał inny wybór niż pojechać w ślad za nią?

Ogarnięty takimi żałosnymi myślami, które nachodzą mężczyznę ociekającego tequilą, Kleiber zasnął w ubraniu na łóżku hotelowym.

ROZDZIAŁ VI

KOŃSKIE KOPYTO DIABŁA

Informacje

1

Na frontowej ścianie długiej sali, do której przez wysokie okna po lewej stronie wpadało w ten jesienny dzień lśniące światło poranka, pysznił się, widoczny również z tylnych miejsc, napis wyryty złotymi zgłoskami: *Omnia ad maiorem Deigloriam* —wszystko na większą Chwałę Bożą. Wąskie stoły stały w poprzek sali niczym szczeble drabiny, ustawione dokładnie w równych odstępach jeden za drugim, i tylko po prawej stronie, gdzie książki i stare foliały piętrzyły się w stosach aż po wysoki sufit, biegł wąski korytarz, którym jezuici w ciemnoszarych habitach docierali do swoich miejsc pracy. Każdy rząd opatrzone literowymi kodami typu „*scient. theol.*” albo „*synop. hist.*” czy „*mon. secr.*”, zdradzającymi, że kryje się za nimi ogrom wiedzy i świętości.

Sala w tylnym budynku Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie przy Piazza delia Pilotta, potężnej budowli z lat trzydziestych dziewiętnastego stulecia, podobnej raczej do jakiegoś dumnego ministerstwa niż do *a/ma mater*, była nieznana większości studentów. Nawet słuchaczom Instytutu Biblijnego, którzy przez przypadek tutaj zabłądzili w labiryncie korytarzy i schodów, strażnik stojący przy wysokich dwuskrzydłowych drzwiach zabraniał wstępu do tego miejsca. Kto wchodził do tej sali - a sądząc po wyglądzie i zachowaniu, nie byli to zapewne studenci - musiał wpisać się do wyłożonej księgi i dopiero potem mógł bez słowa udać się do swojej pracy.

Na długich wąskich stołach leżały rozpostarte składane plany, jak w biurze architektonicznym, ale gdy człowiek przyjrzał się dokładniej, odsłaniały się przed nim zwoje Pisma w postaci jednej wielkiej układanki złożonej

z setek małych i nieregularnych pól oraz licznych luk, przez które prześwi-tywało jasne drewno blatów, niczym farba, która odpadła z obrazu.

Przy kilku stołach nie było nikogo, wokół innego znów zgromadziło się sześciu jezuitów, których ze trzydziestu znajdowało się w tej sali, oddając się swoim zajęciom według jakiegoś zupełnie niejasnego schematu. (Oczywiście jezuiti wykonywali tę pracę zgodnie z określonym systemem, nawet bardzo starannie przemyślanym, nieomal matematycznym. Ale trzeba by naprawdę bardzo uważnie się wpatrzeć, na dodatek z bliska, aby dostrzec, że naklejone na stoły papierowe części były jednakowe i że stanowiły kopie pewnego oryginału — łącznie trzydzieści jednakowych układanek.)

Jezuici przystępowali do pracy w najrozmaitszy sposób, tak jak różne są ludzkie charaktery. Jedni ukrywali twarz w dłoniach i z głęboką rozpaczą patrzyli przed siebie niczym ów grzesznik na obrazie Sąd Ostateczny Michała Anioła. Inni uzbrajali się w duże lupy i szkicowali na białych kartkach to, co pokazywało im szkło powiększające - częstokroć niekompletne obce znaki. Jeszcze inni z diabelskim wyrazem twarzy tańczyli wokół swoich tekstów, jakby to była gra w chowanego, gdzie przeciwnik jest niewidoczny.

Tam, gdzie wokół jednego stołu zgromadziło się aż sześciu jezuitów, panowało w przeciwieństwie do innych miejsc spore poruszenie, co nie zdarzało się codziennie. Doktor Stefan Łoziński, szczupły i wysoki Polak o małej wygolonej głowie, głęboko osadzonych oczach i kościstym zakrzywionym nosie przedstawiał ciąg słów, w tym przypadku nawet ciąg zdań, który, jak sądził, odpowiadał koptyjskim znakom pisma na jednym z fragmentów. Doktor Łoziński napędzał stojącym obok strachu, jakby chodziło o jakąś niesłychanie straszną sprawę.

„Nie był on światłością”, czytał Łoziński, wskazując palcem na fragment tekstu przed sobą na stole, „lecz [posłanym], aby zaświadczyć o przeszłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi”.

Profesor Manzoni, profes i jeden z czterech generalnych asystentów zakonu, a także przewodniczący zespołu pracującego ze ścisłym zachowaniem tajemnicy, przebił się przez stojących w kręgu mnichów, pochylił nad szkicownikiem Łozińskiego i zaczął porównywać widniejący w nim tekst z wzorcem przyklejonym do stołu. Czytając, poruszał bezgłośnie wargami, a wreszcie odezwał się wysokim, nieprzyjemnym głosem:

- To do złudzenia przypomina Ewangelię Świętego Jana, rozdział pierwszy, wersety od ósmego do jedenastego.

- Ale nią nie jest - odparł przebiegle Łoziński - i wiecie o tym równie dobrze jak ja.

Manzoni przytaknął ruchem głowy. Między obydwojma mężczyznami istniała nieprzezwycięzalna wrogość, chociaż Polak był zwykłym koadiutorem, a Włoch profesem i jednym z pięciu najwyższych dostojników zakonnych. Jeśli zatem chodzi o rangę i status, nie był dla Łozińskiego równorzędnym przeciwnikiem. Konkurowali raczej w dziedzinie nauki. Łoziński był asem wśród biblistów, przynajmniej w kwestii Nowego Testamentu, i jako taki wielokrotnie korygował Manzonięgo, ba, udawadniał mu karygodne błędy, niegodne człowieka jego rangi. Wydawało się nawet, że mogą one zrujnować sławę całego zakonu, który lubił określać się jako elitarny zespół nauki chrześcijańskiej.

Inni uśmiechali się pod nosem, przywykli bowiem do pojedynków, które toczyli ze sobą obaj uczeni mężowie. Często gorączkowali się jak walczące koguty i mieszając włoski z łaciną, obrzucali się podłe złośliwościami w stylu: *cave to, Romane*, to znaczy: „Rzymianinie wystrzegaj się tego!”, na co przeciwnik reagował zawsze słowami: *Nullos aliquando magistros habuis nisi quercus et fagos* - „Ach, miałeś wszakże za nauczycieli jedynie dęby i buki”.

Ten osobliwy sposób rozmawiania nie mógł jednak zdziwić nikogo spośród wolnomyślnych mnichów, wiedzących, że ci dwaj z najwyższego polecenia zajmowali się tu sprawą, która stała się przyczyną strasznego zamieszania, podobnie jak budowa wieży Babel. Instytut Biblijny Gregorjany pracował nad nią jak nad *secretum maximum*, a więc z zachowaniem najwyższego stopnia wtajemniczenia, co było porównywalne jedynie z misterium dziesięciu dni, które papież Grzegorz XIII wykreślił z kalendarza, kiedy wprowadzał rachubę czasu nazwaną jego imieniem. Manzoni zgromadził wokół siebie koptologów, filologów klasycznych, biblistów i najlepszych paleografów ze szkoły Traube-go i Schiaparellego, których przysięgą zakonną zobowiązał do milczenia, chociaż żaden z nich nie wiedział dlaczego i w jakim celu.

Ścisłe biorąc, praca trzydziestu jezuitów opierała się w tym momencie jeszcze na czystych teoriach, ale cały Kościół opiera się na hipotezach i dlatego kuria traktuje poważnie każdą nową koncepcję. Teraz chodziło o fragmenty

pergaminowego zwoju, straszliwą przepowiednię upadku Kościoła, naszej matki, tak straszliwą, jak upiorne litery: mane tekellaini, jakie pojawiły się podczas uczty babilońskiego króla Baltazara, który później skończył marnie. Żaden z uczonych mężów nie śmiał powiedzieć, co to mogło być, zwłaszcza że pojawiały się pochodzące z tego samego źródła coraz to nowe kartki i strzępki, które budziły wystarczającą grozę.

Pracę utrudniał fakt, że te fragmenty, czego dowiodły badania metodą radiodatacji za pomocą izotopu C14, mogły pochodzić z pierwszego wieku naszej ery, czyli z okresu, który wprawia kurię rzymską w stan największego niepokoju zawsze wtedy, gdy pojawia się jakiś zabytek piśmienniczy z tego czasu. Przy czym nikt nie miał pojęcia, jakiego rodzaju dokumentem jest badany właśnie zwój pergaminu. Podobnie bowiem jak wiele wcześniejszych przypadkowych znalezisk czy potajemnych wykopalisk, został najwyraźniej nie po raz pierwszy potraktowany bez znajomości rzeczy, a ze względu na chęć większego zysku pokawałkowany i sprzedany do różnych krajów.

Do tej pory niewiele na jego temat wiadano, prócz tego, że jest to tekst koptyjski. Jednakże przed około pięciu laty eksperci zabrali się do odszyfrowywania poszczególnych fragmentów, które wykazywały zdumiewające podobieństwo do tekstów Ewangelii Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Niekiedy występowały tam również dziwne odchylenia i niedorzeczności, porównywalne mniej więcej z odmiennością trzech spójnych Ewangelii Mateusza, Marka i Łukasza wobec Ewangelii Jana, ułożonej w zupełnie inny sposób, która jeszcze dzisiaj przysparza Kościołowi wielu problemów, podobnie jak dogmat o niepokalanym poczęciu.

To, uprzedzając fakty, wyjaśnia może, dlaczego generał zakonu Piero Ruppero został przez najświętsze władze obarczony zadaniem, aby przy zachowaniu najściślejszej tajemnicy zakupić z pomocą jego najzdolniejszych braci z Societas Jesu wszystkie dostępne fragmenty, trzymać je pod kluczem i przetłumaczyć albo jeśli zakup oryginału nie będzie możliwy, nabyć kopię tekstu. Zgodnie z regulaminem Societas Jesu generał Ruppero przekazał ten tajny projekt swojemu asystentowi generalnemu Manzoniemu, który z kolei zażądał od regionalnych asystentów wszystkich sześćdziesięciu trzech prowincji, aby oddelegowali do tego zadania ekspertów, wśród nich Polaka Łozińskiego, człowieka, którego powierzchowność mogłaby przstraszyć nawet diabła niczym kropidło.

Łoziński nadawał się na tajnego agenta; był typem śmiałka i, przede wszystkim w kontaktach z Manzoniem, demonstrował taką bezpośredniość, że wszyscy inni czasem aż drżeli ze strachu. Po Łozińskim nawet z bliska nie było widać, że jest koadiutorem Societas Jesu. Wprost przeciwnie, w razie potrzeby mógł wiarygodnie uchodzić za pasera z półświatka, który przebija się przez życie jako paser antyków. Prawdziwie pobożni, mawiał, są tak czy inaczej wyłącznie ci, po których nie widać ich pobożności. (Zdanie to zostało ukute przede wszystkim przeciw Manzoniemu, którego błada twarz ciągle wyrażała stan uduchowienia - aby nie użyć tu żadnego lekceważącego słowa - a który nawet w ciemnym garniturze zdradzał, że musi być jezuitą).

Szczególna siła Łozińskiego tkwiła w różnorodności jego zainteresowań i związanych z tym obyciem w świecie, zazwyczaj obcym braciom zakonnym. Niezwykłym umiejętnościom zawdzięczał, że z podróży do Ameryki przywiózł trzy fragmenty rzeczzonego zwoju pergaminu. Jeden wydebił od prywatnego kolekcjonera, wprawdzie za sporą sumkę, ale zawsze. Na drugi wymienił się z Instytutem Biblijnym z Filadelfii, oferując w zamian większy fragment rytów. Trzeci zaś, może najważniejszy, mimo odmowy sprzedaży oryginału przez Instytut Komparatystyki Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, pozyskał Łoziński przynajmniej jako nadającą się do użytku kopię, nie wiedząc, jakie znaczenie ma każdy z tych trzech elementów w mozaice.

Pomijając wypełnienie licznych pustych pól w tej żmudnej łamigłówce, dwóm pierwszym fragmentom zwoju trudno było przypisać jakąkolwiek wagę i tylko ten trzeci, dostępny jedynie w postaci kopii, stanowił dla jezuitów zagadkę, jeśli chodzi o treść, ale przede wszystkim ze względu na trudność z jego zaklasyfikowaniem. Były bowiem podstawy pozwalające przyporządkować go do trzech różnych miejsc, a to wcale nie ułatwiało pracy.

Na polecenie Manzoniego Łoziński korespondował z Uniwersytetem Kalifornijskim, usiłując ciągle wyłudzić oryginał, w zamian za co zaferował rękopis Leonarda dotyczący badań anatomicznych. Odpowiedź jednak nie nadeszła. Łoziński ze zdumieniem dowiedział się z gazety, że jego partner w tych negocjacjach, ówczesny dyrektor instytutu, został aresztowany po oblaniu obrazu Leonarda w Luwrze i umieszczony w zakładzie psychiatrycznym.

Ta wiadomość bardzo zabolą Polaka. Poznał profesora Marka Vossiusa jako radosnego, niezwykle wykształconego człowieka, który obdarzył go pewną sympatią, chociaż wyraźnie zachowywał powściągliwość w stosunku do własnej pracy badawczej. Dla Łozińskiego nie było więc jasne, co sprawiło, że Vossius doznał zaćmienia umysłowego, które przywiodło go do popełnienia takiego czynu. Zwęszył w tym jednak szansę odwiedzenia profesora w Paryżu i zapytania o znaczenie fragmentu zwoju. Ale spotkał człowieka zupełnie innego od tego, z którym pertraktował w Kalifornii, co przypisywał jego stanowi psychicznemu. W każdym razie Vossius był nieprzychylny i skierował go do instytutu na uniwersytecie, który to instytut jest odpowiedzialny za tego rodzaju sprawy, tak że jezuita po krótkiej dyskusji zakończył rozmowę i oddalił się z błogosławieństwem Najwyższego.

Jezuici z Gregoriany w Rzymie nie byli w ogóle skłonni doszukiwać się związku między pergaminem a szaleńczym zamachem profesora. Mimo to jednak od tamtej chwili ze szczególną wnikliwością prowadzili paleograficzne studia tego fragmentu tekstu. Po raz pierwszy też pojawiło się podejrzenie, że profesor sfalszował przekazaną kopię dokumentu, a więc w najistotniejszych punktach w szatański sposób coś zmienił lub usunął pewne fragmenty tak, aby we własnych badaniach uzyskać niemożliwą do zniwelowania przewagę nad innymi. Wraz z wiedzą rosła bowiem wątpliwość, a nieufność nigdzie nie jest większa niż w badaniach naukowych.

2

Najlepszymi przykładami podejrzliwych naukowców byli Manzoni i Łoziński. Przebiegły Polak usiłował przy każdej nadarzającej się okazji prowokować swoją wiedzą powolniejszego, ale z pewnością równie mądrego Włocha albo ośmieszać go w oczach pozostałych jezuitów. Manzoni bardzo cierpiał wskutek tego, że jeszcze nigdy nie zdołał mu się odwdziżyć pięknym za nadobne, chociaż już wielokrotnie próbował to zrobić. Profes, mężczyzna jak szafa, o kwadratowej głowie i krótko ostrzyżonych siwych włosach, nie tylko poruszał się wolniej od Łozińskiego, ale także wolniej myślał, co znajdowało swój wyraz w niezwykle jak na Włocha rozwlekłym sposobie mówienia i denerwujących pauzach między poszczególnymi zdaniem.

Fragment tekstu, który Łoziński właśnie przedstawił, miał rozpalić nową dyskusję nad znaczeniem pergaminu. Bo również w tej kwestii Manzoni i Łoziński prezentowali różne poglądy. Chociaż dotychczas przetłumaczono zaledwie jedną dziesiątą zwoju i to nie po kolei, lecz z ogromnymi lukami, to jednak na podstawie słów o pojawieniu się i nauczaniu Jezusa można było wnioskować, że jest to tekst ewangelii.

Łoziński złożył dłonie, nie zrobił tego jednak w zbożnych celach, ale po to, żeby jeszcze bardziej podkreślić swoje słowa:

- Bracie w Chrystusie - powiedział odwrócony do Manzoni - przyznaje przecież, że ten tekst wykazuje pewne podobieństwa do Ewangelii Świętego Jana, ale musicie wreszcie przyjąć do wiadomości, że ten pergamin jest o pięćdziesiąt lat starszy od źródłowego tekstu Ewangelii Świętego Jana, która pochodzi mniej więcej z końca pierwszego wieku naszej ery. Naukowcy w niepodważalny sposób wykazali jednak, że dokument, który obecnie badamy, powstał około roku pięćdziesiątego. Wynika z tego, że nasz autor, którego nawet nie znamy, nie odpisał go od Jana, lecz Jan od niego.

- Cóż znowu! - Manzoni zaczerpnął powietrza. - Istnieje kilkanaście apokryficznych ewangelii i tyleż samo apokryficznych Dziejów Apostolskich. Istnieje ewangelia według Tomasza, świętego Judasza, ewangelia Egipcjan, akta Piotra, Pawła i Andrzeja, a nawet korespondencja między Seneką a Pawłem oraz między Jezusem a Abgarem (z Edessy). Te pobożne dzieła nie zaszkodziły sprawie Kościoła. Tajemniczość towarzysząca naszym pracom uważam za przesadną.

Wtedy Łoziński zaczął tak nerwowo wymachiwać rękami przed nosem Manzoni, że aż pozostali jezuici zbiegli się, aby być świadkami klerykałnego sporu.

- W ogóle nie potraficie tego porównać! - wykrzyknął gniewnie Łoziński. - Wszystkie wymieniane przez was apokryfy to pisma, które w pożałowania godny sposób naśladują dokumenty nowotestamentowe. Wcale nie z zamiarem dokonania fałszerstwa, lecz po prostu z pobożności. Istotne jednak jest to, że one wszystkie, co zostało bezsprzecznie dowiedzione, pochodzą ze znacznie późniejszych czasów.

Manzoni podniósł wściekle pięść i walnął nią z hukiem w wąski stół.

- Nie śmiem oceniać Nowego Testamentu metodami naukowymi. Badania Biblii to sprawa filologów i historyków, może nawet paleografów,

kryptologów i lingwistów. Ale rentgenolodzy niech trzymają się z daleka od czterech Ewangelii.

- Pięciu! - powiedział Łoziński z bezwstydnym uśmiechem, który rozkwiłał na jego twarzy zawsze w chwilach triumfu i który nie przysparzał mu sympatii wśród współbraci.

- Słucham?

- Powiedziałem „pięciu”, bracie w Chrystusie. W każdym razie nie możemy już dłużej nie przyjmować do wiadomości faktu, że życiem i nauczaniem Jezusa, Pana Naszego, zajmowało się pięciu ewangelistów.

Słowa Łozińskiego wywołały niepokój wśród mnichów. Dziwny niepokój, a to dlatego, że każdy z nich od chwili podjęcia się tego zadania wiedział, nad czym pracuje. Jednakże większość przystąpiła do pracy z myślą, że nie może istnieć to, czemu istnieć nie wolno, toteż jasne słowa Łozińskiego zasiały wśród mnichów grozę niczym grzeszne myśli. Podobnie jednak jak rozkosz i udręka zawsze deptają po piętach grzesznym myślom, jezuitów z Gregoriany, pragnących poznać prawdę, dręczyła coraz większa ciekawość.

Kessler, jeden z najmłodszych w tej grupie, należał do zwolenników Łozińskiego, którzy bezwzględnie dążyli do wyjaśnienia sprawy, podjął więc ten wątek i powiedział:

- Gdyby potwierdziło się nasze założenie, że istnieje pięć Ewangelii, wówczas autor tej, nad którą tu pracujemy, nie byłby piątym ewangelistą, lecz pierwszym. A zatem Marek musiałby ustąpić miejsca temu nieznanemu.

- Nie ma na to dowodów! - Manzoni zbył tę uwagę.

- Nie, nie ma dowodów - odparł młody Kessler — ale istnieje pewne interesujące spostrzeżenie.

- Słuchamy.

- W czterech znanych Ewangeliach brak biograficznych danych o życiu Jezusa. Nadaremnie szukamy tam również jakiegokolwiek wzmianki o wyglądzie naszego Pana. Nic! Dlaczego? Podzielamy pogląd Kościoła, że żaden z ewangelistów nie znał naszego Zbawiciela osobiście i do naszych czasów dotrwał tylko przekaz ustny. Ewangeliści nie przejawiali również zainteresowań historycznych. Usiłowali stanowić podporę w wierze. Zadaniem Marka było pozyskiwać Rzymian dla swojej wiary budującymi opowieściami. Mateusz chciał przekonać myślących judaistycznie, że w osobie Jezusa wypełniło się ludzkie oczekiwanie Starego Przymierza. Łukasze, będący wśród nich

intelektualistą, posłużył się Ewangelią Marka jako źródłem, zwrócił się jednak do warstw wykształconych, poświęcając się również takim kwestiom filozoficznym jak problematyka Ducha Świętego. Natomiast Jan wyszedł przed szereg, a nawet można powiedzieć, że gdy przystępował do pisania swojego dzieła, zakładał znajomość trzech Ewangelii synoptycznych i obrał jako główny temat samoobjawienie Pana Jezusa. Jednak żaden z tych czterech ewangelistów nie zajmuje się Jego charakterem ani osobą.

- Na Boga, bracie w Chrystusie - wtrącił Manzoni rozważnym głosem - to, o czym mówicie, to nic nowego. Wątpię też, czy to takie ważne jak wyglądał Jezus. Czy miał metr osiemdziesiąt wzrostu i czy ważył siedemdziesiąt pięć kilogramów i czy jak większość jemu współczesnych miał długie ciemne włosy.

- Z pewnością - odpowiedział młody Kessler, a jego oczy za szklami bez oprawek błysnęły chytrze - ale gdybyśmy mieli wiedzę na ten temat, również wy, bracie w Chrystusie, musielibyście przyznać, że źródło, z którego można by zaczerpnąć taką informację, różniłoby się od wszystkich innych tym, że autor znał Jezusa.

W sali zaległa cisza. Nawet ci, którzy do tej pory byli pogrążeni w pracy nad swoimi fragmentami tekstu, przerwali ją i podnieśli wzrok. Kessler trzymał w ręce niewielki pergamin, mniej więcej dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów, odbitkę, której używali wszyscy jezuici, kładąc tę prześwitującą kartkę na wzorec i odznaczając ją ołówkiem. Taka technika dawała możliwość uzupełnienia luk na kartce bez uszkodzenia oryginału.

- Od wczoraj noszę wynik pracy przy sobie - powiedział Kessler -jeszcze raz chciałem się nad nim zastanowić...

- No, Kessler, nie potęgujcie aż tak napięcia! - Manzoni był zdenerwowany, parsknął jak nieposłuszny rumak. - Dajcie nam łaskawie dostęp do waszego dzieła!

Wśród jezuitów utarł się zwyczaj, że ktoś, kto przetłumaczył lub uzupełnił dany fragment, przedstawiał wynik swojej pracy, poddając pod dyskusję treść i prawdopodobieństwo takiego a nie innego rozwiązania. Kessler, który delectował się tą wątpliwą przewagą, że zanalizował początek zwoju lub też to, co na podstawie różnych oznak można było uważać za początek, jeszcze nigdy nie referował wyników swojej pracy. A to z tego powodu, że początek każdego zwoju wykazuje największe uszkodzenia: naddarcia, wystrzępienia,

brakujące rogi i części, tak że akurat ten etap pracy jest najtrudniejszy.

- Pragnę nadmienić - zaczął Kessler - że omówiłem już swoje uzupełnienia i tłumaczenie z naszym bratem Stefanem Łozińskim i że zgadza się on z moim przekładem. Zgodnie z nim pergamin zaczyna się od trzech linijek, których nam brak i których prawdopodobnie nikt nigdy już nie odnajdzie, jako że wygląda to na mechaniczne uszkodzenie. Czwarta linijka zaczyna się od słów: „...ojciec. Jezus, który mówił o sobie, że przybył od Boga jako nauczyciel, aby dać nam znak... posłał Mesjasza... tak więc byłem jego świadkiem... jak ojciec miłuje syna... i wielbili ludzie jego postać, wysoką na cztery łokcie, i jego falujące włosy o barwie hebanu, gdy tymczasem ja byłem niskiego wzrostu jak wszyscy mężczyźni w Galilei. Aby posłuchać jego łagodnego głosu, przybywali ludzie z daleka...”.

Początkowo bracia milczeli. Wydawało się, że każdy z nich jeszcze raz sam czyta ten tekst. Manzoni zareagował pierwszy:

- Mój Boże - powiedział i zadał pytanie: - Co w tym dokumencie nie budzi wątpliwości, a ile miejsc uzupełniono albo wydają się podejrzane z innych powodów?

- Dwadzieścia procent zostało uzupełnione - odparł Kessler - piąta część.

- A opis Pana Jezusa?

- Można uznać za pewny. Jest to najlepiej zachowana część. Zresztą dokument jest pod koniec w znacznie lepszym stanie niż w początkowych partiach.

Kessler wręczył Manzoniemu swoją odbitkę pergaminu.

Manzoni pochłaniał zapis oczami. Gwałtowne ruchy, które na ogół były profesowi równie obce jak wątplenie w dogmaty Kościoła, naszej świętej matki, zdradzały wewnętrzne napięcie, które go zniewoliło. Podczas gdy wskazującym i środkowym palcem prawej ręki szedł od słowa do słowa, jego wargi się poruszały. Wreszcie oddał Kesslerowi kartkę, wyjrzał na dwór przez wysokie okno i powiedział, nie odwracając się:

- Jeśli wasz przekład okaże się prawidłowy, bracie w Chrystusie, jeśli będziecie mieli rację, to wówczas wyjdzie na to, że autor tego tekstu istotnie pozostawał w bardzo bliskim związku z Panem Jezusem. – I zanim wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu, dodał cicho: - Dobra robota. Naprawdę dobra robota.

Łoziński dał Kesslerowi kuksańca w bok i wskazał głową na oddalającego się profesora:

- Jeśli to wszystko, co on ma do powiedzenia... - szepnął do młodzieńca.

Kessler pokręcił głową.

- Nie był na to przygotowany. Myślę, że teraz po prostu zbyt dużo spraw zaprzęta mu umysł. - Roześmiał się: - Biedny Manzoni!

Również Łoziński uśmiechnął się lekko pod nosem. Po chwili jednak spoważniał.

- Musimy liczyć się z tym, że zostaniemy skoszarowani. Wszystko zależy od tego, jakie znaczenie zostanie przypisane naszym odkryciom, ale kuria nie po raz pierwszy zdecydowałaby się na taki krok. Konklawe to wynalazek Kościoła katolickiego.

- W celu wybrania papieża.

- W celu wybrania papieża. Pierwotnie, aby zmusić kardynałów do szybszego wyboru. Z biegiem czasu inna myśl zaczęła odgrywać istotną rolę: utrzymanie sprawy w tajemnicy. Żaden chrześcijanin nie może się dowiedzieć, w jaki sposób został wybrany papież, kto głosował na niego, a kto przeciw niemu. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że zadanie, które nam tutaj powierzono, jest istotniejsze niż wybór nowego papieża, w związku z czym Kościół stara się zachować wszystko w sekrecie.

- Bracie w Chrystusie, jesteście zobowiązani przysięgą zakonną!

- Szanuję waszą przysięgę zakonną, ale rozejrzyjcie się, proszę. Czy zaufalibyście każdemu bratu, którego tu widzicie? Holendrowi Vellfortowi albo tamtemu piniaczowi z Francji bądź też waszemu ziomkowi Röhrichowi? Przysięga, nie przysięga, jednej trzeciej naszych współbraci nie zaufałym, gdyby ktoś zaczął ich kusić.

- Kusić?

Łoziński wzruszył ramionami i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: kto wie? Kessler jednak nie umiał sobie wytłumaczyć, co Łoziński miał na myśli. W każdym razie jego refleksje nie wydały mu się szczególnie cnotliwe.

Polak ze spuszczonymi oczyma zbliżył się do Kesslera.

- Wiesz, bracie, drzewo poznania ma wielu zawistników, od kiedy bowiem istnieją ludzie, dążą do wiedzy, a ponieważ jest ona swego rodzaju przyjemnością przypominającą rozkosz cielesną, tak i niewiedza jest swego rodzaju bólem. Ponieważ jednak tylko nielicznych raduje cierpienie, wszyscy dążą do poznania, do wiedzy, a w związku z nią również władzy, do czego uzurpuje sobie prawo Kościół, nasza matka święta. A może zaprzeczysz, bracie w Chrystusie, jeśli powiem, że wpływ papieża na jego owieczki bierze się głównie z większej wiedzy?

- Bracie w Chrystusie!

Oburzenie Kesslera nie było udawane. Jeszcze nigdy nie słyszał takich herezji z ust brata zakonnego.

Łoziński wskazał ręką na inskrypcję na głównej ścianie, pod którą pochylony nad swoim stołem siedział profes i rzekł:

- Hasło wyborcze założyciela naszego zakonu, Ignacego, brzmi: Omnia ad maiorem Dei gloriam, a nie Omnia ad maiorem ecclesiae gloriam. Wszystko na większą chwałę Bożą, a nie na chwałę Kościoła. — Po raz wtóry po twarzy Łozińskiego przemknął bezwstydnym uśmiechem, po czym zakonnik ciągnął dalej: - Fakt, że Portugalczycy, Francuzi, Hiszpanie, Szwajcarzy, a w końcu Niemcy zakazali istnienia naszego zakonu, jest już wystarczająco niemoralny, ale że nawet papież dał się do tego przekonać, to hańba dla instytucji Kościoła. Dlaczego to zrobił? Księgi historyczne chcą nas pouczyć, że uczynił to pod wpływem Burbonów. Ależ skąd, Klemens XIV lękał się naszej wiedzy. I dlatego nasza sytuacja nie jest zbyt dobra. Wyobraź sobie, bracie w Chrystusie, co by się stało, gdybyśmy zaczęli mocno obstawać przy tym, że mamy do czynienia z pięcioma Ewangeliami. I że nasze cztery wywodzą się od praewangelii?

- Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie myślałem o skutkach - odpowiedział ostrożnie Kessler - ale myślę, że to zależy również od treści zawartych w pergaminie.

- Diabeł pomiędzy wszystko wsuwa swoje końskie kopyto.

Łoziński badawczo spojrział na młodego brata zakonnego. Cenił go za bystry rozum, czym znacznie różnił się od gnuśnego Manzonięgo, ale nie wiedział, czy może ufać temu Niemcowi. Znał go po prostu zbyt krótko. Czego bowiem nie podejrzewa żaden człowiek z zewnątrz, pod płaszczykiem pobożności Societas Jesu powstają rozmaite grupy interesu, przypominające raczej jakiś podejrzany kartel niż chrześcijańską wspólnotę zakonną.

- Nie wiem, czy podzielisz mój pogląd, młody przyjacielu - ciągnął Łoziński - ale trzymam z doctorem mirabilis Rogerem Baconem, który od mówił powoływania się na autorytet Kościoła, ponieważ ta instytucja bez wyraźnych powodów rości sobie prawo do wiary, a także walczył z metodyką filozoficzno-dialektyczną, która nie pozwala poznawać rzeczy jako takich. Bacon prezentował pogląd, że nie każde odkrycie naukowe należy koniecznie upowszechniać. Jeśli bowiem zostanie ono wykorzystane przez niewłaściwy umysł, może przynieść więcej szkód niż korzyści.

Kessler się zaśmiał.

- Można się o to spierać, chociaż myśl Bacona jest znana od siedmiuset lat.

- To nie czyni jej gorszą. Arystoteles żył dwa tysiące trzysta lat temu, ale jego dowód na istnienie Boga jeszcze dzisiaj niekiedy sprawia mnóstwo kłopotów filozofom, którzy na ogół zrzedzą na wszystko i popadają w zwątpienie. A może jesteś innego zdania, bracie w Chrystusie?

- Jestem koptologiem i paleografem. Nigdy nie studiowałem pism Arystotelesa zbyt wnikliwie.

- Błąd. Arystoteles nawet największym sceptykom pokazuje ich granice. Wiesz, bracie, on, aby dowieść istnienia Boga, wykracza poza czas. Czas jest wieczny. Ale czas jest również ruchem, w przód - przyszłość, wstecz - przeszłość. Jednak wszystko, co jest ruchem, wymaga przyczyny. Jako przyczynę wiecznego ruchu można założyć kolejną przyczynę, dla tej ponownie inną i tak dalej. Ponieważ jednak nic nie może trwać w nieskończoność, musi istnieć primus movens, pierwszy poruszyciel, który sam jest nieruchomy. Jest nim Bóg.

- Dobra myśl! - wykrzyknął Kessler, aż brodaty jezuita, któremu zakłócił tok pracy, podniósł wzrok i poprosił o spokój. -To dobra myśl - powtórzył Kessler szeptem - ale odeszliśmy od tematu. Czy myślisz, bracie, że lepiej będzie zachować wyniki naszych badań w tajemnicy, czy dobrze was zrozumiałem?

Łoziński uniósł ramiona, co nadało temu chudemu drągalowi wygląd sępa, i powiedział:

- Nie leży to ani w mojej, ani w waszej gestii. Nie myślę nawet, że on może o tym decydować - przy czym wskazał głową na Manzonię, w którym to ruchu zmanifestował pewną pogardę. - W każdym razie - dodał wreszcie - powinniście się nieco powściągnąć z ujawnianiem wyników badań. Tego, co zachowacie w umyśle, nikt nie ukradnie, bracie w Chrystusie.

Po tych słowach obaj wrócili do pracy: Łoziński pod pierwsze okno w sali, Kessler na drugi koniec szeregu stołów przy sięgającym sufitu regale pełnym książek.

Rozmowa z polskim zakonnikiem wprawiła Kesslera w konsternację. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, co tamten w ogóle chciał wyrazić, wydawało się jednak, że istnieje gdzieś jakaś tajna umowa, której treści on, Kessler, nie zna.

Wieczorem tego samego dnia, który minął zresztą bez nowych odkryć, Manzoni wziął Kesslera na stronę i oświadczył mu poważnym głosem, żeby miał się na baczności przed Łozińskim. Jest to wprawdzie znakomity uczonek mający niezwykle ogólne wykształcenie, które obejmuje nawet nieortodoksyjne dla klero dyscypliny jak muzyka jazzowa czy ezoteryka, ale w głębi serca to heretyk, toteż on, Manzoni, wyobraża sobie nawet, że Łoziński mógłby sprzedać naszego Pana Jezusa za trzydzieści srebrników jak Judasz Iskariota.

Słowa Manzoniego wydały się Kesslerowi podejrzone, odpowiedział więc chłodno, że nawet profesowi nie przystoi osądzać współbrata, przede wszystkim w sytuacji, gdy ten nie dopuścił się jeszcze żadnej winy. I że nawet święty Piotr, który zanim zapiął kur, po trzykroć zapał się Pana Naszego, otrzymał przebaczenie.

Na co Manzoni powiedział, żeby Kessler nie dzielił włosa na czworo. Oczywiście nie zamierzał w najmniejszym stopniu oskarżać czcigodnego brata Łozińskiego o występki przeciw wierze, jednak fakt, że ów jezuita żyje w nieustannym sporze z Kościołem, naszą świętą matką jest tajemnicą poliszynela. Dlatego on, Manzoni, znacznie bardziej wolałby, żeby Kessler trzymał się prawowiernych braci w osobach doktora Lucino i Francuza Bigou, którzy zawsze znajdą dla niego czas na rozmowę.

Kessler złożył taką obietnicę, cóż bowiem innego mógł zrobić, ale w drodze do klasztoru Jezuitów na Awentynie, w którym zamieszkał od chwili powierzenia mu zadania w Gregorianie (inni jezuita, odwykli od życia w klasztorze, mieszkali w rozmaitych pensjonatach w mieście), nie mógł pozbyć się myśli, że jest uwikłany w delikatną sieć niejasnych relacji, które groziły rozbięciem jedności wspólnoty zakonnej. Jakiej jedności! Od kilku tygodni Kessler odnosił wrażenie, że między zakonnikami rośnie niewidzialny mur, który dzieli ich na dwa stronnictwa, przy czym o n sam nie potrafił powiedzieć, do którego z nich należy.

Pozbawione pobożności i bojaźni bożej zachowanie jezuitów rozgniewało Kesslera, który przyłapał się na tym, że w ciągu kolejnych dni bardziej interesował się postawą swoich współbraci aniżeli pracą naukową. Łoziński, podobnie jak on, mieszkał w klasztorze San Ignatio na Awentynie, zamieszkiwali nawet pokoje na tym samym korytarzu, ale do tej pory Kessler nie zwrócił uwagi na Polaka. Jezuiści są klerykami regularnymi, co znaczy, że różnią się od innych zakonów rezygnacją z własnych strojów, a noszą się jak świeccy duchowni. Nie znają instytucji wspólnej modlitwy, a ich sposób życia ma w mniejszym stopniu charakter zakonny, bardziej zaś świecki.

Tak więc Kessler, który teraz zwrócił uwagę na Łozińskiego, zauważył, że ten niekiedy wieczorami wychodzi z klasztoru i wraca dopiero po północy, co w świątłej wspólnotcie nie rzucało się w oczy, chyba że było bardzo regularne. Kessler wahał się, czy powinien zagadnąć Łozińskiego na ten temat, czy też po prostu pójść za nim pewnego wieczoru. Zdecydował się iść w ślad za Polakiem, niczym uczeń za mistrzem.

Już nazajutrz wieczorem Łoziński wyszedł o godzinie dwudziestej z pokoju, jak zwykle oddał klucz przy bramie, szybkim krokiem poszedł Via di Santa Sabina do Piazzale Romolo e Remo, gdzie wsiadł do taksówki. Kessler pojechał za nim. Jechali przez pewien czas wzdłuż Tybru aż do Piazza Campo dei Fiori, gdzie Łoziński wysiadł i ruszył dalej pieszo, skręcając w małą ciemną przecznicę prowadzącą do Corso Vittorio Emanuele. Zniknął tam w bramie wysokiego sześciopiętrowego budynku.

Kessler nie miał odwagi wejść za Łozińskim do środka. Dlatego też przez jakiś czas czekał po drugiej stronie ulicy. Pierwsze dwa piętra spowijał mrok, ale na wyższych wszędzie paliło się światło. Wreszcie Kessler ośmielił się przejść przez ulicę.

Rzymskie portale są czymś wyjątkowym. Sprawiają wrażenie bogactwa i dobrobytu, choćby za nimi kryła się tylko podupadająca kamienica. Dotyczyło to również tej bramy. Cztery wyczyszczone na wysoki połysk mosiężne tabliczki informowały, że mieszkają tu adwokat i dwaj lekarze, a poza tym że swoją siedzibę ma tutaj agencja reklamowa o nazwie Presto. Na staroświeckiej tabliczce z przyciskami do dzwonek widniało, o ile można to było dojrzeć w słabym świetle, osiem nic niemówiących nazwisk. Drzwi były zamknięte, Kessler wrócił więc do klasztoru i pogrążył się w zadumie.

Ogarnięty grzesznym wścibstwem, które może przerodzić się w niezaspokojoną żądę podobną do pożądania kobiety, Kessler postanowił z absolutną skrupulatnością zbadać działania Łozińskiego. Dwa dni później, ledwie zakonnik opuścił swoją celę i ruszył w kierunku Piazzale Romolo e Remo, Kessler wszedł do portierni, wziął z haka klucz do pokoju Łozińskiego, powieścił swój na jego miejscu, uzyskując w ten sposób dostęp do pokoju Polaka.

Pomieszczenie nie różniło się szczególnie od celi Kesslera: trzydrzwiowa szafa z czasów Piusa X, czarna, zacna, bogato zdobiona i nadająca się do przechowywania księgi *Codex Iuris Canonici*; jeszcze starszy sekretarzyk z symetrycznymi drzwiami po obu stronach, zdobionymi sercem z promieniami, ale w takim stanie, jakby ledwo co. przetrwał zamieszki z czasów pontyfikatu papieża Grzegorza XVI (stojące przy sekretarzyku krzesło z wysokim oparciem, zdobione pnącymi się pionowo latoroślami, pasowało do tego biurka jeśli nie kształtem, to przynajmniej brzydota); kwadratowa drewniana umywalka z wpuszczaną miską, z wyglądu niepozorna jak Benedykt XV, ale równie jak on użyteczna. Najmłodszym meblem była tu leżanka z czasów Piusa XII, bordowy potworny tapczan ze skrzynią na pościel.

Opisane meble były ściśnięte na powierzchni niespełna piętnastu metrów. Z sufitu zwisała lampa z kloszem w kształcie mlecznej kuli. Cella miała tylko jedno wysokie okno znajdujące się na krótszej ścianie naprzeciw drzwi. Czerwony niegdyś chodnik z włókien kokosowych, zbrązowiały pod wpływem wielu zelówek, pokrywał drewniany parkiet, który przy każdym kroku wydawał ciche jęki i trzeszczał jak olinowanie starego szkunera.

Kessler przeszedł po omacku przez celę, chociaż to nie zapobiegło dobywaniu się odgłosów, i otworzył lewe skrzydło szafy. Cztery półki pęczniały od książek, podniszczonych akt i związanych listów - chaos w arce Noego przed biblijnym potopem nie mógł być większy niż ten w szafie. Za obojgiem drzwi otwierających się od środka z lewej strony leżała bielizna. Oddzielone pionową ścianką wisały w prawej części ubrania Łozińskiego, starannie wyprasowane ciemne garnitury i czarny płaszcz, ulubiona część garderoby jezuitów.

Na dolnej półce pod ubraniami leżał wypełniony czymś worek podobny do tych, które służą marynarzom do przechowywania odzieży. Dwa skórzane paski z klamerkami spinały otwór u góry. Kessler usiłował wymacać rękami

kanciastą zawartość worka, im dłużej jednak dotykał tego tajemniczego przedmiotu, tym bardziej rosła jego ciekawość. Koniecznie chciał się dowiedzieć, co kryje w sobie to zielone żaglowe płótno. Niewiele myśląc, odpiął klamerki.

- Jezus Maria! — wyrwał się okrzyk z ust jezuitę. — Jezus Maria!

Kessler wyciągnął z worka płomiennie czerwony damski pantofel na wysokim obcasie ze spiczastym noskiem. Nigdy w życiu nie dotykał takiego grzesznego obuwia. Małeńka stopa, która kiedyś nosiła to dzieło sztuki, musiała wykonać niejeden ekscytujący obrót, a sama kobieta zapewne przez cały czas stała na palcach, przez co jej szczupłe nogi musiały wydawać się jeszcze dłuższe niż zamysłili to Stwórca. Przypuszczalnie nosiła także czarne przezroczyste pończochy ze szwem niczym pociągnięta ołówkiem kreska od kostek do ud.

Oszołomiony nieczystymi myślami Kessler schował z powrotem do worka ten grzeszny przedmiot z czerwonej skóry i z odrazą chciał już zamknąć worek, ale nie mógł się opanować i rzucił okiem na jego pozostałą zawartość - same pojedyncze buty najrozmaitszych fasonów: przewiewne sandaalki, proste czarne czółenka, pośród nich znajdował się nawet kozaczek z obcasem tak cienkim jak ołówek.

Szczególne zainteresowanie Kesslera wzbudził śnieżnobiały twór z długimi białymi wstążkami. Musiał go po prostu wyciągnąć. Nie pomylił się - była to aksamitna baletka jakiejś baleriny. Jezus Maria, jaka miękka zelówka z zamszu! Kessler wsunął rękę do środka pantofelka, ale natychmiast wyciągnął ją z powrotem, jakby popełnił jakiś występki. Ten bucik był stworzony wyłącznie dla nóg młodej dziewczyny w białych pończoszkiach, które niczym lodygi kwiatu znikają pod krótką spódnicką. Kessler znieruchomiał.

Zrozumiał naraz, że gapi się na obuwię zgromadzone przez Łozińskiego w nieczystych zamiarach, mając równie grzeszne myśli jak Polak, którego potępił już w chwili tego odkrycia. Ogromnie zmieszany zapiął worek i ukrył go z powrotem w szafie. Zamykał właśnie szerokie skrzydła drzwi, gdy jego wzrok padł na niepozorny brązowy kuferek, niewiele większy od mszału, stojący na potwornej szafie.

Musiał się wspiąć na palce, żeby go dosięgnąć. Był zamknięty. Na najwyższej półce sekretarzyka Kessler odkrył trzy różne klucze, z których najmniejszy zdawał się pasować do kufierka. Rzeczywiście pasował. Po do-

świadczeniu z grzesznym workiem jezuita był przygotowany na wiele, nie uwierzył jednak własnym oczom, gdy podniósł wieczko - w kufierku były pieniądze, starannie ułożone dwudziesto- i studolarówki.

Młody zakonnik, dla którego pieniądze nie przedstawiały żadnej wartości, nie miał pojęcia, ile tego mogło być. Dziesięć, pięćdziesiąt czy sto tysięcy? To odkrycie upewniło go jednak, że z Łozińskim nie wszystko jest w porządku. Kiedy więc zamykał kuferek, odkładał go z powrotem na szafę i chował kluczyk do szuflady, zastanawiał się, czy zakonnik prowadzi jakąś grę, czy ma jakichś wspólników i jaki cel mu przyświeca.

W takich sytuacjach jak ta, gdy j eden trop góruje nad wszystkimi innymi, łatwo zmylić drogę. Dlatego też Kessler dał spokój swoim rozważaniom i zaczął szukać śladów, które pomogłyby mu w jakiś sposób zdemaskować Łozińskiego.

Przeszukanie szuflad sekretarzyka, trzech po lewej i trzech po prawej stronie, po których zawartości Kessler obiecywał sobie najwięcej, nie dało wiele, ponieważ w bałaganie właściwym raczej niespokojnemu duchowi niż członkowi Societas Jesu, nie mógł znaleźć żadnego przedmiotu, który pozwoliłby na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków co do zamiarów Łozińskiego.

Kessler zwrócił się ponownie ku lewym drzwicom szafy, wiedząc, że kryją się za nimi książki i akta. Książki mają w sobie coś zdradzieckiego. Jednak w sposób najbardziej podstępny obnażają te, których się nie posiada. Szybkie spojrzenie wystarczyło Kesslerowi, żeby zrozumieć, iż Łoziński w ogóle nie interesuje się wzniosłą literaturą, jaką mają do dyspozycji pobożni chrześcijanie, a jezuickie dzieła teologiczno-filozoficzne również nie budzą jego szczególnego zaciekawienia. Kłuty za to w oczy dzieła heretyckie, jak *History of the Knights Templars* (Historia zakonu templariuszy), *Die messianische Unabhängigkeitsbewegung vom Auftreten Johannes des Taufers bis zum Untergang Jakobs des Gerechten, nach der neuerschlossenen Eroberung von Jerusalem des Flavius Josephus und den christlichen Quellen* (Mesjański ruch niepodległościowy od pojawienia się Jana Chrzciciela aż do śmierci Jakuba Sprawiedliwego według odnalezionego Zdobycia Jerozolimy Józefa Flawiusza i według źródeł chrześcijańskich) albo *Die biblische Erlösererwartung als religionsgeschichtliches Problem* (Biblijne oczekiwanie na Zbawiciela jako problem religijno-historyczny), albo *Die Wunderüberlieferung der Synoptiker in ihrem Verhältnis zur Wortüberlieferung* (Cudowny przekaz

synoptyków w ich stosunku do przekazu słownego) - każdy z tych tytułów był idealny do zabezpieczenia wiary chrześcijańskiej.

Czy Manzoni miał rację, mówiąc, że Łoziński jest heretykiem? Dlaczego więc, na miłość boską, zatrudnił tego heretyka w projekcie, który ma tak fundamentalne znaczenie dla Kościoła?

Kessler znał tylko jedną odpowiedź na to pytanie - choćby Manzoni gardził Łozińskim, choćby go nienawdził, to jednak jego wiedza była mu potrzebna. Ponad wszelką wątpliwość Polak był mądrzejszy i bardziej wykształcony od wszystkich innych. I już samo to przysparzało mu wielu wrogów. Ale czy Łoziński jest naprawdę niezastąpiony? Zrodziło się też pytanie, czy mniej poważanego Łozińskiego trzymano w ich szeregach tylko dlatego, że w innym miejscu mógł wyrządzić więcej szkód niż w Gregorianie?

O czym wie Łoziński?

Między okładkami tekturowej teczki Kessler znalazł odbitki, szkice, rekonstrukcje i kopie starych papirusów, i pergaminy zapisane pismem greckim, i koptyjskim. Setki odniesień sporządzonych na marginesach skrupulatnym charakterem pisma, maleńkimi literami, które zadawały kłam panującemu dookoła nieporządkowi, pozwalały na wyciągnięcie wniosku, że Łoziński wgryzł się w te problemy jak wściekły wilk, który raz schwytawszy owcę, nie wypuści jej już z pazurów. Kesslerowi brakowało spokoju, żeby zająć się poszczególnymi kartkami, zdołał jednak stwierdzić, że Wszystko to są prawdziwe i wczesnochrześcijańskie teksty będące specjalnością Łozińskiego. Liczne rysunki i fotografie Łuku Tytusa, rzymskiej budowli nazwanej od imienia cesarza, pozwalały na wyciągnięcie tylko jednego wniosku - że Łoziński zajmuje się bądź też zajmował się już wcześniej tym problemem poza Gregorianą.

Zainteresowanie młodego jezuitę obudziła karta przechowywana ze szczególną pieczołowitością między dwoma grubymi kartonami, ponieważ szczelnie zamknięta w przezroczystej folii co do joty przypominała fragment, którego tłumaczenie on, Kessler, dostarczył kilka dni wcześniej. Jednakże pozór łudził, ponieważ tekst koptyjski był tylko podobny do jego tekstu, ale bynajmniej nie identyczny. Ów fragment wydawał się czytelny i niezwykle dobrze zachowany, tak że Kessler mimo woli zaczął analizować zbrazowiały dokument, zachowując się w sposób typowy dla paleontologów, to znaczy najpierw zajął się najczytelniejszymi słowami, czyli nazwami miejscowości

i nazwami własnymi albo podmiotem, jeśli tylko był rozpoznawalny i znajdował się na początku zdania.

W ten sposób prawie od razu natrafił na imię, które sprawiło, że zniechęcił się, gdyż jak na tekst koptyjski było niezwykle i dziwne niczym imię Jezus, a brzmiało Barabasz.

Barabasz?

Tok myśli Kesslera został gwałtownie przerwany, gdyż z korytarza dobiegły odgłosy zbliżających się kroków. Dlatego też włożył folię z powrotem między kartony i położył je w miejscu, skąd je wcześniej wziął. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. W takich chwilach jak ta sekundy stają się godzinami - w każdym razie Kessler odnosił takie wrażenie. Ośmielił się odetchnąć głęboko dopiero w momencie, gdy kroki oddaliły się w przeciwnym kierunku.

Ale Kessler był do tego stopnia przestraszony, że drżał na całym ciele. Wolał więc na dzisiaj zakończyć poszukiwania. Wymienił z powrotem klucze wiszące na desce w portierni, wrócił do swojej celi i tak jak stał, padł na łóżko. Z rękami skrzyżowanymi na karku patrzył nieruchomo w sufit.

5

Pierwszą myślą Kesslera było, że musi się zwierzyć Manzoniemu. Pamiętał słowa przełożonego zakonu, który po przyjeździe zlecenia z Rzymu, rozmawiał z nim o nieprzekupności, będącej powodem, dla którego to właśnie on, Kessler, został wybrany. W jego dotychczasowym życiu istotnie nie można było znaleźć niczego, co sprzeniewierzałoby się tej postawie. Jeśli jednak zdecyduje się na rozmowę z Manzoniem, będzie musiał wyznać, że wtargnął do celi Łozińskiego, nie mówiąc już o innych sprawach, na czystość Przenajświętszej Pańki.

Jak skłonić Łozińskiego do mówienia? Czy po prostu powinien zażądać rozmowy, zapytać, jakimi podejrzanymi badaniami zajmuje się ten zakonnik? Polak wyparłby się wszystkiego, a on, Kessler, w tej sytuacji naraziłby się na kompromitację niezależnie od tego, czy zatai swoje szpiegowanie, czy też je wyjawia. Łoziński nie jest człowiekiem, którego takie rzeczy mogą wytrącić z równowagi. Nie, Kessler musiał przyznać, że nie dorównuje mu energią ani siłą woli. I chociaż nigdy by się do tego przed sobą nie przyznał, w głębi duszy

zaczął wątpić, czy sam się w coś nie wdał, czy wszystko to pewnego dnia nie zostanie samo przez się wyjaśnione jak genealogia plemienia Sema w Księdze Rodzaju. Oczywiście, jest jeszcze ta sprawa z grzeszną zawartością worka w szafie Łozińskiego, co nie przystoi duchownemu. Ale czy on sam, Kessler, nie zachwycał się z podobną rozkoszą występnymi bucikami? Czy Łoziński, który swoje cielesne żądze, prześladowujące z mocą plag egipskich niekiedy nawet najpobożniejszych chrześcijan, jest lepszym zakonnikiem, gdyż zaspokaja nieokiełznaną wyobraźnię, rozkoszując się skórą i jedwabiem, podczas gdy on - niech Bóg się zmiłuje nad biednym grzesznikiem - w takie dni odwiedza domy w Travestere, gdzie w ciemnych bramach kobiety podnoszą spódnice, jeśli w ogóle mają je na sobie, przed każdym mężczyzną, aby nawet najsurowiej przestrzegający celibatu duchowni mogli poznać, jak bardzo różni się od nich to, co z woli Ojca Najwyższego wyszło z żebra Adama. I czyż w dzień po święcie Niepokalanego Serca Marii Panny, gdy w upale lata naszła go żądza, nie spotkał w najbardziej występny z tych przybytków ojca Francesca od minorytów, któremu co tydzień się spowiadał? Sam tego wieczoru nie oddałby się jedynie rozkoszy pożądliwego przyglądania się, tylko rzuciłby się na rudowłosą dziwkę. Jednak obaj dostrzegli w spotkaniu znak Najwyższego, toteż wspólnie opuścili to miejsce i nigdy więcej o tym nie rozmawiali.

Jeżeli chodzi o ciemne sprawy Łozińskiego, to sensowniej było raczej zaprzyjaźnić się z mądrym Polakiem i pozyskać jego zaufanie. W końcu to właśnie o n zalecił mu powściągliwość w tłumaczeniu pergaminu, która to rada nadal pozostawała dla Kesslera zagadkowa.

Polak jednak nie ułatwiał sprawy młodemu jezuitcie. W ciągu następnych dni świadomie schodził mu z drogi - takie przynajmniej wrażenie odnosił Kessler. Nawet kiedy pracowali w Gregorianie, gdzie dyskusja nad słowami i różnymi fragmentami tekstu należała do codzienności, Łoziński zachowywał niezwykle milczenie. Pochylony nad swoim tłumaczeniem przez dwa dni się nie odzywał, a na uprzejme pytanie Kesslera, czy jego praca posuwa się do przodu, odpowiedział odpychającym „nie”, tak że Kessler wołał omijać go szerokim łukiem.

Mimo to nie spuszczał Łozińskiego z oczu, notował pozornie nieważne wydarzenia, jak zakup gazety w kiosku albo drogę do skrzynki pocztowej i o ile było to możliwe, postępował za Łozińskim krok w krok, tak by samemu nie zostać

zauważonym. Po kilku dniach robił to znacznie śmielej, a nawet posunął się do tego, że niczym detektyw w powieści kryminalnej zaczął przebierać się za różne postacie, by w ten sposób uzyskiwać lepszy wgląd w życie zagadkowego mężczyzny.

Dzień po Wszystkich Świętych Łoziński ponownie wyszedł z klasztoru i udał się taksówką na Via Cavour, gdzie kazał kierowcy zatrzymać się przy kamiennych schodach prowadzących do kościoła San Pietro in Vincoli. Polak jak zwykle miał na sobie czarny płaszcz i wyglądem w ogóle nie przypominał jezuitę. Nie odwracając się - tak pewny był już Łoziński - przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Kessler z trudem za nim nadążał.

Kościół San Pietro in Vincoli znany jest z przechowywanych tam łańcuchów, którymi miał być skępowany apostoł Piotr, nade wszystko jednak z posągu Mojżesza dłuta Michała Anioła, z którą to rzeźbą wiąże się jedna z największych tragedii w historii sztuki, tak że wizyta Łozińskiego w tym miejscu nie stanowiła niczego nadzwyczajnego. Ani to, że zakonnik z dużą pewnością siebie skierował kroki ku jednemu z sękowatych konfesjonałów i żegnając się znakiem krzyża, uklęknął przed drewnianą kratą. Jednakże Kessler, który stojąc bardzo blisko, obserwował tę scenę zza kolumny, zauważył, że spowiedź jezuitę wygląda raczej na połajankę, której spowiednik musiał wysłuchać. Łoziński nie przyszedł tu po rozgrzeszenie, tylko udzielał godnemu politowania księdzu siedzącemu w konfesjonale takiej reprimendy, że ten w ogóle nie mógł dojść do słowa. Przynajmniej takie można było odnieść wrażenie.

Cały ten incydent skończył się nagle. W szczelinie pod kratą, przewidzianej przez Kościół, naszą świętą matkę, do tego, żeby wysuwać wiernym święte obrazki, pojawiła się gruba koperta, którą Łoziński ukrył w kieszeni płaszcza. Tą samą drogą zakonnik wsunął do konfesjonału mniejszą kopertę, przeżegnał się niedbale i odszedł.

Z konfesjonału wyszedł istotnie wyglądający na mnicha mężczyzna w średnim wieku, chociaż miał na sobie zadbane modne ubranie. W przeciwieństwie do Łozińskiego wydawał się niezwykle spokojny, ale zanim wyszedł z ponurego kościoła, rozejrzał się na wszystkie strony.

Kessler podążył za nim, zachowując stosowny odstęp. Wcale by się nie zdziwił, gdyby mężczyzna poszedł przez Corso Vittore Emanuele do Watykanu i zniknął tam w jednym z oficjów. Jednakże jezuita był w błędzie. Nieznajomy wypił espresso w jednej z ulicznych kawiarni na Via Cavour, po czym

udał się wprost do hotelu Excelsior, pod jeden z najlepszych adresów w mieście.

W holu panował taki ścisk, że Kessler niewiele ryzykował, zbliżając się do nieznanego na odległość zaledwie kilku kroków. Jego powierzchowność zdradzała światowca, toteż młody jezuita, którego oczywiście nie można było rozpoznać, czuł się w porównaniu z nim raczej dość niedowarzoną młokosem. Co miał zrobić?

Zagadkowe spotkanie Łozińskiego z nieznanym w San Pietro in Vincoli wprawiło Kesslera w stan całkowitej bezradności. I nawet medytacja, w której zagłębił się jeszcze tego samego wieczoru na klęczniku w swojej celi (później stwierdził, że w celi Łozińskiego nie ma takiego mebla), nie pomogła mu posunąć się dalej w domniemaniach. Ale chociaż do tej pory z różnych względów wątpił jeszcze w zło drzemiące w Polaku, to zobaczywszy, jak Łoziński ubija jakiś interes z mężczyzną w konfesjonale, nabrał pewności, że zakonnik musi być uwikłany w ciemne i nieczyste sprawy.

Nie śmiał rozstrzygać, czy chodzi w nich o tajemny projekt, nad którym pracują w Gregorianie, czy też o jakąś całkiem inną materię. Nie śmiał też zażądać od Łozińskiego wyjaśnień, gdyż ten z pewnością wszystkiego by się wyparł i zacząłby odnosić się do niego z podejrzliwością, tak że Kessler nie zdołałby nigdy poznać kulis tej afery. A chciał to zrobić.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że wśród wszystkich braci Societas Jesu podejrzliwość jest normalnym uczuciem, a myśl, że w swej niewiedzy mógłby zostać niecznie Wykorzystany, mocno go zraniła. Tak mocno, że postanowił zgłębić tajniki tej sprawy.

ROZDZIAŁ VII

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Samotność

1

Od tamtego niesamowitego spotkania Anna von Seydlitz unikała własnego domu. Powzięła mocne postanowienie, że do chwili wyjaśnienia całej sprawy nie spędzi w nim ani jednej nocy. Na dwa dni, które spędziła w Monachium głównie na wymianie garderoby i uregulowaniu spraw zawodowych, zarezerwowała pokój w hotelu, w którym wcześniej mieszkał również Kleiber.

Było jej przykro z powodu incydentu z Adrianem, w pewien sposób jednak cieszyła się z takiego obrotu sprawy, odniosła bowiem wrażenie, że on o wiele bardziej interesuje się nią niż jej problemami. A w obecnej sytuacji do prawdy nie potrzebowała, aby nastawał na nią jakiś mężczyzna. Oczywiście, gdyby przyszedł, podałaby mu rękę choćby przez wzgląd na słowa macochy, która swego czasu uczyła ją z surowością w głosie, że nigdy nie wolno odtrącać podanej ręki, choćby to była ręka wroga. Na razie jednak Anna mogła mieć pewność, że nie dojdzie do tego spotkania. Tyle myśli kłębiło się w jej głowie, że po prostu nie było w niej już miejsca dla mężczyzny.

Duma popycha zdradzoną kobietę do niewyobrażalnych dokonań. Dawniej byłoby dla Anny von Seydlitz nie do pomyślenia, żeby podążyła tropem prowadzącym przez pół świata, związanym z ryzykiem i niebezpieczeństwami. Zdana nadto wyłącznie na siebie i tylko w celu wyjaśnienia afery, która - jeśli w ogóle kiedykolwiek zostanie wyjaśniona - nie przyniesie jej najmniejszych korzyści. Ale między nią a nieznanym losem, tajemniczym i przedziwnym, nawiązała się, jak się zdawało, jakaś magiczna więź. W każdym razie Anna nie mogła tej sprawy po prostu zostawić.

Czy to opisywana często magia zła, które ją zniewoliło, zawładnęło jej wszystkimi myślami i już jej nie chciało opuścić? Dlaczego robiła to wszystko?

Jednakże podobne myśli zajmowały w jej życiu niewiele miejsca. W obecnej sytuacji było to pożądane, w przeciwnym razie bowiem Anna von Seydlitz zauważyłaby, jak bardzo się już zmieniła.

Jeszcze nigdy w życiu nie była opętana żadną ideą. Ludzi, którzy ofiarnie dążyli do osiągnięcia danego celu, traktowała raczej z niechęcią niż z podziwem. Teraz jednak, sama opętana ideą, nie poznawała siebie, odrzucała wszystko: miłość, życie, interesy, choć tego nie dostrzegała. Są rzeczy, od których niepodobna uciec.

Poszukiwania, które zaprowadziły Annę do Kalifornii, utwierdziły ją w przekonaniu, że jej mąż był wplątany w ogólnoświatowy spisek. Tylko jeszcze nie umiała w tej chwili powiedzieć, czy Guido o tym wiedział. Samo odkrycie nowego tekstu biblijnego nie mogło jednych uczonych przemienić w myśliwych, a drugich w zwierzynę łowną.

Pani Vossius, żona profesora, odgrywała podejrzaną rolę w rozważaniach Anny, która wątpiła w jej uczciwość, ba, z dystansu kilku dni zadawała sobie nawet pytanie, czy Aurelia Vossius nie gra w jakąś fałszywą grę. Najważniejszym tropem była niewątpliwie informacja Brandona o zakonie orfików, znajdującym się gdzieś na północy Grecji. Anna nie miała pojęcia, co ją tam może czekać i czy w ogóle dostanie się w to tajemnicze miejsce. Ale jej decyzja była niezłomna.

Musi pojechać do Leibethry.

2

Dzięki dokładnemu opisowi Gary ego Brandona Anna von Seydlitz poleciała do Aten, dalej do Thessalonik, zwanych tam w skrócie Salonikami, i zakwaterowała się w Makedonia Palace, Leoforos Megalou Alexandrou, na malowniczej starówce.

Guido, doświadczony podróżnik, czego wymagał uprawiany przezeń zawód, podsunął jej kiedyś pomysł - jeśli nie masz w danym mieście przyjaciół, daj portierowi w hotelu królewski napiwek.

Młodzieniec w recepcji miał na imię Nikolaos, jak co drugi mężczyzna w tej okolicy, mówił świetnie po angielsku, a duży banknot, który Anna

mu podsunęła, wyzwolił w nim niespodziewane umiejętności. Po pracy spotkał się z nią w ulicznej kawiarni z widokiem na morze, mieszczącej się w okolicach Białej Wieży, ona zaś zaczęła bez ogródek opowiadać, że jej zmarły mąż był uwikłany w jakiś spisek, którego popleczników należy prawdopodobnie szukać w Leibethrze. Nie podała jednak żadnych bliższych danych.

Nikolaosowi, młodzieńcowi o czarnych kędzierzawych włosach i bystrych ciemnych oczach, nie mającemu więcej niż dwadzieścia pięć lat, pochlebiała szczerą te obcej kobiety i zaufanie, jakim go obdarzyła. Zaoferował więc pomoc. Najpierw jednak wyznał uczciwie, że wprawdzie słyszał o zakonie w Leibethrze, ale nikt w Salonikach nic bliższego o tych ludziach nie wie. Większość, podobnie jak i on, słyszała, że jest to pobożny zakon prowadzący w Leibethrze zakład dla umysłowo chorych. Jednakże pacjentami nie są bynajmniej Grecy ani okoliczni mieszkańcy, tylko przywożeni tam cudzoziemcy.

Przypuszczalnie, wyjaśniła Anna, ten zakład jest prowadzony wyłącznie jako przykrywka, a w rzeczywistości za Leibethrą kryje się coś całkiem innego.

Szwagier Nikolaosa, Vasileos, miał przypadkiem w Katerini, o godzinę jazdy samochodem na południe od Salonik, hotel o nazwie Alkyone. Nikolaos przypomniał sobie, że szwagier opowiadał mu już kiedyś o niesamowitym klasztorze położonym na skalnych zboczach Olimpu, ponieważ jednak nie szczególnie się tym interesował, nie pamięta niestety szczegółów.

Nazajutrz młodzieniec zawiózł Annę von Seydlitz swoim samochodem do Katerini, do Vasileosa, który, chociaż ta zatrzymała się w jego hotelu, zamiast w sąsiednim Olympionie i chociaż Nikolaos polecił ją w uprzejmych słowach, przyjął obcą kobietę z dużą dozą nieufności. W ogóle okazał się dokładnym przeciwieństwem Nikolaosa - mężczyzną patrzącym na świat ponuro apatycznym wzrokiem i zamkniętym, przede wszystkim wobec gości. Ponadto trudno się było z nim porozumieć, bo mówił albo łamaną niemiecką z osobliwie nadreńską wymową, albo mozolnie wyuczonym angielskim z suchym półnograeckim akcentem.

Większość ludzi w tej okolicy jest taka, usprawiedliwił Nikolaos mrukiwość szwagra, po czym sam porozmawiał z nim głośno i poważnie. Wprawdzie Anna nie rozumiała ani słowa, ale z gestów i reakcji obydwu

mężczyzn mogła wywnioskować, że Nikolaos zwraca szwagrowi uwagę, żeby z łaski swojej lepiej traktował gości, a kiria z Niemiec okaże się bardzo wspa-
niałomyślna. Następnie zostawił Annie swój numer telefonu, na wypadek gdy-
by potrzebowała jego pomocy, i odjechał.

Katerini nawet w pochmurne, zimne dni jest niezwykle malowniczą osadą
położoną na uboczu jedynej autostrady. Nikt nie jedzie do Katerini specjalnie,
przez to miejsce przejeżdża się na ogół tylko przypadkiem. Również w hotelu
Vasileosa, który wprawdzie nazywał się hotelem, ale zasługiwał raczej na mia-
no schroniska, rzadko ktoś zatrzymywał się na dłużej niż jedną noc. Anna von
Seydlitz była wyjątkiem, tak więc już drugiego dnia, gdy przechadzała się po
malowniczym placu i uliczkach miasteczka, nadal najwyraźniej nie mając za-
miaru wyjeżdżać, starcy siedzący na wyplatanych krzesłach przed bramami
domów zaczęli pomiędzy sobą szeptać, kim może być ta nieznajoma i czego
tutaj szuka. Było to osobliwe, ale w tym obcym kraju, wśród obcych ludzi Anna
von Seydlitz czuła się bezpieczniej niż w domu, w którym jak się zdawało, była
śledzona i obserwowana.

Wielu mężczyzn, nie tylko starców, siedziało przed drzwiami domów.
Mieli kanciaste twarze i krzaczaste brwi, byli wychudzeni i zahartowani w
zmaganiach z życiem, które tutaj nie jest usłane różami. Jeden żyje dzięki dru-
giemu, kramarz dzięki murarzowi, murarz dzięki architektowi, architekt dzięki
właścicielowi tartaku, właściciel tartaku dzięki kramarzowi - nie tak jak ludzie
na południu, którzy mogą żyć dzięki samej historii, a nawet dzięki śmieciom,
które ta po sobie zostawiła. Bieda wznieca podejrzliwość, a mieszkańcy Kater-
ini byli bardzo podejrzliwi zarówno w stosunku do siebie, ale także, a raczej to
przede wszystkim, w stosunku do obcych, a samotnie podróżująca kobieta na-
rażała się na jeszcze większe podejrzzenia, tak że woleli tej kirii schodzić z dro-
gi.

3

Tylko Georgios Spiliados, uliczny piekarz, którego sklepik na trzech kołach
toczył się przez ulice (tylna część składała się ze starego roweru wraz z napę-
dem pedałowym, przednia natomiast z budki na dwu kołach, zrobionej z
drewnianego opakowania pralki, którą miejscowy sklep elektryczny sprzedał

dziesięć lat temu w Katerini i w której Georgios wyciął otwory i wstawił szyby, żeby każdy na ulicy mógł podziwiać jego chrupiące baklawa i kataifi, tylko piekarz wdał się z Anną w rozmowę, gdy kupowała od niego pieczywo, które dla higieny zawinął w brązowy papier. Okazało się przy tym, że Spiliados dawniej, wiele lat temu, pracował w Niemczech, a teraz stara się wyżyć z samodzielnie prowadzonej działalności. Tu, w miasteczku, ludzie znają wprawdzie jego greckie nazwisko - pokazał nalepkę na swoim wózku - ale dla większości pozostał na zawsze „Niemcem”.

Piekarz dopytywał się, czy Anna przyjechała tu na urlop, wobec czego jednak wybrała złą porę roku - Katerini jest najpiękniejsze w kwietniu, łagodne i pełne zapachu kwiecia. Anna zaprzeczyła, śmiejąc się, i zapytała, czy Georgios wie coś o Leibethrze. Wtedy piekarz gwałtownie nacisnął pedały, chcąc się jak najszybciej oddalić. Zanim jednak mu się to udało, Anna schwyła go za ramię i zatrzymała.

Na pytanie, dlaczego chciał zniknąć, odpowiedział pytaniem: Czy ona też należy do tych? - tak się wyraził. Dopiero gdy Anna zapewniła, że nie, broń Boże, że interesuje się tymi ludźmi z całkiem innych powodów, przystanął.

Spiliados, zazwyczaj spryciarz w kontaktach z ludźmi, otarł czoło ręką i zaczął mówić ściszym głosem. Jeśli Anna jest dziennikarką, to chce jej tylko przypomnieć, że reporter z „Daily Telegraph”, który przez dwa tygodnie kręcił się tu po okolicy, żeby zebrać informacje o życiu ludzi z Leibethry - nawet za to płacił - został pewnego dnia znaleziony z roztrzaskaną czaszką. Oficjalnie jako przyczynę śmierci podano upadek ze skały na Olimpie, ale Joanis, który go znalazł i jest jego, Georgiosa, przyjacielem, zapewniał, że w miejscu, w którym znaleziono owego dziennikarza, jak okiem sięgnąć nie było żadnych skał. Najlepiej więc będzie, jeśli Anna jak najszybciej stąd wyjedzie.

Wydawało się jednak, że Georgios Spiliados jest tu jedynym człowiekiem, który mógłby jej pomóc. Dlatego też wsunęła piekarzowi do ręki banknot, którego przyjęcia początkowo odmówił z oburzeniem. Ale oburzenie trwało zaledwie chwilkę, po czym Georgios wsunął pieniądze za potnik czarnej czapki. Anna zaklinała go przy tym, aby z nikim nie rozmawiał o jej zainteresowaniu Leibethrą, co ten jej przyrzekł.

Na popołudnie umówili się w jego sklepie znajdującym się dwie ulice dalej. W razie gdyby Georgios się spóźnił, zostawi informację swojej żonie,

Vannie. Stałoby się podejrzone, gdyby rozmawiali tutaj dłużej, na oczach wszystkich.

Kiedy Anna weszła później do piekarni, pani Spiliados wysunęła głowę zza swego rodzaju zasłony z różnobarwnych plastikowych pasków, oddzielającej zaplecze od wyłożonego kafelkami sklepiku. Pomieszczenie, w którym sprzedawano pieczywo, składało się zaledwie z wąskiego podłużnego stołu i surowo ociosanego drewnianego regału na ścianie, gdzie wystawiono na sprzedaż jedynie kilka chlebów typu pita. Vannę, z ciemnym zarostem nad górną wargą i pomarszczoną twarzą, można by raczej wziąć za matkę Georgiosa.

Zaplecze, dokąd kobieta zaprosiła nieznaną, było wyposażone równie skromnie: w środku kwadratowy, lśniący białą drewniany stół i cztery krzesła, wysoka szafa bez drzwi, pełna różnokolorowych naczyń, obok biała miednica, naprzeciw półka umocowana na ścianie szerokimi kształtownikami. Vanna przyniosła raki i powiedziała bitte, jedyne znane jej słowo niemieckie.

W jakiś czas później zjawił się Georgios. Anna usiłowała wytłumaczyć, dlaczego przyjechała do Katerini. Opowiedziała o tajemniczym wypadku Guida i o dotychczasowych poszukiwaniach, które przywiodły ją właśnie tutaj. W ten sposób zaskarbiła sobie szczerze współczucie Georgiosa, który wysłuchał jej opowieści, następnie wypił jednym haustem szklankę rozwodnionej raki, zamknął drzwi sklepu, wrócił i usiadł z powrotem przy kwadratowym stole. Zaczął bębnić palcami po blacie. Robił to zawsze, gdy intensywnie myślał.

Pomieszczenie wypełniło blade światło gołej żarówki wiszącej z pobielonego wapnem sufitu. Anna wędrowała wzrokiem od twarzy do nerwowych rąk i z powrotem do twarzy swojego rozmówcy. Georgios patrzył w dal przed siebie w milczeniu, a im dłużej milczał, tym bardziej nikła stawała się nadzieja Anny na jego pomoc.

- To niewiarygodna historia - powiedział wreszcie - niewiarygodna historia, naprawdę.

- Może pan mi nie wierzy?

- Wierzę, wierzę - powiedział Georgios uspokajająco. - Wydaje mi się, że ci ludzie są istotnie niebezpieczni. My wszyscy tutaj prawie nic o nich nie wiemy. W miasteczku głównie się o nich plotkuje. Ktoś mówi coś komuś w tajemnicy. Alexia, żona kowala, widziała podobno, że palą ludzi na stosach

i tańczą wokół ognia. Natomiast Sostis, właściciel kamieniołomu na wschodnim zboczu, mówi, że to są wariaci, którzy się wzajemnie mordują. A że mają tam mieszkać sami mędracy, o tym słyszę po raz pierwszy. Po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić. Powiedziała pani, że jak oni siebie nazywają?

- Orfikami, uczniami Orfeusza.

- Wariactwo. To naprawdę wariactwo.

- Myślę - wyjaśniała Anna Grekowi - że świadomie rozpowszechniają takie plotki, aby odwrócić uwagę od swojej właściwej działalności.

- Oficjalnie - opowiadał Georgios - Leibethra jest zakładem opieki dla osób chorych umysłowo. Nikt jednak nie wie, co rzeczywiście dzieje się za parkanem zagrażającym dostęp do doliny. Zaopatrują sami siebie niczym mnisi z góry Athos, własnym transportem przywożą z Salonik duże zakupy, a poczmistrz z Katerini mówi, że nawet wszystkie listy i przesyłki idą przez tamtejszą pocztę główną.

- I dysponują niewyobrażalnym majątkiem - dodała Anna.

Georgios pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Na czym więc miałyby polegać moja pomoc? - zapytał wreszcie.

- Chciałabym, żeby mnie pan zawiózł do Leibethry! - oznajmiła zdecydowanym tonem.

Przeczesał palcami kędzierzawe włosy.

- Pani oszalała — powiedział wzburzony. - Ja tego nie zrobię.

- Dobrze panu zapłacę - wtrąciła Anna. - Powiedzmy... dwieście dolarów.

- Dwieście dolarów? Pani naprawdę jest szalona!

- Sto od ręki, a drugie sto na miejscu.

Chłodny upór, z jakim Anna von Seydlitz ubijała interes, wyprowadził Georgiosa z równowagi. Zerwał się i niespokojnie zaczął przechadzać po prawie pustym pomieszczeniu. Anna przyglądała mu się uważnie. Dwieście dolarów to mnóstwo pieniędzy dla piekarza z Katerini. Matko święta, dwieście dolarów!

Anna wyjęła z torebki banknot studolarowy i położyła go na środku stołu. Georgios zniknął bez słowa za drzwiami. Usłyszała, jak wchodzi po trzeszczących drewnianych schodach na górę. Sama dziwiła się swojej odwadze, ale była teraz zdecydowana na wszystko. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, żeby w mroku tej afery zapalić światełko, ona, Anna, musi pojechać do Leibethry.

Ścisłe biorąc, sama nie wiedziała, co ją tam czeka. Podobnie jednak jak tajemniczy przymus spotyka z sobą mordercę i ofiarę, czuła potrzebę zbadania skalnego klasztoru na stokach Olimpu, jakby tam kryły się wszystkie tajemnice. Podparłszy głowę rękami, ze wzrokiem skierowanym na studolarówkę, Anna czekała na powrót Georgiosa.

Przyszedł ze starą rozpostartą mapą. Bez słowa wziął banknot, a na jego miejsce położył mapę.

- Tu - warknął i uderzył środkowym palcem prawej ręki w określony punkt na mapie. - Leibethra.

To miejsce było oznaczone symbolem - kółkiem z krzyżykiem, co wskazywało na klasztor. Brakowało nazwy miejscowości. Nic nie mówiąc, Georgios przeciągnął palcem po drodze wiodącej z Katerini do Elasson, pokazał cienką wijącą się linię, która oznaczała zapewne nieumocnioną ścieżkę i ginęła gdzieś na stokach Olimpu, a następnie zasugerował kilkoma nerwowymi ruchami, że droga prowadzi dalej do określonego celu.

- Jeśli w ogóle — wymamrotał pod nosem - trzeba spróbować we wczesnych godzinach wieczornych. Za dnia dojrzą z daleka, że ktoś się zbliża.

- Zgoda! — odparła Anna, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie i odważnie dodała: - Kiedy?

Spiliados podniósł się powoli, wyłączył światło elektryczne i spojrział przez okno na niebo.

- Pora jest sprzyjająca - powiedział - mamy fazę półksiężyca. Jeśli pani chce, to jutro.

Ponownie włączył światło i przysiadł się do Anny. Pochyleni nad mapą, ułożyli plan na dzień następny. Grek miał motocykl, horexa, który na drodze do Elasson nie będzie rzucał się w oczy. Umówili się o czwartej za kuźnią. Georgios nie chciał budzić niczyjego zainteresowania. Anna natychmiast przystała na ten plan. Ludzie z Katerini nie powinni mieć powodu do plotek.

4

Pierwszy dzień miał służyć jedynie wybadaniu sytuacji. Annie chodziło przede wszystkim o to, żeby się dowiedzieć, czy w ogóle istnieje możliwość, by niepostrzeżenie wnikać do kompleksu zakonnego orfików. Wiedziała oczy-

wiecie, że będzie to niebezpieczne, a Georgios określał ich przedsięwzięcie jako samobójstwo. Jedna myśl utwierdzała jednak Annę w jej postanowieniu: musi istnieć jakiś powód, dla którego orficy do tej pory ją oszczędzili.

Była chłodna, ale nie zimna noc, kiedy Anna wracała do hotelu. Od chwili gdy zapłaciła rachunek za tydzień z góry, Vasileos stał się dla niej nadspodziewanie miły, co w przypadku człowieka z natury mrukliwego ograniczało się do słów: „kali mera”- co słyhać? Albo „kali spera, pani Seydlitz”. Ponieważ jednak Vasileos przeważnie do nikogo się nie odzywał, Anna nie musiała się obawiać, że cokolwiek o niej wywale.

Pokój Anny wychodził na ulicę. Tej nocy jej myśli krążyły wokół czekającej ją przygody. Jeszcze długo po północy słyhać było szczekanie psów. Jeden odpowiadał drugiemu, a ich wycie rozbrzmiewało w pustych uliczkach wyłożonych kocimi łbami. Z kafionu za rogiem, który jak większość domów w Katerini przypominał wyglądem raczej garaż niż budynek mieszkalny, dochodziły szybkie dźwięki bouzouki, a wentylator w restauracji Vasileosa, zajmującej parter hotelu Alkyone, wydmuchiwał na dwór, bełkocząc i szumiąc, ostre zapachy jedzenia. Późni spacerowicze rozmawiali, nawołując się przez ulicę, i nawet po dobrej półgodzinie otwartej konwersacji nie podchodzili do siebie, co pozwoliłoby im oszczędzić gardeł. Po raz czwarty czy piąty jakaś kobieta szła zdecydowanie ulicą, stukając głośno wysoki obcasami, aby kilka minut później wracać z podobnym odgłosem. Poza tym ciszę przerywały tylko hałaśliwe samochody, których kierowcy wykorzystywali gładki asfalt pustego o tej porze rynku jako tor wyścigowy.

Anna myślała, że pod nieobecność Kleibera zacznie odczuwać strach i niepewność, ale osamotniona i zdana wyłącznie na siebie doszła do przekonania, że jest dokładnie odwrotnie. Porzuciła zatem pierwotny plan zgłoszenia swojego przedsięwzięcia na posterunku policji w Katerini i uzgodniła tylko, że gdyby po tygodniu ciągle nie dawała znaku życia, Georgios złoży doniesienie. Anna sama nie wiedziała skąd w niej tyle odwagi.

Nad ranem, ale jeszcze przed świtem, najwyraźniej zasnęła, śniła bowiem, że Olimpem wstrząsnęło trzęsienie ziemi, a rozżarzona czerwona lawa spływa niezliczonymi rwącymi potokami po rozpadlinach na równinę, natomiast mężczyźni i kobiety w lśniących metalicznie łodziach mkną w swoich czółnach, odpychając się długimi drągami i zderzając się z sobą, gdy jeden wjeżdżał na tor drugiego. Sternicy kryli twarze za kolorowymi maskami. Byli

spowici w szerokie falujące płaszcze, a ręce chowali w białych rękawiczkach, ale po ruchach tych ludzi można było poznać, że są tam zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Wiele z tych łodzi, które z szaloną szybkością pędziły w dolinę, roztrzaskiwało się o występy skalne, opływane przez strumienie lawy, po czym sycząc, znikało w bulgoczącym żarze. U podnóża góry poszczególne strumyki łączyły się w rzekę, która nabrzmiewała, grzebiąc pod sobą wsie i miasta. Ludzie, którzy widzieli zbliżające się nieszczęście, stali jak sparaliżowani, niezdolni do ucieczki, również Anna. Kiedy jednak czerwona rzeka ich dosięgła i sycząc oraz bulgocząc, zaczęła palić im palce u nóg, Anna obudziła się z drżącymi kończynami i strząsnęła z siebie ten koszmar senny niczym ulatujący popiół.

O umówionej porze spotkała się z Georgiosem za kuźnią przy drodze wiodącej do Ellason. Anna kupiła sobie szerokie długie spodnie, jakie noszą kobiety w tej okolicy, aż Grek spojrział na nią zdumiony, gdyż nie różniła się od tutejszych kobiet, a także dlatego, że się po niej tego nie spodziewał. Chcąc się jakby wytłumaczyć z tego niezwykłego przebrania, Anna uniosła ramiona i roześmiała się. Jeszcze nigdy w życiu nie jechała motocyklem, czego z kolei Grek nie mógł w ogóle zrozumieć, ponieważ jak dał jej do zrozumienia, każdy posiadacz prawa jazdy powinien kiedyś siedzieć na motorze.

5

Droga prowadziła na zachód. Jednak im bardziej oddalali się od Katerini, tym bardziej pustoszała, czasem tylko mijało ich jakieś jadące z naprzeciwka auto. Kiedy przejechali skrzyżowanie z biało-czarnymi drogowskazami, droga zaczęła się wiać przez bezludną, wymarłą krainę. Oczy Anny łzawiły, bo nie była przyzwyczajona do jazdy na motorze, w strumieniu ostrego powietrza.

Po półgodzinie Georgios zwolnił i zaczął przeszukiwać wzrokiem lewą stronę drogi. Dwa cyprysy znaczyły jej nieumocnione odgałęzienie. Nie było tam żadnego drogowskazu, a ścieżka składała się tylko z dwóch kolein wypełnionych żwirem. Georgios zatrzymał się.

-To jest droga do Leibethry - powiedział i jakby musiał się przemóc, skręcił w nią wreszcie.

Nie było łatwo prowadzić ciężki motocykl w wąskiej kolejinie. Georgios dokonywał prawdziwych cudów, żeby zachować równowagę. „Trzymać się mocno!”- wołał za każdym razem, gdy dostrzegłszy bardziej wyrównany grunt, wjeżdżał w drugą kolejinę.

Od porośniętego cyprysami wzgórza droga wznosiła się stromo. Żwir na tym odcinku drogi był tak kruchy, że tylne koło zaczęło się kręcić w miejscu, a kamyki niczym pociski przyskały spod kół. Georgios poprosił, żeby Anna sama wspięła się pod górę, a on tymczasem wprowadził motocykl tą stromą dróżką na sam szczyt, zapierając się nogami.

Zmierchało już, gdy znaleźli się na wierzchołku kopuły, którą znaczył niewidoczny z dołu skalny nos. Georgios zgasił motocykl i położył go na boku. Zerknął na okolicę i wyciągniętą ręką wskazał na zachód. Droga wiła się tam mniej więcej kilometr w dół, po czym - o ile można było to zobaczyć - znów ostro wspinała się w górę, aby zniknąć za czarnymi iglastymi drzewami.

- Tam - powiedział - jest wejście do wąwozu prowadzącego do Leibethry.

Anna zaczerpnęła głęboko powietrza. Wyobrażała sobie tę drogę jako łatwiejszą. Cisza, która ich otaczała, sprawiała przygnębiające wrażenie, okolica była nieprzyjazna. Na dodatek panował wilgotny chłód wciskający się pod ubranie.

- Podjedziemy do następnego podejścia pod górę - powiedział Georgios - ostatni kawałek drogi będziemy musieli przebyć pieszo, bo inaczej ktoś mógłby usłyszeć warkot motoru.

Anna skinęła potakująco głową. Trudno było sobie wyobrazić, że tam, na górze, za czarnymi drzewami będzie można trafić na ludzkie osiedle.

Kiedy dotarli do wyznaczonego miejsca, Georgios wsunął motocykl w przydrożne zarośla. Z dala słychać było szum jakby jakiegoś spadającego potoku. Dochodził z kierunku, w którym prowadziła droga skręcająca teraz ostro pod górę, niewidoczna z dołu, ponieważ wiodła przez gęsty las iglasty. Anna dyszała ciężko.

- Pani jest szalona! - zauważył Grek po raz drugi, nie patrząc na towarzyszkę wyprawy.

Kobieta nie odpowiedziała. Grek miał rację. Ale szalone było wszystko, *co* przeżyła w ostatnich miesiącach. A ta przeklęta, ponura, stroma, kamienista droga była jedyną, która przybliżała ją do rozwiązania zagadki. Człowiekowi stojącemu z boku trudno było to pojąć.

Im wyżej wspinali się w tej szarówce, tym głośniejszy stawał się szum sprawiający wrażenie wielogłosowego szeptu. Od strony doliny zaczął wiać lekki wietrzyk, który cicho posapując, przemykał pośród gałęzi iglaków. Z bagnistego gruntu po obu stronach drogi unosił się zapach stęchlizny.

Później, całkiem nagle, droga wyszła z lasu i otworzyła widok na nieckę, której przeciwległy brzeg ukazywał stożkowate wcięcie z dwoma guzowatymi nosami skalnymi po bokach.

- To musi być - wymamrotał Georgios - wejście do skalnego wąwozu.

Znajdowali się w odległości niespełna trzystu metrów od niego, a kiedy podeszli bliżej, Anna wypatrzyła pod prawą spośród dwóch skał maleńką drewnianą chatkę z kwadratowym okienkiem skierowanym w stronę doliny.

- O Boże! - jęknęła i chwyciła Greka za rękę.

- Prawdopodobnie jest to wartownia przed wejściem do wąwozu - powiedział Spiliados.

- I co teraz zrobimy?

Anna bezradnie patrzyła w tym kierunku.

Greki nie znał odpowiedzi na jej pytanie, szedł więc bez słowa dalej. Chciał już mieć tę robotę za sobą. W końcu dostał niezłą zapłatę.

- Nie mamy szans z uzbrojonym wartownikiem - warknął niechętnie.

Wartownię spowijała ciemność. Anna i Spiliados ukryli się za zaroślami, kilka kroków od drogi. Potem Grek podniósł kamień i cisnął nim w stronę drewnianego domku. Kamień uderzył głośno o drewnianą ścianę i potoczył się na drogę. Cisza.

- Zdaje się, że państwo się dokądś wybrali - szepnął Georgios.

Anna przytaknęła głową. Ostrożnie zbliżyli się do chatki, która sprawiała wrażenie, jakby już dawno nikt w niej nie przebywał. Anna wyciągnęła latarkę i zaświeciła przez okno: na całe umeblowanie składały się skrzynia, prosty drewniany stół i dwa krzesła. Na ścianie wisiał stary telefon polowy, pierwsza wskazówka potwierdzająca, że na tym odludziu ktoś jednak mieszka. Drzwi były zamknięte.

- Ludzie z Leibethry czują się chyba piekielnie pewni siebie - zauważyła Anna - skoro już przestali trzymać straż.

- Kto wie - odparł Spiliados - może już od dawna jesteśmy obserwowani i właśnie wchodzimy w pułapkę.

- Spiliados, pan się boi! - syknęła Anna von Seydlitz, płonąca z wściekłości. - Dobrze, wypełnił pan swoje zadanie. Dziękuję panu. - Wyciągnęła rękę w stronę Greka. - Tu jest pańskie sto dolarów!

Naprawdę wydawało się, że Georgios się boi, ale ta lekceważąca uwaga *kirii* miała taki skutek, że odparł przekornie:

- Niech pani zachowa te swoje pieniądze! Upomnę się o nie dopiero w chwili, gdy pani wróci cała i zdrowa. Odprowadzę panią tak daleko, aż zyskam pewność, że jest pani u celu.

Anna właśnie to chciała osiągnąć swoją prowokacją. Podejrzała bowiem, że najniebezpieczniejszy fragment drogi jest dopiero przed nimi. Nieumocniona ścieżka dzieliła dno wąwozu wraz z rwącym potokiem, który w miejscach gdzie i jedno, i drugie wiło się wokół występów skalnych, wydrążył taką koleinę, że jeśli nie chciało się brodzić w gulgoczącej wodzie, trzeba było skakać z kamienia na kamień, co było nader ryzykownym przedsięwzięciem w bladym świetle księżyca.

Uwaga Spiliadosa, że może są obserwowani już od dawna, nie wydawała się Annie wcale taka absurdalna. Nie chciała tylko przyznać racji swojemu towarzyszowi. Tutaj, w ciasnym wąwozie, nie opuszczała jej myśl, że gdzieś otworzy się jakaś śluza i nie będą mieli żadnej możliwości ucieczki. Ale zostawiła tę myśl dla siebie i milczała.

Chłód bijący od potoku pełzył po nogach i ramionach w górę, tak że Anna drżała z zimna. Ale może tylko pod wpływem myśli, że z tego wąwozu nie ma ucieczki. Oddychała ciężko, a zimne powietrze niczym ostry nóż przyprawiało o ból w płucach. Szła jednak dalej, ciągle pod górę. Tam, gdzie droga wiodła przez otwartą przestrzeń, było widno, ale między wysokie skalne ściany z rzadka wpadał promień światła. Georgios szedł przodem.

Nagle - Anna nie miała pojęcia, jak długo już stąpa w milczeniu za Georgiose - Grek przystanął. Teraz również ona to zobaczyła: w odległości niespełna stu metrów reflektor oświetlał budkę wartowniczą stojącą między strumieniem a ścieżką, która w tym miejscu się rozszerzała.

Georgios się odwrócił.

- Jak pani chce tędy przejść? - zapytał.

Spojrzał w górę ku grzebieniowi wąwozu, który tutaj był wyraźnie niższy aniżeli wcześniej. A mimo wszystko wciąż jeszcze było to pięć do dziesięciu metrów skał, skał nie do pokonania.

- Najpierw sprawdzmy, czy ktoś trzyma straż - powiedziała Anna, ale jeszcze w chwili, gdy to mówiła, drzwi drewnianego domku otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna. Znudzony zrobił kilka kroków tam i z powrotem. Widać było, że ma przewieszoną przez ramię broń. Wreszcie zniknął znów we wnętrzu domku.

Anna i Georgios ostrożnie podkradli się pod strażnicę. Była do złudzenia podobna do drewnianego budynku, który wypatrzyli już niżej. Dłuższą chwilę patrzyli oboje na zaporę, a potem Georgios rzekł:

- Wydaje mi się, że oboje widzimy to samo rozwiązanie.
- Tak, jedyną możliwością, żeby przemknąć niepostrzeżenie, jest potok.
- Ale on jest piekielnie zimny.
- Owszem - przyznała Anna.

Ale podczas gdy Georgios wątpił, czy *kiria* weźmie na siebie takie ryzyko i cały trud, Anna już dawno podjęła decyzję.

- Dziękuję, Georgiosie - powiedziała i ucisnęła Grekowi dłoń, potrząsając nią mocno. Później wręczyła mu pieniądze i zaczęła zdejmować buty oraz skarpety. A podwijając nogawki spodni, powiedziała spokojnie:

- Gdybym przez tydzień nie dawała znaku życia, niech pan powiadomi policję.

- Obawiam się tylko, że to nic nie da. Od stworzenia świata nie zawitał tu jeszcze żaden policjant.

Anna machnęła uspokajająco ręką, jakby chciała powiedzieć: nie ma sprawy, i ruszyła naprzód.

6

Kilka metrów przed chatką, gdzie promień światła rzucał jasny krąg na drogę, weszła do potoku i stawiając ostrożnie nogę za nogą, zaczęła stąpać w lodowato zimnej wodzie. Torebkę i buty trzymała przyciśnięte do piersi. Na szczęście woda sięgała jej tylko do kolan. Dzięki temu Anna znacznie łatwiej niż się tego spodziewała, przedostała się na drugą stronę strażnicy.

Pod osłoną ciemności wskoczyła w buty i zaczęła się ponownie wspinać. Droga po prawej była teraz wykuta w skale, podczas gdy po lewej stronie góra spadała ostro, odsłaniając widok na ponurą kamienistą dolinę.

Kiedy Anna skrzyła za występ skalny, stanęła, jakby wrosła w ziemię: przed nią w samotności gór wznosiło się jasno oświetlone miasteczko. Domy i ciasne uliczki zdawały się wprost wyrastać z ziemi. Jakby chcąc pozbyć się sennego mamidła, Anna przetarła powieki wierzchem dłoni. Wzrok kobiety powędrował przy tym do góry i dopiero na ten widok prawie zaparło jej dech w piersiach. Do skał na zawrotnej wysokości były przyklepione kolejne domy, ale w przeciwieństwie do dolnej części miasta, spowite mrokiem, jakby miały do ukrycia jakąś ponurą tajemnicę.

W tym sennym mieście nie było żywej duszy. Nie słyszało się nawet szczekania psów, co sprawiało, że całe to zjawisko wydawało się jeszcze bardziej nierzeczywiste. Upiorne, metafizyczne wrażenie wywoływało przede wszystkim jaskrawe światło, w którym były zanurzone domy w dolnej części miasta, jakby jakaś błyskawica zgasła wszelkie życie. Czy to właśnie była Leibethra?

Podchodząc coraz bliżej, Anna zauważyła, że w tym mieście, które promieniało jasno jak w dzień, w ogóle nie było ulicznych latarni. A mimo to domy świeciły w jakiś niewytłumaczalny sposób. Chociaż miejscowość była przyklejona do stoku góry niczym twierdza nie do zdobycia, od strony doliny otaczał ją wysoki drut kolczasty. Kamienista ścieżka kończyła się szeroką, stojącą otworem bramą wjazdową. Widoczna w głębi ulica była wybrukowana ciemnymi otoczkami i czysto zamieciona niczym scena przed premierą, gdyż to opustoszałe, upiorne miasteczko przypominało w jakimś stopniu kulisy teatru. Aby wyglądało jak prawdziwe miasto, brakowało mu kurzu, papierów, które zwykle poniewierają się na ulicach, i szkieletów jesiennych drzew. Przede wszystkim jednak brakowało tu jakichkolwiek odgłosów słyszalnych również w śpiącym mieście.

Podczas gdy Anna chłonęła widok Leibethry niczym jakieś niezemskie zjawisko i zastanawiała się, jak ma się teraz zachować, zdarzyło się coś całkiem nieoczekiwanego. Usłyszała monotony ludzki głos, który rozbrzmiewając na ulicach, zbliżał się z daleka i stawał się coraz donośniejszy. Anna pomyślała najpierw o średniowiecznym nocnym strażniku, tak w każdym razie brzmiało głośne wołanie, w miarę jednak jak głos się przybliżał, rozpoznawała łaciński tekst gregoriańskiego chorału.

Anna szybko przemknęła przez bramę wjazdową i schowała się w wejściu do sąsiedniego budynku, z którego zza kamiennej kolumny miała dobry widok na całą główną ulicę. Nie trwało to długo, aż z jednej z bocznych

uliczek wynurzył się wychudły mężczyzna. Głowę miał ostrzyżoną na łysy i nosił długą jasną szatę, swego rodzaju mnisi habit, który otulał szczupłe ciało dużymi fałdami. Żarliwie niczym rozmodlony wierny w kościele śpiewał swój nabożny chorał.

Anna przeraziła się. Czyżby ją dostrzegł? Deklamując mocnym głosem, mężczyzna szedł wprost na nią. Trwożliwie ukryła się więc za kolumną. Wtedy łysy mężczyzna zatrzymał się, rozpostarł ramiona i zawołał w głąb nocy, aż jego głos odbił się echem od murów domu:

- Qui amat animam suam, perdet eam; et qui odit animam suam in hoc mundo, in vitam aeternam custodit eam. (Kto kocha życie swe, ten je utraci, a kto go na tym świecie nienawidzi, ten zachowa je na życie wieczne).

Później zwrócił się w przeciwnym kierunku i oznajmił: - Ego sum via, veritas et vita. Nemo venit ad Patrem, nisi per me (Ja jestem drogą, prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca mego inaczej, jak tylko przeze mnie).

Mężczyzna w bieli sprawiał wrażenie człowieka, któremu pomieszały się zmysły. Powoli opuścił ramiona i spojrzał w niebo. Stał tak bez ruchu niczym posąg. Anna oczekiwała, że ktoś uzna, iż ów wołający samotnik mu przeszkadza, że gdzieś otworzy się okno albo że ktoś wyjdzie na ulicę. Ale nic podobnego się nie stało. Można by pomyśleć, że łysy był jedynym mieszkańcem Leibeithry.

Czy powinna była go zagadnąć? Zanim jeszcze podjęła decyzję, wyszła zza kolumny, tak że ów człowiek musiał ją dostrzec. Ale pozostał w swej ekstazy i nic, nawet gwałtowne, głośne chrząknięcie Anny, nie zdołało wyrwać go z transu.

- Halo! - zawołała Anna i podeszła jeszcze jeden krok bliżej do mnicha. - Halo!

Łysy odwrócił głowę w jej stronę i niezwykle powoli otworzył oczy. Wcale nie wydawał się zaskoczony, można było wręcz odnieść wrażenie, jakby na nią czekał, uśmiechnął się bowiem dobrodusznie i wyciągnął do Anny rękę. Najbardziej zdumiewające było jednak, że zaczął mówić. Zapytał:

- Kim jesteście, nieznajoma pani?
- Rozumie pan mój język? - Anna odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Rozumiem wszystkie języki - odpowiedział oburzony, tak jakby to było oczywiste. - Nie odpowiedzieliście na moje pytanie.
- Nazywam się Selma Doblin - skłamała Anna.

Ponieważ akurat nie przyszło jej nic innego do głowy, posłużyła się panieńskim nazwiskiem matki. Łysy skinął potakująco głową.

- Nie mogę wam zdradzić mojego imienia. Nie wolno mi. Przeraziłoby was. Jestem uosobieniem waśni. Nazywajcie mnie Waśń.

- Osobliwe imię jak na pobożnego mnicha — odparła Anna.

- Wobec tego, jeśli to się wam bardziej podoba, nazywajcie mnie Buta albo Pycha - odrzekł mężczyzna - ale, do diabła, nie nazywajcie mnie pobożnym.

Anna się wzdrygnęła ze strachu, gdyż dobrotliwe jeszcze przed chwilą oczy łysiego w jednej chwili stały się groźne. Waśń, Buta, Pycha czy jak tam chciał się nazywać ten mężczyzna, patrzył nieruchomym wzrokiem, nieomal hipnotycznie, skierowanym na Annę. Ta z kolei spoglądała w oblicze człowieka, w którym głupkowatość szaleńca i przebiegłość filozofa mieszały się w osobliwy sposób. Zrozumiała też nagle, że stojący przed nią łysy mężczyzna należy do owej ludzkiej tarczy ochronnej, za którą chronią się orficy przed niepożądanymi intruzami. Ale zrozumiała również, że ten mężczyzna może okazać się pomocny, jeśli ona tylko właściwie zabierze się do rzeczy.

- Przekroczyliście granicę - powiedział łysy lodowatym głosem. - Żaden mieszkaniec Leibethry nie opuszcza bezkarnie nocą swojego domu. Musicie o tym wiedzieć, nawet jeśli jesteście nowi. Złożę meldunek o tym incydencie. - Pokazał przy tym palcem wskazującym niebo, gdzie w mroku wznosiła się górna część miasta. - A teraz chodźcie!

Wycieńczony mnich chwycił Annę z całych sił za ramię i popychał ją przed sobą niczym złodziejkę w drodze na przesłuchanie. Mogła uciec, ale dokąd? Pozwoliła więc, żeby się działo, co się miało dziać, i szła obok brata Waśni główną ulicą aż do skrzyżowania. Narożny dom po prawej stronie miał dwa piętra podobnie jak wszystkie pozostałe budynki, był jednak szerszy i posiadał wiele okienek. Pusty korytarz prowadził do klatki schodowej z kamiennymi stopniami i kanciastą żelazną poręczą. Sprawiał wrażenie olbrzymiej klatki, ponieważ między poszczególnymi piętrami była przeciągnięta siatka. Podobnie jak ulice, również klatka schodowa była jaskrawo oświetlona.

Anna starała się nie myśleć o tym, co może się jej przytrafić. Sama tego chciała, powtarzała sobie. Nie rozluźniając chwytu, łysy wprowadził Annę na pierwsze piętro i przez otwarte drzwi do dużego pokoju. Panował tu półmrok,

w którym Anna dostrzegła około dwudziestu łóżek polowych ze śpiącymi na nich ludźmi. Sypialnia wyglądała bardzo czysto, ale wyobrazenie, że jeden ze śpiących mógłby się nagle zerwać ze snu, przerażało ją.

Brat Waśn wskazał puste łóżko polowe w pobliżu okna i zniknął bez słowa. Anna schowała torbę pod łóżkiem, a następnie usiadła. Miała świadomość, że do rana musi stąd zniknąć. Brat Waśn ją zdradzi i kto wie, co z nią zrobią.

7

Kiedy tak siedziała, podpierając głowę rękami, i rozmyślała, wydało się jej, że ktoś podszedł do niej od tyłu, odniosła nawet wrażenie, że czuje czyjąś rękę na włosach. Odwróciła się nagle, gotowa odeprzeć napastnika, ale ujrzała przestraszoną dziewczynkę, nieomal jeszcze dziecko, o delikatnych miękkich rysach, która zasłoniła twarz dłońmi, jakby w obawie przed uderzeniami. Anna znieruchomiła. Gdy dziewczynka zorientowała się, że nieznajoma nie zamierza jej uderzyć, podeszła bliżej, ostrożnie zanurzyła dłoń w jej włosach i pogładziła je niczym jakiś klejnot. Ten gest dało się zrozumieć: włosy dziewczynki były krótko obcięte. Wszyscy w tym pokoju mieli krótko ostrzyżone włosy.

- Nie bój się - szepnęła Anna, ale nieśmiała dziewczynka cofnęła się i schowała pod kołdrą na swoim łóżku.

- Ona was nie rozumie - rozległ się głos z samego końca pokoju - jest głuchoniema, a poza tym cierpi na infantylizm, jeśli wiecie, co to jest.

Kobieta była stara, głębokie zmarszczki żłobiły jej twarz, a obwisłe powieki wywoływały wrażenie bezkresnego smutku. A przy tym w pewien sposób wyglądała inteligentnie. W tej kwestii nie mogły mylić nawet jej krótko ostrzyżone włosy, które wszystkich degradowały do roli pacjentów tutejszego zakładu.

Anna zmierzyła staruszkę wzrokiem. Ta zaś położyła rękę na piersi i powiedziała nieomal z dumą:

- Schizofrenia hebefreniczna, rozumiecie! - A po chwili, nasyciwszy się zdumieniem Anny: - A wy?

Anna nie wiedziała, ma odpowiedzieć. Najwyraźniej staruszkę interesował powód jej zamknięcia tutaj.

- Możecie rozmawiać ze mną szczerze - powiedziała wreszcie - jestem lekarką.

Staruszka mówiła dość głośno, Anna przestraszyła się więc, że może to obudzić innych. A ponieważ nie odpowiadała, starsza pani wyszła ze swojego łóżka. Miała na sobie długą koszulę nocną, spod której wystawały niezwykle duże blade stopy. Podeszła do Anny.

- Bez obaw - powiedziała teraz trochę ciszej - jestem tu jedyną normalną osobą. Doktor Sargent. Pozwólcie, niech zgadnę, po co tu przybyliście. - Z tymi słowami podeszła do Anny, obydwoma kciukami nacisnęła jej kości policzkowe, po czym uniosła jej prawą powiekę. - Powiedziałabym: złośliwa katatonnia, jeśli pani wie, co to jest.

- Nie, nie wiem - odparła Anna.

- No więc katatonnia, czyli mięśniowe zaburzenie napięciowe, objawia się zakłóceniami motoryki, stanami niepokoju i wzburzenia psychicznego. W pewnych przypadkach występuje ona w parze z uwarunkowanym centralnie wzrostem temperatury ciała. Mówimy wtedy o katatonii złośliwej. Bardzo niebezpiecznej, moje dziecko.

Wiedza i jasność, z jaką mówiła starucha, wprawiły Annę w zadziwienie. Co powinna myśleć o tej zagadkowej doktor Sargent? Musiała przyznać, że jej puls bil jak szalony, niespodziewana sytuacja głęboko ją niepokoiła, jej ruchy mogły się wydawać niekontrolowane. Jak, na miłość boską, starucha poznała to tak szybko?

- Co on wam powiedział? - zapytała naraz doktor Sargent.

- Kto?

- Johannes!

- Nie chciał mi zdradzić swojego nazwiska. Notabene ja nazywam się Selma, Selma Doblin.

Starucha pokiwała głową:

- Nazywajcie mnie po prostu pani doktor. Wszyscy tu do mnie mówią pani doktor.

- No dobrze, pani doktor. Dlaczego używa pani tutaj tej osobliwej formy zwracania się do ludzi? Dlaczego mówi pani per „wy”?

Doktor Sargent podniosła rękę.

- Odgórne zarządzenie. Wszystko, co się tutaj dzieje, wynika z zarządzeń odgórnych. Radziłabym wam nie sprzeciwiać się temu. Grożą za to surowe kary. Czy Johannes nawracał was na chrześcijaństwo?

- Recytował coś po łacinie.

- Biedny dziwak. Jest tu od niedawna. Były ksiądz, który stracił rozum, a teraz myśli, że jest Janem Ewangelistą. Całymi dniami i nocami śpiewa fragmenty Nowego Testamentu i chce wszystkich nawracać. Typowy przypadek paranoi. Ciekawe, co wywołało tę chorobę. Są chwile, że Johannes klnie jak szewc. Poza tym jest nieszkodliwy.

- Powiedział, że nikomu nie wolno wychodzić na ulicę, bo to wbrew prawu.

- To prawda - odpowiedziała doktor Sargent. - Zresztą wszyscy się tego trzymają, oprócz Johanna. On ma szczególne prawa. Chociaż nikt nie wie dlaczego.

Anna miała już na języku pytanie: dlaczego właściwie pan i jest tutaj, pani doktor? Sprawia pani wszakże wrażenie całkiem normalnej? Tak, nasuwało się jeszcze wiele pytań: dlaczego nie zastanawia się pani, skąd ja właściwie przybywam w środku nocy? Dlaczego rozmawia pani ze mną, jakby oczekiwała mnie pani od dawna? Dlaczego interesuje panią bliżej mój stan psychiczny? O to wszystko jednak Anna von Seydlitz nie zapytała. Jakoś nie starczyło jej odwagi.

- Stawiają wam diagnozę - zaczęła doktor Sargent od nowa - i oczekują, że będziecie odpowiadać jej obrazowi. - Anna czuła się tak, jakby ta kobieta czytała w jej myślach. - Wyświadczyć im tę grzeczność - syknęła głośno - nie będzie wam tutaj źle. W przeciwnym wypadku...

- W przeciwnym wypadku?

- Nikt jeszcze stąd nie wyszedł bez zgody z góry! W każdym razie ja jeszcze nie słyszałam o kimś takim.

Po tych słowach nastąpiła długa pauza, podczas której obie kobiety myślały wzajemnie o sobie. Wreszcie Anna zdobyła się na odwagę i zapytała:

- Pani doktor, czy długo pani już tu przebywa?

Doktor Sargent spuściła oczy, a Anna złękła się, że swoim pytaniem dotknęła jakiegoś czułego punktu, co mogło sprawić, że stan psychiczny doktor Sargent raptownie się zmieni. Ale nie, po chwili kobieta odpowiedziała z rezygnacją, choć spokojnie:

- Mieszkam w Leibethrze od dwunastu lat. Jednakże tutaj - stuknęła palcem w brzeg łóżka - jestem dopiero od roku. Orzekli, że to schizofrenia. Słyszycie? Schizofrenia! Prawda jest jednak taka, że moje odkrycia przestały pasować do ich koncepcji.

Nagle doktor Sargent położyła palec na ustach. Na korytarzu dały się słyszeć kroki.

- Obchód kontrolny - powiedziała - szybko pod koldrę!

I zanim Anna się spostrzegła, doktor Sargent wcisnęła ją na łóżko i naciągnęła im obu na głowy wełniany pled. W tej samej chwili do sali weszło dwóch umundurowanych strażników, którzy omietli wzrokiem wszystkich śpiących. Mieli na sobie skórzane hełmy i pasy, na których były umocowane pałki i kabury z pistoletami.

Kiedy wyszli, doktor Sargent odsunęła pled i powiedziała:

- Teraz mamy spokój do rana. Lepiej nie wdawać się w spory z tymi facetami. To brutale, wierzcie mi, prawdziwe posokowce.

Anna się podniosła. Krótka chwila spędzona z doktor Sargent pod pledem nie była dla niej zbyt przyjemna. Poszła na swoje łóżko polowe i położyła się. Naraz poczuła trudy podróży i jej członki stały się ciężkie. Leżała sztywna i otepiała, nasłuchując w ciemności nocy, nie mogła bowiem uwierzyć, że znajduje się w mieście, gdzie nie słychać żadnych odgłosów.

Drzemała więc na poły tylko pogrążona we śnie, ponieważ część jej mózgu była pochłonięta wyobrażeniami na temat następnego dnia. I czy nie byłoby lepiej, gdyby stąd uciekła i ukryła się? Ale czuła się zbyt zmęczona. Ciało pod własnym ciężarem wciskało się w twarde łóżko polowe. Anna czuła się jak podczas tych snów, kiedy człowiek chce uciec, a nie może, gdyż sparaliżowane strachem członki odmawiają mu posłuszeństwa.

Leżała więc tak dwie czy trzy godziny na poły odpoczywająca, na poły dręczona wizjami, gdy z dworu dobiegł ją skarżący się żałośnie głos człowieka, który wyraźnie się zbliżał. Męski głos powtarzający jedno i to samo słowo. W lodowatej ciszy to niekończące się wołanie wydało się Annie wystarczająco niezwykle, naraz jednak odniosła wrażenie, że ten ktoś wykrzykuje jej imię.

Zerwała się. Jęła nasłuchiwać z otwartymi ustami i teraz usłyszała to jeszcze wyraźniej. „Anno. Anno”. Ostrożnie, aby nie narobić hałasu, wstała i podkrađła się do najbliższego okna.

Na środku jasno oświetlonej ulicy, w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów, stał mężczyzna w czerni o uderzająco białej twarzy. Guido. Anna przełknęła ślinę. Otworzyła szeroko oczy. Prawą ręką ścisnęła lewą aż do bólu, musiała się bowiem upewnić, że nie śni. Chciała krzyknąć, ale nie mogła.

Jakby ten ubrany na czarno mężczyzna wiedział, że Anna stoi w oknie, zwrócił ku niej twarz. To był Guido.

Podeszła na paluszkach do doktor Sargent. Ta jednak spała i Anna musiała ją mocno potrząsnąć. Jednak nawet kiedy się już obudziła, trudno było ją nakłonić do tego, żeby rzuciła okiem przez okno.

- Nie słyszy pani tego wołającego mężczyzny? - szepnęła Anna z naskiskiem.

- To nasz Jan Ewangelista - warknęła doktor Sargent niechętnie.

- Nie! - odparła Anna. - Niechże pani wyjrzy przez okno!

- Wobec tego jest to Mauro, tancerz baletowy. Czasem trzeba go pojmać w nocy. Twierdzi, że dawniej tańczył w Teatrze Bolszoj.

Anna chwyciła doktor Sargent za ramię.

- Proszę, niech pani podejdzie. Chcę tylko uzyskać od pani potwierdzenie, że wzrok mnie nie myli.

Doktor Sargent usiadła.

- Potwierdzenie? Dlaczego miałabym coś potwierdzać?

Anna odparła, jękając się:

- Ten mężczyzna na ulicy... mam wrażenie... jestem pewna... że ten mężczyzna na ulicy to mój mąż.

- Czy on tutaj przebywa?

- Trzy miesiące temu zginął w wypadku samochodowym — wyjaśniła Anna po dłuższej chwili.

To niespodziewane stwierdzenie ostatecznie obudziło doktor Sargent. Spojrzała Annie w oczy i podniosła się osowiale, jakby chciała powiedzieć: no, skoro to konieczne. W każdym razie podreptała w stronę okienka w grubych skarpetach, których nie zdejmowała nawet w nocy, i wyjrzała na dwór. Anna nadal słyszała skarżące się wołanie: „Anno... Anno... Anno”.

Rozeźlona doktor Sargent pokręciła głową w tę i we w tę. Aby lepiej widzieć, stanęła na palcach, a potem odwróciła się i wracając do łóżka, powiedziała:

- Nikogo nie widzę na ulicy!

- Ale chyba słyszy pani te wołania!

- Nic nie słyszę i nic nie widzę - odpowiedziała szorstko doktor Sargent.

- Halucynacje w połączeniu z omamami słuchowymi, organiczne schorzenie płatu skroniowego w mózgu.

Po czym naciągnęła pled na głowę i odwróciła się plecami.

Anna nie rozumiała jej słów, ale nadal jeszcze słyszała głos, przycisnęła więc czoło do szyby. Guido zniknął. W jej głowie jednak rozbrzmiewało złowróżbne echo: Anno... Anno. Wbiła wzrok w bruk na ulicy, skąd zdawało się płynąć to wołanie, ale bruk leżał jasny i nieporuszony. To n i e m o g ł o się dziać naprawdę, nie powinno. Czyżby ogarniało ją szaleństwo? Anna czuła, że jej całe ciało jest napięte jak struna, która lada moment pęknie. Zaczęła się zastanawiać, czy istotnie żyje w świecie marzeń sennych, czy śmierć Guida i fatalne konsekwencje tego wydarzenia tylko się jej przyśniły? I czy nie stała się bezwolną marionetką opanowaną przez szaleństwo w teatrze własnego delirium?

Szyba chłodziła jej rozpalone czoło, toteż Anna przyciskała je do szkła ze wszystkich sił. Nie była w stanie myśleć o tym, że kruche szkło w jednej chwili może rozprysnąć się pod tym naporem. Drżała i wpatrywała się w pustą ulicę, a w jej oczach zbierały się łzy. W tym momencie szyba rozprysła się z ostrym trzaskiem. Anna poczuła ciepły promień przebiegający po jej twarzy, a potem poczuła, jakby nieprzerwanie spadała w jakąś czeluść, poczuła chłód marnej przepaści, której dno zbliżało się coraz bardziej, aż wreszcie kobieta upadła z hukiem i straciła przytomność.

8

Kiedy Anna się obudziła, wciąż jeszcze (albo już znowu) była noc, a w nieprzytulnej sypialni nic się nie zmieniło. Zaczęła obmacywać rękami głowę i natrafiła na opatrunek na czole. Najbardziej jednak przeraziło ją, że podobnie jak pozostali mieszkańcy Leibethry ma krótko ścięte włosy.

Nie możesz tu zostać, to była jej pierwsza myśl. Zanim jednak opracowała jakiś plan działania, uświadomiła sobie, że poprzez strzyżenie została przyjęta do Leibethry. Należy teraz do jej mieszkańców, nigdy więc nie nadarzy się lepsza okazja, żeby zgłębić tajemnicę tej miejscowości. A przy tym bała się, bała się Guida, który pozwolił wciągnąć się w taką grę albo - jeśli to nie był on - bała się tych, którzy ją i jej strach uwzględniłi w swoich machinacjach.

- No, czy już przytomnieliście?

Anna obejrzała się za siebie. Doktor Sargent, wsparta na rękę, śledziła z zainteresowaniem ruchy Anny.

- Co pani ze mną zrobiła? - dopytywała się zatroskana, skubiąc nerwowo opatrunek na głowie.

- To wy powinniście lepiej zapytać, coście zrobili! - zionęła gniewem doktor Sargent. - W delirium przebiliście głową szybę. Gdybym was w ostatniej chwili nie odciągnęła, podcięlibyście sobie gardło. Poza tym przez cały czas bredziliście coś o jakimś Guidzie.

Lekceważący ton w jej głosie przyprowadził Annę o wściekłość.

- Czy powinnam pani dziękować, że uratowała mi pani życie? - zapytała wyzywająco.

- Jestem doktor Sargent - odpowiedziała chłodno staruszka - moją powinnością jest ratowanie życia.

- Dziękuję - powiedziała Anna.

- Już w porządku.

Światło w sali było przytłumione, ale jednak na tyle jasne, że wszystko było widać. Anna wyjrzała przez okno.

- Doktor Sargent - zawołała cicho - okno!

- Co z oknem? - zapytała znudzona doktor Sargent.

- Myślałam, że rozbiłam szybę głową?

- Rozbiliście!

- Ale przecież szyba jest cała? Chce pani powiedzieć, że ktoś ją już naprawił?

- To chcę powiedzieć. W końcu spaliście dwie doby!

- Słucham?

- Dwa dni i dwie noce. Doktor Norman przed niczym się nie wzdraga. Nikt tutaj nie wzdraga się przed niczym, jeśli trzeba uspokoić mieszkańca zakładu. Valium używa się całymi kanistrami.

Anna opuściła z powrotem rękawy białej koszuli, w którą ją ubrano. W zagłębieniach obu stawów łokciowych dojrzała ślady po igle.

- Dziwicie się? - zapytała doktor Sargent. - Czy myśleliście, że tutejsi ludzie są z natury mili? Rozejrzyjcie się tylko! Przyjrzyjcie się dokładnie każdemu z osobna, każdemu z osobna.

Jakby pod przymusem Anna podniosła się z łóżka i wolnym krokiem przeszła przez sypialnię. Leżały tam kobiety z akromegalią, z dużymi czerwonymi głowami i nieproporcjonalnymi grubymi rysami twarzy, niczym

rzeźby z surowego drewna. Anna ujrzała potworki z powykrecanymi członkami, szczerzące zęby w głupkowatych uśmiechach, i inne o posturach, które nasuwały wątpliwości, czy w ogóle mogą się samodzielnie poruszać. Serce waliło jej mocno, a krew dudniła w skroniach. Była oszołomiona. Dotarłszy do łóżka doktor Sargent, Anna uklękła i szepnęła:

- To przecież straszne. Jak długo już to wytrzymujecie?

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - stwierdziła zwięźle doktor Sargent.

W porównaniu z innymi kobietami w tej sali doktor Sargent sprawiała wrażenie dość normalnej. Anna musiała wyrzucić z siebie pytanie:

- Niech pani powie, pani doktor, dlaczego p a n i a tu umieszczono?

Oczy kobiety zaczęły nagle sypać gniewne iskry. Już zamierzała to wyjaśnić, ale widać było, że przeszkodziła jej w tym jakaś zła myśl, bo w końcu odpowiedziała krótko:

- Musicie zapytać tam, na górze.

Niełatwo będzie pozyskać zaufanie tej kobiety. Tego Anna była pewna. Dlatego też spróbowała innej metody. Wyraziła mianowicie przypuszczenie, że doktor Sargent z pewnością nie jest tu pacjentką, tylko ma tę salę w swojej pieczy. O tym jednak doktor Sargent nie chciała nawet słyszeć. Powiedziała, że tu raczej każdy pilnuje każdego, bo to jest główna zasada obowiązująca w Leibethrze.

Anna nie dała wiary temu wyjaśnieniu, a przypuszczenie, że doktor Sargent może należeć do kasty orfików, a nie zaliczać się do umysłowo chorych pacjentów zakładu, spotęgowało się jeszcze, gdy Anna wyraziła chęć usłyszenia czegoś więcej o tym dziwnym bracie Johannesie, o jego przeszłości oraz o miejscu jego pobytu. Odnosiła niejasne wrażenie, że ten godny pożałowania człowiek może mieć jakiś związek z jej przygodami.

Wtedy jednak doktor Sargent dała jej do zrozumienia w sposób niebudzący wątpliwości, że tego rodzaju pytania są niepożądane, zwłaszcza zadawanie ich przez pacjentkę. Nie pozostawiła również wątpliwości co do tego, że po owym rzekomym objawieniu na ulicy, w które po prostu nie chciała uwierzyć, traktuje ją jak przypadek chorobowy. Zresztą i tak nie ma dostępu do oddziału, na którym przebywa Johannes. I niech Anna na tym poprzestanie.

Nie uszło uwagi Anny, że głuchoniema dziewczynka podczas całej tej rozmowy wpatrywała się w jej usta, jakby z ruchu warg chciała odczytać każde

słowo. Po południu, które kobiety spędziły w małych grupach na świeżym powietrzu, przy czym Anna po raz pierwszy zobaczyła ogromne rozmiary tego skalnego miasta zawieszzonego w dużej części wysoko ponad ich głowami, głuchoniema dziewczynka, niezauważona przez dwóch wartowników ani przez doktor Sargent, wetknęła jej do ręki złożoną karteczkę, na której był jakiś mały rysunek. Gdy Anna przyjrzała mu się bliżej, pojęła, że niezrozumiałe początkowo znaki i strzałki układają się w plan przedstawiający drogę z jej obecnego miejsca pobytu do końcowego punktu określonego słowem „Johannes”.

Chociaż w ciągu dnia wypatrywała wszędzie owego Jana Ewangelisty, nie mogła nigdzie zobaczyć tego pozałowania godnego człowieka, tak że wieczorem mimo zakazu udała się ukradkiem na dalsze poszukiwania. Rysunek dziewczynki oddał jej nieocenioną przysługę, Leibethra, pełne zakamarków skupisko domów i uliczek, przypominała bowiem labirynt Minotaura. Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej niż Anna zadziwionego faktem, że samotnie i bez lęku ruszyła w tę drogę.

Obawiała się jedynie, że na jednej z jasno oświetlonych uliczek spotka niespodziewanie Guida. Gdyby nagle przed nią stanął, nie wiedziałaby, jak zareagować. Uciec? Czy też podejść i uderzyć go w twarz? A może zrobić złośliwą uwagę na temat złej gry aktorskiej?

Domy w Leibethrze nie były opatrzone numerami, tylko literami lub słownymi kodami, co obcemu przybyszowi prawie uniemożliwiało orientację. Jednakże rysunek głuchoniemej dziewczynki okazał się tak dokładny, że Anna zboczyła nawet z zalecanej trasy i podążyła za jakimś obco brzmiącym odgłosem, który przypominał lament kota albo skomlenie psa, a może równocześnie jedno i drugie.

Podobnie jak wszystkie inne budynki, również ten nie był zamknięty. Wystarczyło odsunąć żelazny rygiel przy jednoskrzydłowej drewnianej bramie i człowiek był na dziedzińcu, gdzie na wysokości trzech pięter połączonych stromymi drewnianymi schodami piętrzyły się zakratowane klatki różnych rozmiarów. Chociaż ponad połowa tych klatek była pusta, na dziedzińcu panował ogromny niepokój, tak że nikt nawet nie spostrzegł wejścia Anny.

Głośne skomlenie dobywało się z klatki znajdującej się na parterze. Anna podeszła do niespokojnych zwierząt i ujrzała dwa budzące grozę baśniowe stworzenia, wyżyły o kocich głowach i tysiącach ogonach. Z daleka można by je

wziąć za psy, gdyby nie kocie ruchy, kiedy wspinały się na pień drzewa, pomagając sobie ostrymi pazurami.

Przeraził ją widok tych zwyrodniałych podobnych do kotów istot, ale machinalnie szukała w pozostałych klatkach innych stworzeń trzymanyh tu przez jakichś nieodpowiedzialnych hodowców zwierząt. Były tam kozoowce z gęsto owłosionymi psimi ogonami i świnia z rogami jak u kozła, ponadto dwa razy dłuższa od normalnego zwierzęcia, tak że wlokła brzuch po ziemi.

Największa klatka była przeznaczona dla czarnobrzowego potwora przypominającego orangutana, ale tylko od pępka w dół. Natomiast nagi tułów potwora - i to było najbardziej przerażające — pokrywała różowa skóra ludzka. Po bokach zwisały nienaturalnie długie ręce, których dłonie, a przede wszystkim paznokcie były wyraźnie ludzkie. Łysa, mocno zaczerwieniona głowa z małymi uszkami przypominała głowę Catchera, a oczy spod grubych brwi patrzyły na Annę z taką przenikliwością, że nie zdziwiłaby się, gdyby ten potwór zaczął mówić i zapytał ją przez kratę, czego tu szuka.

Ten obraz wywołał w niej niepokój, tak że w pośpiechu opuściła tę okropną hodowlę i wróciła na trasę, którą narysowała jej głuchoniema dziewczynka. Trop prowadził z wąskiego szeregu domów przez plac, na którego przeciwległej stronie trzy wysokie otwarte bramy ukazywały potężną pieczarę skalną, skąd dochodziło monotonne buczenie generatorów i agregatów. Na placu panowała ożywiona krzątanina, tak że Anna ledwo zauważyła, kiedy pojawił się wjazd pod to sklepienie, skąd kilka kolejek linowych prowadziło do górnej części miasta.

Ludzie, którzy wchodzili, wychodzili i jechali w górę, różnili się zdecydowanie od pozostałych mieszkańców Leibethry. Tylko nieliczni mieli krótko ostrzyżone włosy, a w przeważającej mierze ciemne ubrania sprawiały wrażenie eleganckich i odpowiednich dla przedstawicieli kleru. Nikt z nikim nie rozmawiał, a ci, którzy się mijali, nie zaszczycali się spojrzeniem.

Najwyraźniej nie było straży, które uniemożliwiałyby komukolwiek dostanie się do górnej części Leibethry. To zdumiało Annę, która w ogóle dziwiła się tutejszym zaniedbaniom w dziedzinie środków bezpieczeństwa. Rzuciła się jej wprawdzie w oczy wojowniczo wyglądający, uzbrojeni strażnicy, ale ci pokazywali się bardzo rzadko, a ich pojawienie się wcale nie budziło lęku.

Panujące wszędzie spokój i dyscyplina sprawiały wrażenie dość zagadkowych. W końcu był to zamknięty zakład potężnych rozmiarów.

Trzymając w ręce plan od głuchoniemej dziewczynki, Anna szukała dalej drogi do Johanna, obłąkanego ewangelisty, od którego spodziewała się otrzymać nowe informacje.

9

Znalazła poszukiwany dom za rogiem opisanej ulicy, rozpoznawalny, jak wynikało z kartki, po żelaznej rurze studziennej, która niczym lufa armatnia sterczała z muru. Z rury wąski strumyk wody wyciekał z pluskiem na bruk.

Anna von Seydlitz spodziewała się lecznicy podobnej do tej, w której ją umieszczono. Jednakże ku jej zdumieniu w tym domu kryła się biblioteka, bo jak inaczej nazwać zbiór ksiąg i foliów w ponurych zakurzonych pomieszczeniach. Kiedy Anna przekroczyła bez przeszkód próg westybulu, który prowadził do wąskich czarnych drzwi dębowych, mimochodem stała się świadkiem rozmowy dobiegającej z sąsiedniego pokoju, z którego docierał jasny promień światła.

Początkowo rozumiała tylko poszczególne bezładne słowa, ponieważ i dwoje ludzi rozmawiało głosami pełnymi wzburzenia, stopniowo jednak treść ich dyskusji stawała się jasna. Przede wszystkim była pewna, że rozpoznaje głos Johanna Ewangelisty, który złorzeczył komuś z oburzeniem. Wprawilo to Annę w zdumienie, gdyż Johannes, człowiek uchodzący za obłąkanego, był traktowany przez swojego rozmówcę absolutnie serio. Również wypowiedane przezeń słowa nie dawały podstaw, by podawać w wątpliwość jego zdrowy rozsądek.

Tematem rozmowy był pierwszy list Jana, w którym autor ostrzega swoich czytelników w Azji Mniejszej przed głosicielami fałszywych nauk, których liczebność wzrasta głównie po prorocत्वach o końcu świata. Nieznajomy nasmiewał się z tych słów i wskazywał na fragment Ewangelii według Mateusza (24), mówiący o tym, że nawet Jezus ostrzegał przed fałszywymi prorokami i fałszywymi mesjaszami, co wprawdzie nie działo się bezpodstawnie, ale okazało się niepotrzebne.

Anna tylko z grubsza śledziła tok tej fachowej dyskusji, rozglądała się za to ciekawie po ponurym westybulu. Pokoje, w których książki stanowią dużą część umeblowania, emanują na ogół spokojem i harmonią. Jednakże w tym pomieszczeniu niezliczone woluminy zdawały się stanowić cząstki potężnego chaosu. Głównie wskutek tego, że wiele z tych ksiąg nie miało okładek i ukazywało biel pierwszej lub ostatniej strony w zależności od tego, czy ustawiono je przodem czy tyłem do ściany. Ponadto z niemal co drugiej książki wysypywały się poszczególne kartki lub nawet całe pliki, a spowijający je kurz kazał przypuszczać, że czasy świetności miały już dawno za sobą. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli, pomijając wysoki kwadratowy stół drewniany i stojące pośrodku krzesło.

Dyskusja obu mężczyzn skończyła się raptownie, toteż Anna ukryła się za występem w murze. Najpierw w drzwiach pojawił się Johannes. Potrząsając gniewnie głową i mamrocząc jakieś niezrozumiałe słowa, poszedł schodami na górę, gdzie z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi.

Nieco później pojawił się drugi mężczyzna z plikiem akt pod pachą. Anna natychmiast go rozpoznała, ale to nieoczekiwane spotkanie sprawiło, że oniemiała, gdy z cienia wyszła wprost na niego. Oczywiście słyszała już kiedyś ten głos, przypomniawszy sobie więc: Guthmann.

Guthmann nie od razu ją poznał, ponieważ Anna, żeby ukryć opatrunek, ciągle jeszcze nosiła czarną chustkę zawiniętą jak turban na czole.

- Jestem Menas - Guthmann podszedł do Anny i skłonił głowę w pozdrowieniu.

- Menas? Pan jest profesorem Wernerem Guthmannem! - odparła Anna, która odzyskała równowagę. - I jest mi pan winien kilka słów wyjaśnienia.

Guthmann podszedł bliżej i z zakłopotaniem wyjąkał:

- Nie rozumiem...

- Nazywam się Anna von Seydlitz.

- Pani? - Profesor się przeraził. Spostrzegła, że zadrżał, a palcami wczepił się w akta.

- Ależ to niemożliwe! - wykrzyknął.

Niespodziewanie odzyskała pewność siebie. Zrobiła krok w stronę Guthmanna i zauważyła szyderczo:

- W tych murach wszystko jest możliwe. Czyż nie?

Guthmann skinął głową potakująco. Po tym, jak bezradnie ścisnął akta, można było poznać, że to spotkanie jest dla niego nie tylko przykre, lecz też

wyjątkowo nieprzyjemne. Anna nie zdziwiłaby się, gdyby dość oszołomiony profesor nagle uciekł.

- Jest mi pan winien wyjaśnienie - powtórzyła Anna dobitnie. - Zostałam panu kopię pergaminu zapisanego koptyjskim tekstem, a pan zamiast go przetłumaczyć, po prostu zniknął.

- Ostrzegłem panią — odparł profesor, nie reagując na słowa Anny. - Czy sprowadzono tu panią siłą?

- Sprowadzono? - Anna zaśmiała się sztucznie. - Przybyłam tu dobrowolnie. Chcę się dowiedzieć, co jest grane.

Guthmann patrzył podejrzliwie, nieomal bezradnie, a potem powiedział płaczliwie:

- Żaden rozsądny człowiek nie przyjeżdża dobrowolnie do Leibethry.

- Wobec tego czemu pan jest tutaj? - zapytała Anna.

- No cóż, ja również jestem tutaj dobrowolnie, jeśli można tak powiedzieć - przyznał profesor. - Zostałem skuszony... dobrze zastawiona przynęta zwabiła mnie w pułapkę.

- Więc co pan tu robi?

Guthmann pokiwał głową, jakby spodziewał się tego pytania, i odparł:

- Potrzebują mojej wiedzy i pracy...

- .. .ponieważ Vossius nie żyje, a był jedynym człowiekiem, który poznał tajemnicę Barabasz!

- Mój Boże, skąd pani wie?

- Panie profesorze - zaczęła Anna ceremonialnie - od paru miesięcy go nię za fantomem, który zostawił ślady w najrozmaitszych miejscach świata. Temu fantomowi na imię Barabasz. I jak się zdaje, wkradł się on do ewangelii, której bibliści do tej pory nie znali. Jest to, by tak rzec, piąta Ewangelia.

- Zbyt wiele pani wie! - wykrzyknął przerażony Guthmann. - Dlaczego nie zostawi pani tej sprawy?

- Nadal wiem zbyt mało. Przede wszystkim chcę poznać prawdę o podwójnym życiu mojego męża. Czy zna pan Guida von Seydlitza?

- Nie - odrzekł profesor.

- Właściwie powinnam zapytać: czy znał pan Guida von Seydlitza? Zginął w wypadku samochodowym, a ja zapłaciłam dwa i pół tysiąca marek za jego pochówek. Ale trzy dni temu on stał tutaj, na ulicy, i wołał mnie po

imieniu, a wcześniej rozsiadł się też w naszej domowej bibliotece. Już nie wiem, w co mam wierzyć. W każdym razie nie spocznę, póki nie będę miała pełnego obrazu tej sprawy.

Guthmann przez chwilę milczał, patrzył przed siebie na podłogę, a potem zapytał Annę:

- I po co pani tutaj przyjechała?

- To proste - odpowiedziała - mężczyzna, którego nazywa pan Ewangelistą, był pierwszym, którego tutaj spotkałam. Mówi się, że jest on niespełna rozumu i rzeczywiście czasami sprawia takie wrażenie. Kiedy jednak przed chwilą byłam świadkiem pańskiej dyskusji z nim... W każdym razie mam wrażenie, że on coś wie. Kim jest ten człowiek?

- Nazywa się Giovanni Foscolo, ale to jest bez znaczenia. To włoski jezuita i geniusz w swojej dziedzinie. Jest nowotestamentowcem i nie tylko zna na pamięć cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie, ale cytuje również z pamięci wszystkie listy apostoła Pawła do Rzymian, Koryntian, Galatów, Efezjan, Filipian, Kolosan, Tesaloniczan, Tymoteusza, Tytusa i Filemona, jak również Apokalipsę Świętego Jana. Przede wszystkim jednak zna wszystkie wzajemne odniesienia tych tekstów, czyli Mateusza 16,13 - 20 do Marka 8,21 - 30 czy Łukasza 9,18 - 21. To naprawdę geniusz.

- Stał tyle tych starych książek i foliałów! - zauważyła Anna i rozejrzała się po ponurym pomieszczeniu. - Dlaczego jednak wszyscy mówią, że to szaleniec, skoro jest geniuszem?

Guthmann wzruszył ramionami, ale Anna von Seydlitz odniosła wrażenie, jakby profesor chciał coś zataić.

- Czy jest możliwe - zapytała Anna powoli - że ów jezuita natknął się na jakąś wskazówkę, która sprawiła, że jego świat runął?

Profesor spojrzął na Annę z przerażeniem:

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- No cóż, skoro orficy zużywają tyle energii, żeby poznać tajemnicę piątej Ewangelii, i skoro Giovanni Foscolo był tak genialnym badaczem, to nie trudno sobie wyobrazić, że odstąpił fantom Barabasza i przez to zwariował.

Te słowa wprowadziły Guthmanna w niepokój, zaczął więc sortować swoje akta, a jego głos brzmiał niepewnie jak na początku rozmowy.

- Już i tak zbyt dużo wypaplałem - powiedział zakłopotany. - Poza tym czekają na mnie. Pani wybacz.

- Nie, panie profesorze! - zaprotestowała Anna. - Nie może pan tak po prostu zniknąć! Już raz zostawił mnie pan na lodzie.

Guthmann zaczął uspokajać Annę zamaszystymi ruchami rąk.

- Cicho. W Leibethrze wszystkie ściany mają uszy. Każdemu z nas by zaszkodziło, gdyby nakryto nas razem. Proponuję, abyśmy spotkali się tu jutro o tej samej porze.

I zanim jeszcze Anna zdążyła przystać na tę propozycję, Guthmann odwrócił się i zniknął.

10

Anna została znów sama z wiedzą, na której, gdy człowiek przyjrzał się jej bliżej, kurz osiadł niczym śnieg w zimowym krajobrazie. Podobnie jak w zimowym krajobrazie Giovanni Foscolo zostawił ślady w miejscach, z których wyjmował książki i z powrotem je tam odstawiał. Niektóre z tych śladów były świeże i pochodziły z tego lub poprzedniego dnia, inne znów ukrywały swój wiek pod nowym kurzem, ale już niedługo miały całkiem pod nim zniknąć.

Widniejące na grzbietach książek tytuły we wszystkich językach świata tańczyły przed oczami tajemniczego gościa. Anna czytała: *Mithras - Mysterien und Urchristentum*, *The Damascus — Fragments and the Origins of the Jewish-Christian Sect*, *Theologische Studien und Kritiken: Wann ist Mattheus 16, 17-19 eingeschoben?*, *Die Apokryphen Schriften zum Neuen Testament*, *Liber di Veritate Evangeliorum*.

Podobnie jak ubiór świadczy o człowieku, tak i grzbiety książek wskazywały na ich wiek i pochodzenie. Rzucano się jednak w oczy, że niektóre woluminy były oznakowane, gdyż namalowano na nich czarnym mazakiem lub atramentem litery O albo P. Im więcej tytułów odczytywała Anna, tym bardziej dochodziła do przekonania, że przechowywane tu księgi nie są zbożne i budujące. Wręcz przeciwnie: z regałów wyzierała swego rodzaju groza. Tak że Anna nieomal nie śmiała wyjąć z półki jednej z oznakowanych ksiąg o tytule *Die apokryphen Schriften zum Neuen Testament* (Pisma apokryficzne do Nowego Testamentu), przy czym na czarno była wymalowana początkowa litera D. Jednak przy pobieżnym przekartkowaniu księga ta nie zdradzała żadnej ekscytującej wiedzy, więc Anna odstawiła ją na miejsce.

Właśnie w chwili, gdy Anna zamierzała wejść stromymi schodami na ostatnie piętro, aby porozmawiać z Giovannim Foscolo, usłyszała kroki zbliżające się do domu, postanowiła więc ukryć się za jedną z wysokich półek z książkami. Dwaj umundurowani strażnicy, jakich Anna widziała już wcześniej w Leibethrze, weszli przez drzwi i bez zastanowienia skierowali się na najwyższe piętro. Anna usłyszała krótką, gwałtowną wymianę zdań i ze swojej bezpiecznej kryjówki, zasłonięta ścianą książek, mogła obserwować, jak strażnicy wyprowadzają chorego umysłowo jezuیتę.

Anna podążyła za mężczyznami w stosownej odległości. Rozumiała słowa, które Foscolo wykrzykiwał donośnym głosem w głąb nocy: „Błogosławiony, kto czyta słowa proroków, daje im posłuch i trzyma się tego, co jest tam napisane. Albowiem czas jest bliski”, nie wiedziała jednak, co mogłaby z nimi począć. Zdawało się, że Foscolo zna drogę, szedł bowiem przez opustoszałe ulice przed strażnikami w stronę dużego, jasno oświetlonego, wyglądającego na klinikę budynku z mlecznymi szybami i szklanymi drzwiami wejściowymi.

Foscolo tam zniknął, a za nim strażnicy. I chociaż przy wejściu nikt nie zagradzał drogi, Anna postanowiła nie wchodzić do środka. Złapała się na myśli, że jeśli Guido istotnie jeszcze żyje, to może przebywa za tymi murami.

Jedynymi ludźmi, którzy mogli jej pomóc rozeznać się lepiej w sytuacji, byli doktor Sargent i profesor Guthmann. Anna nie ufała lekarce. Również postać Guthmanna dawała powód do niepokoju, ale jego powściągliwość zdawała się jedynie dowodem na to, że wie o wiele więcej niż się do tego przyznaje.

Nazajutrz Anna poszła na spotkanie z profesorem. Nie zdziwiła się, że w otwartej bibliotece, w której poprzedniego wieczoru spotkała Guthmanna i Foscolo, pali się światło, chociaż nikogo w niej nie było. To było typowe dla Leibethry. Nikt nie mógł się tutaj czuć sam, nie obserwowany, nikt. Ciekawość zaprowadziła Annę na schody wiodące na wyższe piętra, ale chociaż wchodziła po drewnianych stopniach bardzo ostrożnie, te tak trzeszczały, że natychmiast zdradziłyby jej przybycie komuś, kto byłby w budynku.

Zatrzymała się na półpiętrze. Nastawiła uszu, a ponieważ nic się nigdzie nie poruszyło, zrobiła kolejne trzy kroki w kierunku zamkniętych drzwi. Postanowiła nie pukać, jak przystałoby osobie obcej — ale co w tym miejscu

znaczy „przystało” - i otworzyła drzwi. Ku jej zaskoczeniu pokój, w którym się znalazła, tonął w mroku. Anna dotknęła kontaktu, jasna lampa u sufitu zapaliła się, oświetlając skromnie umeblowany gabinet. Na szerokim drewnianym stole między dwoma oknami z widokiem na ulicę piętrzyły się akta, karty i papiery związane sznurkami. Ściana po prawej stronie była zaklejona kartkami, które tworzyły nieregularną mozaikę i były zapisane nieznanym Annie pismem przypominającym jednak znaki z pergaminu. Na prawej ścianie stała stara sofa z ceglastym wzorem geometrycznym, jaki często widuje się w Grecji.

Kiedy Anna zamknęła za sobą drzwi, przeraziła się, gdyż na gwoździu wisiał jeden z długich habitów, w których zwykł chodzić Foscolo. Bez wątpienia był to jego gabinet. Anna musiała zadać sobie pytanie, czy tak wygląda gabinet szaleńca. Rzekomy chaos panujący w papierach od ścian przez stół po podłogę, na której leżały sterty kolejnych akt, pozwalał bez trudu domyślić się pewnego systemu.

Gruby tom zainteresował Annę w szczególny sposób. Leżał na wierzchu jednej ze stert, był zapisany pismem maszynowym i nosił tytuł: *Marc Vossius. Das namenlose Grab von Minia in Mittelagypten und seine Bedeutung für das Neue Testament.* (Marc Vossius. Bezimienny grób w Minii w Egipcie Środkowym i jego znaczenie dla Nowego Testamentu.) To odkrycie doprowadziło Annę von Seydlitz do dwóch istotnych wniosków: po pierwsze Vossius był kluczową postacią w tej sprawie, po drugie zaś nieznaną dotąd ślad prowadził prawdopodobnie do Egiptu.

Podczas gdy podekscytowana kobieta przeglądała opasły maszynopis, którego treść była dla niej w większości nieczytelna i niezrozumiała, poczuła naraz, że ktoś za nią stoi. Chciała się odwrócić, ale strach ją sparaliżował. W chwili tego bezruchu czyjaś ręka chwyciła ją od tyłu za szyję i zanim jeszcze Anna zdążyła odeprzeć atak, ktoś przycisnął jej chustkę do ust i nosa, po czym straciła przytomność.

11

Zaczęła odzyskiwać świadomość w stanie pół snu, pół jawy. W każdym razie pamiętała późniejsze wydarzenia. Nie umiała jednak powiedzieć, czy tylko jej się śniły, czy też wydarzyły się w rzeczywistości. Nie wiedziała również, gdzie

się wszystko odbywało. Pamiętała jedynie kobietę, która wyłoniła się z mroku i podsunęła jej, leżącej tam z ciężkimi członkami, pod nos wahadło, które kołysało się tam i z powrotem.

Nieznamąca zaczęła potem mówić. Przemawiała do Anny cicho i dobitnie, ale chociaż jej twarz pozostawała w mroku, Anna poznała po głosie doktor Sargent. Głos brzmiał głucho, inaczej niż w zwyczajnych rozmowach, a oddech kobiety był ciężki, jakby musiała wykonywać jakąś pracę wymagającą ogromnego wysiłku.

Ton, jakim doktor Sargent przemawiała do Anny, działał na nią odpychająco, podobnie jak cała postać tej kobiety. I chociaż Anna nie była w stanie się poruszyć, broniła się przed nią z całych sił.

- Słyszycie mój głos?

- Tak - odpowiedziała Anna cicho, zauważając, że mówienie przychodzi jej z trudem.

- Czy widzicie to wahadło przed oczami?

- Tak, widzę je.

Anna istotnie je widziała, chociaż nie była pewna, czy ma oczy zamknięte, czy otwarte.

- Skupcie się na moim głosie, tylko na moim głosie. Wszystko inne niech będzie dla was odtąd bez znaczenia. Zrozumieliście mnie?

- Tak — odpowiedziała Anna nieomal mechanicznie. Nie chciała odpowiadać, ale nie mogła zachować się inaczej.

- Będziecie teraz odpowiadać na wszystkie moje pytania, a kiedy się obudzicie, nie będziecie niczego pamiętać.

Anna wypreżyła się, przeciwstawiając się z całą siłą woli, ale jakaś nieprzewidywalna siła wycisnęła z niej odpowiedź:

- Będę odpowiadać, a później nie będę niczego pamiętać.

Była zła sama na siebie i najchętniej zerwałaby się i wybiegła, zanim jednak zdążyła to pomyśleć do końca, znów opadł ją ołowiany ciężar, tak że leżała bez ruchu.

- Czego szukacie w Leibethrze? - napał na nią odpychający głos.

- Prawdy - odpowiedziała Anna spontanicznie. - Szukam prawdy!

- Prawdy? Tutaj nie znajdziecie prawdy!

Anna chciała zapytać: gdzie wobec tego, skoro nie tutaj? Poczowała jednak, że straciła zdolność zadawania pytań. Głos nie był jej posłuszny. Dlatego też niespokojnie czekała na następne pytanie doktor Sargent.

- Gdzie ukryliście pergamin? - zapytał głos donośnie i dobitnie.
- Nie wiem, o czym pani mówi - odparła Anna bez namysłu.
- Mówię o pergaminie z imieniem Barabasza!
- Nie znam go.
- Macie ten pergamin!
- Nie.

Anna czekała w napięciu na kolejne pytanie, ale doktor Sargent milczała. Anna nie wiedziała, gdzie jest, i chociaż bardzo się starała zidentyfikować choćby jeden odgłos, który mógłby dać jej wskazówkę co do miejsca, w którym się znajdowała, niczego nie słyszała i leżała jak głucha. Nie udała się próba otwarcia oczu, wszystko, co Anna chciała przeprowadzić zgodnie z własną wolą, kończyło się niepowodzeniem wskutek ciężkości członków. Anna pojęła, że doktor Sargent zamierzała wprowadzić ją w stan hipnozy i w ten sposób uczynić bezwolną.

Słowa lekarki rozbrzmiewały w jej głowie niczym złośliwe echo: „Gdzie ukryliście pergamin... pergamin... pergamin... pergamin...?”.

Anna myślała o tym po stokroć i dlatego również w tej sytuacji przyszła jej do głowy myśl: jeśli zdradzisz kryjówkę, w której schowałeś pergamin, twoje życie nie będzie warte złamanego grosza. Nic ci nie zrobią, póki nie wejdą w posiadanie pergaminu.

Anna nie umiała powiedzieć, jak długo leżała w tym paraliżującym odrętwieniu. Towarzyszyła jej jednak tylko ta jedna myśl, aby niczego nie zdradzić. Naraz, chociaż miała zamknięte oczy, dostrzegła nad sobą cień i głos doktor Sargent zabrzmiał na nowo:

- Będziecie teraz odpowiadać na wszystkie moje pytania i nie zataicie niczego z tego, co macie w pamięci.

Anna poczuła palce lekarki na swoich skroniach. Był to nieprzyjemny dotykanie, ale nie miała siły odwrócić się i stawić opór.

- Czy znacie treść pergaminu?

Anna odparła:

- Nie, nie znam.
- Ale macie kopię!
- Nikt nie potrafi jej odszyfrować.
- A oryginał?
- Nie wiem.
- Dobrze to wiecie!

Doktor Sargent rzuciła się na Annę, która poczuła, jak lekarka łapie ją za ramiona i potrząsa nią. Usłyszała groźny, zimny i wściekły głos: - Zastrzykami skłonimy ją do mówienia. Niczego więcej nie zapamiętała.

12

Obudziwszy się, Anna zobaczyła, że leży w zaciemnionym pokoju, w którym panuje nienaturalna cisza. Przeciągnęła się, usiłując w ten sposób pozbyć się ciężkości z członków. Ta sytuacja mogła napędzić człowiekowi śmiertelnego strachu, ale Anna nie czuła najmniejszego lęku. Całe pokłady strachu, jakie w sobie miała, zużyła w minionych tygodniach. I teraz, gdy tylko znalazła się w niebezpiecznej dla siebie sytuacji, wykazywała się odwagą, jakiej nigdy by u siebie nie podejrzewała. Wstała, po omacku doczłapała do maleńkiego promyka światła, który rysował się nieregularną kreską i wpadła na okno. Wymacała uchwyt, przekręciła i natknęła się na drewnianą okiennicę, którą uchyliła po odryglowaniu zamka.

Jasność przyprawiła Annę o ból oczu i trwało jakiś czas, zanim do niej przywykła. Najpierw zobaczyła tylko niebo. Kiedy jednak opuściła wzrok, głęboko w dole ujrzała górzystą okolicę, uświadomiła więc sobie, że znajduje się w górnej części miasta. Została zdekonspirowana, co skłoniło ją do myśli, że w ogóle nie zakradła się potajemnie do Leibethry, lecz od samego początku była obserwowana.

Anna nie widziała powodu, dla którego okiennica miałaby pozostać zamknięta, wpuściła więc do pokoju światło dzienne. Znajdowała się w nieomal pustym pomieszczeniu. Na gołej podłodze z desek stało potwornie brzydkie, pomalowane na biało żelazne łóżko. W drzwiach, jak zresztą we wszystkich drzwiach w Leibethrze, nie było zamka. Kiedy więc Anna wyjrzała na zewnątrz, jej oczom ukazał się nieskończenie długi korytarz z wieloma drzwiami.

Uznała, że lepiej będzie nie penetrować otoczenia. Już sam fakt, że również tutaj nie zamknięto jej na klucz, pozwalał się domyślić, jak pewni siebie są orficy. Najwyraźniej nie istniała możliwość ucieczki. Zresztą w obecnej sytuacji Anna była zbyt zmęczona. Od kiedy rzuciła się na żelazne łóżko, walczyła ze snem. Bolała ją głowa. Czuła się bardzo źle. Rozglądając się po tym

dziwnym pokoju, dostrzegła naraz krzesło, na którym leżało czyste i uprasowane ubranie. Dopiero teraz pani von Seydlitz zorientowała się, że ma na sobie długą, sztywną koszulę nocną z rodzaju tych, jakie nosi się w zakładach psychiatrycznych, i przeraziła się własnym wyglądem.

Jednak im dłużej patrzyła na ubranie - przy tym Anna przecierała oczy ręką, myśląc, że śni - tym gwałtowniejszy stawał się jej oddech, a żołądek podchodził do gardła i krew pulsowała w skroniach. Leżące na krześle rzeczy należały bowiem do Guida.

Podniosła się i ostrożnie, jak gdyby poszczególne części ubrania mogły naraz obudzić się do życia i ją zaatakować, podeszła do krzesła. Na oparciu wisiła marynarka, spodnie leżały na siedzeniu, a nogawki zwisały ku ziemi.

Początkowo Anna nie śmiała niczego dotknąć, potem jednak zebrała się w sobie i przeszukała marynarkę od wewnętrznej strony, wiedząc, że jest tam znak firmowy pewnego monachijskiego krawca. W istocie, to był garnitur Guida.

Upuściła marynarkę, jakby sparzyła sobie palce. Nagle stanął przed nią groźny obraz zmarłego męża. Poczula, że wpada w panikę. Co to za potworna, makabryczna gra, którą z nią prowadzi Guido albo orficy, albo kto się tam jeszcze za tym wszystkim kryje?

Chciała właśnie wyjść z tego zimnego pokoju, gdy na korytarzu usłyszała powolne i ciężkie kroki jakiegoś mężczyzny.

Guido!

Drżała na całym ciele. Czuła, jak kolana się pod nią uginają. Bezsilnie chwyciła się żelaznego łóżka i z rozszerzonymi oczami wpatrywała się w drzwi.

Im bardziej kroki się zbliżały, tym groźniejszy wydawał się ich odgłos. Zatrzymały się wreszcie pod drzwiami. Rozległo się pukanie.

Anna miała ściśnięte gardło. Nawet gdyby chciała, nie zdołałaby odpowiedzieć. Nie mogła złapać tchu, a przy tym patrzyła, jak ktoś powoli naciska kłamkę i drzwi się otwierają. Chciała krzyknąć, ale nie mogła, mogła tylko patrzeć, jak drzwi suną w jej stronę.

Przez kilka sekund stali niemo naprzeciw siebie: Anna i Tales. To był ten facet o rumianych policzkach i to on najpierw odzyskał mowę.

- Chyba mnie pani nie oczekiwała? - zapytał z tym bezwstydnym uśmiechem, który już знаła.

Jego szeroka różowa twarz zaróżowiła się jeszcze bardziej.

Anna, ciągle jeszcze niezdolna do wyduszenia z siebie jakiegokolwiek słowa, kręciła gwałtownie głową. Myślała, że przygotowała się już na przeżycie szoku jakiego przysporzy jej spotkanie z Guidem. Teraz jednak, kiedy widok męża został jej oszczędzony, musiała zrozumieć, że w żaden sposób nie dorosła do tej sytuacji. Pragnęła tylko jednego: żeby Guido był martwy, martwy, martwy!

- Od czasu naszego ostatniego spotkania w Berlinie - zaczął Tales z tym swoim uśmiechem - przysparzacie nam samych kłopotów. Nie ukrywam, że prowadzicie niebezpieczną grę, nawet bardzo niebezpieczną.

- Gdzie jest Guido?—wyjąkała Anna jakby w ogóle nie słuchała słów Talesa, a przy tym wskazała na ubranie znajdujące się na krześle. Niechęć, jaką od samego początku czuła do tego mężczyzny, przerodziła się teraz w nienawiść wystarczająco silną, żeby go zabić.

- Gdzie znajduje się pergamin? - zapytał niewzruszenie Tales, nie reagując na pytanie Anny, i dodał chłodno: - Oczywiście mam na myśli oryginał. - Przy czym z właściwą mu niezwykłą gwałtownością wydmuchiwał powietrze przez nos.

Kiedy zauważył, że Anna nie jest skłonna odpowiedzieć na jego pytanie, opamiętał się i rzekł z tym odpychającym rodzajem samoopanowania, które go cechowało:

- Byliście żoną Guida von Seydlitz? Czy nie powiedzieliście, że zginął w wypadku samochodowym?

Lodowaty chłód, z jakim Tales ją potraktował, drwiąc z niej okrutnie, sprawił, że Annę ogarnęło zwątpienie.

- Tak - odparła - w wypadku samochodowym.

- Powtórzę pytanie: gdzie jest pergamin? Jeśli chcecie, możemy wynegocjować dowolną kwotę. No więc?

- Nie wiem - skłamała Anna, starając się okazać podobne opanowanie jak jej rozmówca. W każdym razie następne, wypowiedziane przez nią słowa zabrzmiały nad wyraz prowokacyjnie: - A choćbym nawet wiedziała, to nie jestem pewna, czy bym to panu wyjawiała.

- Nawet za milion?

Anna wzruszyła ramionami.

- Czymże jest milion w porównaniu z ocaleniem życia wartego tyle, co cała wiedza na temat tego pergaminu. Czy serio myśli pan, że umknął

mojej uwadze fakt, iż wszyscy, którzy wiedzieli o istnieniu pergaminu, marnie skończyli? Istnieje tylko jedno wyjaśnienie tego, że ja wciąż pozostaję przy życiu.

Tales nie sprawiał wrażenia człowieka, który chciałby długo rozważać słowa Anny. Potrząsnął gniewnie głową, a gest ten oznaczał, że nie ma ochoty odpowiadać na zastrzeżenia pani von Seydlitz. Był jednak zbyt inteligentny, żeby natychmiast nie zmienić strategii rozmowy - Anna von Seydlitz miała rację, posiadała lepsze karty, w każdym razie Tales był o tym przekonany. W tej sytuacji wiedział dobrze, iż groźbami nic u niej nie wskóra.

Dlatego też zmienił ton i z nienaturalną uprzejmością zaczął opowiadać, że od czasu przybycia do Thessaloniki jest ona obserwowana przez orfików, a kiedy spostrzegł na jej twarzy wyraz z wątpienia, dodał z uśmiechem:

- Myślę, że trochę mnie nie doceniacie. Czy naprawdę myślicie, że udało się wam zakraść do Leibethry niepostrzeżenie?

- Tak - odparła Anna z wyzywającą szczerością - w każdym razie nie było nikogo, kto by mnie nakrył i przeszkodził mi wejść do tego miasta.

Wściekły jak podrażniony byk, Tales wypuścił powietrze przez nos:

- Jeśli wkroczyliście do Leibethry, to stało się to na m o j e życzenie - parsknął. Ale już w następnej chwili znów przywołał na usta ten odpychający uśmieszek: - Georgios Spiliados, piekarz z Katerini, który was tutaj przywiózł, jest jednym z nas. To tak na marginesie.

- Ależ to niemożliwe - zawołała przerażona Anna von Seydlitz.

- Mówię przecież, że mnie nie doceniacie. Tutaj, w Leibethrze, nic nie jest pozostawione przypadkowi. Wszystko, co się tu dzieje, dzieje się dlatego, że tego chcemy. Czy myśleliście, że uda się wam tutaj wśliznąć ukradkiem? Ta myśl jest równie absurdalna jak pomysł, że komuś uda się stąd zbiec. Spróbujcie tylko, ale wasza próba na pewno spali na panewce. Jedynie głupiec by się na to zdecydował. Widzicie przecież, że w Leibethrze nie ma zamkniętych drzwi. Bo po co?

Anna nie mogła pogodzić się z myślą, że Georgios należy do orfików.

- Georgios nie wypowiadał się o panu w samych superlatywach - powiedziała w zadumie - i długo musiałam go przekonywać, żeby chciał mnie tutaj przywieźć. Dobrze mu zapłaciłam.

Tales wyszczerzył zęby w uśmiechu i wzruszył ramionami, po czym w jednym geście ukazał wewnętrzną stronę dłoni.

- Każdy środek jest dla nas dobry, żeby dotrzeć do celu, rozumiecie to?

Anna mogła się z tym tylko zgodzić, ale milczała. Zbyt wiele myśli chodziło jej po głowie. W końcu zadała Taksowi pytanie:

- Co pan zrobił z Guidem, z Vossusem i Guthmannem? Żądam odpowiedzi!

Twarz Talesa spochmurniała, ale powiedział:

- Do jednego musicie się przyzwyczaić: w Leibethrze nie zadaje się pytań, tylko się słucha. Pod tym względem jesteśmy całkiem normalnym chrześcijańskim zakonem. Ale tylko pod tym względem.

- Rozmawiałam z profesorem Guthmannem - zaczęła Anna.

- Z bratem Menasem - poprawił Tales i dodał: - Wiem.

- Był dość nieufny.

- A nie powinien?

- Mam wrażenie, że Guthmann się boi.

- Menas to tchórz.

- Ale znakomity naukowiec.

- Zależy, jak się na to patrzy.

- I pan potrzebuje jego doświadczenia.

- To prawda.

- Nie uważa pan, że już pora powiedzieć mi prawdę?

- Znow zadajecie pytanie - odparł Tales. - Poza tym znacie prawdę. Wiecie, o co chodzi: w pewnym grobie znaleziono koptyjski pergamin, na którym została zapisana piąta Ewangelia. Niestety, znaczenie tego pisma zrozumiano nazbyt późno, kiedy jego poszczególne części były już rozsiane po całym świecie. - Tales podszedł do okna i skrzyżował ręce na plecach. Wyglądając przez okno, ciągnął: - Ten dokument może złamać potęgę Kościoła katolickiego. Tym pergaminem zniszczymy Kościół katolicki!

Głos Talesa brzmiał głośno i hałaśliwie. Anna jeszcze nigdy takim go nie słyszała.

- Ja również nie jestem zwolenniczką Kościoła - zauważyła - ale przez pana przemawia bezkresna nienawiść.

- Nienawiść? - odparł Tales. - To coś więcej niż nienawiść, to pogarda. Człowiek jest istotą boską. Ale ci, którzy uzurpują sobie prawo do przema-

wiania w imieniu Boga, przeczą wszelkiej boskości. Dwa tysiące lat dziejów Kościoła to dwa tysiące lat upokorzenia, wyzysku i walki z postępem. Klechy przez całe wieki wznosiły olbrzymie katedry, ku chwale Bożej, jak mówili, w rzeczywistości kryła się za tym idea uciskania chrześcijan, ukazywania im ich małości i znikomości. Poczucie znikomości uniemożliwia myślenie, a myślenie to trucizna dla Kościoła. Kościół utrzymuje się przy życiu dzięki nakazom. Jego nauka to nakazy i dawanie posłuchu. A wszystko pod hasłem wiary. Wiara jest łatwiejsza niż myślenie. Kto pyta rozum w kwestiach wiary, otrzymuje niechrześcijańskie odpowiedzi. I właśnie dlatego Kościół od początku swojego istnienia przeciwstawia się postępowi i wiedzy. Wiedza to koniec wiary. Wszystkie bzdury, jakie Kościół rozpowszechnia, załatwiano do tej pory jednym słowem: wiara. Zawsze gdy ktoś występował przeciw Kościołowi, oskarżano go o brak wiary. A nie istnieją dowody przeciw wierze, tylko przeciw niewierze. - Tales odwrócił się do Anny. - Ten pergamin to dla Kościoła materiał wybuchowy, który z dnia na dzień zlikwiduje jego potęgę, rozumiecie?

Anna rozumiała, nie mogła jednak pojąć, dlaczego akurat pergamin, w którego posiadaniu była, miałby być aż tak doniosły. Nie ośmieliła się jednak o nic zapytać, nie chcąc pośrednio dać do zrozumienia, iż dokument jest jednak w jej posiadaniu. Jakie znaczenie dla sytuacji Kościoła ma Barabasz?

- Proponuję wam milion! - dotarły do Anny słowa Talesa. - Zastanówcie się dobrze. Wcześniej czy później i tak zdobędziemy ten dokument. Wtedy jednak wy nie będziecie z tego nic mieli.

To powiedziawszy, Tales wyszedł z pokoju, a jego kroki rozbrzmiały na długim korytarzu.

Jeśli, jak mówił Tales, pergamin jest materiałem wybuchowym, to ten dokument powinien mieć dla Kościoła katolickiego o wiele większą wartość niż dla orfików. Anna przeraziła się na samą myśl o tym.

13

Wprawdzie Anna wiedziała już, o co chodzi orfikom, ale nie uzyskała żadnych informacji o Guidzie. A przecież był tutaj jego garnitur, spodnie i marynarka. Kiedy tak trwożliwie wpatrywała się w te części garderoby, jakby tylko

czekała, kiedy ożyją, wpadła na pomysł, że z braku własnego ubrania włoży ten garnitur i na własną rękę zwiedzi górną część Leibethry.

Pomysł był tak zuchwały i przyszedł Annie do głowy tak nagle, że nawet jej się spodobał, ba, wręcz uśmiechnęła się pod nosem na myśl o tym, że Guido nie będzie mógł się pojawić dopóty, dopóki ona nosi jego ubranie. Istnieje teoria, że lęk można pokonać tylko poprzez oswojenie przedmiotu lęku. Na przykład lęk przed żmijami przez dotknięcie żmii, lęk przed lataniem poprzez wykształcenie lotnicze. W stroju Guida Anna naraz przestała się bać jego zjawy, a nawet postanowiła, że w końcu dogłębnie zbada tę makabryczną grę.

Długi korytarz, na który wychodziło się z jej pokoju, był odgradzony z obu stron nieprzejrzystymi oszklonymi drzwiami, ale i one były otwarte. Wszystko tu przypominało szpital. W środku znajdowała się swego rodzaju dyżurka lekarska czy pielęgniarska z przesuwanymi oknami wychodzącymi na korytarz. Pokój był pusty. Anna ciekawie przycisnęła ucho do drzwi, ale nie usłyszała żadnego dźwięku. Samotność przyprawia o niepokój, toteż Anna zaczęła otwierać wszystkie drzwi po kolei. Potwierdziło się jej przypuszczenie, że jest to oddział szpitalny, ale bez pacjentów.

Wyzierająca zewsząd pustka mogłaby przyprawić normalnego człowieka o szaleństwo i z pewnością, pomyślała Anna, kryje się za tym jakaś metoda. W każdym razie kiedy stwierdziła, że nikogo tu nie ma, zaczęła najpierw ostrożnie, a potem coraz szybciej i gwałtowniej otwierać i z powrotem zamykać kolejne drzwi na tym bezkresnym korytarzu.

W ostatniej sali po przeciwległej stronie niż jej pokój Anna zatrzymała się przerażona. Wcześniej zajrzała do trzydziestu, a może nawet czterdziestu pustych sal, ale teraz natrafiła nagle na taką, w której leżał pacjent. Podeszła bliżej.

- Adrian!

Tym pacjentem był Adrian Kleiber.

Bywają sytuacje, które zaskakują człowieka do tego stopnia, że nie jest się zdolnym do żadnej jasnej myśli, a rozum wzdraga się przyjąć rzeczywistość do wiadomości. Właśnie w takiej sytuacji Anna znalazła się w *tej* chwili. Jedyne, co mogła z siebie wydobyć, to:

- Adrian! – I jeszcze raz: - Adrian!

Kleiber wyglądał apatycznie, sprawiał jednak wrażenie znacznie mniej zaskoczonego niż ona i uśmiechał się uprzejmie. Nie było wątpliwości: był pod wpływem narkotyków.

- Adrian, poznajesz mnie? - zapytała Anna.

Skinął głową, a po chwili powiedział:

- Oczywiście.

Kiedy patrzyło się na nią w męskim przebraniu i z krótko ostrzyżonymi włosami, wcale nie było to takie oczywiste.

- Co oni z tobą zrobili? - zapytała wściekle.

Kleiber podwinął lewy rękaw piżamy i spojrzął na swoje przedramię pokłute igłami.

- Przychodzą dwa razy dziennie - powiedział znużony.

- Kto? - zapytała wzburzona Anna, a nad jej oczami utworzyła się pionowa zmarszczka.

- Nikt nie przedstawiał się imieniem ani nazwiskiem - zmusił się do uśmiechu.

Tymczasem Anna zrozumiała całą doniosłość sytuacji, przypuściła więc szturm i zasypała Kleibera tysiącem pytań. Odpowiadał z trudem, ale przytomnie. W ten sposób dowiedziała się, że uprowadził go oddział orfików i jakimiś egzotycznymi drogami przewiózł przez Marsylię do Salonik.

- Ależ to jakiś obłąd! - wybuchnęła. - Na pewno szuka cię Interpol. Nie można tak zniknąć z dnia na dzień, przynajmniej nie taki człowiek jak ty!

Kleiber machnął lekceważąco ręką.

- Ci ludzie to zimni gangsterzy. Najprawdopodobniej obserwowali mnie i śledzili całymi dniami. W każdym razie wiedzieli, że mam bilet lotniczy do Abidżanu. Znali datę wylotu i numer biletu, a kiedy przyjechałem na lotnisko Le Bourget, porwali mnie do auta. Później straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, znajdowałem się z trzema mężczyznami ubranymi jak księża w limuzynie zmierzającej do południowej Francji. Nikt nie będzie mnie szukał. Oficjalnie poleciałem na Wybrzeże Kości Słoniowej.

- A jak długo już tu jesteś?

- Nie wiem. Pięć, sześć dni, może dwa tygodnie. Straciłem poczucie czasu. To te przekłete zastrzyki.

- A przesłuchania? Czy próbowali coś z ciebie wydobyć?

Kleiber z trudem chwycił powietrze. Widać było, jak się męczy, żeby odzyskać w pamięci jakiekolwiek wspomnienie, jak próbuje nie okazać słabości. Wreszcie pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie było przesłuchań, w każdym razie nie pamiętam, żeby ktokolwiek mnie o coś wypytywał albo molestował. Chyba bym pamiętał?

Anna zauważyła z pewną goryczą:

- Ci ludzie tutaj znają się na narkotykach, a istnieją środki, które na pewien ograniczony czas wyłączają mechanizm zapamiętywania. Ale tym samym paraliżują również pamięć, co jest mało użyteczne dla ludzi z Leibethry. Nie, myślę, że chcą cię najpierw uczynić bezwolnym, a w pewnym momencie zaczną wszystko z ciebie wyciskać.

Adrian chwycił Annę za rękę. Przyjaciel, który zazwyczaj potrafił sprostać każdej sytuacji i miał mnóstwo pomysłów, robił wrażenie żałośnie bezradnego. Widząc go takim, Anna poczuła nagle przyływ głębokiej sympatii do Kleibera. Zdawało jej się, że w oczach tego światowca i dziennikarza widzi błaganie o pomoc. Chwyciwszy dłońmi jego prawą rękę, Anna wyszeptła:

- Bardzo mi przykro z powodu tamtej sytuacji w San Diego.

Adrian skinął potakująco głową jakby chciał powiedzieć: to ja żałuję. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Potrzeba niezwykłych sytuacji, aby znaleźć drogę do siebie, i zapewne oboje myśleli teraz o tym samym: o nocy w monachijskim hotelu, gdy nieoczekiwanie dla obojga, w przypiływie szaleństwa wywołanego pojawieniem się Guida w jego gabinecie, kochali się na podłodze. Rzeczywiście obojgu przyszła do głowy ta sama scena, gdyż Adrian natychmiast zrozumiał, co Anna ma na myśli, mówiąc niespodziewanie:

- On jest tutaj. Widziałam go dwa razy.

- I myślisz, że to naprawdę on? - zapytał Kleiber, patrząc na jej męskie ubranie.

- Sama nie wiem, w co mam wierzyć. Zresztą jest mi to już obojętne. Wszystko jest możliwe. Fakt, że ty tu jesteś i że z sobą rozmawiamy, jest nie mniej zwariowany. Kiedy cię zobaczyłam, w pierwszej chwili zwątpiłam w swój rozum, podobnie jak wtedy, gdy ujrzałam Guida.

- Anno — powiedział Kleiber i jeszcze mocniej ścisnął jej rękę - co ci ludzie zamierzają z nami zrobić?

Ton jego głosu zdradzał strach. To nie był Adrian, którego знаła, to był wrak człowieka, dręczony tysiącem lęków. Choć sama niewolna od strachu, Anna von Seydlitz była w dużo lepszej kondycji. Jej emocje przekroczyły już ową barierę, gdy strach przeradza się we wściekłość, wściekłość na tych, którzy go wywołali.

- Nie musisz się obawiać - powiedziała. - Póki niczego im nie wypaplasz, nic ci nie zrobią. Nie przywieźli cię tutaj, żeby cię zabić, bo to równie dobrze mogli zrobić w Paryżu. Pomyśl tylko o Vossiusie. Nie, przywieźli cię tu, bo chcą się dowiedzieć, gdzie został ukryty pergamin. A dopóki tego nie wiedzą i myślą, że mógłbyś udzielić im w tej sprawie decydującej wskazówki, nie musisz się niczego obawiać, słyszysz?

- Ale co my możemy zrobić? Wcześniej czy później wycisną z ciebie całą wiedzę. Oni się nie cofną przed niczym. Co powinniśmy uczynić?

Na twarzy Kleibera malowała się rozpacz.

- Przede wszystkim nie wolno nam poddawać się losowi! - odparła Anna, dodając mu otuchy. - Musimy spróbować się stąd wydostać.

- To niemożliwe - zauważył - oni są tak pewni siebie, że nawet nie czują potrzeby zamykania drzwi swoich więzień.

- To jest nasza szansa, może nawet jedyna.

14

Anna przysunęła się bliżej Adriana Kleibera i dalszy ciąg rozmowy odbyli szeptem.

- Od kilku dni obserwuję z mojego okna małą towarową kolejkę linową. Kursuje nieregularnie i jest do niej swobodny dostęp.

- Masz na myśli... - Kleiber spojrział na Annę.

- Adrianie, to nasza jedyna szansa! Nie całkiem bezpieczna, ale widziałam, że tą drewnianą gondolą transportują również beczki z oliwą. Beczka oliwy waży tyle co ty i ja razem wzięci. Myślę, że ryzyko śmierci tutaj jest o wiele większe niż ryzyko związane z ucieczką.

Skinął apatycznie głową, a po chwili namysłu, która najwyraźniej kosztowała go sporo wysiłku, powiedział smutnym głosem:

- Natychmiast bym się do ciebie przyłączył, ale to niemożliwe. Nie dam rady. Te zastrzyki odbierają możliwość wszelkiego działania. Spróbuj sama. Może później uda ci się wyciągnąć mnie stąd w inny sposób?

Ktoś zbliżał się długimi korytarzami.

- To lekarka z kolejnym zastrzykiem dla mnie - powiedział osowiale Kleiber.

Ta uwaga zdenerwowała Annę. W żadnym wypadku nikt nie może jej tutaj spotkać. Wtedy wszystko by się skończyło.

To, co stało się w następnej chwili, dla samej Anny było zagadką. Nie zaplanowała tego wcześniej, więc kiedy później o tym myślała, musiała sama do siebie poczuć szacunek. Z drugiej strony jej zachowanie tylko potwierdzało starą prawdę, że ludzie zapędzeni w kozi róg albo znajdujący się w sytuacji bez wyjścia są zdolni do niewiarygodnych czynów. Podobnie było z Anną von Seydlitz - bez namysłu stanęła za drzwiami i poczekała, aż się otworzą.

Anna poznała przybyłą również od tyłu: była to niska, ociężała lekarka z jej sali. Najwyraźniej otrzymała zadanie, by pozyskać sobie zaufanie kobiety. Doktor Sargent niosła w ręce strzykawkę z igłą. Anna bez namysłu chwyciła ręcznik, który wisiał na haku za drzwiami, zarzuciła go kobiecie na głowę i ściągnęła oba jego końce. Kobieta wydała z siebie stłumiony krzyk, strzykawka upadła na podłogę, nie tłukąc się. Anna z całych sił ścisnęła ręcznik i odcięła lekarce dopływ powietrza. Ta była tak zaszokowana, że w ogóle nie dała odporu atakowi i po chwili sztywna jak deska opadła na podłogę.

Adrian z szeroko otwartymi oczami obserwował tę niespodziewaną scenę. Teraz jednak, kiedy zobaczył, że lekarka leży na ziemi, wyskoczył z łóżka i pospieszył Annie z pomocą. Ta jednak podziękowała mu za nią i syknęła cicho:

- Ten potwór już nigdy nic ci nie zrobi!

Dopiero gdy wykrzyknął z z troskaniem: „Przestań, przecież ją zabijesz”, Anna opamiętała się i rozluźniła ręcznik wokół szyi lekarki, która strasznie rzeziła i chwytiała powietrze jak ryba na lądzie. Nie chciała zabić tej kobiety, ale wściekłość, wyraz jej instynktu samozachowawczego, ciągle jeszcze się ulotniła. Podniosła strzykawkę i wbiła ją lekarce w udo.

Kleiber patrzył na Annę pełnym podziwu wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: nigdy bym cię o to nie podejrzewał. W końcu jednak zapytał bojaźliwie:

- I co teraz będzie?

Leżąca na podłodze kobieta jęczała cicho. Anna uklękła przy niej, a Adrian kucnął obok głowy lekarki.

- Jak to jest po takim zastrzyku? - zapytała Anna.

Kleiber głęboko zaczerpnął powietrza i odpowiedział ociężale:

- Przez pierwsze dwie, trzy godziny unosisz się jak na obłoku. Widzisz wszystko z daleka, ale nie jesteś w stanie zareagować. Jesteś bezwolna. Chcesz na przykład coś powiedzieć, ale nie możesz, chcesz wstać, ale nogi cię nie słuchają. Jest to stan całkowitej apatii.

Anna zareagowała lodowato:

- Dobrze, wobec tego nie musimy się jej obawiać, w każdym razie nie przez najbliższe dwie godziny.

Kleiber przytaknął głową.

- Jak się czujesz?

- Bardzo dobrze - skłamał.

Anna chwyciła go za ramiona.

- Musi nam się udać! Jeśli złapią nas po drodze, zabiją nas! Nie mamy innego wyboru, rozumiesz?

Adrianowi puls bił szybciej. Zrozumiał, że musi być teraz niezwykle czujny i zmobilizować wszystkie siły. Nie było czasu na rozmyślania. Ufał Annie. Z nią ucieczka musi się udać. Był o tym przekonany.

- Chodź, złap ją! - poleciła Anna i chwyciła niską, przysadzistą kobietę za nogi. Adrian złapał ją za ramiona i w ten sposób rzucili nieprzytomną na łóżko. Przykryli ją tak, że ktoś, kto spojrzałby przelotnie przez drzwi, mógłby pomyśleć, że leży tam Kleiber. Adrian natomiast wskoczył szybko w swoje ubranie. Chusteczkę do nosa, która upadła na podłogę, Anna natychmiast schowała. Potem wzięła Adriana za rękę i powiedziała:

- Chodź!

I opuścili salę.

15

Podczas swoich wypraw rozpoznawczych po labiryncie górnego miasta Anna von Seydlitz już pierwszego dnia wypatrzyła małą drewnianą przybudówkę, w której wisiała gondola transportowej kolejki linowej. I już pierwszego dnia

Anna rozważała, czy nie wykorzystać tego środka lokomocji do ucieczki. Podobnie jak wszystkie drzwi w Leibethrze, również dostęp do stacji kolejki nie był strzeżony. Puste beczki, skrzynki i worki piętrzyły się aż po sufit ciasnego pomieszczenia, czekając na transport do doliny. Cóż mogło być prostszego niż naciągnąć jeden z takich worków na głowę i w takim przebraniu zjechać do doliny?

Podeksycytowany Kleiber sprawdzał urządzenie elektryczne, które w porównaniu z pozostałym technicznym wyposażeniem Leibethry wyglądało raczej prymitywnie: masywna ręczna dźwignia ze staroświeckim porcelanowym uchwytem sterowała napięciem elektrycznym, dwie strzałki znaczyły drogę „pod górę” i „do doliny”, a jedyna trudność, stwierdził Adrian, będzie polegała na tym, żeby przestawić wajchę i wskoczyć na nadjeżdżającą gondolę, zawieszoną na czterech łańcuchach skrzynię bez daszka. Wtedy, powiedział Kleiber, będą musieli zniknąć w workach i znieruchomieć, gdyż otwartą gondolę można obserwować z górnej części miasta. Czy Anna wie, w którym miejscu w dolinie znajduje się stacja tej kolejki?

Anna uśmiechnęła się przebiegle.

- Człowiek, który mnie tu przywiózł, należy, o czym nie wiedziałam, do orfików. Od samego początku był na mnie nastany. Dowiedziałam się tego dopiero tutaj. Popełnił jednak błąd. Kiedy wjeżdżaliśmy pod górę, pokazał mi stację w dolinie. Znajduje się ona na uboczu, za strażnicą przy wejściu do dolnej części miasta.

Adrian zaczął wymachiwać rękami w powietrzu.

- To pułapka, pułapka.

- Nie wydaje mi się - odparła Anna spokojnie - chociaż po tych ludziach można się wszystkiego spodziewać. Boisz się?

Zamiast odpowiedzieć, Kleiber wziął Annę w ramiona. Czuła, że się boi, a jeśli miała być szczerą, musiała przyznać, że i ją ogarnął lęk. Co się stanie, gdy ktoś odkryje ich ucieczkę? A oni będą się akurat znajdowali w połowie drogi, między niebem a ziemią? Anna wołała o tym nie myśleć.

Kiedy tak trzymała Adriana w ramionach, naszły ją znowu uczucia, które się w niej nagromadziły, a które w ostatnich tygodniach udawało jej się skutecznie tłumić. Kochała tego mężczyznę, chociaż nie miała odwagi wyznać mu swojej miłości. Tym bardziej w tej sytuacji. Na dworze zaczął padać deszcz. Grube krople bębniły o blaszany dach, a od strony doliny pełzły w górę pasma

mgły. Anna skrzywiła się i sceptycznie spojrzała w dół.

- Do diabła, na dodatek jeszcze to.

- Dlaczego? - odparł Kleiber. - Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. - Wyciągnął spod worków zieloną plandekę. - Ukryjemy się pod tą plandeką, tak że nikt nie będzie niczego podejrzewał.

- Masz rację - odparła Anna, podczas gdy Kleiber, który stał się bardziej ruchliwy, zajął się włącznikiem elektrycznym.

- Jest pewien problem - mruknął Adrian w zamyśleniu.

- Jaki? - Anna podeszła bliżej.

- Kiedy przesunę dźwignię, gondola odjedzie, ale beze mnie.

- Hm. - Anna się zadumała. - I co teraz?

- Mam pewien pomysł - powiedział Kleiber, rozglądając się po ciasnym pomieszczeniu.

- Jaki?

- Potrzebny mi jest kawałek drutu albo mocnego sznura.

- Tutaj! - wykrzyknęła Anna, wskazując na linę służącą do mocowania plandek.

Kleiber wziął linę i zaczął przywiązywać jeden jej koniec do drążka wajchy. Następnie poprowadził ją pionowo w dół przez klamkę szafki z narzędziami i prosto do gondoli. Anna nie mogła wyjść z podziwu.

- To jest genialne. Tak, to musi zadziałać. Genialne w swej prostocie!

Kleiber się roześmiał.

- To się okaże. Ja w każdym razie nie widzę innej możliwości.

Zaczął wiać wiatr. Wył, wciskając się przez szczeliny w tej górskiej stacji, a zatroskana Anna wyglądała na zewnątrz. Adrian załadował puste worki do gondoli, rozpostarł nad tym plandekę i rzucił Annie spojrzenie.

- Wsiadamy! Boisz się? - zapytał z uśmiechem, chcąc dodać jej otuchy.

Nie odpowiedział mu, Anna wdrapała się do gondoli i wskoczyła pod plandekę. Adrian podał jej linę prowadzącą do przełącznika, a następnie sam wskoczył do rozkotysanej gondoli i umościł się najwygodniej, jak tylko się dało. Przez kilka chwil milczeli oboje, ze wzrokiem skierowanym ku dolinie, gdzie zbierało się na burzę.

Aby dodać sobie odwagi, Anna powiedziała:

- Za dziesięć minut będzie po wszystkim.

Kleiber zaś rzucił ironicznie:

- A tam, na dole, będzie już na nas czekał komitet powitalny.

I pociągnął za linę.

Drażek dźwigni opadł z przeraźliwie skrzypiącym dźwiękiem, a drewniana gondola ruszyła, trzęsąc się i zacinając. Anna i Adrian naciągnęli plan-deki na głowy, ale zostawili szczelinę, przez którą mogli spoglądać w dół doliny. Deszcz zaczął padać gwałtowniej i uderzał z łoskotem o plan-dekę. Gondola chwiała się w gwałtownych porywach wiatru. Wystraszona Anna ścisnęła rękę Kleibera. Czy to pod wpływem działających ciągle narkotyków, czy też Adrian odnalazł w sobie na powrót odwagę, w każdym razie jego obawy gdzieś się rozwiały. Wydawał się zdecydowany na wszystko, bo przecież gorzej być nie mogło.

Nie przebyli nawet pięćdziesięciu metrów tą rozchybotaną skrzynią, gdy Anna zaczęła gwałtownie drżeć. Powiedziała cicho: „Tylko nie patrzeć w dół” i zamknęła oczy. Im bardziej gondola oddalała się od stacji, tym gwałtowniej kołysało ją na wszystkie strony, na boki, w górę i w dół. Spojrzenie wstecz na skalne miasto pod zasłoną deszczowych ścian uzmysłowiło Kleiberowi ogromne rozmiary Leibethry z wieżami i dziwacznymi nadbudówkami, które przy tej pogodzie przypominały raczej opuszczone zamczysko Frankensteina niż klasztor.

Tymczasem gondola dotarła do miejsca, z którego nie było widać stacji ani w górze, ani w dolinie, tak że Kleiber z trudem mógł się zorientować, czy ich pojazd jeszcze w ogóle jedzie w dół. Gwałtowne kołysanie dopełniało reszty.

- Stoimy! - zawołała Anna, otworzywszy na chwilę oczy. - Wyłączyli!

Kleiber przycisnął dłonią usta Anny.

- To tylko tak wygląda. Uspokój się, za parę minut będzie po wszystkim.

Objął ją ramieniem. Anna oddychała pośpiesznie, bo czuła mdłości. Niezdolna do jakiegokolwiek sensownej refleksji, myślała tylko: niechże ten horror się wreszcie skończy! Jeśli zauważono ich ucieczkę i chciano sprowadzić gondolę z powrotem, to niech się to stanie zaraz, byleby tylko poczuć grunt pod nogami!

Jeśli chodzi o Adriana Kleibera, to ze względu na zawód przywykł do niezwykłych sytuacji, a odwaga i ryzyko były jego częstymi towarzyszami. Przede wszystkim jednak w tej sytuacji mógł popisać się przed Anną. Już

dawno zaobserwował, że kółka na stalowej linie, na których wisiła gondola, obracają się, wioząc ich w dół. Jednakże poczucie pewności, w którym pływał się Kleiber, raptownie przysło.

Przed nimi wyłonił się z mgły dźwigar kolejki i zanim się obejrzeni, drewniana gondola uderzyła z trzaskiem o żelazny wspornik. Zwrócona w stronę słupa boczna ściana gondoli, przy której siedział Kleiber, roztrzaskała się i zraniła go w prawe udo, aż krzyknął. Widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, instynktownie przycisnął Annę do siebie, aby nie wypadła z otwartej gondoli. Prawdopodobnie to właśnie uratowało mu życie, gdyż odwrócił się przy tym od zewnętrznej ściany. Udo go bolało, a kiedy zasłonił twarz ręką, którą wcześniej uciskał nogę, była cała czerwona od krwi.

- Jesteś ranny! - zawołała Anna histerycznie.

- Nie ma o czym mówić - odparł Kleiber z udawanym spokojem. Nie wiedział, jak wygląda rana na jego udzie, czuł tylko kłujący ból. Spojrzał na Annę i zobaczył, że ona płacze z zamkniętymi oczami. Uznał, że w tej sytuacji lepiej nic nie mówić. Z utęsknieniem wyczekiwał chwili, gdy dotrą do stacji w dolinie.

Nierzeczywista niczym jakaś osobliwa zjawia wyłoniła się naraz przed nimi drewniana szopa, prymitywna budowla z desek z dużym ciemnym otworem. Ani Anna, ani Adrian nie mieli najmniejszego pojęcia, w jaki sposób zatrzymać gondolę.

- Wskoczyć - zawołał Adrian i odrzucił plandekę na bok - musi my wskoczyć!

Jednakże Anna z szeroko otwartymi oczami zaparła się o przednią ścianę gondoli, niezdolna się podnieść. Odległość od ziemi wynosiła jedynie dwa lub trzy metry, skok z tej wysokości był absolutnie bezpieczny, ale Anna nie mogła się na to zdobyć. I podczas gdy Adrian chwycił ją za ramiona i usiłował wypchnąć za burtę gondoli, wołając bez przerwy: „Chodź, dasz radę, na pewno dasz radę”, chybotający się pojazd nagle silnie o coś uderzył. Od strony liny nośnej dało się poczuć drzenie, a później zaległa cisza. Jedynie deszcz bębnił o blaszany dach.

Spazmatyczny skurcz Anny ustępował powoli. Adrian rozejrzał się po szopie, w której wylądowali. Pomieszczenie przypominało stację kolejki na górze. Również tutaj stały sterty skrzyń, worków i pudeł, tyle że były pełne zapasów. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył ucieczki obojga. W każdym razie nie było nikogo, kto by ich oczekiwał.

Spojrzeni sobie w oczy. Roześmiali się, a był to wyzwalający, szczęśliwy śmiech po chwilach największego napięcia.

- To jeszcze nie koniec - zauważyła Anna, ostrożnie wyglądając przez boczne okienko na zewnątrz. Niespełna pięćdziesiąt metrów dalej znajdowała się strażnica i potok, ledwo widoczne w gęstym deszczu.

- Gdzie jesteśmy? - dopytywał się Kleiber niepewnie.

- Nie bój się, orientuję się tutaj. Jeśli zdołamy przejść niepostrzeżenie obok budki wartownika, najgorsze będziemy mieli za sobą. Wierz mi!

Anna starała się dodać Adrianowi otuchy. Jej samej jednak w ogóle nie chciało się wierzyć, że ucieczka z Leibethry mogła być tak dziecinnie prosta. Wątpliwości dopadły ją przede wszystkim na myśl o tym, w jaki sposób się tutaj dostała. W każdym razie nie zdziwiłaby się, gdyby z wartowni wyszedł strażnik z wycelowaną w nich bronią i powiedział: „Już tu na państwa czekamy. Proszę za mną”. Ale nic takiego się nie stało.

16

Deszcz nie zachęcał wprawdzie do opuszczenia chatki, która dawała im schronienie, ale oboje zgadzali się co do tego, że nie powinni zostać tutaj ani chwili dłużej. Kleiber położył na ramionach Anny pusty worek, co miało być skromną ochroną przed deszczem i zimnem, sam zaś złożył plandekę w węzełek, po czym uchylił odrobinę drzwi, z których droga prowadziła wprost do wartowni i szepnął:

- Dlaczego, do diabła, nie możemy uciec w przeciwnym kierunku? Dlaczego koniecznie musimy przejść obok wartowni?

Anna otworzyła drzwi trochę szerzej, żeby Adrian mógł rozeznać się w najbliższym otoczeniu.

- Dlatego - powiedziała chłodno, a Kleiber zobaczył stromą skałę za stacją, opadającą ku potokowi w dolinie. Pokazując to, Anna dodała: - Wierz mi, to jest jedyna droga ucieczki.

Kleiber chwycił jedną dłoń swoją zawiniątko, drugą wziął Annę za rękę, po czym oboje wybiegli wprost na budkę wartowniczą.

Zimny deszcz siekł ich po twarzach, ziemia była rozmokła i błotnista. Ze wzrokiem utkwionym w wartownię gnali w jej kierunku. Dotarłszy na miejsce, schylili się i przemknęli obok, po czym zaczęli bieć kamienistą drogą w dół,

ciągle w dół, aż Anna, której zaczęło dokuczać klucie w boku, zatrzymała się, dysząc.

Wokół nich szumiał deszcz. Ślady opon na ścieżce zdradzały, że całkiem niedawno jakieś auto musiało tędy przejeżdżać. Ale oprócz odgłosu padającego deszczu nie słychać było żadnych innych dźwięków. Adrian rozwinął plan-dekę, rozpostarł ją nad swoją głową i zachęcił Annę, żeby również skorzystała z tej osłony przed deszczem.

Mocno objęci dreptali tak w dół doliny. Nie mieli czasu do stracenia, nie tylko dlatego, że ktoś mógł zauważyć ich ucieczkę, ale także dlatego, że zapadał zmrok, a w ciemnościach trudno było wyobrazić sobie dalszą drogę. Prawie nie rozmawiali z sobą, potykając się ze zmęczenia. Od czasu do czasu zatrzymywali się na dźwięk jakichś podejrzanych odgłosów, nasłuchiwali, po czym ruszali dalej.

Anna z wielkim trudem rozpoznawała drogę. W deszczu okolica wyglądała inaczej. Ale kobieta wiedziała, że tylko jedna droga prowadzi do doliny. Nogi ją bolały, bo raz po raz ślizgała się i traciła równowagę. Do tego dochodziło zimno, które coraz bardziej dawało się jej we znaki, sygnalizując, że jest u kresu sił. Kiedy przebyli jedną dziesiątą odcinka aż do skrzyżowania polnej dróżki i drogi głównej, Anna powiedziała to Kleiberowi, który uznał, że powinni poszukać schronienia na noc gdzieś na uboczu. Anna przypomniała sobie, że na końcu stromej części drogi widziała szopę na siano albo owczarnię, ale do tamtego miejsca, rozważała, musieliby iść jeszcze dobre dwie godziny, a wtedy będzie już ciemno.

Z tego powodu opuścili ścieżkę i zeszli kawałek w kierunku zbocza u podnóża komina skalnego, którego kamienne iglice sterczały ku ciemnemu niebu niczym dwa palce podniesione do złożenia przysięgi. Wiatr i burza skruszyły ten kamień i po wielokroć naruszyły jego fundamenty, tak że tam gdzie skała przechodziła w kamieniste podłoże, powstały naturalne pieczary, świetnie nadające się do przetrwania nocy.

- Może nie jest tu komfortowo - zauważył Kleiber - ale za to sucho, a poza tym ta jaskinia chroni też przed zimnem.

Anna przytaknęła skinieniem głowy. Nigdy, nawet jako dziecko, nie nocowała na świeżym powietrzu, ale teraz było jej wszystko jedno. Czuła się potwornie zmęczona i marzyła choćby o odrobinie snu. Z Kleiberem było podobnie. Wprawdzie usiłował robić wrażenie, że jeszcze panuje nad sytuacją, w rzeczywistości jednak czuł się całkowicie wyczerpany i bliski załamania.

Oparci o ścianę jaskini oboje usiłowali jakoś rozprostować kości. Adrian naciągnął na nich plandekę, żeby chroniła ich przed zimnem. Drzemali tak w nadziei, że zmorzy ich sen.

- O czym myślisz? - zapytała Anna po dwóch, a może trzech godzinach, rzucając słowa w mrok. Deszcz ustał, ale krople nadal spadały z pluskiem z drzew na ziemię.

Kleiber odpowiedział:

- Zastanawiam się, jakby się stąd najlepiej wydostać.

Przez mokre ubranie czuł ciepło bijące od ciała Anny.

- Wobec tego oboje myślimy o tym samym - zauważyła z pewną ironią w głosie. - I co, czy twoje rozważania doprowadziły cię do czegoś?

Kleiber uniósł ramiona. Noc była tak ciemna, że domyślali się tylko swoich twarzy.

- Będą nas prześladować, jak prześladowali Vossiusa, Guthmanna i wszystkich innych - mruknął pod nosem. - A wszystko to z powodu starego pożółkłego strzępka papieru. To absurdalne.

- Wiesz, że to nie jest zwykły strzępek papieru - odparła rozzłoszczona Anna — i chociaż nie znamy jego treści, to znaczenie tego dokumentu jest epokowe, w przeciwnym razie orficy tak bardzo nie staraliby się wejść w jego posiadanie, nie żałując trudu.

- No dobrze, istnieje zatem jakaś piąta Ewangelia. Możliwe, że wskutek tego trzeba uzupełnić albo zmienić w szczegółach Nowy Testament. To jednak nie usprawiedliwia gorączki, którą powoduje ten dokument. A przede wszystkim nie usprawiedliwia mordów na różnych ludziach tylko dlatego, że wiedzą o jakichś związkach między rozmaitymi dokumentami.

- Nie, oczywiście że nie - zawołała Anna, aż Adrian zasłonił jej usta i upomniał, żeby się opamiętała. Dalej ciągnęła przytłumionym głosem: - Klucz do tej tajemnicy tkwi w imieniu „Barabasz”. Dopóki nie wiemy, w czym rzecz, będziemy błądzić po omacku.

- Tego się nigdy nie dowiemy - powiedział Kleiber, a po długiej pauzie dodał: - Nie wiem też, czy zajmowanie się tą sprawą w ogóle jest rozsądne. Sama widzisz, w jakim położeniu znaleźliśmy się z powodu naszej ciekawości. Mało brakowało...

- Nazywasz to ciekawością - przerwała Anna - a ja myślę, że obrona konieczna jest tu lepszym określeniem. Ja po prostu zostałam wplątana w tę sprawę i nie spocznę, póki nie wyjaśnię jej kulis. Zrozum to, proszę.

Wtedy Kleiber przyciągnął Annę jeszcze energiczniej do siebie, jakby chciał przeprosić za ten pochopny zarzut. Mocno przytuleni rozmawiali przez całą długą noc, a kiedy jedno kończyło z wyczerpania, drugie zaczynało od nowa. Mówili o wszystkim, co ich dręczyło.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział Adrian.

- Ja również muszę ci coś wyznać - Anna weszła mu w słowo. - Kocham cię.

To nieoczekiwane wyznanie tak zaskoczyło Kleibera, że aż zamilkł z wrażenia.

I tak zaczęła się dziwna miłosna noc pod wiszącą skałą, która zazwyczaj tylko zwierzętom służy za schronienie.

Nad ranem, gdy pierwsze światło dzienne zaczęło przebłyskiwać przez mokre i ociekające wodą gałęzie drzew, zerwali się ze snu. Od strony gór słychać było hałas motoru.

- Spozregli, że uciekliśmy! - szepnęła Anna. - Poszczują na nas psy, te swoje ohydne potworki, które hodują tam, na górze.

Kleiber usiłował ją uspokoić.

- Nie bój się, kochanie, deszcz jest naszym sprzymierzeńcem, zatartł wszystkie ślady.

Pojazd zbliżał się coraz bardziej. Tuż pod sobą ujrzeli reflektory samochodu terenowego, który z wyjącem silnikiem torował sobie drogę przez dolinę. Pasażerów nie było widać. Pojazd równie szybko jak się pojawił, tak zniknął niczym zjawa o brzasku poranka i tylko przez dłuższy czas dobiegał ich jeszcze warkot motoru. Anna odetchnęła z ulgą.

W nocy obmyślili plan. Wyszli z założenia, że orficy będą obserwować lotnisko w Salonikach. Dlatego też zamierzali przebić się na południe kraju. Nade wszystko chcieli ominąć Katerini, miejscowość, która, jak się zdawało, była infiltrowana przez zakon. Chcieli przez Elasson dotrzeć do Larissy, gdzie ich drogi miały się rozjeść.

Kleiber zaproponował, żeby Anna ruszyła z Korfu w drogę do domu. On sam chciał przedostać się do Patras. W obydwu tych miastach są konsulaty, w których na pewno będą mogli liczyć na pomoc. Pomysł Kleibera opierał się na założeniu, że orficy użyją wszelkich sił i środków, aby ich pojmać. Rozdzielenie podwajało ich szansę. Przede wszystkim anonimowa podróż promem była bezpieczniejsza niż lot samolotem. Punkt spotkania Adrian wyznaczył w hotelu Castello w Bari.

Trzy dni później Anna von Seydlitz przybyła do Bari, ale wymieniony przez Kleibera hotel Castello tam nie istniał. Nie było też żadnego hotelu o podobnej nazwie, a po Adrianie wszelki ślad zginął.

ROZDZIAŁ VIII

ZAMACH

Ciemni poplecznicy

1

Za każdym razem gdy się spotykali, a zdarzało się to z konieczności kilka razy dziennie, Kessler spuszczał oczy ze wstydu, a był to wstyd skruszonego chrześcijanina, ponieważ od tygodni śledził podejrzliwie Stefana Łozińskiego, dla którego miał wszakże tyle szacunku za jego dokonania naukowe. Śledził go, chociaż obu łączyła więź zakonna i tajemne zadanie w Gregorianie, uniwersytecie papieskim. Ale właśnie owo tajemne zadanie siało coraz więcej niezgody wśród jezuitów i sprawiało, że maksyma wisząca nad wejściem do sali, w której oddzieleni od świata zewnętrznego usiłowali odszyfrować rzeczony pergamin - *Omnia ad maiorem Dei gloriam* - stawała się farszą niczym rotaty w Zielone Świątki.

Ważnie same w sobie nie są oczywiście niczym złym, a już na pewno nie zdrożnym, ponieważ przeciwstawne zdania bardziej służą sprawie niż niedorzeczna harmonia. Jednakże w kwestiach wiary ta zasada w Kościele katolickim nie obowiązuje, gdyż już ewangelista Mateusz (24,24) włożył swojemu Panu i Mistrzowi w usta słowa: „Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy, i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzać, jeśli to możliwe, także wybranych”.

To była owa przepowiedzana godzina, w każdym razie wierzyli w to ci spośród jezuitów, którzy opowiadali się za profesorem Manzoniem, gdyż każdego dnia, który objawiał nowe fragmenty tekstu zapisane na pergaminie, rosło podejrzenie, że z Panem Jezusem wszystko mogło być całkiem inaczej niż podawały powszechnie znane pisma. W każdym razie utworzyły się dwa stronnictwa, jedno zgody, pod przewodnictwem Manzonięgo, który pobożnymi słowami bronił się przed nowymi informacjami jak Józef przed żoną

Putyfara, oraz stronnictwo waśni, które upatrywało swojego przywódcy w osobie Łozińskiego. Do niego należał również Kessler.

Doktor Kessler miał znaczny udział w tłumaczeniach koptyjskiego pergaminu. Wiedział dobrze, jak brzmi poznana do tej pory treść, i nie miał wątpliwości, że chodzi tu o praewangelię. Dla niego i dla Łozińskiego było już tylko kwestią tygodni, żeby kuria objęła ich prace klauzulą tajności i wszystkich zajmujących się nią jezuitów odseparowała od świata zewnętrznego, podobnie jak to się dzieje w wypadku konklawe.

Przebiegły Polak nadal udawał się dwa razy w tygodniu w kierunku Campo dei Fiori, gdzie skręcał w ciemną boczną uliczkę i po przebyciu stu metrów zniknął w sześciopiętrowym budynku. Kessler podążał za nim już przynajmniej siedmiokrotnie, niezauważony i w nadziei, że zaobserwuje coś nadzwyczajnego albo choćby tylko uzyska wskazówkę co do istoty tych nocnych eskapad. Ale stał tam zawsze na próżno i wzbudził tylko zainteresowanie dwóch patroli policyjnych, które, przypadkowo lub nie, akurat tamtędy wytyczyły sobie swój szlak. Kessler pomyślał więc, że będzie musiał dać stamtąd nogę.

Pobożność i zbrodnia nigdzie nie idą w parze tak często jak w Rzymie, a klerycy uwikłani w różne ciemne machlojki nie należą do rzadkości. Diabeł również nosi sutannę. W każdym razie Kessler myślał o Łozińskim, że jest on zamieszany w podejrzane interesy, a może nawet w seksualne ekscesy najpodszybszego rodzaju, którym oddawał się dwa razy w tygodniu. Takie były myśli Kesslera.

Nic jednak nie jest tak absurdalne jak rzeczywistość, a rzeczywistość objawiła się Kesslerowi nieoczekiwanie w dzień po święcie Trzech Króli, a raczej wieczorem tego dnia, który był zimny i szary, jak większość dni o tej porze roku. Znowu podążył za Łozińskim aż do owego zagadkowego domu, tym razem jednak z mocnym postanowieniem, że zaniecha inwigilacji, jeśli znowu nie przyniesie to żadnego efektu. Z tego powodu Kessler podjął większe ryzyko niż wcześniej, wręcz deptał Polakowi po piętach i nawet wszedł za nim na ponurą klatkę schodową, gdzie Łoziński zniknął za biało pomalowanymi drzwiami na trzecim piętrze. Na tabliczce można było przeczytać nazwisko: Rafshani - arabskie, a może raczej perskie, które nic mu nie mówiło, tylko co najwyżej uskrzydliło fantazję niczym znalezienie delikatnych damskich pantofelków w celi zakonnika.

I podczas gdy Kessler jednym uchem nasłuchiwał przy drzwiach mieszkania, a drugie nadstawiał, aby wiedzieć, co dzieje się na klatce schodowej, zdarzyła się rzecz zaskakująca: drzwi otworzyły się od środka i nagle stanął przed nim Łoziński, niski, podobny do sępa z tym swoim zakrzywionym nosem i głęboko osadzonymi oczami.

Obaj patrzyli na siebie w milczeniu, ale spojrzenia obu mówiły to samo: ha, przyłapałem cię. Łoziński, który odzyskał równowagę szybciej niż Kessler, podszedł do niego, skrzywił się w sarkastycznym uśmiechu, przechylił głowę lekko w bok, niczym sęp, co w jego wypadku było oznaką zbliżającej się chęci ataku, i syknął cicho:

- Szpiegujesz mnie, bracie w Chrystusie? Ciebie ostatniego bym o to podejrzewał. Veritatem dies aper (Prawdę czas odsłania....)

W istocie Kessler poczuł się przyłapanym niczym ministrant podczas grzesznych praktyk, dlatego też nie znalazł odpowiedzi, chociaż wewnętrzny głos mówił mu, że to właściwie Łoziński powinien czuć się nakryty. Ten jednak zamknął za sobą drzwi, chwycił Kesslera za ramię i popchnął go schodami w dół:

- Myślę, że musimy z sobą pogadać. Czy ty, bracie, tak nie uważasz? Kessler przytaknął gwałtownie głową. Zdawało się, że na razie napięcie między obydwojma mężczyznami opadło. W każdym razie Kessler tak to odbierał. Kiedy w milczeniu wyszli z budynku, Łoziński rozpoczął na powrót rozmowę. Wcale nie sprawiał wrażenia człowieka, który stracił pewność siebie, bo zapytał uprzejmie, czy on, Kessler, dowiedział się czegoś bliższego o nim, Łozińskim. Zagadnięty zaprzeczył i wyznał, że początkowo rzuciła mu się w oczy tylko regularna nieobecność Łozińskiego, w klasztorze San Ignatio. Ale dopiero w związku z jego ostrymi atakami na Manzonię zaczął się nad tym zastanawiać i wreszcie ciekawość wzięła górę. Łoziński skinął z uśmiechem.

2

Na Campo dei Fiori weszli do trattorii, gdzie Polak zamówił lambrusco. Nie będziemy tu zajmować się głębiej rozważaniami, dlaczego klerycy z lubością piją lambrusco, gdyż dla dalszego ciągu opowiadania jest to istotne wyłącznie

o tyle, że lambrusco rozwiązuje język szybciej niż inne słodkie wina. Można też założyć, że Łoziński wiązał z tym winem pewne nadzieje.

Przez dobrą chwilę Kessler zgadywał, do czego Polak zmierza. Zastanawiał się nawet, dlaczego nie robi mu wyrzutów. A nic takiego się nie działo. Wręcz przeciwnie, Polak chwalił inteligencję i wnikliwość Kesslera, dające mu przewagę nad większością współbraci. Predestynowało go to do parania się poważniejszymi zadaniami niż tłumaczenie koptyjskiego pergaminu zgodnie z wytycznymi kurii rzymskiej, dodał więc:

- Rozumiecie, co mam na myśli?

Kessler zastanawiał się przez chwilę bezowocnie, a potem odpowiedział, kręcąc przecząco głową:

- Ani słowa, bracie. Bardzo mi przykro.

Łoziński pogładził się dłonią po wygolonej czaszce, co zwykł robić, gdy nad czymś intensywnie rozmyślał, po czym nalał Kesslerowi i sobie kolejną lampkę lambrusco i zaczął powoli:

- Nasza praca to, ściśle biorąc, farsa, ponieważ Manzoni i tak fałszuje tłumaczenia pergaminu.

- Fałszuje?

- Tak, fałszuje. I to na zlecenie kurii. Kongregacja do spraw wiary ma ogromny kłopot z treścią piątej Ewangelii, która, o czym my dwaj dobrze wiemy, jest właściwie pierwszą. Panowie purpuraci lękają się o swoje synekury i dlatego na rozkaz Świętego Oficjum należy upodobnić piątą Ewangelię pod względem treści do reszty już nam znanych, aby nie pojawiły się dyskusje na temat ich wiarygodności. Jest już wystarczająco wielu heretyków, którymi zajmuje się kongregacja do spraw wiary.

- Bracie w Chrystusie, ależ to niemożliwe! - Kessler uderzył ręką w stół.

- To j e s t możliwe! - zapewnił Łoziński i przestał gładzić się po łysinie.

- Oficjum użyje wszystkich swoich metod, żeby nie dopuścić do publikacji tego pergaminu.

- Chociaż jest on niewątpliwie prawdziwy...

- Chociaż jest niewątpliwie prawdziwy. Znacie przecież najznakomitszą ze wszystkich cnót chrześcijańskich!

- Pokorę!

- O nie, bracie w Chrystusie - milczenie. Pomyśl, bracie, o Causa Galilei. Do dziś zaden papież nie znalazł dobrego słowa dla pożałowania godnego Galileusza, chociaż w każdej szkole dzieci dowiadują się, że Urban VIII niesłusznie skazał tego uczonego. Kościół nie pamięta o tej pomyłce, ale nie ze względu na pokorę, tylko milczenie*. Kessler zapatrzył się w swój kieliszek i potakująco skinął głową.

- Dlaczego - ciągnął z pasją Łoziński - my, jezuici, jesteśmy zakonem nielubianym przez papieży? Dlaczego niejednokrotnie zabraniano nam działać? Ponieważ nie umiemy milczeć. Dzięki Bogu, nie umiemy milczeć.

- Dzięki Bogu, nie umiemy milczeć - powtórzył Kessler słabym głosem ze wzrokiem utkwionym w lampce lambrusco. Musujące wino zaczęło działać. - Dzięki Bogu - powiedział jeszcze raz - nie umiemy milczeć. Ale co to ma wspólnego z tym, że wy, bracie Łoziński, dwa razy w tygodniu odwiedzacie jakiś ponury dom i spędzacie w nim noc?

Ledwie Kessler wygłosił to zdanie, wpadł w przerażenie. Skoro jednak odważył się pójść tak daleko i nie miał już nic do stracenia, a domyślał się także, co odbywa się w tym domu, pozwolił sobie jeszcze na spostrzeżenie:

- Ten celibat zniszczy nas wszystkich!

Łoziński nie rozumiał. Spojrzał pytająco na Kessler a, jakby ten właśnie stwierdził, że Słońce obraca się jednak wokół Ziemi. Sens słów jego rozmówcy zaczął do niego stopniowo docierać, toteż roześmiał się głośno, a jego śmiech wręcz zagłuszył zwykły zgiełk panujący w trattorii.

- Teraz rozumiem, bracie w Chrystusie - wykrzyknął i wywrócił białka oczu ku niebu niczym święty Antoni Padewski w ekstazie. - Ale jesteście na fałszywej drodze. Jest to niezwykle czcigodny dom, przynajmniej jeśli chodzi o szóste przykazanie. Jeśli sobie życzyacie, mogę wam podać pewien dyskretny adres, pod który chodzą tylko nasi współbracia.

- O nie, nie to miałem na myśli! - odparował Kessler, czując, że oblewa się rumieńcem. - Proszę o wybaczenie moich grzesznych myśli.

- A tam - warknął Łoziński, gwałtownie machając ręką, co miało oznaczać: nie ma o czym mówić, i przysunął się bliżej Kesslera. - Uważam was za równie mądrego co krytycznego.

- To jest zasada naszego zakonu. W przeciwnym razie nie należałbym chyba do Societas Jesu.

* Po upływie wielu wieków papież Jan Paweł II w 1992 roku zrehabilitował Galileusza

- Już dobrze - Łoziński zrobił pauzę i znów przesunął dłonią po głowie. Widać było, z jakim trudem szuka właściwych słów. Wreszcie zadał pytanie: - Jak to wygląda u was z wiarą, bracie? Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chodzi mi o wiarę w Najwyższego, tylko o to, jaki macie stosunek do Kościoła, naszej świętej matki, do dogmatu *de fide divina et catholica*, do Przywileju Pawłowego albo do celibatu?

To pytanie zaskoczyło Kesslera, który doprawdy nie wiedział, co odpowiedzieć. Łoziński był kuty na cztery nogi, można się było spodziewać po nim każdej niegodziwości. Kessler odpowiedział więc ostrożnie, nieomal dogmatycznie:

- Nauki Kościoła, naszej świętej matki, podlegają najrozmaitszej kwalifikacji teologicznej jako dogmaty. *De fide divina* to prawda objawiona przez Boga, stąd też nie podlega wątpliwości; kwalifikacja teologiczna *de fide divina et catholica* przewiduje, że charakter objawienia danej prawdy jest bezsprzeczny, a zatem naucza się go również bez zastrzeżeń; *de fide de finita* natomiast jest dogmatem stojącym najniżej w kwalifikacji teologicznej, bo ogłoszonym przez papieża *ex cathedra*. Skoro o to pytacie, to dogmat papieskiej nieomyślności wywodzi się z dogmatycznego faktu, że Sobór Watykański Pierwszy był legalny. Jeśli zaś chodzi o Przywilej Pawłowy, ułatwicie mi odpowiedź. Zwracam wam uwagę na Pierwszy List do Koryntian. Z niego to Kościół wywodzi przepis prawny, że małżeństwo zawarte legalnie między osobami nieochrzczonymi można rozwiązać, jeśli jeden z małżonków ochrzci się jak katolik i wejdzie w związek małżeński z innym katolikiem. Ten sam List do Koryntian stał się biblijnym źródłem celibatu. Paweł mówi, że człowiek bezzenny ma troszczyć się o sprawy Pana, ten zaś, kto wstąpił w związek małżeński, doznaje rozterki.

Łoziński skrzywił się, jakby odpowiedź, której miał udzielić, sprawiała mu ból. Przez chwilę w ogóle się nie odzywał, tak że Kessler zastanawiał się, czy powiedział coś niewłaściwego. Potem jednak Polak wyskoczył z pretensjami, że nie potrzebuje pouczeń w sprawach dogmatów kościelnych. Wyuczyl się ich, kiedy Kessler srał jeszcze w pieluchy - na Tróję Świętą, tak właśnie się wyraził.

Mimo że doprowadzony do wściekłości, Łoziński zapłacił rachunek za nich obu, ale tego wieczoru nie był już miły. W milczeniu odbyli drogę do klasztoru San Ignatio.

Co Kessler uczynił nie tak? Długo się nad tym zastanawiał, ale nie umiał sobie wytłumaczyć zachowania Łozińskiego.

3

Nazajutrz po zakończeniu pracy w instytucie młody jezuita poprosił Łozińskiego o wyjaśnienia. Niech powie, czy i czym go obraził. Z góry prosi o wybaczenie.

Obraził? Zdaniem Łozińskiego nie było to chyba właściwe słowo. Był raczej rozczarowany. W końcu bowiem nie pytał go o wykładnię dogmatów Kościoła, tylko o jego osobiste poglądy. Jeśli jednak są one zgodne z oficjalną linią, wszelkie ich wspólne rozmowy to strata czasu i z pewnością właściwszym partnerem dla Kesslera jest Manzoni.

Taki więc był powód niezrozumiałego milczenia Polaka. No dobrze, skoro o n się odsłonił, to również Kessler nie musi się dłużej kryć. Odpowiedział więc, że w ogóle nie ulega wątpliwości, któremu stronnictwu czuje się bliższy. Szanuje Manzonię jako profesora, ale Łoziński przewyższa go rozumem i zdolnością krytycznego myślenia, dlatego też zapewne dla każdego jezuitę jest wzorem do naśladowania, również w jego sprzeciwie wobec Kościoła urzędowego.

Na słowa Kesslera oczy Łozińskiego roziskrzyły się. Młody jezuita niezwykle przyjemnie go zaskoczył, umiał bowiem, w czym zasadniczo różnił się od niego samego, zachować swoje zdanie dla siebie, co jest cechą wyróżniającą prawdziwie mądrych ludzi. Jeśli jakiś jezuita mógłby przydać się w ich ruchu, to z pewnością jest to Kessler.

Przekonanie człowieka tego pokroju, że jego całe dotychczasowe życie opierało się na pomyłce, nie wymagało wielkich słów, tylko niezbitych faktów. Dlatego też Łoziński postanowił poprowadzić współbrata z Niemiec na tę samą ścieżkę poznania, która jego, Stefana Łozińskiego, zmieniła z Pawła w Szawła.

Najpierw poszedł z Kesslerem na stare Forum Romanum, ale nie mógł się zdobyć na jakąkolwiek aluzję co do tego, jaki jest związek tego miejsca z piątą Ewangelią. Słońce stało nisko i rozgrzewało chłód popołudnia. W najwyższym punkcie Via Sacra, tam, gdzie Łuk Triumfalny oznajmia o chwalebnych czynach cesarza Tytusa, Łoziński zatrzymał się i powiedział:

- Nie wiem, bracie, jak wygląda wasza znajomość historii rzymskiej, gdybym więc mówił o sprawach, o których już wiecie, przerwijcie mi.

Kessler skinął potakująco głową.

- Ten łuk - ciągnął Łoziński - został wzniesiony w osiemdziesiątym pierwszym roku naszej ery przez cesarza Domicjana dla uczczenia pamięci jego brata Tytusa. W powszechnym przekonaniu budowla ta gloryfikuje zwycięstwo cesarza Tytusa nad Żydami w roku siedemdziesiątym. Ale to jest tylko częściowa prawda.

- Częściowa prawda?

- Płaskorzeźby w przejściu pod łukiem ukazują cesarza w kwadrydze i boginię zwycięstwa trzymającą wieniec nad jego głową. Po przeciwległej stronie rzymscy legioniści ciągną z sobą łupy ze świątyni w Jerozolimie, siedmioramienny świecznik i srebrne trąbki. Płaskorzeźby ukazują nie tylko zwycięstwo Rzymian nad Żydami, ale również gloryfikują zwycięstwo religii rzymskiej nad żydowską. Myślę, że nie opowiadam wam niczego nowego.

- Nie - odparł Kessler - chciałbym tylko wiedzieć, do czego zmierzacie.

Łoziński uśmiechnął się złośliwie. Rozkoszował się nerwowym zaciekawieniem współbrata, więc wreszcie wziął go pod rękę i poprowadził dookoła Łuku Triumfalnego. Po stronie zwróconej ku Koloseum wskazał na kolejny relief:

- To są również sceny z triumfalnej wyprawy Tytusa. Ale uważajcie teraz, bracie w Chrystusie. - Łoziński popchnął Kesslera na przeciwległą stronę:
- Co widzicie?

- Nic - odpowiedział Kessler. - Zwietrzały kamień. Można by nawet wątpić, czy tych kamieni nie dołożono w tym miejscu dopiero później.

- Trafna obserwacja - wykrzyknął Łoziński i uderzył dłonią o mur. - Tak jest w istocie.

- No dobrze - odparł Kessler - ale ja nadal nie rozumiem związku łączącego te głazy z interesującym nas zagadnieniem.

Łoziński wziął Kesslera na bok i poprosił, aby usiadł na stopniach odległej nawet nie o rzut kamieniem świątyni Jowisza Statora, a następnie wyciągnął z kieszeni jakieś zdjęcie. Młody jezuita przypomniał sobie naraz,

że wówczas, gdy zakradł się do pokoju Polaka, ujrzał tam wiele zdjęć Łuku Tytusa. Ta fotografia również pokazywała płaskorzeźbę bardzo podobną do tej, którą teraz zobaczył w przejściu Łuku Triumfalnego. Przedstawiała rzymskich legionistów wiozących najrozmaitsze łupy do Rzymu.

- Nie rozumiem - powtórzył Kessler i chciał oddać zdjęcie Łozińskiemu.

Ten jednak zrobił przeczący gest ręką i zaczął wyjaśniać:

- Na początku mojej pracy nad pergaminem szukałem pism apokryficznych jako materiałów porównawczych. Manzoni załatwił mi wówczas pozwolenie, żebym mógł się trochę rozejrzeć w Tajnym Archiwum Watykańskim i zrobić fotokopie tekstów spisywanych na pergaminach w tym samym czasie co nasz przedmiot studiów. Te badania okazały się zresztą mało przydatne. Przede wszystkim bowiem wymagały wiele czasu, ponieważ nawet scrittori, strażnicy tych tajemnic, nie znają ich. Całe dni i noce spędzałem w archiwum i zobaczyłem tam rzeczy, o których pobożny chrześcijanin nawet nie śmie pomyśleć. Jednego życia by nie starczyło, aby wszystko przejrzeć, nie mówiąc już o przeczytaniu tego, co tam jest przechowywane. Przyszła mi więc do głowy myśl, czy Kościół, który ma tyle do zatajenia, może być Kościołem prawdy, za jaki ciągle chce uchodzić.

- Zatrważająca myśl! - zgodził się z nim Kessler.

- W każdym razie w znacznie większej mierze zagłębiłem się w tajniki Archiwum Watykańskiego niż było to konieczne ze względu na moją właściwą pracę, a przy tym natknąłem się na to świadectwo - Łoziński stuknął palcem w zdjęcie w ręce Kesslera.

- Na tę płaskorzeźbę?

- Na Trójkę Przenajświętszą, tak właśnie. Zadałem sobie oczywiście to samo pytanie, które i wy, bracie w Chrystusie, teraz sobie zadajecie, i również nie znalazłem na nie odpowiedzi. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ta płaskorzeźba pochodzi z Łuku Triumfalnego cesarza Tytusa. Wydało mi się tylko nader osobliwe, że została zakwalifikowana przez Kościół jako „ściśle tajna” i jest przechowywana za opancerzonymi żelaznymi drzwiami, za które mogą wejść wyłącznie nieliczni wybrańcy. Oficjalnie nie wolno mi było nawet zerknąć na tę płaskorzeźbę, przed rozpoczęciem badań musiałem bowiem ślubować, że w zamkniętym dziale będę się zajmował wyłącznie zleconym mi zadaniem. Ale korzystając z chwili nieuwagi strażników, a podczas mojej dwumiesięcznej pracy zdarzyły się dwie takie okazje, sfotografowałem ten kamień.

Kessler przechylił zdjęcie.

- I to jest ta fotografia?

Gdy Łoziński przytaknął głową, Kessler przysunął zdjęcie do oczu, jakby w ten sposób mógł wydrzeć z niego tajemnicę. Następnie zapytał:

- Jak, na miłość boską, ta płaskorzeźba dostała się do Tajnego Archiwum Watykańskiego? A przede wszystkim dlaczego?

Łoziński uśmiechnął się z wyższością i odpowiedział:

- Co do waszego pierwszego pytania, poszło w niepamięć, że Forum Romanum było w średniowieczu zasypane wielometrowymi zwałami gruzu i że pały się na nim krowy. Inne ruiny służyły jako fundamenty lub mury warowne. Tak też było z Łukiem Tytusa. Stał się jedną z bram twierdzy rodu Frangipanich i przez całe wieki nie było widać płaskorzeźb po jego zewnętrznej stronie. Twierdza została zrównana z ziemią, a gdy papież Pius VII wyraził życzenie odrestaurowania Łuku Tytusa, jego konserwator o nazwisku Valadier zobaczył po zewnętrznej stronie przedstawienie rzymskich legionistów. Pius, który jak wiemy, był niezwykle przychylny naszemu zakonowi, najpierw bardzo się ucieszył z tego odkrycia, pochodzącego z pierwszego wieku naszej ery, ale pewnego ranka pojawił się w towarzystwie swojego sekretarza stanu Bartolomeo Pacci, żądając od konserwatora natychmiastowego wymontowania tej płaskorzeźby i przywiezienia jej do Watykanu. Valadier odpowiedział Jego Świątobliwości, że to niemożliwe i że trzeba by uwzględnić ryzyko, iż Łuk Tytusa się zawali. Wówczas Pius kazał kamień po kamieniu rozebrać Łuk Triumfalny i wznieść go z powrotem w tym samym miejscu. Zamiast płaskorzeźby z legionistami papież kazał wbudować kamienie trawertynu, aby w ten sposób stworzyć wrażenie, że ząb czasu zniszczył poprzednią płaskorzeźbę. Od tego czasu oryginał jest przechowywany w Tajnym Archiwum Watykańskim. A teraz, bracie Kessler, odpowiedź na wasze drugie pytanie.

Nie odrywając wzroku od fotografii, Kessler powiedział:

- To brzmi fantastycznie. Ale przecież musi istnieć jakiś powód, dla którego pobożnym chrześcijanom zabroniono oglądać tę płaskorzeźbę. Ja sam rozpoznaję tylko żołnierzy z łupami, sprzętem i zwierzętami, które wiozą do domów. Nie widzę nagich kobiet ani słowa przekleństwa rzucanego na święty Kościół katolicki. Coś jednak musiało zaniepokoić Jego Świątobliwość! Umrę z ciekawości, jeśli natychmiast nie wtajemniczycie mnie w tę sprawę.

- Prawda wcale was nie uszczęśliwi - wtrącił Łoziński - muszę was ostrzec!

- Być może - odparł Kessler - ale niewiedza przyprawia mnie o chorobę. No, mówcie wreszcie!

4

Obaj mężczyźni wstali. Łozińskiemu łatwiej mówiło się, gdy chodził. Przede wszystkim nie musiał obawiać się niepożądanych osób, które mogłyby ich podsłuchiwać. Szli więc w stronę kurii po gładkich otoczkach Via Sacra, a on zaczął ab ovo, zadając Kesslerowi na samym początku pytanie:

- Bracie, przypominacie sobie incydent, o którym dwa miesiące temu rozpisywały się wszystkie gazety? Pewien profesor z zaburzeniami umysłowymi wylał w Luwrze kwas na obraz Madonny Leonarda da Vinci.

- Tak, mgliście sobie coś przypominam - odpowiedział Kessler - znów jakiś wariat. Zabrali go do szpitala dla psychicznie chorych, gdzie umarł. Biedny obłąkaniec.

- Tak, tak myślicie?

Łoziński przystanął i badawczo spojrzął na Kesslera, który roześmiał się lekceważąco i zauważył:

- Nie zrobił tego chyba z umiłowania sztuki?

- Nie - odpowiedział Łoziński - ale może z umiłowania prawdy. – I dodał w tym samym momencie: - Ale musicie przysiąc, że będziecie milczeć. Nikomu ani słowa o tym, co teraz powiem! To leży w waszym własnym interesie.

- Daję słowo na Boga i wszystkich świętych!

Miejsce przesiąknięte historią, kolumny i posągi liczące dwa tysiące lat wydawały się Kesslerowi właściwą ramą dla tak ważnego wynurzenia.

Łoziński oczekiwał tej reakcji, ale nie pozwolił się omamić i ciągnął dalej:

- Od ponad dwóch tysięcy lat istnieje tajemnica, którą znają wyłącznie nieliczni. Jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, pod warunkiem że nikt nigdy nie utrwali jej na piśmie. Albowiem pierwszy strażnik tej tajemnicy wyrzekł słowa: Wszelkie pismo pochodzi od szatana. Aby jednak to, co niewytłumaczalne, nie przepadło, każdy kolejny posiadacz tej tajemnicy ma prawo

na swój sposób zakodować tę straszliwą wiedzę.

- Rozumiem - przerwał Kessler rozmówcy, a w jego głosie dało się słyszeć podenerwowanie. - Leonardo da Vinci był jednym z posiadaczy tej tajemnicy, a ów profesor znalazł pewnie jakąś informację na temat jego wiedzy.

- Tak, tak zapewne było. Bowiem ów profesor wylał kwas umyślnie na to miejsce na obrazie, gdzie następnie ukazało się coś, czego nikt się nie spodziewał: Madonna Leonarda miała naszyjnik składający się z ośmiu różnych kamieni szlachetnych. Kiedy o tym usłyszałem, natychmiast zdałem sobie sprawę z tego wydarzenia. Było to takie samo odkrycie, jakiego dokonał sekretarz stanu papieża Piusa VII na płaskorzeźbie z Łuku Tytusa.

Kessler zatrzymał się przerażony. Niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

- Gdybym nie wiedział, bracie Łoziński, że jesteście poważnym człowiekiem, pomyślałbym, że stroicie sobie ze mnie żarty.

Łoziński popatrzył poważnie, skinął głową i ciągnął:

- Rozumiem wasze zastrzeżenia, bracie w Chrystusie. Wszystko to istotnie bardzo trudno zrozumieć, zwłaszcza gdy człowiek dowiaduje się o tym tak nagle. Ja sam zajmowałem się tą kwestią przez całe lata i poznawałem prawdę etapami. Przypominało to układanie mozaiki z poszczególnych kamyków, tak że pełen obraz ukazywał się stopniowo. Wy, bracie, w jednej chwili uzyskujecie dostęp do całego wizerunku.

- Wróćcie do Leonarda! - zawołał gorączkowo Kessler.

- Niemiecki profesor, który nauczał komparatystyki w Ameryce, trafił podczas swoich badań literackich na jakąś wskazówkę, która utwierdziła go w przekonaniu, że Leonardo da Vinci strzegł tajemnicy, którą zawarł w jednym ze swoich dzieł. Konkretnie ukrył tę wiedzę w owym naszyjniku, odmalowując precyzyjnie każdy kamień szlachetny, rozpoznawalny dla wszystkich fachowców.

- A gdy namalował ten naszyjnik na obrazie, to potem go zamalował?

- Tak właśnie. Można przypuszczać, że zostawił jakąś wskazówkę dotyczącą tej tajemnicy, wskazówkę, na którą profesor natknął się w trakcie swoich badań, której jednak żaden historyk sztuki najwyraźniej nie potraktował serio. Wygląda na to, że profesor nie widział innego sposobu, aby dowieść swojej teorii.

Chociaż wyjaśnienie Łozińskiego bardzo zafascynowało Kesslera, nadal był wobec niego sceptyczny:

- No dobrze, załóżmy, że macie rację i że Leonardo w istocie był osobą utrzymującą największą tajemnicę. Wtedy jednak powstaje oczywiście pytanie, kto go wtajemniczył i komu on sam przekazał swoją wiedzę.

Łoziński utkwiał wzrok w ziemi. Milczał i wydawało się, że to pytanie go zraniło. Kessler nadal nie śledził jego wywodów z należytą powagą. Wreszcie Polak odpowiedział:

- Nie wiem tego. J a tego nie wiem. Może wiedzą to inni. Istnieje wiele świątłych umysłów, w dziełach są zawarte mgliste przesłanki, których nikt nie umie zinterpretować. Przed Leonardem był Dante, po nich Szekspir i Voltaire, przede wszystkim Voltaire, którego nazwisko, jakie sam sobie nadał, bo właściwie nazywał się Arouet jest anagramem, podobnie jak naszyjnik Leonarda i przedstawienie na Łuku Tytusa są ukrytymi symbolami. Obydwa przedstawienia i nazwisko Voltaire mają tę wspólną cechę, że składają się z ośmiu liter. Jestem absolutnie pewien, że za nazwiskiem „Voltaire” kryje się także wskazówka co do jego wtajemniczenia. Rozkładałem to nazwisko na poszczególne litery i próbowałem utworzyć z nich jakieś francuskie słowa, które uszeregowane miałyby jakiś sens. Spędziłem nad tym wiele nocy, ale bez powodzenia.

- Może mylicie się, stawiając taką tezę. Może za nazwiskiem „Voltaire” kryje się tylko prosta zabawa?

- Tak, wiem, jacyś prostacy upatrują w nazwisku „Voltaire” anagramu jego prawdziwego nazwiska: AROVET L(e) J(eune), czyli Arouet Młodszy. Ale ta kaleka interpretacja jest niegodna Voltaire'a. Człowiek, którego zalicza się do największych umysłów w dziejach świata, nie ukrywałby się za tak niewinną grą słowną. Wprawdzie Voltaire wierzył w Boga jako źródło ładu moralnego, ale nie rozumiał misteriów chrześcijańskich, nade wszystko zaś świętego Kościoła katolickiego. Twierdził, że człowiek nie potrzebuje Bożego zbawienia. Nie zostawił też suchej nitki na tekstach biblijnych. Wszystko to jest wysoce niezwykle jak na człowieka jego epoki, staje się jednak zrozumiałe, gdy założymy, że znał tę wielką tajemnicę. Bracie, jestem pewien, że znał ją, kiedy przyjmował to dziwne nazwisko „Voltaire”.

- Za pozwoleniem - wtrącił Kessler - jeśli was dobrze rozumiem, to Voltaire ma jakiś związek z tą płaskorzeźbą na Łuku Tytusa?

Łoziński wziął zdjęcie z rąk Kesslera i prowokacyjnie podsunął mu je pod nos.

- Bracie, co widzicie na tym zdjęciu?

- Rzymskich legionistów z łupami.
- A jakie to są łupy?
- Widzę zapewne złotą balijkę do kąpieli, jagnię, gałąź drzewa, łosia, chorągiew wojenną, dwukólkę, kaczkę i kłos. Co w tym niezwykłego?
- W łupie jako takim nic, prawie nic. Ale jest tu pewna wskazówka, która w uważnym obserwatorze musi obudzić podejrzliwość.
- Łoś!
- Otóż to! W kraju, z którego Tytus i jego legioniści zabrali łupy, istnieją najdziwniejsze zwierzęta pustynne, ale nie ma tam łosi. Zatem twórca tej płaskorzeźby świadomie wybrał ów paradoks, aby przekazać informację, że za tym przedstawieniem kryje się tajemne przesłanie.
- Ale przecież cesarz Tytus na pewno oglądał projekt tego łuku i powiedział rzeźbiarzom: „Nie przypominam sobie, żebym wśród naszych łupów wojennych widział łosia!”.
- Niewątpliwie by to zrobił, bracie, ale Tytus nigdy nie widział łuku triumfalnego nazwanego swoim imieniem. Wzniósł go wszakże dopiero po jego śmierci brat i następca, cesarz Domicjan. A ten młody mężczyzna miał takie problemy, że szczegóły pomnika z pewnością były mu równie obojętne jak słowa rzymskich filozofów. Sami Rzymianie byli głupim ludem. Zнали wyłącznie swoją stolicę, wszystko zaś, co znajdowało się poza jej granicami, uważali za egzotyczne. Nie zdziwiłoby ich nawet, gdyby legioniści z łupami prowadzili z sobą pingwiny.

5

Łoziński i Kessler ruszyli tymczasem na przeciwległy kraniec Forum, minęli kurię i Łuk Septimiusa Severusa, za którym Via Consolazione otacza Kapitol. Kessler miał później robić sobie straszne wyrzuty, że akurat tę drogę obrali na odbycie tej rozmowy, przy czym był to pomysł Łozińskiego. Z ulicy dobiegał zgiewk pojazdów, który zagłuszał nieco wyjaśnienia Łozińskiego, ale wykluczał niepożądanych słuchaczy. Tak więc Polak podjął wątek i powiedział:

- W orszaku cesarza Tytusa znajdowali się zapewne ludzie, którzy spotkali się na Wschodzie z członkami nowego ruchu, nazywanymi się chrześcijanami. Ci christiani byli dla Rzymian jedynie wyznawcami jednej z

niezliczonych sekt przybyłych z Orientu. Ale wokół człowieka, który spopularyzował akurat tę sektę, narosło tyle podań i legend, że ludzie lgnęli do niej gromadnie. Ów człowiek twierdził z całą powagą, że jest synem nieznanego Boga, i dostarczał na to dowodów, czyniąc rzeczy, na jakie nie zdobyliby się nawet magowie. Z pięciu chlebów i dwóch ryb wyczarował pożywienie dla pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci. Wodę zamieniał w wino i wskrzeszał zmarłych. Kiedy Rzymianie oskarżyli go o bluźnierstwo, Żydzi go zabili, a potem zdarzyło się coś, co ludzi żyjących w tamtych czasach całkowicie wyprowadziło z równowagi. Zwolennicy tego człowieka twierdzili, że widzieli na własne oczy, jak ich mistrz zmartwychwstał.

- Stop, bracie - wtrącił Kessler - przemawiacie jak heretyk. To, co robicie, nie jest w porządku.

Ten zarzut rozwścieczył Łozińskiego, który zmarszczył czoło i odparł:

- Może najpierw powinniście wysłuchać mnie do końca, bracie? Dopiero potem będziecie mogli wygłaszać dowolne opinie.

Stali naprzeciw siebie w niewielkiej odległości, niemal jak przeciwnicy gotowi się zmierzyć. Łoziński zwrócony w stronę Forum, Kessler ze wzrokiem skierowanym na Kapitol. Łoziński patrzył chłodno, pewien zwycięstwa, Kessler krytycznie, choć był wytrącony z równowagi rezolutnym wystąpieniem rozmówcy. Łoziński zaczął od nowa:

- Przede wszystkim dzięki misjonarskiej żarliwości pewnego tkacza płacht namiotowych o imieniu Paweł, któremu nigdy nie było dane spotkać swojego mistrza, do ruchu zaczęło przyłączać się coraz więcej ludzi, tak że z wolna stał się poważnym zagrożeniem dla państwowych bóstw rzymskich. W całym cesarstwie zaczęły powstawać gminy zwolenników tej sekty. Nie tylko w Palestynie, w Azji Mniejszej i Grecji; gminy chrześcijańskie tworzyły się nawet w Rzymie, siedzibie bóstw. Tak, ci ludzie mieli w sobie taką misjonarską gorliwość, jaką do tej pory nie cechowali się jeszcze zwolennicy żadnej religii. A ponieważ odcinali się od wszystkich, którzy nie wyznawali ich wiary, i ponieważ podczas tajemnych spotkań wykonywali nieznanne rytuały, już niebawem znaleźli się na językach mieszkańców całego Cesarstwa Rzymskiego. Chrześcijanie posuwali się tak daleko w fanatyzmie, że swoich poglądów bronili nawet przed ludźmi, którzy czyniącego cuda człowieka z Nazaretu znali jeszcze z widzenia. Aż kiedyś przyszedł ktoś, kto stwierdził, że historia Jezusa wyglądała całkiem inaczej i że on zna ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Chrześcijanie zagrozili mu ukamienowaniem. Ów człowiek uniknął śmierci jedynie dzięki ucieczce. Zbiegł do Egiptu i spisał wszystko, co przeżył.

- Mój Boże — wyjąkał Kessler, spoglądając na zdjęcie.

Nagle coraz więcej rzeczy zaczynało mieć sens. Nie był tak naiwny, aby wierzyć, że Łoziński wysłał to wszystko z palca. Jeśli on, Kessler, poznał kiedykolwiek jakiegoś poważnego człowieka, to był to koadiutor z Polski. Zanim cokolwiek uznał za fakt, dwukrotnie badał stan rzeczy. Kessler domyślał się, że Łoziński w następnej chwili wyciągnie asa z rękawa, który jemu, Kesslerowi, odejmie mowę. Milczał, ale myślał, że głowa pęknie mu z napięcia.

Łoziński z typowym dla sadystów uśmieszkiem rozkoszował się tą chwilą, aż wreszcie zaczął mówić dalej:

- To, co ten człowiek miał do powiedzenia, inni przyjęli ze zdumieniem. Gdziekolwiek jednak podejmowali trud upowszechnienia tych relacji, chrześcijanie zamykali im usta. Wypędzali ich, zabijali albo zastraszały groźbami. Dlatego też powstał ruch skierowany przeciw chrześcijanom, do którego przyłączyli się znamienici mężowie. Zrozumieli oni, że nic nie zdoła zapobiec rozrastaniu się gminy, która opierając się na najświeższych wydarzeniach, rozkwiata coraz bardziej - ani kłamstwo, ani prawda. Dlatego też w najrozmaitszy sposób jęli zaszyfrowywać swoją wiedzę, aby następne pokolenia mogły ją poznać. Artysta, który wykonał płaskorzeźby na Łuku Tytusa, albo sam był członkiem owego ruchu albo też został przekupiony, żeby wybrał akurat takie przedstawienie, nie znając jego znaczenia. Kiedy papież Pius VII odkrył następstwo słów na reliefie, jego osłupienie musiało być ogromne. W Tajnym Archiwum Watykańskim spoczywa bowiem kasetka opatrzona pieczęciami wszystkich po kolei papieży, o której powiada się, że każdy następca na Stolicy Piotrowej otwierają wyłącznie raz, a następnie znów zamyka i zapieczętuje. Papieże, którzy do tej pory otwierali tę kasetę, tracili ponoć przytomność i padali jak rażeni gromem albo też ich charaktery dziwnie się zmieniały od tej chwili...

Wzrok urzeczonego Kesslera zawisł na ustach Łozińskiego. Zobaczył, jak nagle przestają się poruszać, jak krzywią się w grymasie, a na języku pojawia się strumień krwi. Zauważył, jak tryska ona z podbródka koadiutora, a jego koszula zabarwia się ciemnym kolorem. Dostrzegł, że białka oczu Polaka powoli wywracają się ku niebu i, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku, upada

niczym w zwolnionym tempie. Równocześnie Kessler poczuł ból w prawym ramieniu, jakby ktoś uderzył go pejczem.

Dopiero teraz dotarł do jego uszu głośny terkot karabinu maszynowego. Dochodził z położonej wyżej Via Consolazione, a jezuita, zataczając się, dostrzegł tam motocykl z dwoma mężczyznami i jaskrawy ogień z lufy. Potem stracił przytomność.

6

Kiedy Kessler doszedł do siebie, siedząc pod murem, sanitariusze starali się założyć mu opatrunek na rękę. Jeden z nich, młody mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, powiedział, że Kessler może mówić o szczęściu, że przeżył, bo tego tam - tu wskazał na Łozińskiego, który leżał nieruchomo na ziemi - trafiono. Strzał w potylicę.

Dopiero kilka godzin później Kessler zrozumiał, co właściwie zaszło tego dnia na Forum Romanum i że Łoziński padł ofiarą zamachu. Raz po raz zadawał sobie jedno i to samo pytanie: Czy to, że on przeżył, należy uznać za przypadek, czy zamierzone działanie?

Jak zawsze, gdy włoska policja błądzi po omacku, szybko znaleziono winnego. Za tym zamachem, poinformowano, stoi mafia, toteż Kessler musiał poddawać się niezliczonym przesłuchaniom, przy czym jego stan duchowny bynajmniej mu nie pomagał, ponieważ jak wiadomo, sutanna nierzadko służy jako przykrywka dla zorganizowanej przestępczości. Kiedy wreszcie tożsamość Kesslera została wyjaśniona, a doktor Stefan Łoziński został pochowany na cmentarzu jezuickim, przesłuchania zaczęły się od nowa, gdyż znający języki i różne pisma śledczy stwierdził niepokojącą zbieżność nazwisk Kesslera i *capo di tutti capi*, czyli szefa nad szefami, niejakiego Bobby'ego Cesslerera, którego od trzech lat poszukiwano listem gończym, chociaż policja nie posiadała nawet jego zdjęcia. Za Cesslererem, zwanym „il Naso” - Nos, ciągnął się od Włoch przez Francję aż do Stanów Zjednoczonych wonny ślad, gdyż fałszował on najdroższe perfumy świata, które następnie sprzedawał całymi wagonami. Nikt jednak nie wiedział, jak wygląda Cesslerer.

Dlatego też minęły dobre dwa tygodnie, zanim oczyszczono Kesslera z podejrzeń, a on sam był w stanie wrócić do swojej pracy. Jednakże bardzo

się zmienił. Zamach, po którym został mu jedynie ślad w postaci czterocentymetrowego szwu na ramieniu, odmienił jego samego i typowy dla niego sposób rozumowania. Nieraz łapał się na tym, że myśli podobnie jak Łoziński, że łączy z sobą pewne konteksty, tak jak i on mógłby je łączyć. Ku swojemu przerażeniu zauważył nawet, że podczas dyskusji o fragmentach tekstu z pergaminu uśmiecha się tak samo chytrze jak nieżyjący już Polak.

Oczywiście Kessler zastanawiał się (eufemizm określający bezkresne nieprzespane noce), kto mógł mieć interes w tym, żeby usunąć ze swojej drogi Łozińskiego albo jego, albo ich obu jednocześnie, a przy tym odsłonił się jako współwiedzący, jako ktoś, kto zdaniem jakichś ludzi wie zbyt wiele, choć przecież znał tylko część prawdy. Podczas jednej z takich nocy spędzonych bezsennie w celi klasztornej wyciągnął marynarkę i po raz kolejny przyglądał się zbrazowiałemu strzępkowi materiału na prawym rękawie, który rozdarł postrzał. Po raz kolejny również przyszło mu na myśl, że swoje ocalenie z pewnością zawdzięcza opatrności. W każdym razie nie było zamiarem zamachowców ocalić go, pomyślał i wyciągnął wniosek, że musi się mieć na baczności, gdyż przy drugiej próbie nie chybią.

Kessler musiał założyć, że zabójcy Łozińskiego mogą czyhać także na jego życie, przypuszczając, że Polak powierzył mu tajemnicę. Może znając całą prawdę, nie przeżyłby ani jednej spokojnej minuty? Dręczony wątpliwościami nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, co mogłoby się rozegrać podczas tego tajemniczego spotkania na Campo dei Fiori. Teraz był głęboko przekonany, że Łoziński - wbrew jego wcześniejszym podejrzaniom - wcale nie popełniał wykroczenia przeciw szóstemu przykazaniu w tamtym starym domu. Te nocne eskapady do niezbyt wytwornej dzielnicy miały zapewne związek z całą tą historią.

I gdy się tak zastanawiał, gładząc dłonią rozdarty rękaw marynarki, wy-czuł coś w wewnętrznej kieszonce - zdjęcie będące własnością Łozińskiego, złożone i pomięte. Jeden z sanitariuszy, myśląc zapewne, że ta fotografia należy do niego, musiał mu ją wsunąć do kieszeni. Wprawdzie zdjęcie było pogniecione jak papierowa torebka na zakupy, ale mimo to można było dostrzec szczegóły, toteż Kessler zaczął instynktownie wypisywać na kartce jeden pod drugim nazwy łupów wojennych, najpierw w języku ojczystym, a obok po łacinie.

Wynik był mniej więcej taki:

Balia	<i>Balnea</i>
Jagnię	<i>Agnus</i>
Gałązka	<i>Ramus</i>
Łoś	<i>Alces</i>
Choraągiew	<i>Bellicum</i>
Dwukółka	<i>Bigae</i>
Kaczka	<i>Anas</i>
Kłos	<i>Spica</i>

A potem przeczytał początkowe litery słów łacińskich: BARABBAS.

- Wielki Boże - wyrwało mu się. Przecież z tym imieniem spotkał się w fragmencie tekstu piątej Ewangelii: Barabasz! Na Trójcę Przenajświętszą, jaka tajemnica kryje się za tym imieniem?

7

Nazajutrz Kessler tylko częściowo zajmował się pracą w Gregorianie. Od chwili zamachu sprawiał wrażenie roztargnionego. I nawet jeśli nie chciał się do tego przyznać, żył w ciągłym strachu. Wydawało się, że również Manzoni zmienił się od śmierci Łozińskiego. Wprawdzie nigdy nie lubił Polaka, ale moralność chrześcijańska nakazywała wspominać go ze współczuciem. Manzoni widział w zamordowaniu Łozińskiego problem raczej organizacyjny, dotyczący pracy nad pergaminem koptyjskim.

Kesslerowi wydawało się, że Manzoni całkiem świadomie wręczył mu fragment tekstu, który ze względu na swój stan (mnóstwo luk) nie dawał pracującemu nad nim zakonnikowi żadnych szans. Nie większy niż dłoń, był dziurawy niczym strzępek materiału żarty przez mole. Ani jedno słowo nie pasowało do drugiego - beznadziejne przedsięwzięcie.

Spojrzenia obu mężczyzn spotykały się kilka razy dziennie, ale żaden z nich nie odzywał się do drugiego ani słowem. Wyglądało na to, że w milczeniu będą akceptować wzajemną wrogość. Oddawszy się zatem kontemplacji własnych rąk, Kessler zastanawiał się, w jaki sposób poradzić sobie z Manzoniem. Manzoni zaś przeświadczony, iż jego główne zadanie powinno polegać na tym, że niczym nauczyciel będzie chodził między rzędami tłumaczy, a tu

i ówdzie zatrzyma się, żeby podyskutować o fragmencie tekstu, za każdym razem, kiedy przechodził obok Kesslera, miał w spojrzeniu coś na kształt złośliwej radości, która oczywiście nie uchodziła uwagi jezuita i bezgranicznie go drażniła.

Nagle - nie chciał tego, ale był to niechybnie wyraz jego wściekłości - Kessler zawołał do Manzoniego przez dwa albo trzy rzędy stołów:

- Proszę powiedzieć, professore, kim właściwie jest ten Barabasz?

W sali zapadła martwa cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Manzoniego, który jakby chciał się rzucić na pytającego zakonnik, pochylił się i wytrącony z równowagi wpatrywał się w dziurawy kawałek pergaminu. Pytanie zawisło w sali niczym bluźniercze zdanie Karola Marksa.

Najpierw Manzoni obejrzał pergamin, następnie przyjrzał się wyrazowi twarzy Kesslera, a wreszcie zwrócił się do niego szorstkim tonem:

- Pokażcie mi to miejsce! Gdzie natknęliście się na Barabasza?

Kessler uśmiechnął się złośliwie, zauważył bowiem, że jego prowokacja odniosła skutek, dlatego też zwlekał z odpowiedzią. Miał przy tym świadomość, że Manzoni musi znać leżący przed nim tekst przynajmniej tak dobrze, że wzmianka o tym imieniu nie powinna go zaskoczyć. Wściekłość Kesslera rosła: po co więc w ogóle męczy się z tym fragmentem?

- Zadałem wam pytanie, bracie w Chrystusie - syknął cicho Manzoni.

Sytuacja, a przede wszystkim fakt, że przysłuchiwali się tej wymianie zdań pozostali bracia, była dla niego nader nieprzyjemna. Dlatego też podszedł bliźniutko Kesslera, aby ten mógł mówić jak najciszej. Jednak młody jezuita nie pozwolił się zastraszyć, odpowiedział więc głośniejszym głosem niż to było konieczne:

- Monsignore, to najpierw ja zadałem wam pytanie. Dlaczego na nie nie odpowiadacie?

Profes najwyraźniej nie spodziewał się takich zuchwałych słów z ust najmłodszego jezuita. Kaszlnął z zakłopotaniem i rozejrzał się nerwowo, a następnie wyciągnął białą chusteczkę i otarł sobie szyję, co było gestem pozwalającym raczej zyskać na czasie niż otrzeć pot.

- Barabasz? - zapytał z udawanym spokojem. - Nie rozumiem pytania. Barabasz jest autorem tego tekstu. Przecież o tym wiecie!

Kessler nie dawał za wygraną.

- Nie o to pytałem, monsignore. Ja chciałbym wiedzieć, kto kryje się

za tym imieniem.

- To zupełnie bezsensowne pytanie - odpowiedział lekceważąco profesor Manzoni - równie dobrze moglibyście zapytać, kto kryje się za imieniem Paweł!

- To złe porównanie! - zawołał Kessler. - Nie muszę zadawać tego pytania, ponieważ odpowiedzi na nie udzielono już w niezliczonych rozprawach teologicznych.

Wreszcie Manzoni znalazł sposób, żeby skłonić Kesslera do milczenia, powiedział bowiem:

- Naszym zadaniem jest to zbadać. Dlaczego nie zajmiecie się tym fragmentem, bracie w Chrystusie?

Manzoni roześmiał się, a wraz z nim ci jezuici, którzy trzymali jego stronę.

- Teraz jednak wróćmy do m o j e g o pytania - powiedział Manzoni, który odzyskał rezon. - W którym fragmencie natknęliście się na imię Barabasa?

- Z pewnością nie na tej kartce zjedzonej przez myszy - odparł Kessler. - Miałem tylko takie podejrzenie...

- Podejrzenie? Co to ma znaczyć, że mieliście takie podejrzenie?

Kessler wzruszył ramionami i zrobił kwaśną minę, ale nie odpowiedział. Spojrzał tylko na Manzonię i roześmiał się wyniośle. Ba, zachowywał się wręcz obojętnie i spokojnie, a to musiało napędzić strachu jego przeciwnikowi. Manzoni nerwowo błędził wzrokiem po sali, jakby szukał pomocy u kogoś innego, ale pozostali bracia ze szczególną pilnością oddawali się swoim studiom nad tekstem.

8

Od tej chwili Kesslera i Manzonię dzielił ogromny mur nieufności, toteż młody badacz mógł się właściwie spodziewać, że profes pod jakimś błahym pozorem zrezygnuje ze współpracy z nim i odeśle go do domu. Nie podejrzewał jednak, jak bardzo Manzoni się go boi. Profes był bowiem głęboko przeświadczony, że Kessler wie dzięki Łozińskiemu więcej niż się do tego przyznaje. Dlatego wykluczanie Niemca z dalszych prac byłoby niedorzeczne. Wręcz przeciwnie, Manzoni zamierzał powierzyć Kesslerowi szczególne

zadania, które miały uniemożliwić mu ujawnienie swojej wiedzy. Każdy zakon dysponuje mnóstwem takich zadań pozwalających wyeliminować jakiegoś kleryka na wiele lat, jeśli nie na zawsze.

Zapewne Kessler to czuł - a gdyby ktoś przyjrzał się trzeźwym okiem jego sytuacji, zobaczyłby, że jest to widoczne jak na dłoni - w każdym razie zachowywał dużą ostrożność i stał się niezwykle aktywny. Pierwsza próba uzyskania jakichś informacji o spuściźnie Łozińskiego nie powiodła się. Wprawdzie opat klasztoru Świętego Ignacego, niski siwowłosy rzymianin o imieniu Pio, pozwolił mu w swojej obecności rozejrzeć się po pokoju Łozińskiego (w końcu byli przyjaciółmi), ale cela klasztorna została wcześniej nadzwyczaj dokładnie przeszukana, czego opat wyparł się z oburzeniem. W każdym razie brakowało wszystkich dokumentów, a przede wszystkim aktówki zawierającej wyniki badań doktora. Nie było nawet worka z obuwem, nad którym Łoziński rozpyływał się prawdopodobnie w zachwytach. Spośród śladów pozostawionych przez Łozińskiego pozostał już tylko jeden i on mógł obiecywać sukces: dom obok Campo dei Rori. Oczywiście Kessler musiał liczyć się z tym, że każdy jego krok jest bacznie obserwowany. Dlatego też dokładnie zaplanował, jak tu pozbyć się ewentualnych prześladowców. Plan był równie prosty co genialny: pieszo wybadał okreśną drogę z klasztoru Świętego Ignacego na Campo dei Rori, ale nie zbliżał się do właściwego celu, natomiast następnego dnia wieczorem wsiadł na rower, który pożyczył od portiera. Tym samym w gęstym rzymskim tłumie mógł się przemieszczać szybciej niż każdym innym środkiem lokomocji.

Kessler zniknął z rowerem w ponurej zimnej bramie. I podczas gdy wchodził po schodach do mieszkania, które tak często odwiedzał Łoziński, zastanawiał się, co go tam może czekać. Nie wiedział tego, kierował się tylko intuicją, a ta podpowiadała mu, że częste wizyty Polaka w tym domu miały jakiś związek z dokonaniem przez niego odkryciem. Kessler nie wiedział nawet, w jaki sposób ma się wprosić do tego mieszkania. Mógł tylko powiedzieć, że był przyjacielem Łozińskiego i dziwnym trafem przeżył zamach na nich.

Równocześnie przyszła mu na myśl pewna rozmowa, którą dawno temu przeprowadził z Manzoniem. Chodziło wtedy o Łozińskiego, a słowa profesora do dzisiejszego dnia brzmiały jeszcze Kesslerowi w uszach: niech ma się na baczności przed Łozińskim, bo choć jest to wybitny naukowiec, to w głębi

duszy pozostaje heretykiem, tak że Manzoni może sobie łatwo wyobrazić, że ten Polak byłby gotów zdradzić Pana Jezusa za trzydzieści srebrników jak Judasz Iskariota.

Po tym wszystkim, czego Kessler dowiedział się o Łozińskim, słowa te nabrały innej wagi. Wydawało się, że Manzoni i Łoziński w mniejszym stopniu różnią się wiedzą aniżeli gotowością do jej rozpowszechniania. Milczenie samo w sobie nie jest grzechem, w każdym razie żadne z dziesięciorga przykazań nie mówi o milczeniu. Jednakże Kościołowi udało się więcej nagrzeszyć w milczeniu niż innym ludziom złymi słowy.

Kessler z marszu nacisnął guzik dzwonka obok białych drzwi na trzecim piętrze. Wewnątrz rozległy się kroki, drzwi odrobinę uchyliły się, a w szczelinie pojawiła się szeroka męska twarz.

- Czego pan chce? Kim pan jest?

- Nazywam się Kessler. Jestem przyjacielem Łozińskiego - powiedział jezuita półgłosem.

W tym momencie zapomniał o wszystkim innym.

- Łoziński nie miał przyjaciół - odparł mężczyzna przez szczelinę w drzwiach i zamierzał je zamknąć.

Wtedy Kessler wsunął rękę w szparę i zawołał gwałtownie:

- Jestem człowiekiem, który miał zostać zastrzelony razem z nim!

Przez długą chwilę nic się nie działo. Później drzwi otworzyły się powoli i ukazała się cała postać przysadzistego mężczyzny o gładko wygolonej głowie. Gestem zaprosił przybysza do środka. Jezuita przystanął pośrodku dużego przedpokoju z sześciorgiem drzwi prowadzących do różnych pomieszczeń. Przysadzisty mężczyzna podszedł do niego i zanim Kessler się zorientował, porwał go w ramiona. W tej samej chwili jedne z drzwi się otworzyły i jezuita ujrzał kobietę siedzącą na wózku inwalidzkim.

ROZDZIAŁ IX

LOCHY INNOCENTEGO

Odkryte na nowo

1

Cotygodniowa konferencja prasowa w Sala d'Angeli w Watykanie dobiegała końca, wiało nudą jak w prawie każdy czwartek. Nawet pięćdziesięciu dziennikarzy nie przyjęło zaproszenia ojca Mikosa Vilosevica, jugosłowiańskiego duchownego kierującego watykańskim biurem prasowym. Pozostali akredytowani w Rzymie przedstawiciele prasy wiedzieli, że Vilosevic nie ma nic do powiedzenia, ponieważ wszystko, co odbywało się za Murami Leona i tak podlegało najściślejszej tajemnicy.

Również ta konferencja prasowa, podczas której mówiło się głównie o ewentualnej beatyfikacji pewnej latynoskiej zakonnicy, która siedem lat temu okupiła życiem swoją pracę społeczną w slumsach Rio, nie byłaby w ogóle warta wzmianki, gdyby nie Desmond Brady, dyrektor rzymskiego biura amerykańskiej radiostacji NBC, który zazwyczaj dobrze poinformowany o wszystkich wewnętrznych sprawach Watykanu pod sam koniec zadał pytanie:

- Ojcie, ile prawdy jest w pogłoskach, że Jego Świątobliwość pracuje nad nową encykliką?

Odpowiedź Vilosevica była krótka i chłodna:

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przykro mi.

- Podobno ma nosić nazwę *Fides Evangelii* - Brady nie dał za wygraną.

Ta informacja wprawiła obecnych dziennikarzy w stan niepokoju. Po-nownie zdawało się potwierdzać, że Amerykanin z Atlanty ma najlepsze kontakty w Watykanie, które, jak szeptano, sięgają nawet papieskich przedpokojów.

Vilosevic miał nadzieję, że uda mu się całą tę sprawę zbyć zwięzłą odpowiedzią, teraz jednak również pozostali dziennikarze zaczęli go naciskać, on zaś jako obrońca swojej rzekomej niewiedzy nie sprawiał najlepszego wrażenia.

- Panowie - powiedział Vilosevic - wszyscy znacie stanowisko Kościoła, zgodnie z którym wszystkie sprawy dotyczące nauki katolickiej są jego sprawą, a nie sprawą publiczną.

Te słowa skłoniły Cesare Bonato z włoskiej agencji prasowej ANSA do okrzyku: Chiacchierone!, oznaczającego tyle co „Pleciuga”. Gdyby Vilosevic zrozumiał tę uwagę, dziennikarz mógłby zostać ostro upomniany. Jednak Bonato zapytał jeszcze, czy Vilosevic chce w ten sposób dać do zrozumienia, że ta sprawa podlega tajemnicy papieskiej, co w uzusie językowym kurii oznacza najwyższy stopień utajnienia.

Rytuał cotygodniowej konferencji prasowej w Watykanie został tym samym zakończony i Vilosevic, a także jego dwaj asystenci, młodzi kapłani, jeden z Rzymu, drugi z Werony, już szykowali się do zejścia z pokrytego bielą podium (Kościół katolicki nie obywa się bez podium), gdy Bonato zawołał donośnie, tak że nawet w ogólnym rozgardiaszu spowodowanym rozchodzeniem się zebranych trudno było nie usłyszeć jego głosu:

- Ojciec Vilosevic, fakt, że zaprzeczacie, iż papież pracuje nad encykliką, nie oznacza chyba jednak, że takowa nie istnieje?

Zawołowany sposób mówienia Bonato wywołał na ustach wielu obecnych uśmieški, ale dokładnie odpowiadał tonowi, jakim z upodobaniem posługują się urzędnicy papiescy. Vilosevic znał Bonata, wiedział też, że jest on ekspertem w sprawach Kościoła, którym może być wyłącznie ktoś, kto sam o mało nie został księdzem, zanim pewna kobieta nie zaczęła wodzić go na pokuszenie. Dlatego też Vilosevic pospieszył w jego stronę w nadziei, że będzie mógł zakończyć tę rozmowę w cztery oczy. Ledwie jednak stanęli naprzeciw siebie, już obstała ich reszta dziennikarzy niczym ludzie Jezusa i Filipa przed cudownym rozmnożeniem chleba.

- Co pan chciał przez to powiedzieć? - zapytał nerwowo Vilosevic.

- No cóż - odpowiedział Bonato z fałszywą uprzejmością – wszyscy znamy politykę tajności uprawianą przez Watykan jako szczególną formę życia, a to wcale nie ułatwia nam pracy.

- Usłyszysz pan ode mnie wszystko, co wiem! - zapewnił Vilosevic, ale w jego niepewnych oczach było widać, że sam nie jest do końca przekonany o prawdziwości własnych słów.

-...co ojcu wolno powiedzieć! - poprawił go Desmond Brady. - A to niewiele za murem milczenia.

Wystarczyło kilka chwil, żeby nastrój się zmienił. Wszyscy poczuli się podenerwowani, a ojciec Vilosevic spoglądał na swoich asystentów, szukając u nich pomocy. Ale wydawało się, że oni w jeszcze mniejszym stopniu wiedzą, jak sobie z tą sytuacją poradzić. Przede wszystkim zlekli się Brady ego, dziennikarza nader krytycznego, który już kiedyś w jakiejś relacji napiętnował watykańską politykę utrzymywania większości spraw w tajemnicy, twierdząc, że ani nazistom, ani komunistom nie udało się do tej pory otoczyć tak gęstą zasłoną poufności jak kurii rzymskiej. Ale tajemnic nie da się wyeliminować ze świata, można je tylko przemilczeć, tak więc twierdzenie Brady ego nie znalazło odzewu w Murach Leona. Nie spotkało się nawet ze słowami oskarżenia, rozwinęło się ono jak woń kadzidła podczas Te Deum.

Vilosevic spojrział wyzywająco na Brady ego:

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Ojciec Vilosevic, chyba wyraziłem się jasno, w przeciwieństwie do ojca. Ale - dodał ze szczególną uprzejmością - mojego zarzutu nie kieruję przeciw ojcu osobiście, to przecież ojciec wie. Jednakże sekretariat stanu i Święte Oficjum powinny sobie wreszcie przypomnieć, w jakich czasach żyjemy.

Cesare Bonato chciał na tym poprzestać, toteż zrobił uwagę, która wywołałaby rumieniec na twarzy każdego papisty:

- Nie byłaby to pierwsza encyklika, która, chociaż napisana dla wiernych, nigdy do nich nie dotarła. Myślę tu choćby o Piusie XI.

To spostrzeżenie trafiło ojca Vilosevica jak potężny cios boksera. Oczami poszukał wyjścia, ale dziennikarze go obstarpi i nie było mowy o ucieczce. Vilosevic i zdecydowana większość obecnych tam dziennikarzy wiedzieli, do czego Brady robi aluzję. W 1938 roku Pius XI przygotował encyklikę *Humanis Generis Unitas*, która jednak nigdy nie została opublikowana. Okoliczności jej nie wydania pozostały tajemnicą, jasne jest tylko, że dekret papieski potępiający rasizm i antysemityzm miałby w tamtych czasach ogromne znaczenie.

Zapędzony w kozi róg Vilosevic przeszedł do ataku. Napadł na Bonata:

- Może pańskie kontakty z kurią są lepsze niż moje? Co pan wie o tej nowej encyklice? Bardzo by mnie to interesowało.

Ironiczna uwaga Vilosevica obudziła tylko niechęć reszty dziennikarzy, toteż powstał rozgardiasz i okazało się, że krąży już wiele szalonych pogłosek o nowo odkrytym pergaminie z czasów Jezusa z Nazaretu, którego tłumaczenie Święte Oficjum trzyma pod kluczem, podobnie jak Proroctwa Malachiasza, których treść jest znana, a których żaden zwyczajny śmiertelnik nie widział jeszcze na oczy.

- Wszystko to plotki! - wykrzyknął rozzłoszczony Vilosevic, a na jego czole ukazała się pionowa żyła o ciemnej barwie, nadając jego wyglądowi nieco demoniczny wyraz. - Proszę mi zdradzić źródło swoich informacji, a chętnie się za panem wstawię i uzyskam dla pana oficjalne stanowisko!

Brady roześmiał się podstępnie. Żaden dziennikarz na świecie, dysponujący poufną wiedzą, nie zdradzi swojego informatora, oznaczałoby to bowiem wyczerpanie się tego źródła wiadomości. Również Bonato tylko pobłażliwie się uśmiechnął, usłyszawszy słowa rzecznika Watykanu. Ale raz rozpoczęta dyskusja uświadomiła wszystkim, że dziennikarze słyszeli o swego rodzaju niepokoju, który od pewnego czasu szerzy się w Watykanie. Każdy jednak znał ze słyszenia inne powody. Pewien hiszpański korespondent radiowy mówił o ciężkiej i nieuleczalnej chorobie Jego Świątobliwości; felietonista „Messagero” wiedział nawet, że trzecia tajemnica proroctw fatimskich spełniła się w straszliwy sposób (jednakże nie znał powodu tego przerażenia); rzymski korespondent „Spiegla” zapewniał, że celibat zostanie zniesiony jeszcze w tym roku; a Larry Stone z „Newsweeka” podobno nawet wiedział o masowych wystąpieniach z Kościoła biskupów południowoamerykańskich, co było spekulacją, która mimo prestiżu Stone'a utonęła w gwałtownym wybuchu śmiechu.

Vilosevic wykorzystał tę niespodziewaną wesołość, aby wymknąć się z Sali d'Angeli, podkasał sutannę, co może w ogóle nie przystoi zakonnikowi, ale za to znakomicie pozwala wydłużyć i przyspieszyć krok. Tak to Vilosevic pomknął spiesznie długim kamiennym korytarzem w stronę marmurowych schodów, które prowadzą na trzecie piętro Pałacu Apostolskiego, gdzie szeregami wysokich białych drzwi, z których wszystkie oprócz jednych są zamknięte od wewnątrz, rezydował sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej.

Z sekretarzem stanu Felicim, dobrodusznym staruszkim o krótkich siwych włosach i drżących rękach, który piastował swój urząd już za pontyfikatu trzech papieży, Vilosevic miał bardzo bliskie kontakty. Można by nawet powiedzieć, że był jego poplecznikiem. Jednakże ta znajomość czyniła z niego równocześnie wroga kardynała Berlingera, prefekta Świętego Oficjum, dzierżącego inny rodzaj władzy w obrębie Watykanu. W osobach Berlingera i Feliciego spotykały się ziemia i ogień - Berlinger, konserwatysta, bez zrozumienia dla jakichkolwiek nowinek czy wręcz odnowy, oraz Felici, liberalny, postępowy kardynał, który już przed ostatnim konklawe był uważany za papabile, a któremu jednak, jak sam mawiał, buty rybackie wydawały się o numer za duże.

Kiedy Vilosevic przemierzył dwa sąsiadujące przedpokoje z gobelinami na ścianach i skromnymi ciemnymi meblami - do prowadzenia sekretariatu w Watykanie byli zatrudniani wyłącznie czarno ubrani zakonnicy - wszedł, kłaniając się, do przegrzanego pokoju, gdzie Felici wyzierał zza nieskończonego długiego biurka, pokrytego stertami różnych akt i dokumentów.

- Księżę kardynale! - zawołał Vilosevic z daleka (innego sposobu tytułowania Feliciego nie cierpiał). - Księżę kardynale, musi ksiądz coś zrobić. Dziennikarze już zwąchali pismo nosem. Sam nie wiem, jak ich ujarzmić. Niektórzy z nich wiedzą więcej ode mnie, przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

Uprzejmym gestem kardynał wskazał dyrektorowi biura prasowego obite czerwona materią krzesło z wysokim oparciem, które w należytej odległości od jego biurka stało samotnie na olbrzymim dywanie.

- Tylko po kolei - upomniał go Felici, po czym użył zwrotu, z którego dworowano sobie w Watykanie, ponieważ starzec nie opuszczał go w żadnej rozmowie: - i z dystansem!

- Łatwo księdzu kardynałowi mówić „z dystansem” - gorączkował się Vilosevic. - Obiegło mnie pięćdziesięciu dziennikarzy i zarzuciło najdziwniejszymi plotkami, poczynając od encykliki, która jest ponoć w przygotowaniu i ma mieć ogromne znaczenie dla Kościoła.

Felici zachował spokój:

- Każda encyklika ma fundamentalne znaczenie dla świętego Kościoła katolickiego. Dlaczego ta miałaby go nie mieć?

- Zatem możemy się spodziewać encykliki? Pytanie numer jeden: kiedy?
Pytanie numer dwa: o jakiej treści?

- Ojcie Vilosevic, nie powiedziałem, że encyklika jest w przygotowaniu. Zasugerowałem tylko, że gdyby była przygotowywana, miałaby równie fundamentalne znaczenie jak wszystkie opublikowane dotychczas.

- Księżę kardynale! - Vilosevic wiercił się niespokojnie na swoim krześle. - Przecież w ten sposób nie posuniemy się dalej! Przecież, na Boga Wszchemogącego i Wszystkich Świętych, kieruję w końcu biurem prasowym, jestem tubą namiestnika i dziennikarze całkiem słusznie oczekują ode mnie wyjaśnień. Wróble już o tym ćwierkają, że w Watykanie od kilku miesięcy szerzy się niepokój, ale nikt nie wie dlaczego i nikt o tym nie rozmawia. Nic dziwnego, że krążą na ten temat najdziwniejsze plotki! Właśnie doniesiono mi, jakoby wśród południowoamerykańskich biskupów rozpoczęły się masowe wystąpienia z Kościoła.

- Ojcie Vilosevic, mam nadzieję, że ojciec natychmiast zdementował tę pogłoskę!

- Nic nie zrobiłem. Słyszając takie absurdalne twierdzenia, po prostu milczałem. I będę milczał tak długo, dopóki nie otrzymam wyjaśnienia od wyższej instancji. Kto wie, może w tym twierdzeniu jest szczypta prawdy?

- To śmieszne! - syknął Felici i podniósł się znad biurka.

Splótł ręce za plecami, podszedł do jednego z wysokich okien i popatrzył na plac Świętego Piotra, cichy i pusty o tej porze roku. Nawet białe posągi z marmuru na kolumnadach Berniniego, świecące zazwyczaj niczym pochodnie w nocy, przyprawiły o uczucie melancholii.

- Bogu niech będą dzięki - zaczął Felici, nie odwracając wzroku od okna - Bogu niech będą dzięki, że ta sprawa nie podlega mnie, tylko prefektowi Świętego Oficjum, kardynałowi Berlingerowi.

Stojący z boku Vilosevic mógł zobaczyć na twarzy Feliciego wyraz złośliwej radości, gdy wymieniał to nazwisko. Wreszcie kardynał podszedł do Vilosevica. Ten podniósł się, a kiedy obaj stali naprzeciw siebie, sekretarz stanu powiedział z namyśłem:

- Ponieważ jest ojciec moim przyjacielem, chciałbym, aby ojciec poznał prawdę, z powodu której dochodzi do niepokojów. Ale, bracie w Chrystusie, dajcie mi słowo, że zachowacie milczenie... póki nie przyjdzie wskazówka z wyższej instancji. Ta prawda jest gorzka dla naszego Kościoła, a ci, którzy ją znają, są zdania, że mógłby on jej nie przetrwać. Stąd ten niepokój.

- Na Boga i Wszystkich Świętych, o co chodzi?

- Jak się zdaje, musimy pogodzić się z tym, że Mateusz, Marek, Łukasz i Jan nie są jedynymi ewangelistami. Jak się zdaje, istnieje piąta Ewangelia, Ewangelia według Barabasz. Znalaziono ją w jakimś koptyjskim grobie, a jezuici w Gregorianie zajmują się właśnie jej tłumaczeniem.

- Nie rozumiem! - wtrącił Vilosevic. - Piąta Ewangelia oznaczałaby przecież tylko wzmocnienie nauk Kościoła, naszej świętej matki?

- Tak, z całą pewnością, ale tylko wtedy, gdyby zgadzała się z tym, co jest napisane w czterech pozostałych.

Vilosevic zapytał półgłosem:

- A nie jest tak?

Milczenie Feliciego wyprzedziło odpowiedź.

- Wprost przeciwnie - odparł kardynał - odkrywa słabości wszystkich czterech Ewangelii, które głównie opierają się na tym, że Mateusz, Marek, Łukasz i Jan opisywali rzeczy znane im wyłącznie ze słyszenia. Barabasz natomiast, autor piątej Ewangelii, był świadkiem życia Jezusa. Píše tak, jakby znał Pana naszego. Ogromne partie przekazu nowotestamentowego brzmią u niego całkiem inaczej.

- Jezu drogi! - Vilosevic westchnął. - Jezu drogi! - powtórzył i ciągnął dalej: - Kim był ten Barabasz?

- Oto jest pytanie. Manzoni z Uniwersytetu Papieskiego pracuje nad tym gorączkowo. Ściągnął najlepszych ludzi ze swojego zakonu, ale jak twierdzi, decydujące fragmenty tej Ewangelii są albo zniszczone, albo ich brak. Ten pergamin bowiem, zanim ktokolwiek zrozumiał jego znaczenie, został sprzedany w częściach, trudno więc odnaleźć teraz poszczególne fragmenty i złożyć je w jedną całość.

- Ale - wtrącił zropaczony Vilosevic - istnieje przecież szereg ewangelii apokryficznych, które razem wzięte, zostały zdemaskowane jako fałszerstwa. Kto powiedział, że akurat ta Ewangelia jest prawdziwa?

- Zarówno naukowcy, jak i bibliści oraz koptolodzy dochodzą do tego samego wniosku: tekst jest autentyczny.

- A co stanowi jego treść?

Kardynał wrócił do okna i wyjrzał na zewnątrz, ale nie patrzył na plac Świętego Piotra ani na kolumnady, tylko w próżnię, po czym odpowiedział:

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że w całej piątej Ewangelii nie występuje zdanie: „Ty jesteś Piotr, skała. I na tej skale zbuduję mój kościół”. Czy

wiecie, ojciec Vilosevic, co to znaczy, wiecie? - Felici podniósł głos, a oczy mu zwilgotniały. - Znaczy to, że wszystko dookoła nas jest bez sensu. Wy, ojciec, ja, Jego Świątobliwość i trzy czwarte miliarda ludzi utracą wiarę!

- Księżę kardynale! - Vilosevic podszedł do Felicio. - Księżę kardynale, miarkujcie się, proszę was w imię Wszystkich Świętych.

- Wszystkich Świętych! - odparł gorzko kardynał. - O nich również możecie zapomnieć.

Ojciec Vilosevic opadł na swoje krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł po prostu zrozumieć ostatnich słów sekretarza stanu.

- Może teraz, ojciec, zrozumiecie niepokój, jaki ogarnia kurię - zauważył Felici.

A Vilosevic odparł, chcąc się usprawiedliwić: -Wasza Eminencjo, nie wiedziałem o tym wszystkim. Naprawdę nie miałem pojęcia.

Kardynał zareagował na to z wściekłością:

- Oszczędźcie sobie tej „Waszej Eminencji”! Proszę posłuchać! Właśnie teraz...

Vilosevic skinął głową z oddaniem. Po pauzie, która wydawała się nieskończenie długa, a w czasie której Felici, nie poruszając się, wyglądał przez okno, zakonnik zaczął ostrożnie:

- Ksiądz kardynał pozwoli, że zapytam: ile osób wie o tym odkryciu?

- Nie w tym jest problem - odparł kardynał. - Odkrycie samo w sobie jest powszechnie znane, w każdym razie naukowcom. Koptolodzy i filologowie klasycy od dawna wiedzą o pergaminie wykopanym w pobliżu Minii. Ponieważ jednak złodzieje, w których ręce wpadł ten pergamin, ze względu na większe zyski sprzedali swój skarb podzielony na fragmenty, żaden instytut naukowy nie mógł poddać tekstu krytycznej analizie. Dlatego treść pozostała w dużej mierze nieznaną. Jednakże na początku lat pięćdziesiątych jakiemuś naukowcowi musiało wydać się to podejrzane. W tym czasie bowiem różni ludzie zaczęli raptownie wykazywać zainteresowanie tym pergaminem i skupować jego fragmenty.

- Czy kuria o tym wiedziała?

- Jednym z kupców był kardynał Berlinger, stojący na czele Świętego Oficjum. Wysyłał emisariuszy z poleceniem, by za wszelką cenę pozyskali każdy kawałek tego pergaminu dla Muzeów Watykańskich. Ci ludzie

nie wiedzieli, jaka jest historia pergaminu. Otrzymali po prostu polecenie zdobycia jak największej liczby fragmentów.

- Czy ten zamiar się powiodł?

- W pewnej mierze, ojcze.

- Ale to przecież znaczy...

- ...że Manzoni dysponuje znaczną częścią piątej Ewangelii. – Po chwili kardynał dodał: - Wiem, ojcze, o czym teraz myślicie. Widzę to w waszych oczach. Myślicie, że skoro ten pergamin znajduje się w jakiejś części w posiadaniu Kościoła, to przecież ta instytucja mogłaby spowodować, aby cały pergamin lub przynajmniej części stanowiące największe zagrożenie dla dogmatów wiary zniknęły ukradkiem. Tak ojciec myśli, prawda?

Vilosevic przytaknął skinieniem. Zawstydział się i wymamrotał:

- Niech mi Bóg wybaczy!

- Nie wstyďte się, bracie w Chrystusie - odparł Felici - mnie samemu przemknęła przez głowę podobna myśl, a nie jestem jedynym członkiem kurii, który tak sobie pomyślał, gdy się o tym dowiedział. W całej tej sprawie jest tylko jeden haczyk.

- Haczyk?

Felici gwałtownie przytaknął głową.

- Właśnie te najważniejsze części pergaminu nie znajdują się w rękach Manzonięgo. Berlingerowi nie udało się odkupić tych fragmentów, w których Barabasz mówi o swoim stosunku do Pana Jezusa, ani tych, gdzie Jezus opowiada o przyszłości swoich uczniów.

- Dziwne — powiedział zadumany Vilosevic. - To chyba nie może być przypadek?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Felici - z pewnością nie jest to przypadek.

Vilosevic zerwał się z miejsca.

- Są zatem jeszcze inni zainteresowani piątą Ewangelią?

- Wasze przypuszczenie, ojcze, jest słuszne.

- Czyżby szantażowano Kościół?

Vilosevic, przybierając postawę podobną do Feliciego, stanął obok niego przy oknie.

- Na to wygląda, choć do tej pory nikt nie zgłosił żadnych żądań. Nie myślę też, żeby ktokolwiek chciał zarobić na tym pieniądze. Wydaje mi się raczej, że chodzi o upokorzenie Kościoła, naszej świętej matki.

- Mój Boże! - zawołał zupełnie wytrącony z równowagi Vilosevic i w swojej bezradności gwałtownie przeżegnał się znakiem krzyża świętego. - Kto chciałby porwać się na nasz Kościół?

Kardynał wzruszył ramionami.

- Ludzie Berlingera wytropili dwie grupy zainteresowanych. Obydwie prowadzą z sobą walkę o Kościół aż do krwi, obydwie są fanatyczne, chociaż z całkiem różnych powodów. Wydaje się, że nie tylko dysponują kopiami czterech piątych tej Ewangelii, nad którą Manzoni pracuje z jezuitami. Są przesłanki, by twierdzić, że posiadają oni nawet brakujące fragmenty, a zatem znają całą prawdę.

- Co to za ludzie?

- Jedna grupa to niebezpieczny zakon elitarny, któremu obce są wszelkie treści wiary i który działa pod wodzą obłąkanego hermafrodyty uważającego siebie za reinkarnację śpiewaka Orfeusza. Islamscy fundamentaliści z drugiej grupy postawili sobie za cel, że chyłkiem przenikną do Kościoła, naszej świętej matki, i zmuszą go, by się przed nimi ugiął i padł na kolana. Jedna klika jest równie niebezpieczna jak druga, obie bowiem podchodzą do sprawy z niewyobrażalnym fanatyzmem. Orficy, jak zwie się ten zakon, z powodu zawyżonego poczucia przynależności do warstwy intelektualistów, fundamentaliści natomiast ze świadomości posłannictwa religijnego. Oba stronnictwa dysponują siecią zwolenników rozproszonych po całym świecie oraz centralami przywódczymi, o których lokalizacji nikt nie wie nic pewnego. Orficy opanowali prawdopodobnie klasztor na północy Grecji, podczas gdy fundamentaliści islamscy są sterowani z perskiego Ghum. W wypadku każdej z tych grup pieniądze nie grają roli. Dlatego też nie tylko nabyli wszystkie istniejące fragmenty pergaminu, często za wręcz niedorzeczne kwoty, ale kupili sobie również najznamienitszych naukowców, a jeśli ci nie zadeklarowali dobrowolnej współpracy, orficy użyli przemocy, uprowadzili ich lub zastraszyli groźbami śmierci.

- I ci ludzie są w stanie wykorzystać piątą Ewangelię w taki sposób, żeby można ją było obrócić przeciw Kościołowi?

- Ojczy, nie w tym problem. W ubiegłych latach zniknęło z dnia na dzień kilku najślynniejszych na świecie ekspertów z dziedziny koptologii i biblioznawstwa. Zostawili swoje rodziny i porzucili kariery. To nie jest przypadek. Zarówno orficy, jak i islamscy fundamentaliści marzą o zapanowaniu nad światem, a islam już nam pokazał, że zawierająca sto czternaście sur księga

może go zmienić. Księga, która rozmiarem mniej więcej odpowiada Nowemu Testamentowi i została zrekonstruowana najrozmaitszymi metodami. Wcale bowiem nie jest pewne, czy Koran napisano jeszcze za życia Mahometa. Tradycja mówi, że bardzo rozproszone zapisy zgromadzono ponownie w jednym miejscu dopiero kilka lat po śmierci Proroka. Znajdowano fragmenty tekstu na kawałkach skóry, kamiennych tablicach, liściach palmowych, drewnianych deseczkach, łąptkach wielbłądów oraz na pergaminie, po czym składano je dopiero w jedną całość. Ze zrekonstruowaniem piątej Ewangelii i wykorzystaniem jej dla własnych celów ci ludzie nie będą mieć większych trudności.

Vilosevic wrócił na swoje krzesło i tylko raz po raz kręcił głową. Następnie zapytał:

- Czy ksiądz kardynał zna tekst tej Ewangelii Barabasza?

- Nie - odpowiedział kardynał - nikt nie zna jej dosłownego brzmienia.

Po pierwsze dlatego, że istnieje tylko w kawałkach, po drugie, profesor Manzoni nawet te fragmenty trzyma pod kluczem, żeby żaden z tłumaczy nie miał wglądu w całość tekstu. Historia poucza, że wobec jezuitów należy zawsze zachować nieufność.

Słowa sekretarza stanu zirytowały ojca Vilosevica. W innej sytuacji nie zostawiłby ich bez odpowiedzi, teraz jednak dyskusja o wierności zakonu jezuitów Kościołowi wydawała się drugorzędna.

- Skąd więc - zapytał niepewnie - ta obawa przed piątą Ewangelią, skoro jeszcze nikt jej nie czytał?

- Czytał ją Manzoni - odpowiedział Felici - zna jej dużą część, Berlinger zna fragmenty, ja również.

Kardynał, który do tej pory mówił ze wzrokiem utkwionym w okno, zaczął teraz przechadzać się tam i z powrotem po ogromnym pokoju. Widać było, że jest niezwykle zdenerwowany, ciągnąc dalej:

- Czterej ewangeliści wymieniają osiem wydarzeń, które stanowią fundament wiary chrześcijańskiej: Jezus począł się z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny, umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa.

- Księżę kardynale! Po co ta wyliczanka?

Felici podszedł do siedzącego na krześle Vilosevica. Schwycił go za ramiona, potrząsnął jak śpiącym, który wreszcie powinien się obudzić, i wykrzyknął wzburzoną tonem:

- Ponieważ Barabasz neguje te wszystkie wydarzenia! Czy wiecie, ojcze, co to znaczy? Wiecie?

Vilosevic potaknął skinieniem głowy.

3

Z przedpokoju dobiegł gwar głosów, po czym w drzwiach zjawił się sekretarz, oznajmiając przybycie Jego Eminencji prefekta Świętego Oficjum kardynała Berlingera. Nie skończył go jeszcze zapowiadać, gdy ubrany w purpurę Berlinger, za którym podążali trzej monsignori w falujących sutannach, wpadł do pokoju i zanim jeszcze powiedział cokolwiek do Feliciego, zmierzzył lekceważącym spojrzeniem obecnego w pomieszczeniu Vilosevica, jakby chciał powiedzieć: „Proszę się stąd wynosić, ale szybko”. Zresztą Vilosevic zaczął się już szykować do wyjścia, ale sekretarz stanu go uprzedził i poprosił:

- Ojcze, zostańcie, spokojnie - a zwracając się do Berlingera: - Eminencjo, ojciec Vilosevic jest we wszystko wtajemniczony. Wasza Eminencja nie musi niczego zatajać.

Berlinger uniósł brwi, aby pokazać, że nie pochwała tej decyzji, ale nie było czasu na dyskusję. Skoro prefekt Świętego Oficjum przebył tak długą drogę od położonego za kolumnadami Piazza del Sant'Uffizio, gdzie panował w budynku przypominającym raczej ministerstwo obrony niż siedzibę kościelnych władz do spraw wiary, to powód musiał być ważki. Jeszcze większego znaczenia nadawało temu przybyciu towarzystwo trzech monsignori z jego urzędu, który sam Berlinger nazywał zawsze kongregacją, co jest skrótem od Congregatio Romanae et Universalis Inquisitionis, tak jak czterysta lat temu została ochrzczona przez Pawła III ta instytucja powołana do życia w celu zwalczania protestantyzmu. Monsignori, niczym trzej modnisie, starannie wygładzając sutanny, zajęli miejsca w rzędzie krzeseł stojących pod ścianą naprzeciwko okna. Podobnie uczynił Vilosevic. Po chwili Berlinger odezwał się nieprzyjemnym, wysokim głosem:

- Plewy nie zatrzymują się nawet przed Murami Leona – zawołał pełen oburzenia.

Jego słowa wymagały jak zwykle interpretacji, gdyż Berlinger miał zwyczaj przemawiać przy użyciu cytatów biblijnych i parabol, co kardynała

Agostiniego, przewodniczącego Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, skłaniało często do ironicznej uwagi, że Nowy Testament ma niewątpliwie swoją rangę, ale pod względem językowym Berlinger jest lepszy.

Plewami nazwał Berlinger wszystkich ludzi, którzy nie są oddani prawdziwej wierze, przy czym nie padło pytanie, co należy rozumieć przez prawdziwą wiarę. Berlinger powiedział, że gwardia szwajcarska schwytła hochsztaplera, który w przebraniu księdza zakradł się do Tajnego Archiwum Watykańskiego i próbował dostać się do Riserva, zamkniętego działu, z którego zasobami mogą się zapoznawać wyłącznie papieże. Ów człowiek został tam na noc i usiłował wyłamać zamek strzegący dostępu do uświęconych tajemnic chrześcijaństwa. Kuty zamek z czasów Piusa VII stawiał jednak opór intruzowi, a gwardziści zaalarmowani hałasem pojмали fałszywego księdza. Niemniej powstaje pytanie, kim jest ten człowiek i jakie motywy skłoniły go do podjęcia takich działań. Ale mężczyzna milczy. Wydaje się, że to Niemiec.

- Obawiam się... - zaczął Felici.

- Myślę - wpadł mu Berlinger w słowo - że obaj obawiamy się tego samego. Istnieje zapewne jakiś związek między włamaniem a, *horribile dictu*, piątą Ewangelią.

Felici przytaknął skinieniem:

- Tak też myślałem. Kim jest ten człowiek i gdzie on się teraz znajduje?

Berlinger spojrział w bok, jakby coś nie pozwalało mu mówić dalej.

- Chciałbym porozmawiać w cztery oczy - powiedział cicho.

Felici i Berlinger podnieśli się, podeszli do najbliższego okna i nachylili ku sobie głowy. Berlinger mruczał:

- Znacie lochy Innocentego X pod Cortile Ottagono?

- Słyszałem o nich. Mówi się, że Innocenty kazał je zbudować pod wpływem swojej szwagierki Olimpii Maidalchini, aby zamknąć usta rodzinie swojego poprzednika Maffeo Barberiniego.

- Wybornie to określiliście, Eminencjo, naprawdę wybornie. - Berlinger zachichotał pod nosem.

- O ile wiem, lochy Innocentego są zamurowane od trzystu lat!

- Owszem - odpowiedział zakłopotany Berlinger - ale to wcale nie znaczy, że nie można ich otworzyć, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Felici cofnął się o krok, przeżegnał szybko i zawołał tak, żeby wszyscy mogli usłyszeć:

- Eminencjo, Wasza Eminencja nie chce chyba powiedzieć, że kazaliście otworzyć loch, aby...

Berlinger zbliżył się do Feliciego i zakrył mu dłonią usta.

- Psst! - powiedział. - In nomine Domini, proszę milczeć, Eminencjo!

- To szaleństwo! - zadyszał cicho Felici. - Czy wasza Eminencja chce tego intruza zamurować żywcem?

- To się stało - odparł cicho Berlinger. - A może Eminencja chce przekazać go policji włoskiej, żeby podczas przesłuchania mógł wygadać, po co wtargnął do Tajnego Archiwum Papieskiego? Czy Eminencja wzięł by to na swoją odpowiedzialność?

Felici złożył dłonie i wbił wzrok w podłogę, jakby zamierzał odmówić modlitwę, ale szok był zbyt duży, toteż kardynał napadł na Berlingera:

- Kto wie o tej historii?

- Oprócz nas, tych trzech ludzi - rzucił w stronę monsignori spojrzenie, którego jednak nie odwzajemnili. Patrzyli z wyraźną obojętnością w podłogę. - I Gianni, który wykonał murarską robotę - dodał Berlinger.

- Kto to jest Gianni?

- Nasz totumfacki, pobożny i dobroduszny człowiek, który wykona każde zadanie.

- Ale wcześniej czy później nie wytrzyma i wygada, jakiej strasznej pracy od niego zażądano!

Berlinger pokręcił przecząco głową.

- Sam Bóg to uniemożliwia!

- Jak Wasza Eminencja to rozumie?

- Gianni jest głuchoniemy.

- Na pewno umie porozumiewać się w inny sposób!

- Nikt mu nie uwierzy. Wszyscy wiedzą, że ten człowiek to wariat.

Felici wrócił chwiejnym krokiem na swoje krzesło. Opadł na nie i wyciągnął z rękawa dużą białą chustkę, którą otarł zaczerwienioną twarz. Pozostali widzieli, jak bezsilnie kręci głową, jakby nie mógł albo nie chciał pojąć tego, co właśnie usłyszał. Zerwał się wreszcie, podszedł do Berlingera, który nadal stał przy oknie, i wrzasnął tak, że jeszcze nikt nigdy nie słyszał go tak krzyczącego:

- Wasza Eminencjo, proszę mi tu sprowadzić tego Gianniego! I niech przyniesie z sobą narzędzia. Za pięć minut spotkamy się w lochach Innocentego!

Jeszcze nigdy nikt nie wrzeszczał tak na prefekta Świętego Oficjum, nawet w seminarium duchownym w Ratyzbonie. Berlinger śmiertelnie przestraszył się nieoczekiwaną mocą głosu Feliciego; chciał jeszcze coś powiedzieć, ale sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej uprzedził go i zawołał:

- I proszę się modlić do Boga o to, żeby ten delikwent jeszcze żył! - A idąc już i popychając przed sobą Berlingera, jakby to był oskarżony, dodał: - Myślałem, że inkwizycja zakończyła swoją działalność w minionym wieku.

4

Twarz mężczyzny, która ukazała się w otworze w murze, była nieporuszona. Nieznajomy wpatrywał się zmrużonymi oczami w jaskrawe światło lampy, którą Felici przyświecał pracującemu głuchoniememu Gianniemu. Najwyraźniej pożegnał się już z życiem, a ta niespodziewana akcja ratunkowa wydawała mu się zapewne snem.

Vilosevic pokazywał głuchoniememu ręką, co i jak ma robić. Berlinger i trzech monsignori ze Świętego Oficjum stali z boku. Nikt się nie odzywał. Gdy otwór w murze był już wystarczająco duży, aby dało się przez niego przejść, kardynał Felici postąpił do przodu i wyciągnął rękę do nieznajomego. Dopiero teraz zobaczył, że mężczyzna ma skrępowane nadgarstki. Felici rzucił spojrzenie Berlingerowi, ten jednak patrzył w bok.

Do więźnia zaczęło z wolna docierać, że sam kardynał przybył go uwolnić. Po jego twarzy przemknął uśmiech niedowierzania, nieomal zakłopotania, toteż przeciskając się przez dziurę, wyjąkał:

- Ja... ja wszystko wyjaśnię.

- Naraz postanowił wszystko wyjaśnić! - zawołał złośliwie stojący z tyłu Berlinger.

Felici machnął gniewnie ręką i odparł:

- Wasza Eminencjo, lepiej zamilczcie, gdyż nie ma usprawiedliwienia dla waszego czynu.

- Zażądam przesłuchania *ex officio*! - rozszłościł się Berlinger. - Niech ten człowiek wymieni swoich popleczników, żądam nazwisk, żądam pełnego wyjaśnienia!

Więzień powtórzył swoje zapewnienie:

- Wszystko wyjaśnię!

Wtedy Felici zdjął mężczyźnie krępujące go więzy, a trzech monsignori poprowadziło go do Świętego Oficjum schodami i korytarzami, co do których mogli być pewni, że nikogo nie spotkają po drodze.

Przesłuchanie na drugim piętrze budynku przy Piazza del Sant'Uffizio nabrało charakteru inkwizycyjnego jak każde potajemne spotkanie więcej niż dwóch watykańskich purpuratów. Berlinger zwołał „przy zachowaniu papieskiej tajemnicy” sześciu dostojników zajmujących się piątą Ewangelią (przy szczególnie drażliwych sprawach zawsze zwołuje się podobne konsylium, jak miało to miejsce choćby w wypadku pewnej lewitującej zakonnicy z najbliższego otoczenia Jego Świątobliwości, która to mniszka w religijnej ekstazie podkasała spódnicę i zaczęła się swobodnie unosić nad ziemią, co było przypadkiem dla egzorcysty, ponieważ jako zjawisko niezgodne, zdaniem uczonych, z prawami natury, musiało zostać sprowadzone przez demony).

Za długim wąskim stołem siedzieli kolejno trzej monsignori, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej Felici, przewodniczący najwyższego trybunału Sygnatury Apostolskiej kardynał Agostini, dyrektor papieskiego Tajnego Archiwum monsignore delia Croce, prefekt Świętego Oficjum kardynał Berlinger, prywatny sekretarz Jego Świątobliwości monsignore Pasquale, profesor Manzoni z Uniwersytetu Papieskiego, Vilosevic, dyrektor watykańskiego biura prasowego, oraz pewien prałat jako protokolant. Na stole paliły się dwie wysokie, cienkie świece. Oskarżony zajął miejsce z przodu. Jak we wszystkich biurach watykańskich z niezrozumiałych względów czuć było pastą do podłóg.

Po wezwaniu Ducha Świętego, co poprzedza każdą czynność Świętego Oficjum, Berlinger przemówił wysokim przenikliwym głosem:

- Proszę powiedzieć swoje nazwisko!

Zapytany wydawał się niski i niepozorny, ale usiadł prosto i odpowiedział głośno, choć drżącym głosem:

- Nazywam się Werner Guthmann, profesor doktor Werner Guthmann.

- Niemiec?

- Tak. Jestem profesorem koptologii.

Pomruki wśród purpuratów.

- Nie zrobiłem tego wszystkiego dobrowolnie! - zapewnił Guthmann.

Berlinger pogroził oskarżonemu palcem:

- Proszę mówić tylko wtedy, gdy będzie pan pytany! Czego pan szukał w papieskim Tajnym Archiwum?

- Dowodu!

- Dowodu na co?

- Dowodu na to, że Kościół już od wieków zna Ewangelię Barabasza.

Kardynałowie, monsignori i zakonnicy okazali wyraźne zaniepokojenie i zaczęli wiercić się na krzesłach jak męczennicy na rozżarzonych węglach. Berlinger rzucił Feliciemu ukradkowe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: Czyż tego nie podejrzewałem? Nie my jedyni wiemy o istnieniu piątej Ewangelii. Następnie zadał Guthmannowi pytanie:

- Zdaje się pan zatem wiedzieć, że w papieskim Tajnym Archiwum jest przechowywana jakaś piąta Ewangelia, którą Kościół trzyma pod kluczem?

Guthmann wzruszył ramionami:

- Tak się przypuszcza. Pewne jest tylko tyle, że jakiś dowód jest przechowywany w Tajnym Archiwum.

Zaciekawiony monsignore delia Croce, dyrektor Tajnego Archiwum, przechylił się przez stół i powiedział pytającym tonem:

- Znalaziono przy panu aparat fotograficzny, ale film był pusty.

- Tak - odparł Guthmann - moim zleceniodawcom wystarczyłoby zdjęcie tego dowodu.

- A o jaki dowód chodzi?

- O płaskorzeźbę z Łuku Tytusa, którą papież Pius VII kazał usunąć, gdy zrozumiano jej znaczenie.

Manzoni pochylił się nad Berlingerem i szepnął mu do ucha coś, czego pozostali nie zrozumieli, po czym kardynał kontynuował przesłuchanie:

- Proszę wymienić swoich popleczników. I niech się pan nie waży kłamać!

- Nie zrobiłem tego wszystkiego dobrowolnie - powtórzył Guthmann. - Uzależnili mnie od siebie narkotykami. Kobieta o imieniu Helena bezwiednie była ich narzędziem. Zapowiedzieli, że mnie zabiją, jeśli choćby słowem zdradzę, kim są moi zleceniodawcy. Wyznam całą prawdę, ale proszę, Wasza Eminencjo, weźcie mnie pod ochronę. Watykan jest jedynym miejscem na

świecie, w którym może się czuć pewnie ktoś, kto zawiódł orfików.

- Powiedział pan orfików? - upewnił się Felici.

Guthmann gorliwie przytaknął skinieniem głowy.

- Orficy to tajemny zakon, którego celem jest zawładnięcie światem, przede wszystkim zaś likwidacja Kościoła...

- Dziękuję, dziękuję, profesorze - powstrzymał Felici oskarżonego. - Wiemy o tym.

Guthmann spojrział pytająco na kardynała, ale Berlinger uprzedził Feliciego swoją odpowiedzią:

- Myślał pan pewnie, że w Watykanie ma pan do czynienia z ubogimi duchem?

Pozostali uśmiechnęli się pod nosem mądrze i dumnie. Tylko Manzoni zachował powagę. Był trupio błądy.

- Już dawno to podejrzewałem - zauważył, przerywając długie milczenie - mieliśmy tu wesz za kołnierzem - a zwracając się do Guthmanna: - Znał pan wszak ojca Łozińskiego, polskiego jezuitę?

- Łozińskiego? - Guthmann zastanowił się: - Nie znam żadnego Łozińskiego, a już na pewno nie jezuitę. Ale to nic nie znaczy, bo bardzo krótko mieszkałem wśród orfików.

- To jest - odpowiedział Berlinger, mrużąc oczy tak mocno, że zmieniły się w kreseczkę - zdumiewające stwierdzenie, jeśli zważyć, jak odpowiedzialne zadanie panu powierzono.

- Wiem. Ja byłem tylko zatkajdziurą, jeśli Wasza Eminencja tak chce, ponieważ człowiek, któremu poprzednio powierzono wykonanie czwartego zadania, odwrócił się do zakonu plecami, a to w oczach orfików zasługuje na śmierć. Słyszałem, że w jakimś paryskim szpitalu dla umyślowo chorych zmarł na atak serca. Ale nie chcę w to wierzyć. Wiem, że ci ludzie noszący mitologiczne imiona idą po trupach do celu i na pewno widnieją już na ich liście skazanych na śmierć.

Włączył się Felici:

- Jak nazywał się ten człowiek?

- Vossius. Był profesorem komparatystyki, który dzięki dziennikom Michała Anioła trafił na tajemnicę Barabasza.

- Czy jacyś inni członkowie tego zakonu zajmują się piątą Ewangelią?

- A skąd ja mam to wiedzieć?! - odparł Guthmann. - To typowa u orfików praktyka, że jeden nie ma pojęcia o pracy drugiego. Oni uważają, że to doskonały bodziec do działania. Każdy ma się czuć kontrolowany przez każdego, piekielny system piekielnych ludzi.

- Jednego tylko nie rozumiem - wtrącił się Felici. - Skoro celem orfików jest zniszczenie Kościoła, naszej świętej matki, i skoro lepiej od nas, ludzi kurii, znają piątą Ewangelię, to dlaczego do tej pory nie zrobili z niej jeszcze użytku?

- Wyjaśnię to, Wasza Eminencjo. Istnieje ku temu bardzo ważki powód.

Berlinger zaczął się niecierpliwić:

- Niechże pan wreszcie mówi, w imię Boże!

- Na pergaminie, którego fragmenty zostały rozsiane po całym świecie, jest jedno jedyne miejsce, w którym ewangelista Barabasza ujawnia swoją tożsamość. I właśnie ten fragment n i e znajduje się w posiadaniu orfików.

- Deo gratias! — powiedział monsignore delia Croce cicho pod nosem, co wedle uznania Berlingera było niestosowną uwagą, ukazywała bowiem, że dyrektor papieskiego Tajnego Archiwum nie ma pojęcia o całej sprawie. Berlinger uniósł cienkie brwi, rzucił monsignore pogardliwe spojrzenie i syknął:

- Si tacuisses! - używając zwrotu nierzadko stosowanego w kurii, chociaż o pogańskim źródłosłowie. Później zwrócił się do Guthmanna: - Ale orficy oczywiście wiedzą, gdzie znajduje się ten dokument i nie zrezygnowali z prób wejścia w jego posiadanie?

- Tak właśnie, Wasza Eminencjo - odpowiedział Guthmann.

- Czy z powodzeniem?

Guthmann wbił wzrok w podłogę. Czuł, że oczy wszystkich kardynałów i monsignori są skierowane na niego. W dużym nieprzytulnym pomieszczeniu zaległa cisza, gdy powiedział:

- Bardzo mi przykro, ale nie potrafię tego powiedzieć. Oryginał znajdował się w rękach pewnej Niemki, która najwyraźniej usiłowała zarobić na nim dużo pieniędzy. Nie znała nawet treści pergaminu. Jednak im więcej ludzi zaczęło o niego rozpytywać, tym krnąbrniejsza stawała się ta kobieta. W końcu spotkałem ją w twierdzy zakonnej orfików, gdzie udawała, że wie o wszystkim - o piątej Ewangelii, o Barabaszu, o wszystkim.

- Czy uważa pan to za możliwe? - zapytał niecierpliwie Berlinger.
- Nie wyobrażam sobie tego. Skąd miałyby bowiem mieć te wszystkie informacje?
- Jak ona się nazywa?
- Anna von Seydlitz.

5

Guthmanna zaprowadzono do odległego pomieszczenia, swego rodzaju archiwum, gdzie w stosach leżały tysiące akt w sprawach wykroczeń przeciw nauce Kościoła: postępowania dotyczące naruszenia i lekceważenia ustawodawstwa kościelnego, herezji, bluźnierstw i niedozwolonych prób reformacji, na które nałożono ekskomunikę, jak ruchy katarów i waldensi. Na straży postawiono dwóch gwardzistów, chociaż profesorowi nawet nie śniło się uciekać.

Tymczasem Kongregacja Świętego Oficjum obradowała nad tym, co zrobić w obliczu tej nowej sytuacji, przy czym kardynałowie i monsignori prezentowali najrozmaitsze poglądy, co jak całe posiedzenie, było protokołowane ex officio, a każdy mówił w charakterystyczny sposób.

Starzec Felici czuł, że oto nadchodzi nieunikniony kres Kościoła. Kardynał porównał Rzym do nierządniczy Babilonu i przytoczył słowa z Apokalipsy Świętego Jana (18,1 - 2), gdzie anioł woła potężnym głosem: „Upadł, upadł Babilon - stolica. I stała się siedliskiem demonów i kryjówką wszelkiego ducha nieczystego, i kryjówką wszelkiego ptaka nieczystego i budzącego wstręt”. Felici nie widział już żadnego ratunku dla Kościoła, naszej świętej matki.

Kardynał Agostini, najwyższy sędzia kurii, nie zamierzał w ogóle przyklaskiwać tym słowom. Kościół, argumentował rozsądnie, przeżywał już większe kryzysy od tego. Na reformację doktora Lutera odpowiedział kontrreformacja, przetrwał też czasy, kiedy to dwaj papieże mający swoje siedziby w dwu różnych miastach walczyli o dominację i jeden drugiemu zarzucał, że jest diablem. Dlaczego więc Kościół miałby nie przetrwać i tego kryzysu?

Kardynał Berlinger zgodził się z zastrzeżeniem, że kuria nie powinna zostawić tej sprawy swojemu biegowi i czekać, co się wydarzy. Powinna raczej

sama przejąć inicjatywę i walczyć o swoje dalsze istnienie, to znaczy, że musi wszelkimi metodami próbować zdobyć heretycki fragment pergaminu.

Dyrektor Tajnego Archiwum, monsignore delia Croce poddał natomiast pod rozważenie, czy znajdujący się w obiegu niepełny tekst piątej Ewangelii nie jest już wystarczająco niebezpieczny dla nauk Kościoła, naszej świętej matki, tak że wszystkie wysiłki będą z góry skazane na niepowodzenie.

Tylko jedna osoba nie zdradziła się ze swoimi poglądami i milczała. Był to profesor Manzoni z Gregoriana. Wzrok miał utkwiony w stół wypolerowany na wysoki połysk i wydawało się, że błędzi myślami gdzieś daleko.

Na pytanie Berlingera, czy Jego Świątobliwość jest poinformowany o całej sprawie i jak się na nią zapatruje, monsignore Pasquale dał do zrozumienia, że na wiadomości usłyszane z ust sekretarza stanu papież zareagował wielkim wzburzeniem i taką samą pokorą, co przy jego nadszarpniętym stanie zdrowia stwarza pewne problemy. Jego Świątobliwość od pewnego czasu odmawia przyjmowania jakichkolwiek pokarmów, wobec czego jego osobisty lekarz nakazał sztuczne odżywianie za pomocą kroplówek. Papież odzywa się bardzo rzadko, a jeśli już, to mówi niezwykle cicho, o czym panowie mogli się w ostatnich tygodniach sami przekonać. Stan psychiczny Ojca Świętego należy określić jako depresyjny. W owym stanie depresji Jego Świątobliwość postanowił zwołać sobór...

Vilosevic zakasłał nerwowo.

Berlinger się zerwał. Spojrzał na Pasquale'a nieruchomym wzrokiem, jakby ten objawił właśnie coś strasznego, następnie odwrócił się do sekretarza stanu i zapytał cicho:

- Eminencjo, czy Wasza Eminencja o tym wiedział?

Felici przytaknął skinieniem i zakłopotany odwrócił wzrok.

Wtedy Berlinger zaczął wrzeszczeć:

- Prawdopodobnie już wszyscy o tym wiedzą, strażnicy w Muzeach Watykańskich, kustosze z San Pietri i wolontariusze z „L'Osservatore Romano”, nikt tylko nie raczył o niczym poinformować prefekta Świętego Oficjum.

- To jeszcze nic pewnego - Felici usiłował uspokoić kardynała - ja sam dowiedziałem się o tym dopiero w trakcie poufnej rozmowy z Jego Świątobliwością.

Berlinger wyciągnął się na krześle, prawym łokciem oparł się o stół, a pięść przycisnął do czoła. W jego głowie panował chaos, ale dominującym uczuciem była wściekłość. Mógł się spodziewać, że w takiej sytuacji jak ta, będącej w sferze jego kompetencji, pierwszy zostanie poinformowany o planach papieża on, a nie sekretarz stanu.

Ten problem jeszcze przez kilka minut zajmował myśli Berlingera. Również zebrani nie mieli odwagi przeszkodzić mu w opanowywaniu tego bolesnego gniewu. Wreszcie Berlinger sam przerwał paraliżujące milczenie, otarłszy oczy prawą pięścią:

- A jaki ma być cel tego soboru?

Spojrzał wyzywająco na Feliciego, jakby chciał powiedzieć: Ty przecież dobrze znasz odpowiedź, z tobą Jego Świątobliwość z pewnością o tym rozmawiał.

Felici spojrzał niepewnie na zebranych w nadziei, że ktoś zechce odpowiedzieć za niego, ale nikt się nie kwapił, toteż kardynał powiedział:

- Nie rozmawiano na ten temat, skoro jednak Jego Świątobliwość w obliczu tej sytuacji zwołuje sobór, to... - urwał.

-To? - ponaglił go Berlinger.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na Feliciego.

- To może chodzić wyłącznie o sobór mający na celu likwidację Kościoła, naszej świętej matki.

- Miserere nobis!

- Lucyfer!

- Penitentiam agite!

- Fuge, idiota!

- Heretyk!

- Boże, bądź miłościw nam, biednym grzesznikom!

Kardynałowie i monsignori przekrzykiwali się niczym obłąkańcy w klatce, nie widząc w obliczu zbliżającego się końca ani wroga, ani przyjaciela, wrzeszczeli i obrażali się wzajemnie w najbardziej niewybredny sposób bez powodu.

Powód krył się w ich duszach i umysłach, które po prostu nie dojrzały do takiej prawdy i wynikających z niej konsekwencji. Świat, w którym kardynałowie i monsignori zajmowali wybitne stanowiska, groził upadkiem.

Nawet święty nie sprostałby takiej sytuacji, a cóż dopiero jakiś biedny monsignore.

Z wolna ustawały wrzaski, których bardziej można by się spodziewać po jakiejś knajpie w Travestere niż po Świętym Oficjum. Jeden po drugim odzykiwali rozum. Najprawdopodobniej wstydzili się siebie nawzajem, bo żaden nie kwapił się podjąć na powrót rozmowy, chociaż wiele byłoby do powiedzenia w obliczu takiej katastrofy. Ale gdy czasy dla Kościoła były złe, w Watykanie było zawsze więcej wrogów niż sług Bożych.

- Może - zaczął jeden z monsignori towarzyszących Berlingerowi - może Pan poddał nas temu egzaminowi, może to On tak chciał, po dobnie jak chciał zostać zdradzony w Getsemani. Może chce nas ukarać za naszą pychę!

Kardynał wpadł mu w słowo:

- Ale jaką pychę?! Głupie gadanie! Ja nie znam uczucia pychy, nie zna go również Felici ani Agostini.

Monsignore pokręcił przecząco głową:

- Nie mam na myśli pychy poszczególnych osób, myślę o pysze całej instytucji. Kościół, nasza święta matka, mówi od niepamiętnych czasów z taką wszechwładzą, że pobożnym chrześcijanom ze strachu aż ciarki chodzą po plecach. Czyż Pan nie nauczał nas pokory? Słowo „władza” ani razu nie przeszło mu przez usta.

Proste słowa monsignore skłoniły pozostałych do namysłu. Tylko Berlinger, który zrezygnowany zawisł nad ciemnym stołem niczym pijak, wyprostował się nagle i przyjął groźną postawę.

- Bracie w Chrystusie - odezwał się falsetem i w jego słowach słychać było pogardę - na podstawie takiej uwagi można postawić was przed Świętym Oficjum.

Monsignore podniósł na to głos, a jego pełna ekscytacji odpowiedź pozwałała się domyślić, że jeszcze nigdy w życiu nie rozmawiał takim tonem z kardynałem.

- Księżę kardynale - powiedział - Wasza Eminencja ciągle jeszcze nie pojął, że minęły już czasy, kiedy myślących inaczej skazywano na śmierć przez spalenie na stosie. W przyszłości Wasza Eminencja niestety będzie musiał przyjmować do wiadomości również zdania odmienne od własnego.

Dwaj pozostali monsignori błyskawicznie schowali ręce w szerokich rękawach szat, co wyglądało nader dziwacznie i przypominało sytuację, gdy

kurczątką znikają pod skrzydłami kwoki. Prawdopodobnie jednak taka pozycja zapewniała obu duchownym poczucie bezpieczeństwa, bo jednak bali się riposty kardynała. Ale ku ich zdumieniu nic się nie stało. Berlinger wydawał się zaszokowany, że jakiś monsignore w ogóle ośmielił się w taki prowokacyjny sposób odpowiedzieć prefektowi Świętego Oficjum.

Agostini, z urzędu zajmujący się łagodzeniem sporów intelektualnych, próbował uspokoić wzburzenie, wtrącając się nagle do debaty:

- Wasze Eminencje, nikomu nie przydadzą się tutaj rozgrywki personalne. W walce z wrogiem będzie nam potrzebna każda pojedyncza dusza, jeśli w ogóle mamy jeszcze jakąś szansę.

- Szansę?

Sekretarz stanu roześmiał się gorzko, a słowo to zabrzmiało dziwnie w ustach osiemdziesięciolatka. Agostini zwrócił się do Feliciego:

- Eminencjo, czy wasza Eminencja nie widzi dla nas żadnej szansy?

Zapytany przewrócił oczyma, jakby wyśmiewał się z tego pytania.

- Bracie w Chrystusie, kiedy zagrzmią trąby obwieszczające Sąd Ostateczny, wtedy nawet wam nie uda się przesunąć tego terminu!

Podczas tej dyskusji jeden człowiek zachowywał się uderzająco cicho - był nim jezuita profesor Manzoni. Stało to właściwie w sprzeczności z jego naturą, ale obecna powściągliwość w mniejszym stopniu wynikała z przejęcia czy zakłopotania, w większym zaś z faktu, że Manzoni już powziął pewne szatańskie postanowienie. W każdym razie śledził dyskusję dość obojętnie, jak to zazwyczaj bywa w wypadku filozofów. Gdyby kardynałowie i monsignori nie byli tak podekscytowani i nie ulegli nastrojowi końca czasów, musieliby zauważyć, że Manzoni w głębi duszy śmiał się z krzyków współbraci.

Manzoni uśmiechnął się także wtedy, gdy kardynał Berlinger ze wzruszającą naiwnością poddał pod rozważę, czy w obliczu tej poważnej sytuacji nie należałoby zaprosić czyniącego cuda kapucyna, ojca Pio z dalekiej Apulii, człowieka posiadającego taumaturgiczne siły i dar bilokacji. Ojciec Pio od ponad czterdziestu lat nosi stygmaty Pana naszego, w niczym więc nie ustępuje świętemu Franciszkowi z Asyżu. Wręcz przeciwnie, podczas gdy Franciszek miał kontakt ze zwierzętami i rozumiał ich mowę, Pio nocami walczył z największym potworem - szatanem i rano znajdują go zawsze w jego celi krzyczącego i zalanego krwią niczym wojownika po straszliwej bitwie.

Za Barabaszem, autorem owej piątej Ewangelii, może kryć się tylko on - Lucyfer. Może ojcu Pio z Apulii będzie dane pokonać Lucyfera i jego przekłątą piątą Ewangelię - tak mówił kardynał.

- Mój Boże! - skomentował Felici ten odosobniony pomysł kardynała.

I nie odezwał się więcej ani słowem.

Na to Berlinger odpowiedział ze złością:

- Eminencjo, jeśli Wasza Eminencja jest nastawiony sceptycznie do istnienia sił nadprzyrodzonych, to zapewne neguje Wasza Eminencja również istnienie Lucyfera, a skoro tak, proszę pozwolić mi na taką uwagę: Eminencja stoi poza Kościołem, naszą świętą matką.

W tym momencie stary Felici zerwał się na równe nogi, jakby ponad osobą kardynała Agostiniego chciał się rzucić na Berlingera, ale zanim do tego doszło, Agostini, mężczyzna jak dąb, podniósł się i odsunął na bok obydwaj bojowe koguty. Podczas gdy Felici się przeżegnał i złożył ręce jak do modlitwy, Berlinger potrzebował nieskończenie wiele czasu, aby zapiąć dwa guziki u sutanny, które rozpięły się w tym podekscytowaniu.

Manzoni podniósł się powoli i powiedział:

- W ten sposób, bracia w Chrystusie, nie zajdziemy daleko. Dajcie mi jednak cztery lub pięć dni. Być może problem rozwiąże się sam.

ROZDZIAŁ X

VIA BAULLARI 33

Podjejrzana

1

Wraz z pierwszymi cieplejszymi promieniami lutowego słońca przed Cafe George V i na Champs Elysees wystawiają stoliki i krzeselka, a ludzie siedzą w płaszczach i patrzą na defilujący przed nimi wielobarwny tłum. Był luty, ale mimo to nie zebrało się tylu gości co zwykle. Mężczyźni usiłujący udawać kogoś, kim nie są, i dziewczęta starające się ukryć to, kim są. Palili papierosy i siorbali kawę, a od czasu do czasu któraś z dziewcząt wymuszała na jednym z mężczyzn spojrzenie albo któryś z nich śmiał się spazmatycznie.

Poprzedniego dnia Anna von Seydlitz przyjechała do Paryża, aby odnaleźć Kleibera. Nie odbierał telefonów. I chociaż Anna wielokrotnie próbowała się dodzwonić, zawsze odpowiadał jakiś nieznajomy męski głos, i to w obcym, nieznanym jej języku. Siedziała teraz w Cafe George V i obserwowała kelnera w długim białym fartuchu, jak z oddaniem czyści dużą szybę, mającą tłumić uliczny zgiełk.

Natychmiast po przybyciu Anna udała się do mieszkania Kleibera przy Avenue de Verdun między Canal Saint-Martin a Gare del'Este, gdzie spotkała trzech mężczyzn, dość ponurych facetów, którzy mówili wyłącznie po arabsku albo persku, i gestami zapraszali ją do środka. Zorientowawszy się jednak, że na pytanie o Kleibera bez zrozumienia wruszając ramionami, wołała nie korzystać z ich gościnności.

Jej myśli błądziły tu i tam, i chociaż coraz wyraźniej było widać, że coś tu nie gra, czuła się wprawdzie bezradna, ale mimo wszystko nie traciła pogody ducha. Zbyt dużo przeżyła ostatnimi czasy. Podejrzliwość Anny wzmogła się już w Bari, gdzie okazało się, że nie istnieje hotel Castello, w którym Kleiber

wyzaczył jej spotkanie. Po raz ostatni widzieli się zatem w Elasson, a następnie ich drogi się rozdzieliły. Mój Boże, chyba nic mu się nie stało! Przecież ona go kocha!

Anna wysuwała z torebki dwie monety, położyła je na okrągłym szklanym blacie stolika i wyszła. Dojrzała budkę telefoniczną, zaczęła więc szukać drobnych w kieszeni płaszcza. Książka telefoniczna była, jak wszędzie, porwana, ale Anna natychmiast znalazła numer, którego szukała: redakcja „Paris Match”, rue Pierre-Charon 51. Zanim połączenie zostało zrealizowane, Anna zmieniła zamiar. Wyszła z budki i przywołała taksówkę skinieniem ręki.

— Rue Pierre-Charon! - rzuciła kierowcy przez uchyloną szybę i usiadła z tyłu.

Uprzejmy portier w wydawnictwie, Francuz z sumiastym wąsem i wesołymi oczkami, odpowiedział na jej prośbę o kontakt z monsieur Adrianem Kleiberem stwierdzeniem, że ten pan już od trzech lat nie pracuje w „Paris Match”, a może nawet od czterech. Anna nie straciła animuszu. Minione miesiące sporo ją nauczyły, przede wszystkim swoistego uporu. Poprosiła więc, aby portier zaanonsował ją u redaktora naczelnego pisma - jakże on się nazywa? - Deruchette'a. Jest przyjaciółką Kleibera i przyjechała z Niemiec.

Po dłuższej rozmowie telefonicznej, podczas której portier przyglądał się Annie badawczo, wskazał jej drogę do windy i podał numer pokoju, do którego ma się udać: 504. Sekretarka powitała Annę z podobnie lekceważącym wyrazem twarzy jak portier, uprzejmie, ale dość chłodno poprosiła ją do pokoju redaktora naczelnego.

Deruchette wyróżniał się przede wszystkim tym, że z lewego kąca ust zwisał mu papieros, którego wyjmował wyłącznie w nadzwyczajnych sytuacjach. Taką sytuacją było najwyraźniej powitanie zagadkowej damy z Niemiec, w każdym razie wyłowił z ust kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki pokaźny jeszcze kawałek papierosa, prawicę zaś wyciągnął do Anny i zaprosił ją, by usiadła na czarnej skórzanej sofie.

- Jestem tu z powodu Kleibera - powiedziała Anna von Seydlitz.- Jesteśmy zaprzyjaźnieni od czasów młodości, rozumie pan, ostatni raz widzieliśmy się tydzień temu. Zaskoczę pana, kiedy powiem, że byłam wówczas w Grecji, bo pan pewnie sądzi, że Kleiber przebywa gdzie indziej. Adrian został wprowadzony, ale na szczęście udało się nam uciec. Mieliśmy spotkać się w Bari,

ale on nie przyszedł. I teraz się martwię. W jego mieszkaniu przebywają całym obcy ludzie. Czy Kleiber dawał jakiś' znak życia? Czy wie pan, gdzie on się podziewa?

Naczelnny, który słuchał słów Anny z ogromnym zainteresowaniem, zaczął nerwowo zaciągać się nadpalonym papierosem, przy czym wypuszczał kłęby dymu nosem.

- Wiem - podjęła Anna wątek na nowo - że to brzmi nieco chaotycznie. Jestem gotowa opowiedzieć panu wszystkie szczegóły naszej odysei, ale proszę tylko, niech mi pan powie, gdzie jest Kleiber.

Deruchette nadal nie odpowiadał. Powoli zapalił nowego papierosa od tłącego się jeszcze peta, a gdy skończył, podniósł wzrok i odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Madame, kiedy widziała pani Kleibera po raz ostatni?

- Tydzień temu w miasteczku Elasson na północy Grecji. Od tej pory zaginął po nim wszelki ślad. Obawiam się, że po raz drugi został uprowadzony przez tych samych ludzi.

- Czy jest pani pewna?

Anna najchętniej spoliczkowałaby tego niesympatycznego mężczyznę. Miała wrażenie, że nie wierzy on w ani jedno jej słowo z tego, i że sadystycznie długo zwleka z udzieleniem jakiegokolwiek informacji. Mogłaby wrzasnąć na niego z wściekłości, ale opamiętała się i odparła uprzejmie:

- Jestem tego absolutnie pewna. Dlaczego pan o to pyta?

Deruchette wyłuskał papierosa z kącika ust, w czym Anna dostrzegła niechybną oznakę mającej lada chwila nastąpić ważkiej odpowiedzi. Wreszcie powiedział:

- Ponieważ Adrian Kleiber nie żyje od pięciu lat.

Bywają takie chwile, kiedy rozum wzdraga się przed rzeczywistością i reaguje niewspółmiernie do okoliczności. W głowie Anny nagle zapanował mętlik. Strzępy wspomnień, urywane myśli mieszały się z sobą i błyskawicznie mnożyły, tworząc absurdalne teorie, które natychmiast okazywały się niejasne i znikwały niczym bańki mydlane, zostawiając po sobie jedynie poczucie głębokiej bezradności. Znienacka Anna von Seydlitz zaczęła się głośno śmiać. Spazm śmiechu wstrząsał całym jej ciałem. Zerwała się, piszcząc i chichocząc, wzrokiem zaś śledziła poczynania Deruchette, który podszedł do regału, gdzie gromadzono archiwalne numery czasopisma „Paris Match”.

Wyciągnął jeden z numerów, otworzył go i podsunął pod nos Annie, która ciągle jeszcze nie mogła się uspokoić.

- Mówimy przecież o tym Adrianie Kleiberze? - zapytał speszony reakcją gościa.

Anna wpatrywała się w duży portret Adriana. Pod spodem na połowie strony było okropne zdjęcie zmasakrowanych zwłok człowieka, który lewą ręką obejmuje roztrzaskany aparat fotograficzny. Między obydwoma fotografiami tekst: „Reporter »Paris Match« Adrian Kleiber zabity na wojnie w Algierii”.

Anna z okrzykiem grozy padła na tapczan, przytknęła pięści do ust i wlepiła wzrok w podłogę. Deruchette, który do tej pory traktował to spotkanie niezbyt poważnie, teraz złożył jej kondolencje, zgasił papierosa, usiadł obok Anny i powiedział:

- Madame, czy pani naprawdę o tym nie wiedziała?

Anna pokręciła przecząco głową.

- Jeszcze minutę temu mogłabym przysiąc, że widzieliśmy się przed tygodniem. Byliśmy razem w Ameryce, uwolniłam go z rąk porywaczy w Grecji. Kim więc, na miłość boską, był ten człowiek?

- Hochsztaplerem, madame, nie widzę innego wyjaśnienia.

A zatem — ale nie powiedziała tego, tylko tak sobie pomyślała - zatem spałam z hochsztaplerem. Kim był ten człowiek?

Deruchette okazał żywe zainteresowanie. Być może zwietrzył nawet jakąś niezwykle historię, w każdym razie zaproponował Annie pomoc przy wyjaśnieniu sytuacji, mówiąc:

- Madame, zakładam, że pani sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Najprawdopodobniej przeżyła pani ciężki cios, wskutek czego straciła pani poczucie rzeczywistości. Hochsztaplerzy z lubością wykorzystują takie sytuacje, gdyż człowiek w złym stanie psychicznym traci zdolność krytycznego rozumowania. Chcę powiedzieć, że jest nader prawdopodobne, iż w takiej sytuacji rozpoznała pani jako Kleibera kogoś, kto skontaktował się z panią, twierdząc, że nim jest.

- Nie widzieliśmy się siedemnaście lat - powiedziała Anna na usprawiedliwienie. - Ale on do złudzenia przypominał Kleibera. To b y ł Kleiber!

- To nie mógł być Kleiber, madame! - odparł Deruchette, kładąc dłoń na stronie otwartego czasopisma. - Musi się pani pogodzić z tą myślą!

Anna spojrzała redaktorowi naczelnemu w oczy. Mężczyzna, którego jeszcze kilka minut temu chciała spoliczkować, naraz zyskał w jej oczach.

- Monsieur, z pewnością pomyślał pan, że przyszła tu jakaś wariatka, i chyba nadal jest pan tego zdania!

- Ależ skąd! - odparł Deruchette. - Życie składa się z szaleństw. Tym karmi się nasz magazyn. Nauczyłem się przyjmować to do wiadomości i rozumiałem, że jeśli dotrze się do sedna owych szaleństw, wcale nie są one aż tak absurdalne, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Są raczej wynikiem pewnego logicznego procesu.

Słowa redaktora naczelnego sprawiły, że Anna von Seydlitz popadła w zadumę. Najchętniej opowiedziałaby Deruchetteowi całą swoją historię. Później jednak uświadomiła sobie, że ten człowiek był jej całkiem obcy, a ona w swojej ufności powtórzyłaby może ten sam błąd, jaki popełniła z Kleiberem. Dlatego też pozwoliła naczelnemu wierzyć, że chodzi tylko o przygodę miłą i o nic więcej. Kolejne pytanie Deruchette'a potwierdziło zresztą, że nie podejrzewa on niczego innego.

- Madame, musi pani zdać sobie teraz sprawę z tego, kogo pani pokochała, Kleibera czy też owego nieznajomego? Już wielu pisarzy roztrząsało problem, czy można pokochać jednego człowieka w osobie innego. Odpowiedź wypadła zawsze negatywnie. Ale to oczywiście nie powinno mieć wpływu na pani decyzję.

W tej chwili Anna von Seydlitz nie umiała powiedzieć, kogo obdarzyła uczuciem. Czy pokochała Kleibera, czy też mężczyznę, który chciał za niego uchodzić? Ten problem jednak wydawał się jej teraz znacznie mniej istotny od nieoczekiwanej nowiny, że Kleiber to nie Kleiber.

Dla kogo zatem pracował ów fałszywy Kleiber? Czy tylko upozorował swoje porwanie, gdyż w rzeczywistości był na usługach orfików? Wskazywało na to jego nagłe zniknięcie. Pewne było, że zabrał jej pergamin i jego wszystkie kopie. Anna nie wiedziała nawet, w której skrytce ukrył dokumenty, bo przecież mu zaufała.

Oczywiście nieraz się dziwiła, gdy „Kleiber” udzielał na jej pytania dość osobliwych odpowiedzi, ale tłumaczyła sobie wtedy, że siedemnaście lat to przecież bardzo długo, więc wiele spraw mogło pójść w niepamięć.

- Inie ma pani pojęcia, madame, gdzie mógłby się podziewać ten fałszywy Kleiber?

- Miał mieszkanie przy Avenue de Verdim. Ale tam mieszkają teraz jacyś Arabowie.

- Kleiber przy Avenue de Verdim! - Deruchette się roześmiał. - Kleiber nigdy w życiu nie zamieszkałby przy Canal Saint-Martin! Był mężczyzną, który nosił koszule szyte na miarę u Yves Saint Laurenta i używał walizek Louisa Vuittona. Mieszkał w apartamencie przy Boulevard Hausmann, pod jednym z najlepszych adresów w Paryżu. Co pani zamierza teraz zrobić?

Anna von Seydlitz pogrzebała w torebce i wyciągnęła książeczkę z zapalnikami. Otworzyła ją i podała Deruchette'owi. Wewnątrz można było przeczytać adres nabazgrany niedbałym pismem: Via Baullari 33 (Campo dei Fiori).

- Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie - powiedziała - ale w takiej beznadziejnej sytuacji człowiek chwyta się najmniejszych drobnostek. „Kleiber” nie wie, że mam te zapalniczki. Wypadły mu kiedyś z kieszeni, gdy sięgał po chusteczkę. Czy panu ten adres coś mówi? Najwyraźniej to miejsce we Włoszech. Ale Włochy to duży kraj.

Deruchette przyjrzał się napisowi i oddał zapalniczki Annie, mówiąc:

- Znam tylko jeden Campo dei Fiori, a ten znajduje się w Rzymie. Czy Kleiber, to znaczy fałszywy Kleiber, utrzymywał jakieś kontakty z Włochami?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła Anna - ale z pewnych powodów uważam to za bardzo prawdopodobne.

Udzielwszy tej odpowiedzi, Anna zdała sobie sprawę z tego, że obdarzyła Deruchette'a zbyt dużym zaufaniem. Jeśli więc nie chciała wypaplać za dużo, była najwyższa pora, żeby się pożegnać.

- Monsieur - powiedziała uprzejmie - mam nadzieję, że nie zajęłam panu zbyt wiele cennego czasu. Dziękuję za pomoc.

- Ależ proszę, madame! - Deruchette serio starał się zachować dobre maniery. - Gdybym jeszcze w jakiś sposób mógł pani pomóc, proszę do mnie zadzwonić. Poza tym z osobistych powodów byłbym ciekaw, jak zakończy się ta historia.

Znalazłszy się na ulicy, Anna odetchnęła głęboko. Czy ma dać spokój całej sprawie? Nie, pomyślała, to by tylko wszystko pogorszyło. Niepewność nie pozwoliłaby jej zaznać spokoju. Przede wszystkim, pomyślała, jej życie teraz, gdy fałszywy Kleiber zniknął wraz z pergaminem, nie jest warte funta kłaków. Zostanie z pewnością zwabiona w jakąś pułapkę i zlikwidowana w tak samo podstępny sposób jak Vossius i wszyscy wtajemniczeni.

Anna szybko powzięła decyzję. Nazajutrz poleciała do Rzymu, gdzie zatrzymała się w niewielkim hotelu przy Via Cavour w pobliżu dworca Stazione Termini. Tam też dowiedziała się, że przy Campo dei Fiori istotnie znajduje się Via Baullari, ale portier pogroził jej palcem i powiedział, że prawdziwej damie nie przystoi zapuszczać się wieczorem w tamte okolice, cokolwiek to znaczy i wzniosł oczy ku niebu. Za dnia jednak, dodał, jest to okolica jak każda inna.

Na takie dictum. Anna postanowiła najpierw porządnie się wyspać.

W Rzymie panowało w tych dniach ogromne poruszenie. Trwało ono już od dwudziestego piątego grudnia, gdy kardynał Felici w przedśionku Bazyliki Świętego Piotra na Watykanie odczytał bullę *Humanae salutis*, w której papież zwoływał sobór. W ciągu dnia prałaci powtarzali tekst tego aktu w trzech głównych bazylikach Rzymu. Jeśli chodzi o datę, przede wszystkim jednak o powód, kuria nie zdradziła się słowem, dając tym samym pożywkę do najdziwniejszych spekulacji.

Na podstawie doniesień prasowych można było wywnioskować, jaką wagę przywiązuje kuria do tego soboru, skoro jego przygotowanie powierzono ośmiuset dwudziestu dziewięciu osobom, które przynajmniej czasowo przebywały w Rzymie, wśród nich było sześćdziesięciu kardynałów, pięciu patriarchów wschodnich, stu dwudziestu arcybiskupów, dwustu dziewiętnastu przedstawicieli kleru z całego świata, dwustu osiemdziesięciu jeden zakonników, w tym osiemnastu generałów.

Kilka dni wcześniej, dokładnie w piątek drugiego lutego, papież ogłosił, że sobór rozpocznie się jedenastego października. Wyglądał przy tym na chorego i roztargnionego, uśmiech, który niegdyś był dla niego charakterystyczny, zniknął z jego twarzy. A kiedy tydzień później zostało opublikowane pismo papieskie *Sacrae laudis*, wzywające kler do odmawiania brewiarza jako modlitwy przebłagalnej za sobór, zaczęli się zjeżdżać pierwsi dziennikarze, aby dowiedzieć się u źródła, czego można się spodziewać po mającym się odbyć soborze. Jednakże kuria milczała jak kamienie Murów Leona.

Nazajutrz, w czwartek, Anna podała portierowi adres na Via Baullari i poprosiła, żeby powiadomił policję, gdyby nie wróciła do późnego wieczora. Pojechała taksówką z Via Nazionale na Piazza Venezia, gdzie ruch uliczny

stanowił jeden wielki ogłuszający koncert trąbiących klaksonów, następnie do Corso Vittorio Emanuele, zwanego przez rzymian po prostu Corso, aż na wysokość Palazzo Braschi. Tam, powiedział kierowca, Via Baullari przechodzi w Corso.

Kiedy Anna przeszła przez Corso - spacer główną ulicą Rzymu jest prawdziwą przygodą - skręciła w Via Baullari i natychmiast dostrzegła stary sześciopiętrowy dom z numerem 33. Anna von Seydlitz sama dokładnie nie wiedziała, kogo lub co ma nadzieję spotkać. Ale nie zamierzała się poddawać. Może oczekiwała, że wyjdzie jej naprzeciw „Kleiber”, fałszywy Kleiber, ciągle bowiem nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, które uczucie jest w niej silniejsze: wściekłość na niego czy miłość. W każdym razie nie chodziło jej o odzyskanie pergaminu. Pragnęła tylko wyjaśnić sytuację.

Nigdy by nie przypuszczała, że po naciśnięciu przycisku dzwonka przy drzwiach na trzecim piętrze domu na Via Baullari 33 wydarzenia potoczą się tak szybko, że wszystkie zagmatwane i niejasne przeżycia ostatnich miesięcy złożą się w logiczną całość. A przede wszystkim nigdy by nie podejrzewała, że rozwiązanie całej sprawy będzie tak klarowne i proste.

Mężczyznę, który otworzył Annie, był Donat.

- To pani? - zapytał przeciągle, niezbyt zaskoczony pojawieniem się Anny.

Anna von Seydlitz natomiast nie mogła dobyć z siebie głosu. Jej myśli były tak skoncentrowane na „Kleiberze”, na tym fałszywym Kleiberze, że dopiero po chwili odzyskała mowę.

- Muszę powiedzieć - oznajmiła - że to nie pana tutaj się spodziewałam.

Donat wykonał jakiś usprawiedliwiający gest ręką i odparł:

- Przez cały czas przepowiadałem, że pewnego dnia pojawi się pani tutaj. Znając pani upór, wiedziałem to!

Anna spojrzała pytająco na Donata.

- Wie pani - zaczął wyjaśniać Donat - aby osiągnąć cel, stale panią obserwowaliśmy.

- My? Kim są „my”?

- W każdym razie m y nie jesteśmy tymi ludźmi, których pani podejrzewa o spowodowanie tego wszystkiego. Ale może wejdzie pani do środka?

Anna von Seydlitz weszła, po czym została zaprowadzona do wysokiego ponurego pokoju z długim stołem konferencyjnym pośrodku i sześcioma staroświeckimi krzesłami, ustawionymi wokół niego. Dwa wysokie okna wychodziły na podwórze, tak więc nie mogło tam być słonecznie. Oprócz tego jednak żaluzje były opuszczone. Stary parkiet trzeszczał przeraźliwie, a oprócz stołu i krzeseł nie było żadnego umeblowania, tak że każdemu dźwiękowi w tym na poły pustym pomieszczeniu odpowiadało niewielkie echo.

- Aby od razu uprzedzić pani pytanie - zaczął Donat, gdy już oboje usiedli - pergamin jest w naszym posiadaniu. Ale bez obaw, wynagrodzimy to pani odpowiednio, co najmniej tak dobrze, jak by to zrobili orficy.

Wszystko to brzmiało rzeczowo niczym rozmowa biznesowa, a Donat mówił tak miło, że wydawał się teraz innym człowiekiem niż ów zmieszany mruk, którego poznała. Mężczyzna chyba odgadł jej myśli, bo powiedział:

- Naprawdę byliśmy pod ogromną presją, a ten pergamin ma dla moich przyjaciół fundamentalne znaczenie. Jesteśmy pewni, że odmieni on świat, i dlatego musieliśmy zastosować niezwykłe metody, żeby go dostać. Inni również to robili.

- Przepraszam pana - przerwała mu Anna, która słuchała jego słów z niepokojem - ale ja w ogóle nie rozumiem, o czym pan mówi. Kto właściwie stoi za tym pergaminem?

Donat uśmiechnął się z wyższością osoby wtajemniczonej i odpowiedział:

- No cóż, po pierwsze są to orficy, z którymi zawarła pani tak nieprzyjemną znajomość. Przypuszczalnie nie muszę się nad nimi rozwodzić. Druga grupa, która wielkim nakładem sił i środków pragnęła posiąść ten pergamin, to jezuici i agenci Watykanu. I wreszcie jest trzecia siła walcząca w imię Allacha, Najwyższego, z niewiernymi i posiadającymi pismo, jak to się nazywa w Koranie. Nadejdzie dzień, że wszyscy niewierni zapragną być muzułmanami.

Podczas gdy Donat mówił, spojrzenie Anny padło na wiszącą na przeciwległej ścianie okrągłą tarczę z arabskimi znakami pisma. Anna zmierzyła Donata krytycznym wzrokiem, gdyż w jej umyśle obudziło się pewne podejrzenie. Chociaż miotła się w uczuciach, starała się zachować twarz bez wyrazu.

- W jakiś sposób - powiedziała powściągliwie - wszystko to wydaje mi się dość groteskowe. Każde stronnictwo udaje, że działa w imię Najwyższego, a przy tym nie cofają się przed zbrodnią i mordem.

- Pani pozwoli - wtrącił Donat - to wielka różnica. Bóg orfików to najpotężniejsza wiedza, Bóg chrześcijan jest lokajem kurii, a prawdziwymi bóstwami Kościoła są panowie prałaci, monsignori i kardynałowie. Istnieje tylko jeden Bóg, a jest nim Allach, a jego prorokiem jest Mahomet.

- Ale również islam zabrania zabijać!

- W Koranie czytamy dosłownie: „Nie zabijajcie żadnego człowieka, gdyż Bóg tego zabronił, c h y b a że w imię słusznej sprawy”. Poszukiwanie pergaminu było słuszną sprawą, może najbardziej słuszną ze wszystkich. W końcu prorok mówi: „Walczcie z niewiernymi. Pokonać można ich tylko ich własną bronią. A ich najniebezpieczniejszą bronią jest pismo. To pismo zatem ma im zadać śmiertelny cios”.

Nienawiść i fanatyzm, z jakimi mówił Donat, skłoniły Annę do zadania pytania:

- Pan jest...?

- Tak - wpadł jej Donat w słowo - jestem muzułmaninem. O to wszakże chciała pani zapytać?

- Tak, o to chciałam zapytać - powtórzyła Anna i dodała: - Ale w związku z tym interesuje mnie coś jeszcze: skąd bierze się ta głęboka nienawiść do instytucji Kościoła?

Donat miał na sobie luźną, wypchaną marynarkę i z jej wewnętrznej kieszeni wyjął portfel. Otworzył go z pewnym nabożeństwem, tak jak otwiera się cenną księgę, i wysupłał z niego zdjęcie. Położył je na stole przed Anną. Fotografia ukazywała mnicha w habitie benedyktyna albo franciszkanina - samego Donata.

A zatem to był powód. Od samego początku, odkąd spotkała tego człowieka, Annie wydawało się, że ma on w sobie coś z kleryka. Habit zmienia nie tylko powierzchowność, ale również twarz. Co jednak skłoniło Donata do tego, żeby zawiesić go na kołku?

- Powodem była kobieta - po chwili milczenia Donat zaczął opowiadać dobrowolnie - powodem była Hanna Luiza, moja późniejsza żona.

Naraz wszystko stanęło ponownie Annie przed oczami niczym szereg obrazów: wypadek Guida, zagadkowa kobieta w jego samochodzie. Co wspólnego, na miłość boską, miał z nią Guido?

- Wtedy nie mogłem pani powiedzieć całej prawdy - ciągnął Donat - zresztą i tak by mi pani nie uwierzyła. A częściowa prawda skłoniłaby panią do jeszcze większej podejrzliwości. Dla mnie jednak istniał tylko jeden cel - pergamin, rozumie pani?

Anna w ogóle nic nie rozumiała i chociaż odnosiła wrażenie, że Donat naprawdę stara się jej wszystko wytłumaczyć, ta sieć rozmaitych powiązań nadal pozostawała dla niej tajemnicą.

- Kim była kobieta siedząca podczas wypadku w samochodzie mojego męża? - zapytała ponaglająco, po czym dodała niepewnie: - Czy Guido jeszcze żyje?

- Pani von Seydlitz, pani mąż zmarł. Wszystkie głupie żarty związane z ukazywaniem się pani męża należy zaliczyć na konto orfików. To oni chcieli panią doprowadzić do rozstroju nerwowego, aby łatwiej dotrzeć do pergaminu. Jeśli zaś chodzi o kobietę w samochodzie, to wprowadzić miała z sobą dokumenty mojej żony, ale nią nie była.

- Zatem kto?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że musiały to być jakaś agentka orfików, bo to oni znajdowali się w posiadaniu dokumentów mojej żony.

W umyśle Anny wszystko się kotłowało.

- Pan wybaczy, że zadam pytanie - powiedziała Anna, usprawiedliwiając się - przecież pańska żona jest przykuta do wózka inwalidzkiego? Co, na miłość boską, mogła więc mieć wspólnego z orfikami?

Donat zastanowił się przez chwilę, a potem podniósł się i powiedział:

- Najlepiej będzie, jeśli Hanna sama to pani wytłumaczy. Proszę pójść za mną!

4

Przez przedpokój z wieloma drzwiami wiodącymi we wszystkie kierunki Donat zaprowadził Annę na drugą wąską klatkę schodową, z której, piętro niżej, niski, skąpo oświetlony korytarz z mnóstwem małych okienek i wieloma pomieszczeniami prowadził na podwórze. Panowała tu swoista atmosfera biura. Anna usłyszała klekot maszyny do pisania i dalekopis.

- Oficjalnie - powiedział Donat - jest to centrum kultury islamskiej, ale w rzeczywistości zajmujemy się tu od trzech lat wyłącznie piątą Ewangelią.

Donat otworzył drzwi znajdujące się na końcu korytarza i gestem zaprosił Annę do środka.

Pomieszczenie było jasno oświetlone. Przy stole, który ciągnął się wzdłuż wszystkich czterech ścian, siedziała Hanna Luiza Donat na wózku inwalidzkim. Również ta kobieta nie zdawała się zdumiona widokiem Anny. Okazała się niezwykle miła, Anna zaś spostrzegła, że na stołach naklejono kopie pergaminu, pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt umieszczonych obok siebie fragmentów. Hanna wskazała podbródkiem na jeden z podartych kawałków:

- A ten fragment, ostatni w tym rzędzie, pewnie wydaje się pani znajomy. Nie, to nie jest oryginał. To tylko kopia robocza. Oryginał znajduje się w sejfie, a potem umieścimy go w naprawdę bezpiecznym miejscu.

Oczywiście Anna rozpoznała swój fragment pergaminu. Już nawet miała powiedzieć: I po to całe to zamieszanie? Ale się powstrzymała.

Donat opowiedział żonie, że już wtajemniczył Annę w sprawę, że zna ona ich udział w sprawie, ale pani von Seydlitz jest przede wszystkim zainteresowana tym, kto siedział w samochodzie jej męża w chwili wypadku i w jaki sposób ta kobieta weszła w posiadanie dokumentów tożsamości Hanny.

Kobieta na wózku inwalidzkim odwróciła wzrok i spojrzała na Annę.

- Musi pani wiedzieć, że jestem z zawodu filologiem klasycznym i archeologiem. Pracowałam dla Comitee International de Papirologie w Brukseli. Donat, będący wówczas benedyktyneką, i ja spotkaliśmy się tam po raz pierwszy na pewnym kongresie. I tak wyszło, zakochaliśmy się w sobie. Coraz częściej uczestniczyliśmy w kongresach, bo początkowo była to dla nas jedyna możliwość spotkania. Najpierw mieliśmy nadzieję, że stan zakochania minie, ale stało się coś wręcz odwrotnego, to uczucie przerodziło się w miłość. Ta sytuacja przysporzyła nam obojgu ogromnych wyrzutów sumienia. Donat poprosił kurie o dyspensę. Początkowo kuria w ogóle nie odpowiadała, po ponad roku przyszła decyzja, że jeśli nie da się tego obejść, to Donat może grzeszyć, ale nie może uzyskać dyspensy od celibatu. Innymi słowy, Kościół tolerował potajemne stosunki mnicha, ów jednak nie miał prawa przyznać się do tego publicznie i poślubić kobiety. Widziałam

wówczas tylko jedną drogę. Z dnia na dzień musiałam zniknąć z życia Donata. Dobrze się złożyło, że na kongresie w Monachium podszedł do mnie pewien elegancko ubrany mężczyzna. Nazywał się Tales.

- Tales?

Anna się wzdrygnęła, bo nagle zrozumiała powiązania.

- Tales wyjaśnił, że kieruje pewnym instytutem w Grecji i szuka eksperta od papirusów i pergaminów. Zaoferował mi bezwstydnie wysoką pensję. Dostrzegłam w tym możliwość zniknięcia z życia Donata i zapomnienia o nim. Oczywiście w ogóle nie podejrzewałam, że swoim podpisem zaprzedałam się tajnemu zakonowi orfików, a kiedy zorientowałam się w czym rzecz, było za późno. Orfikiem zostaje się na całe życie...

Głos Hanny Luizy Donat stracił pewność siebie. Kobieta zaczęła się trząść, a kąciki jej ust drżały, gdy mówiła dalej:

- Chciałam się wycofać, wrócić do dawnego zawodu, ale trzymali mnie siłą. Odmawiałam pracy, później nawet przyjmowania pokarmów, aż wreszcie Orfeusz, który jest również ich najwyższym sędzią, postanowił wydać wyrok. Orfików, którzy nie przestrzegają zasad, zrzucają ze Skały Frygij-skiej. Jeśli ktoś przeżyje ten upadek, puszczają go wolno. Nikt nie chciał mi powiedzieć, czy kiedykolwiek ktoś przeżył. Ja przeżyłam, ale od tej pory nie mogę ruszać nogami. Dwaj obłąkani z dolnej części miasta wywieźli mnie aż na drogę prowadzącą do Katerini i wrzucili do rowu. Jakiś czas później zostałam zauważona przez pewnego kierowcę ciężarówki. Później mówiono, że był to wypadek samochodowy, którego sprawca zbiegł.

Widać było, jak to opowiadanie męczy Hannę Donat. Oddychała ciężko i patrzyła gdzieś w dal. Donat chwycił żonę za rękę i mocno ścisnął. A zwracając się do Anny, powiedział:

- Kiedy się o tym dowiedziałem, zdjąłem habit i odszedłem z klasztoru. Złorzeczyłem wówczas niebu i wykrzychałem cały swój ból. Tego dnia dojrzało we mnie postanowienie, że zemszczę się na Kościele, gdyż nie jest to Kościół łaski, lecz instytucja bezlitosnych urzędasów. „Choćby się nawet okrywali szatami”, mówi prorok Mahomet, „Allah wie zarówno to, co skrywają, jak i to, co publicznie pokazują; zna on bowiem najtajniejsze zakątki ludzkiego serca”.

Kobieta na wózku inwalidzkim podjęła znów swą opowieść: - Wprawdzie pozbawiono mnie możliwości poruszania się, ale siła moich myśli była niezłomna. Zrozumiałam teraz, o co chodzi orfikom, wiedziałam również,

że mają konkurentów, którzy ze wszystkich sił starają się wejść w posiadanie piątej Ewangelii, islamskich fundamentalistów. W pojedynkę nie znalazłabym w sobie tyle odwagi, żeby walczyć z obydwoma ugrupowaniami, z orfikami i mafią kurii. Brakowało mi też pewności, że Donat zechce mnie jeszcze kochać, taką niezdolną do poruszania się kalekę.

- Nie mów tak - przerwał żonie Donat. - Miłość nie zależy od czyichś zdolności ruchowych. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pokochałem ciebie, a nie sposób w jaki chodzisz.

Annę von Seydlitz zdumiały tak czułe słowa mężczyzny. Donat był człowiekiem o dwóch duszach, jednej delikatnej, co przejawiało się w jego stosunku do żony, i drugiej bezwzględnie radykalnej w stosunku do Kościoła. W końcu Anna powtórnie zadała Donatowi pytanie:

- Jak to się stało, że kobieta siedząca w samochodzie mojego męża podała się za pańską żonę?

- Więść, że pewien niemiecki handlarz dzieł sztuki wszedł w posiadanie ostatniego brakującego, a przy tym najważniejszego fragmentu piątej Ewangelii, nie znając najprawdopodobniej jego znaczenia, rozprzestrzeniła się z szybkością błyskawicy wśród wszystkich, którzy mieli związek z tą sprawą. Termin sprzedaży pergaminu, który Tales uzgodnił z pani mężem w Berlinie, nagle wydał się orfikom niebezpiecznie odległy, tak że wysłali przodem nieznaną nam agentkę wyposażoną w dokumenty, które moja żona musiała zostawić w Grecji. Trudno teraz dokładnie zrekonstruować szczegóły spotkania pani męża z tą kobietą.

- O ile wiem, Guido był w drodze do Berlina. W tamtym momencie sprzedał już pewnie pergamin profesorowi Vossiusowi, nie miał go bowiem z sobą, a później znalazł się on u Vossiusa w Paryżu. W tym kontekście pojawia się oczywiście pytanie, jaki cel miała kobieta, która siedziała z Guidem w samochodzie?

- Uważam to za absolutnie prawdopodobne - przerwał jej Donat - że orfiky, którzy najwyraźniej myśleli, iż ten pergamin znajduje się jeszcze w rękach pani męża, nasłali na niego przynętę, kobietę, która miała go kusić, aby w ten sposób wejść w posiadanie pergaminu, i kto wie... - Donat przerwał.

- Niech pan spokojnie powie, co pan podejrzewa - Anna podjęła wątek. - Kto wie, może mąż szukał tylko przygody? Może. Ale wtedy zdarzył się ten straszny wypadek.

Donat przytaknął skinieniem głowy.

- A Vossius? - zapytała Anna, której przemknęło przez głowę tysiąc myśli. - Kto ma na sumieniu profesora Vossiusa?

- Vossius nie był samotnym bojownikiem, lecz jednym z orfików. Jeśli zmarł śmiercią gwałtowną, to odpowiedź na pytanie o sprawców tego mordu jest oczywista.

- Rozumiem — powiedziała Anna z namysłem - ale jednego ciągle jeszcze nie mogę pojąć. Islamiści, orficy, kuria, wszyscy od lat zajmują się tłumaczeniem piątej Ewangelii. Dlaczego akurat ten niewielki fragment ma tak doniosłe znaczenie, że zabija się ludzi i stosuje jakieś straszne metody, aby go osiąść, dlaczego?

5

Hanna Donat dała mężowi znak, na co on przysunął jej wózek do miejsca, gdzie na stole przed nią leżała przyklejona fotokopia małego skrawka pergaminu. Sparaliżowana kobieta nieomal nabożnie spojrzała na nieczytelne znaki pisma i powiedziała:

- Myślę, że ma pani prawo dowiedzieć się, o co chodzi. W końcu to pani mimo utraty pergaminu jest ciągle jego prawowitą właścicielką.

A potem zaczęła snuć obszerną opowieść o czterech Ewangeliach spisanych w odstępie od pięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat od faktycznych wydarzeń przez ludzi, którzy nigdy nie znali ich głównego bohatera i odpisywali od siebie jak zuchwałe uczniaki. Oprócz tego istnieje jednak całe mnóstwo apokryfów, Ewangelii, których historyczne znaczenie jest o wiele mniejsze niż znaczenie tych czterech Ewangelii. Innymi słowy, chrześcijański przekaz Nowego Testamentu jest kolosem na glinianych nogach. Prawdziwość piątej Ewangelii potwierdzają natomiast sami naukowcy. Metoda termoluminescencji wykazała, że ten pergamin został spisany dokładnie w czasie, który opisuje jego autor, w każdym razie wcześniej od pozostałych czterech Ewangelii. Ukazuje ona życie Jezusa z Nazaretu w całkiem innym świetle.

Anna wtrąciła, że Kościołowi pewnie i w tym wypadku uda się zinterpretować wszystko zgodnie ze swoją wykładnią.

Kobieta na wózku inwalidzkim pokręciła przecząco głową.

- Może się to udać w odniesieniu do jednego czy drugiego fragmentu, ale nie do tego. Tłumacząc dosłownie: „... ON, KTÓRY TO SPISUJE - NOSI IMIĘ BARABASZ - I WIEDZCIE, BARABASZ JEST SYNEM JEZUSA Z NAZARETU - JEJ MATKA NAZYWA SIĘ MARIA MAGDALENA - JEZUS, MÓJ OJCIEC BYŁ PROROKIEM - ALE PONIEWAŻ JAK MAGOWIE EGIPSCY ZAMIENIAŁ WODĘ W WINO I STAWIAŁ CHROMYCH NA NOGI - NIEKTÓRZY WOŁALI, ŻE JEST BOGIEM - ALE TO DZIAŁO SIĘ Wbrew JEJ WOLI.

6

Anna von Seydlitz dopiero po chwili rozumiała doniosłość tych słów. Długo trwała w zamyśleniu. Nie była zbyt wierząca, a już z pewnością niezbyt pobożna. Ale treść tego, co usłyszała, bardzo ją zaniepokoiła, gdyż jedna myśl górowała nad wszystkimi innymi: gdyby opublikowano ten prosty tekst, jego wymowa musiałaby pociągnąć za sobą straszliwe konsekwencje. Pobożne życie miliardów ludzi od dwóch tysięcy lat, instytucja Kościoła, Watykan - wszystko to puste dźwięki.

- Rozumie pani teraz - zwrócił się Donat do Anny - dlaczego my, orficy i Watykan użyliśmy wszelkich sposobów, aby zdobyć na własność ten kawałek pergaminu?

Anna w milczeniu pokiwała głową.

- Jestem zresztą upoważniony do wypłacenia pani sumy miliona dolarów w ramach odszkodowania. Czy zgadza się pani na to?

Anna von Seydlitz tylko skinęła głową. Bardzo dobrze rozumiała, że islamisci, mając ten dokument w rękach, zdobędą władzę nad światem. I zaczęła go zmieniać, co do tego ani przez chwilę nie miała wątpliwości.

Anna rozumiała teraz wiele rzeczy, które wydarzyły się w ostatnich miesiącach i tygodniach, i wydawało się jej niemal śmieszne, że przypadkowo przypadła jej kluczowa rola we fragmencie dziejów świata. Wzrokiem wędrowała co chwila po znakach, których nie potrafiła odczytać, a które miały tak duże znaczenie, że naraz zaczęła się bać, bać o tę tajemnicę. Zapytała:

- A oryginał? Gdzie znajduje się teraz oryginalny pergamin?

Kobieta na wózku inwalidzkim spojrzała na Donata, ten z kolei zwrócił się do Anny i powiedział:

- Nie oczekuje pani chyba, że to zdradzę. Pergamin znajduje się w bezpiecznym miejscu, chroniony przed ingerencją niepowołanych osób.

- A państwo dysponujecie jedynymi istniejącymi kopiami?

- Właściwie to ja chciałem pani zadać takie pytanie. Jeśli zdjęcia pergaminu na filmie z pani aparatu są jedynymi, jakie kiedykolwiek zostały zrobione, wówczas mogę odpowiedzieć na pani pytanie twierdząco. Zresztą odbitki są w tym wypadku bezwartościowe jako materiał dowodowy. Kuria by je sfałszowała, jak sfałszowała już niejeden dokument pisany. Aby rozsądzić Kościół, potrzeba jednoznacznych dowodów.

- Rauschenbach i Guthmann! - zawołała niespodziewanie Anna.
- Im obu zostawiłam kopie pergaminu.

Donat odpowiedział spokojnie:

- Wiemy o tym. Obie znajdują się w posiadaniu orfików. Zamordowali biednego Rauschenbacha, myśląc, że zostawiła mu pani oryginał. A Guthmann jeszcze dzisiaj jest na ich usługach. Przebywa gdzieś tutaj, w Rzymie, z oddziałem zabójców. Mieli szpicla w Watykanie, przebiegłego jezuitę o nazwisku Łoziński. Do dzisiaj nie wiedzą, że grał podwójną rolę. Był tam też Niemiec, doktor Kessler, również jezuita. Obaj pracowali nad tym samym projektem. - Donat wskazał ręką pergamin rozpostarty na stole. - Kiedy ci dwaj panowie się zaprzyjaźnili, orfikom grunt zaczął palić się pod nogami, myśleli bowiem, błędnie, że Kessler jest jednym z nas. Obaj mieli umrzeć w zamachu. Łoziński zresztą zginął, ale Kessler przeżył.

- Mój Boże! - szepnęła Anna.

- Kessler jest teraz po naszej stronie - dodał Donat. - I jest jeszcze ktoś, kto wreszcie schronił się u nas. Ale o tym już niech się pani przekona sama... na własne oczy.

7

Donat chwycił za wózek inwalidzki żony i wyprowadził go bez słowa. Anna została całkiem zagubiona i sama w tym obcym domu. Bezradnie zwróciła się w stronę stołu, na którym leżało mnóstwo niezrozumiałych fragmentów piątej Ewangelii, owa ogromna układanka, do której wstawiono jej fragment jako ostatni, decydujący dla całej zagadki - fragment mogący uruchomić potężną

lawinę, która zmiecie z powierzchni ziemi Kościół, papieża i wiarę. Anna wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie nagle, że ten dawno zapomniany tekst, przed którym teraz stoi - a właściwie jego oryginał przechowywany w bezpiecznym miejscu - może odmienić cały świat. I nic już nie będzie takie, jakie było dawniej.

Usłyszała otwierające się za nią drzwi i odwróciła się w tamtą stronę. Stał przed nią „Kleiber”- fałszywy Kleiber - z bukietem pomarańczowo-błękitnych strelicji, rajskich ptaków.

Anna zrobiła krok w jego kierunku, nie wiedząc, co chce w ten sposób wyrazić. Czuła się bardzo niepewnie. Stali tak naprzeciw siebie i jedno czekało z zakłopotaniem na jakieś słowo z ust drugiego.

- Nie wiem - zaczął wreszcie fałszywy Kleiber, zacinając się - czy mam przeproszać? Co mam zrobić?

- A jak czujesz? - zapytała Anna ciętym tonem.

- Naprawdę nie wiem - odpowiedział „Kleiber” wymijająco. - Mam oczywiście świadomość, że niecnie cię oszukałem.

- Ach tak. No rzeczywiście.

- Ale oszukiwałem cię tylko w kwestii mojej tożsamości, a nie w kwestii uczuć. Uczucia były prawdziwe. Od samego początku.

- I myślisz, że to można rozdzielić?

- Wydaje mi się, że tak.

- Musisz mi to wyjaśnić.

- Postaram się. No więc nie nazywam się ani Adrian, ani Kleiber, tylko Stephan Oldenhoff. Podobnie jednak jak Kleiber jestem dziennikarzem, chociaż nie odniosłem takich sukcesów. Kimś, kto raz sprzedaje jakąś historyjkę tu, raz tam, i jest zadowolony, że wystarcza na zapłacenie czynszu. Bierze się każde zlecenie, które daje pieniądze. Pewnego dnia zagadnął mnie jakiś człowiek i powiedział, że jestem zdumiewająco podobny do innego dziennikarza, i zapytał czy byłbym gotów za dużą forszę odegrać jego rolę. Nie zastanawiałem się długo, tylko powiedziałem, że jeśli nie jest to nic nielegalnego, zrobię to. Honorarium było naprawdę przyzwoite. Zleceniodawca nazywał się Donat, a zlecenie miało polegać na dotarciu do oryginału pergaminu.

W tym celu Stephan Oldenhoff musiał zmienić się w Adriana Kleibera. Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, nie było to szczególnie trudne, zwłaszcza że wiedzieliśmy, iż po raz ostatni widziałas Kleibera siedemnaście lat temu. Donat przeprowadził dokładne badania, a najcenniejszych wskazówek udzieliła

mu żona. Nikt nie znał lepiej jego charakteru i przyzwyczajzeń niż Hanna Luiza Donat, wdowa po Adrianie Kleiberze. Bo w pewnym momencie się ożenił. I od tamtej pory przestał przysyłać ci kwiaty na urodziny.

Dokładnie znałem twoją sytuację, a od fundamentalistów otrzymałem wszelkie wsparcie, jakie było mi potrzebne. Ale wiedziałem również, że grozi mi ogromne niebezpieczeństwo ze strony orfików, przede wszystkim od chwili kiedy zdobyłem już pergamin albo dokładniej mówiąc od chwili, gdy orficy uwierzyli, że go zdobyłem. Dlatego też pomysł wyjazdu do Ameryki był mi bardzo na rękę, bo tam czułem się bezpieczny.

Anna pokręciła głową. Trudno jej było uwierzyć w słowa Oldenhoffa.

- A zatem również twoje uprowadzenie do Leibethry było tylko udawane!

- Co ty sobie wyobrażasz?! - zawołał wzburzony Oldenhoff. - To było śmiertelnie poważne. Kiedy orficy dowiedzieli się, że nie masz już pergaminu i że w związku z tym ja musiałem go gdzieś ukryć, porwali mnie niczym mafiosi sycylijscy. Naprawdę nie wiem, w jaki sposób przywieźli mnie do Leibethry i co ze mną zrobili, aby wydusić ze mnie, gdzie ukryłem pergamin. Faktem jest, że zawdzięczam ci życie. Gdyby bowiem dowiedzieli się, że pergamin już dawno znajduje się w rękach fundamentalistów, prawdopodobnie zabiliby mnie.

Anna von Seydlitz spojrzała fałszywemu Kleiberowi w oczy. Nienawidziła tego człowieka. Ale nie tak, jak nienawidzi się wroga czy oponenta. Anna nienawidziła Oldenhoffa wyłącznie za to, że jest Oldenhoffem, a nie Kleiberem. Był to jednak jeden z tych rodzajów nienawiści, która łatwo przeradza się w miłość, a ten moment był bliższy niż myślała.

8

Od spotkania w oficynie na Via Baullari minął dokładnie tydzień. Anna von Seydlitz wyjechała na urlop na Capri, aby pomyśleć. Zamieszkała w apartamencie niesłychanie drogiego hotelu Quisana, ale mogła sobie na to pozwolić. Donat wręczył jej czek na milion dolarów. Jednakże mimo tak gigantycznych pieniędzy nie była szczęśliwa. Wydawało się jej, że w ubiegłych miesiącach żyła cudzym życiem, i długo trwało, zanim jej zwątpienie przerodziło się w

zdumienie, a zdumienie stało się wreszcie przekonaniem, że nie śniła, tylko przeżyła to wszystko naprawdę.

W czasie długich, bezsenne spędzanych nocy złośliwe echo tukało się w jej głowie: Barabasz, Barabasz, Barabasz. Przysparzało to cierpienia podobnego do tępego bólu głowy, tak że Anna była bliska rozpacz. Podejrzała, co się stanie, była jedyną osobą, która w ogóle mogła to podejrzewać, ale nijak nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób ta katastrofa - inaczej bowiem nie można było nazwać tego, co miało się wydarzyć - będzie przebiegać. Raz przyłapała się na tym, że zanoszi w niebo akt strzelisty, aby zdarzyło się coś nieoczekiwanego, coś, co wymaże wszystkie rzeczy, jakie się do tej pory wydarzyły, niczym deszcz splukujący bruk uliczny.

Oczywiście było to bezsensowne, można bowiem wpływać na przyszłość, a nie na teraźniejszość. Tak więc Anna von Seydlitz rozważała, jak by zaszyć się w jakiejś dziurze z dala od ludzi i świata, i uniknąć zagrażającej katastrofy. Jednak wszystko potoczyło się całkiem inaczej.

Poniedziałek, 5 marca 1962 roku.

Lot ALITALIA 932 Rzym-mman. Na pokładzie siedemdziesięcioro sześciu pasażerów i ośmioro członków załogi. W ósmym rzędzie na miejscach A i B łysy przysadzisty mężczyzna, a obok niego sparaliżowana żona. Zapis na liście pasażerów: Donat, Mr. i Donat, Mrs. Oboje wprowadzono do samolotu specjalnym wejściem oddzielonym od wejścia dla pozostałych pasażerów. Pani Donat na wózku inwalidzkim. Stewardowi rzuciła się w oczy aktówka, którą sparaliżowana kobieta miała przykutą kajdankami do nadgarstka.

W szóstym rzędzie na miejscu D mężczyzna o krótkich siwych włosach w ciemnym ubraniu. Wycięcie między kłapami w garniturze zdołał maleńki złoty krzyżyk. Zapis na liście pasażerów: Manzoni. Mr. Manzoni wszedł na pokład dopiero w ostatniej chwili. Miał z sobą czarny neseser.

Podczas lotu Manzoni co pewien czas zerkał to na Donata, to znów na jego sparaliżowaną żonę. Oboje patrzyli mu prowokacyjnie w oczy. Manzoni uśmiechał się bezwstydnie. Wydawało się, jakby nawzajem czuli nad sobą zwycięstwo - Donatowie nad Manzoniem, Manzoni nad Donatami.

Po osiemdziesięciu minutach lotu Manzoni sięgnął do czarnego nesesera i zaczął czegoś szukać. Donat zdążył jeszcze zobaczyć, że Manzoni wyciąga

rękę z kieszeni i śmiejąc się, robi szybki znak krzyża. Chwilę później trafiła go jaskrawa błyskawica. Wybuch. Samolot roztrzaskał się na tysiąc części dwadzieścia pięć tysięcy stóp nad poziomem morza.

9

Oczywiście nie ma świadków tej ostatniej sceny. Ale mogła się ona rozegrać w taki lub podobny sposób.

Włoska agencja prasowa ANSA doniosła 5 marca 1962 roku: Rzym: - Na trasie lotu z Rzymu do Ammanu doszło w dzisiejszy poniedziałek do wybuchu w samolocie pasażerskim włoskiego towarzystwa lotniczego Alitalia. Samolot runął do morza. Na pokładzie znajdowało się siedemdziesięcioro sześciorgo pasażerów i ośmioro członków załogi. Samolot spadł sześćdziesiąt mil morskich na południe od Cypru, dziewięćdziesiąt mil morskich na zachód od Bejrutu, w jedno z najgłębszych miejsc Morza Śródziemnego. Członkowie załogi niszczyciela wchodzącego w skład szóstej floty amerykańskiej widzieli podobno, jak samolot eksploduje w powietrzu. Poszczególne płonące części runęły do morza. Uznano, że żadna z osiemdziesięciu czterech osób znajdujących się na pokładzie nie przeżyła katastrofy. Na temat przyczyn wypadku istnieją wyłącznie spekulacje. Rzecznik Alitalia oświadczył w Rzymie, że nie można wykluczyć, iż eksplozję w samolocie spowodowała bomba.

DODATEK I

W czwartek, 11 października 1962 roku, papież Jan XXIII otworzył w Rzymie Sobór Watykański Drugi. Spośród trzech tysięcy czterdziestu czterech zaproszonych uczestników soboru obecnych było dwa tysiące pięciuset czterdziestu, w tym stu piętnastu członków kurii. Z tych stu piętnastu zaledwie trzydziestu znało prawdziwy powód zwołania pierwszego od nieomal stu lat powszechnego zgromadzenia kościelnego.

Sobory, co pokazała przeszłość, zawsze miały jakiś ważny powód i doniosłe wyniki. Sobory uznały tak zwaną homouzję, boską współlistotność Syna i Ojca (Nicea), zakończyły schizmę Kościoła (Konstancja) albo obdarowały chrześcijan dogmatem o grzechu pierworodnym (Trydent) czy o nieomyślności papieża (Watykan I). Rezultaty Drugiego Soboru Watykańskiego okazały się natomiast marne.

Mimo to Drugi Sobór Watykański przechodzi do historii jako sobór reformatorski, przy czym nie padnie tam ani słowo o tym, co stanowi treść tej książki. Jakby tego w ogóle nie było.

DODATEK II

Anna von Seydlitz i Stephan Oldenhoff pobrali się w maju 1964 roku w Paryżu. Siedem lat później Anna zginęła w dziwnym wypadku. Na stacji metra Pont-Neuf wpadła pod nadjeżdżający pociąg. Została pochowana na paryskim cmentarzu Pere-Lachaise, o rzut kamieniem od doktora Guillotina, wynalazcy gilotyny.

Jej kamień nagrobny opisany w dość niezwykły sposób nie rzuca się w oczy w morzu bardzo osobliwych nagrobków. Inskrypcja brzmi:

ANNA 1920-1971

Pod spodem znajdują się niezrozumiałe słowa łacińskie:

BARBARIA ATQUE RETICENTIA ADIUNCTUM BARBATI BASIS
ATRII SACRI*

Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy ta książka była oddawana do druku, widywano pewnego starca, który nieomal codziennie przychodził na cmentarz Pere-Lachaise. W ręce miał zawsze pomarańczowo-błękitną strelicję, rajskiego ptaka.

Pytany o znaczenie tajemniczej inskrypcji zapewniał, że nie zna tłumaczenia tych wyrazów i że nie jest ono ważne. Istotne są tylko inicjały poszczególnych słów.

* Barbarzyństwo i milczenie są charakterystycznymi cechami papieża rzymskiego i fundamentem pałacu Kościoła.

GLOSA

Niniejszym proszę Stephana Oldenhoffa o wybaczenie. On był tym człowiekiem, którego spotkałem na Cimetiere du Pere-Lachaise i który zainspirował mnie do napisania tej książki. Wiem, że nadużyłem jego zaufania i opublikowałem tę opowieść wbrew jego życzeniu i na podstawie własnych poszukiwań. Powód takiego kroku nie zaskoczy ani jego, ani moich czytelników. Jestem przekonany, że temat jest zbyt istotny, aby miał pozostać nieopracowany.

Philipp Vandenberg